Aleksandra Leśniewska

Wielki Król

Powieść dziejowa

Grudziądz 1923

Nakładem i czcionkami
„Drukarni Pomorskiej” Tow. Akc., Grudziądz

ALEKSANDRA LEŚNIEWSKA

Wielki Król

Powieść dziejowa

Grudziądz 1923

Nakładem i czcionkami „Drukarni Pomorskiej“ Tow. Akc.

Duchom Rodziców moich

Franciszka i Julji Łapińskich

pracę tę poświęcam

Autorka

I.

Aż się iskrzyło dokoła, aż raziły mocne blaski słoneczne i oślepiająca białość śniegu...

Bo choć październik dopiero się zaczął, ale jesień zleciała wcześnie na litewskie knieje, sypnęła śniegiem, owarzyła zieloność, wichrami postrząsała liście z drzew i już władnie poczynała sobie rządzić w onym roku stefanowych tryumfów wojennych.

Nawet wielkie jezioro, które zwano Ukrut, rączą falą oblewające ogromne włości Kuźmy Ościka Wierszułowicza, — od trwających przymrozków stężało i pociemniałemi wodami leniwie kołysało się i ciężko.

Że po dniach odwilży ten mróz chwycił mocny, przeto zjeżyły się drzewa śniedzią puszystą: drobna igła jedliny, całe potężne pnie drzew niebotycznych zakwitły szronem; świat przemienił się znagła w bukiet oblubieńczy, niepokalanej białości.

Jaskrawe słońce igrało tęczami w tych puchach zmrożonych, krzesało z nich barwy, weselem niosło się po dachach śnieżystych, maiło lasy młodością i blaskiem kreślące się gęstwiny borów, het, na widnokręgach w złotawe wzgórza zamieniało.

Aż się iskrzyło dokoła...

One zaś obie mknęły w leciutkich saneczkach, wilczurą okryte. Bułanek ich biegł chodem wyciągniętym i tumany śniegu wzbijał kopytami; zdało się, że w białym obłoku suną dziewczyny.

— Ustinko ... daj mi wodze ... teraz ja... zzię-błaś pewno ...

— O nie! Dalej ci oddam, za mostkiem, kiedy już do dom nawrócim ...

Z siwych kapturków wyzierały lica młodziuchne, hoże i urodne.

— Hu! Ha! — zakrzyczała znagła Ustinka. — Sanna, że takiej nie pamiętam ... Halzuchna, co?! — Ale jedźmy rączej, rączej! — nagliła tamta.

Śmignął bacik nad karkiem ogiera, poleciały, by ta strzała w świat mroźny, słoneczny, biały ...

Nagle jeździec jakiś ukazał im się naprzeciw, z głównego traktu snać zjechał i, pochylony trochę nad czarną grzywą wierzchowca, rwał ostrym galopem.

Kiedy rozmijał się z saneczkami, ujrzały panny ciemne, promieniste oczy, usta okolone krótkim zarostem, młodzieńcze oblicze przez mróz w żywe rumieńce cudnie malowane. Czamara, bogato futrem naszyta, opinała jeźdźca szczelnie, na głowie ciemniał mu kołpak soboli, zdobny w kołyszącą się kitę czaplą, pod którą klejnot krwawo połyskiwał. Urodny był ten rycerz wielce, południowe, gorące miał rysy, piękno w całej postaci ...

Skrzyżowały się oczy dziewic z ciekawem spojrzeniem jeźdźca, — ale już rozbiegli się w strony przeciwne po stepowych dalach.

— Kto to?! Baczyłaś, Halzuchno, jaki piękny?

— Baczyłam ... — przyznała się Bielecka.

— Węgierski miał przystrój i zda się, ku naszym Buławom zdążał ...

— Może to z pana batorowego obozu wysłannik; króla miłościwego spodziewa się twój tatuś co dnia ...

— I zjedzie król do nas, i zjedzie! — żywo przytwierdziła Justynka Ościkówna, której oczka piwne, śmiejące, nosek zadarty, krasiły zuchowato oblicze rumiane, przez mróz teraz wyszczypane mocno.

— Oj, dla Boga, Halzuchno! toż to uciechy nas czekają! radość, zabawy, gwar i weselenie!! Jakże! przecie króla Stefana dwór cały u nas zagości . . .

— Ale czasy wojenne, nie pora na zabawy i radość zaprzeczyła Halina.

O, król niech tam sobie ze starszyzną medytuje nad zwojowaniem cara, a my z rycerzami na umor się poweselim! — Nagle ręką ukazała gościniec szeroki — mówiąc — O, patrz, Halzuchno, to widać poczet onego który nas mijał, znaczna świta, i kilku pajuków przy wozach! Jak to rwą za nim c› sił, że ich wyprzedził· Do naszych Buław się kierują, do nas, do nas!

— Bo król jegomość na Dzisnę przecie do Wilna podąża. Jeno, że wodą z Połocka do Dzisny ma jechać.

Ba, Dźwina jeszcze nie zamarznięta, przepłyną.

I gwarząc, mknęły radosne, młode i śliczne opodal ukruckiego jeziora, mijały martwe tafle wód, modrzejące niegdzie ślepem szkliwem lodowatem, na wydmy pagórów wjeżdzały, kędy płozy sań tarły o grudę. że to wiatr rozmiatał był śniegi.

Czerwieniało już dokoła, smugi purpury lały się ze słońca, pożogi łun krwawych płomieniały na niebie, gdy dziewczyny wpadły do Buław, przede dwór, z powrotem.

Rzuciwszy lejce koniuchowi, który na ich widok wybiegł z pobliskiej stajni, wyskoczyły z saneczek, zatupotały na schodach ganku nóżkami, obutemi w wysokie kortowe ciżemki i wbiegły do długiej, mrocznej sieni domostwa.

A tam już śpiesznie dążyła im naprzeciw służebna, stara Marta i wraz rzekła, jako pani zleciła obu pannom przyodziać się strojnie do wieczerzy, bo gość tu zjechał, imć pan Szandor Bekiesz, z obozu królewskiego wysłannik.

— A widzisz! widzisz, Halzuchno! powiadałam pierwsza! — tryumfowała Justynka, uniesiona radością.

Czasem tym samym, w świetlicy wysokiej a obszernej, zrumienionej teraz blaskiem zórz podzachodnich,

idących z okien, na wzór polski szybami już powleczonych, — u ciężkiego, dębowego stołu, którego krępe nogi i szerokie boczne obramienia rzeźbione były w żłobki, kanty i jakoby drewniane gwoździe wielkie, — siedziała pani buławieckiego dworu, bojarynia Salomea Ościkowa.

Z Polski, z równin mazowieckich, z podle miasta Warszawy rodem pochodziła i tam też żyła, aż do dnia swojego ślubu z Kuźmą Ościkiem, przebogatym litwinem, który wpobliżu Dzisny, miasta nadrzecznego, wielkimi obszarami ziemi władał jako ten kniaź potężny i możny. Panował on, groźny był i przed nikim hardej głowy nie chylił, jeno chyba ... przed Salusią swoją, którą miłował żarliwie, iże mawiano po okolicach, jako mdła dłoń niewieścia dzierży go i oniewala.

Jeśli tam w onem stadle Ościków, w Buławach swoich żyjącem, była przewaga żonina nad mężem, jeśli rozum niewieści i wola górowały częściej niż podlegały i ustępowały — to prawda nakazuje rzec, iż na korzyść to szło zarówno małżeństwu samemu jak i całej włości bogatej, rozległej i ludnej.

Siedziała teraz Ościkowa u stołu dębowego w przyodziewie pięknej, z ciemnoorzechowego altembasu, suto na biodrach pomarszczonej, a zaś na kaftanie oszytej guzami sznurów o przyćmionej, zielonawej barwie.

Na bujnych, ciemnych włosach pętlik miała z siatki złocistej, nizanej na perełkach, których kulki misterne dokoła czoła i aż ku uszom biegły chwiejącym się szlakiem. Czoło bojaryni wysokie było, białe i śmiałe, a rysy twarzy zdały się jakby w kamieniu kute, taka je zdobiła prostolinijność, prawie rzymski rysunek profilu. Oczy były szafirowe, lecz ciemne, chwilami pod brwią puszystą, niemal czarne, zwłaszcza, gdy gniewem zaczynały płonąć.

Snać i teraz piękna mazurka nie ku woli swej wiodła rozmowę, z mężowskim bratem, siedzącym wprost

niej na rzeźbionym zydlu, bo, wyczekawszy tylko końca jego słów, popędliwie rzekła:

— Niewolić dziewczyny nie będę! ... Jeśli sama zechce, to niech za cię idzie, a z namową się nie odezwę ...

On znowu zaczął mówić.

Z ust, trzęsących się wzruszeniem, padały słowa półgłośne, gorące; dech je ano przytłumiał i gwałtowne uderzenia serca, łomocącego w nim, jak młot.

— Jejmość bratowa ... toć wiecie, że nieboszczki zgołam nie miłował, a mężem złym dla niej nie byłem ...

Zatrzymał się, zbity trochę z tropu lekceważącym ruchem ręki Ościkowej, — lecz po chwili wiódł dalej:

— Rodzicielski nakaz związał mnie z żoną białogłową, nie upodobanie ... Tom i żył po jej śmierci we wdowieństwie lat trzy, o nowych ślubnych węzłach nie myślący; kiedy ugodziło wemnie miłowanie pożarem... Że mi teraz dusza, jestestwo przyrodzone, każda kropla krwi, dech nawet płonie i w żarach miłowań ... zamiera. Zgoła nie zdzierzę ... By ten rab stałem się pod siłą przepełnionego serca — mówił z uniesieniem — by ten męczennik, nie znający ochłody ...

Głos mu cichł, wiązł w krtani.

Patrzyła Ościkowa na mówiącego.

— Co ty, Hrehory — rzekła — także to ją miłujesz ... ? — z zaciekawieniem poglądała na mężczyznę.

Bo i jakże?

Despota to był, zabijaka, warchoł największy na całej Litwie i Małorosji, krzykacz, nieustępliwy; w łowach jeno i zbrojnych napadach upodobanie mający; trzęsący całą okolicą, często rosyjskim pankom uprzykrzający się zuchwalstwem i potężną siłą swoich zbrojnych zastępów, którymi wymierzał sobie sprawiedliwość lub zdobywał żądane: ten najśmielszy z ludzi, jakich znała, zobaczywszy w Buławach bratanicę jej, też mazurkę, Halzuchnę Bielecką, osierocone po śmierci rodzi-

cieli dziewczątko i przez ciotkę tu z Polski przewiezione, — zmienił się, zmiękł, do siebie nie był podobny z rozmiłowania nagłego.

Lat miał Hrehory ze trzydzieści, lubo wyglądał na starszego, rozrosły, barczysty, trochę niedźwiedziowaty w ruchach. Ciemne włosy pierścieniły mu się na czole, spadające niekiedy aż na brwi krzaczaste, chmurne. Oczy zdały się w cieniach, osadzone głęboko, płonące a niespokojne. Szeroka broda o rudawym, ciemnym połysku wichrzyła się na jego policzkach, przydając jeszcze sępności obliczu.

— Tak-że to ją miłujesz ... ? — w zamyśleniu powtórzyła z cicha Ościkowa.

A on, milcząc, głową jeno poruszał, jak ktoś bolejący.

Szelest rozległ się w sąsiedniej komnacie i czyjeś lekkie stąpanie.

Zawołała Ościkowa.

— Halzuchna; to ty? — A pójdź-no tu, pójdź!

Hrehory wpił się płonącym wzrokiem w uchylone wierzeje.

Dech w nim zapadł, bo weszła.

Lat dziewiętnastu, wzrostu była średniego, lecz smukła postać czyniła ją, zda się, wysoką. Lica miała mazurskie: ściągłe, rzeźbione, drobne i cudne. Białe, myślące czoło, u skroni błękitnawem przezroczem żyłek nikłych określone, chyliło się równą płaszczyzną ku brwiom aksamitnym, ciemnym, pod któremi modre źrenice promieniały gwiazdzisto. Wyraz tych źrenic był zmienny: to łagodny i słodki, prawie sarni, to chmurzył się, czynił zimny i jako stal twardy ... Ruchliwe nozdrza prostego jej noska drżały przy lada wzruszeniu. Usta miała Halzuchna jak kwiat: pełne, niewinne, rozkwitłe już purpurą zupełną, gorące, słodkie. Coś tchnęło z tego dziewiczego lica, cos je prześwietlało, niby płomień krużę alabastru.

Młodość, majowe dni życia — z dojrzałością duszy łączyły się w jej obliczu, dziecinna wesołość — ze skrytą, lecz uświadomioną już tęsknotą, która jakoby mgłą smętku wybijała się poprzez promień uśmiechu.

Ciemne, kasztanowate włosy Halzuchny, w długie warkocze splecione, więziła u czoła opaska ze starego srebra, takiego, jak i łańcuch, z pełnych ogniw rzeźbionych spojony, który od piersi jej rozramieniał się na białej szacie i po rękawach brzeżkiem świetlistym znaczył się aż ku samym dłoniom. Ów staro-srebny, kosztowny łańcuch kibić dziewczyny w stanie obejmował i spływał szerokimi, spiętymi ze sobą końcami aż na śnieżną jubkę, z pod której powłóczystych zwojów karmazynowe, płytkie ciżemki na kobiercu się kreśliły.

Dworna taka i piękna stanęła w rozwartych drzwiach świetlicy i nagle, Ościka ujrzawszy, zatrzymała się u progu, dalej nie idąc. Brwi gniewnym rysem zbiegły się na jej czole, iskry zapłonęły w oczach i chmurzyły oblicze.

Hrehory zaś porwał się na jej widok z zydla, uczynił ruch, jakby chciał jej paść do nóg, jeno że w porę się zatrzymał — i tylko ze schyloną nisko głową, w jakiejś kornej, zalękłej postaci stał przez chwilę.

Ozwała się bojarynia:

— Chodź-że tu bliżej, Halzuchno!

Podeszła, stanęła podle krzesła, na którem ciotula jej siedziała, lecz wyraz gniewny z twarzy dziewczyny nie ustępował.

— A to, Halko — zaczęła niewiasta — imć pan Hrehory Ościk[1]) tu obecny brat małżonka mojego ... dekleruje o ciebie, że to za żonę pojąć cię pragnie z czystych żarów wielkiego miłowania. I o te słowa do ciebie prosił mnie teraz właśnie usilnie, że ci je powtarzam ... rzekła jakoby z przymusem. — A dalej,

---

[1]) Postać historyczna.

to już tam woli twej niczem nie krępuję: ani namawiam ani odradzam, jako chcesz, tak czyń ...

Zacięły się drobne usta Haliny, głowa na łabędziej szyi uniosła się nagle z dumą, i odwrócona zlekka od kornej postaci Ościka, trwała w bezruchu. Z półopuszczonych powiek, źrenice ócz, pociemniałe teraz, zimne i niechętne, wzgardliwie poglądały.

Cichość milczenia władnęła przez moment.

Ościkowa patrzyła ciekawie na dwoje onych młodych, aż ozwała się półgłosem:

— Cóż rzekniesz mu, Halzuchno? ...

Zaczęła.

Głos miała dźwięczny pełny i niski, lecz teraz ściszony: ku ciotce obróciła twarz, jakoby do niej tylko mówiła:

— Imć pan Hrehory, że bratem jest wuja Kuźmy, jeno to posłyszy ode mnie ... iż zgoła pojąć nie mogę-że śmiał ... — lecz poniechała wyrazu i rzekła: — pojąć nie mogę deklaracyi takowej. Raczej stroniłam od niego, raczej ... — rumieńce napływały ku jej twarzy, głos głębiał hamowanem wzruszeniem, ale wiodła dalej: — raczej obojętność, nie, więcej jeszcze, bo skryć dostatecznie nie umiałam ... niechęci, lęku przed nim ..., że widniały one w każdem mojem słowie z imć panem Hrehorym zamienionem ... Po-cóż więc i mnie i siebie na tę rozmowę, na rekuzę naraża ...

Drżące, wzgardliwe w tej chwili jej usta zamknęły się i umilkły.

Ościkowa zpod sobolich brwi, zsuniętych chmurno, patrzyła przed siebie.

A Hrehory ginął oczyma w postaci stojącej przed nim dziewczyny, chłonął wzrokiem te lica przecudne, dzwięk głosu jej brał w serce; światłem zdały mu się te tony, wołaniem, na które zrywała się cała dusza, że jakoby treści słów jej zgoła nie rozumiał ... Zawsze

tak się z nim działo w obecności onej białogłowej: zatracał się, myśli jego niemiały.

Lecz teraz znagła oprzytomniał, wniknęły jej słowa w męski mózg. Tedy, nie spuszczając z Halki źrenic płonących, zaczął mówić, zająkując się i jako ten przestraszony:

— Żadną miarą nie może tak być ... żadną miarą ...

Ale słowa Ościka ginęły już w hałasie, który raptem przyległą świetlicę zapełnił; bo oto gwarem niosły się ztamtąd głosy zmieszane, pokrzyki jakieś radosne, rozhowory i te kroki liczne. A zaś małe boczne drzwi, do sąsiedniej bokówki wiodące, rozwarły się z impetem, i wpadła Ustinka, strojna w modrą jubkę i takiż staniczek, suto zahaftowany jedwabnemi barwnemi kwiatuszkami. Dzwoniły perły i klejnociki różne, na kordonku znizane, rozwieszone na piersiach, aż trzęsły się, że to rączo biegła przez komnatę ku matce, wołając:

— Idą, matuniu, idą, idą .., — Stanęła wyprostowana obok matczynego zydla, w pobliżu Halzuchny i błyszczące ciekawością, pełne wesela źrenice utkwiła w rozwartych drzwiach, zkąd męskie głosy się niosły.

Hrehory zaś, gdy tak oczy wszystkich ku sąsiedniej świetlicy obrócone były, do Halzuchny niespodziewanie przystąpił i cichym, ale twardym szeptem w ucho jej rzucił:

— Tak żadną miarą nie może być i ... nie będzie!

A tamci już wiedli się, honory sobie wzajem czyniąc, że to Kuźma Ościk u odrzwi wierzei ustępował miejsca gościowi, imć panu Szandorowi Bekieszy, ów zaś młody madziar, dworne obyczaje znający, cofał się krokiem w tył, gospodarzowi domu onego pierwsze przejście oddając. I tak ceregielowali się obaj we drzwiach sporych chwil parę; aż ogromny, pod powałę wzrostem sięgający Ościk Kuźma ujął pod łokieć królewskiego wysłannika i wwiódł go z paradą do komnaty.

Wślad za tymi dwoma: zciżbiła się już we drzwiach świta węgierska, zmieszana z licznym zastępem domowników.

Szandor Bekiesz, przed niewiastami stanąwszy, miótł jeno czaplemi piórami kołpaka rozesłany na podłodze kobierzec i chylił się w kornym pokłonie przed białogłowami. Nazwisko jego z dumą w głosie wypowiedział Kuźma, boć wszem było wiadome, że brataniec to onego Kacpra Bekiesza, przyjaciela królewskiego, który zastępom węgierskiej piechoty przewodził i już wielu laurami wojennymi czoło sobie zwieńczył. Nie z bylejakiego rodu pochodził ten rycerz, którego Ościk prezentował teraz niewiastom swoim.

Wreszcie, gdy Szandor Bekiesz wyprostował swą piękną postać, Ościkowa wstała z zydla i dłoń, bogato upierścienioną, wojakowi podała, którą on ze czcią zlekka ustami był dotknął; zaś obie panny, w końce paluszków brzeżki jubek pobok ująwszy, podłużnym dygiem powitały rycerza.

Że manier był on górnych, tedy wzrok na one młódki przeniósłszy, — w wyraz nagłego olśnienia lica swe przystroił; choć bez trudu mu to i przyszło, bo odkąd żył, tak cudnej jak Halzuchna dziewki, nie był napotkał.

Aliści ozywała się już do niego Ościkowa w słowa łacińskie, gdyż w on czas Polsce nie zbywało na władających tą mową, iż nawet cudzoziemiec któryś, w Rzeczypospolitej bawiący, ku zdumieniu swemu i woźniców na ulicach spotkał, którzy łaciną ekspedite mówili.[2])

Kolejno teraz podchodziła z ukłonami do niewiast świta węgierska, wszystko rycerze piękni, w narodowe madziarskie przystroje obleczeni bogato; a że kontuszów polskich nie zbrakło, to i zabarwiło się w komnacie, jakby kto ten łan makowy był zeżnął i w nią przerzucił.

---

[2]) Autentyczne. J. I. Kraszewski: Banita.

Po skończonych powitaniach, pani domu powiodła zebranych przez szereg pokoi, aż do wielkiej, siedmiorgiem okien okolonej izby, kędy zastawa do wieczerzy narządzona była. U góry stołu zasiadła sama Ościkowa, po jej prawej ręce rezydentki leciwe, za niemi zaś Halzuchna i Ustinka, które od młodzieży męskiej rozgradzał drugi szereg rezydentek i domownic, jeno mniej doletnich i nie z tak znamienitych rodów się wywodzących.

Po lewicy pani domu, miejsce obok Kuźmy Ościka wskazane miał Szandor Bekiesz, aby gospodarz, czasu wieczerzy, animować go mógł dyskursem. Dalej rycerstwo przybyłe i miejscowe stół szeroki okalało gęsto.

Na skinienie brata, Hrehory też zasiadł nieopodal starszyzny, ale, mrukowaty dzisiaj i sępem patrzący, nikogo rozmową nie bawił.

Stożyły się wszędy na białych obrusach gąsiory, mchem stuletnim obrosłe i te gliniane, w deseń malowane dzbany, z których niosły się miodowe wonie słodkie. Rzędy przysadzistych, srebrnych puharów zdobiły nakrycia, bowiem uczta zapowiadała się wystawna i długa.

Jeno kryształów, bezcennych w on czas wyrobów i tak rzadkich, że mało kto się nimi chwalił, zabroniła dzisiaj stawiać Ościkowa, chowając je na najwyższą paradę, dla króla samego przygotowywaną.

Dymiące misy i półmisy wnosić zaczęła służba, przybrana w płowe barwy Bieleckich, z których domu wywodziła się buławiecka pani; — zaś szereg młodych, urodnych chłopiąt, pod okiem starego kredencerza, szparko wziął się do napełniania kielichów.

O wyprawie połockiej, tylko co zakończonej zwycięstwem, rączo potoczyła się rozmowa, całe rycerstwo gwarny w niej wzięło udział ...

Jakże; Drugi to już był tryumf wojenny Batorego, przeto powaga majestatu królewskiego wyżej się jeszcze podniosła, na niewzruszone jakoby fundamentum wstępując.

Zaraz po uspokojeniu gdańszczan zcichły one głosy, królowi na sprzeciw będące; zaś teraz dokonał król czynu znaczniejszego i na większą wdzięczność poddanych zasłużył.

Przecież zdobycie Płocka było tą tarczą chronną, osłaniającą ziemie Rzeczypospolitej; raczej było czemś więcej nawet, bo odepchnięciem w głąb Rosji zastępów cara Iwana, które targały tu drapieżnie przynależne Polsce dzielnice.

Białoruś i Litwa lat piętnaście krwawiły się w tych zagonach moskiewskich, a dopiero w onym pamiętnym 1579 roku — płacić poczęli napastnicy za poprzednie swe gwałty, rabunki i okrucieństwa.

Poddał się Płock, legły okoliczne fortece, groźny Iwan spokorniał i pokorę oną posłom swoim, do króla Stefana słanym, surowo teraz zalecał.

A zaś strategiczne i polityczne skutki zwycięzkiej kampanii były znaczne i ważne: zabezpieczały bowiem Wilno, księztwa litewskiego stolicę, otwierały polskim hufcom drogę do wnętrza carstwa, obniżały żądania iwanowe, policzkowały obrażający ton, z jakim dotychczas odnosił się car do polskiego króla.

Teraz już od woli Batorego zależało przerzucenie następnej kampanii poza granice Litwy, skierowanie jej ku sercu wielkich ziem moskiewskich.[3])

Że i rozniosły się teraz po obszernej świetlicy buławieckiego dworu, kędy wieczerzę spożywano, pochwalne głosy rycerzy, opowieści i gadki ciekawe, malujące szczegóły bojów natarczywych, ofiarnych i chrobrych, przed paroma tygodniami ledwo ukończonych.

I po polsku i po węgiersku i po łacinie brzmiały te dyskursy, chciwie słuchane, a nie bez dumy głoszone; to też gwar wzmagał się, rósł z każdym momentem, aże od głosów pieniła się izba.

---

[3]) Acta Hist. t. XI wyd. Polkowskiego str. 40, 51, 53.

Tylko Hrehory w rozmowie udziału nie brał, ciężkie ramię sparł na śnieżnym obrusie, wbił chmurne oczy w brzeg stołu i kędyś uciekł myślami.

Za to liczko Ustinki promieniało szczęśliwością; strzygła dziewczyna oczkami ku rycerzom, upatrując najpiękniejszych. Nosek jej zadarty i swawolne wejrzenie wesołością napełniały każdego, co jeno na nią spojrzał; tedy, choć z nikim rozmowy nie wiodła, bo obyczaj młódkom na to nie zezwalał, ale siedziała jakoby w roju strzelistych spojrzeń, słanych jej ustawicznie przez ten krąg rycerzy, gęsto stół obsiadających.

Halzuchna w słuchaniu była pogrążona; z wyrazów, dokoła niej brzmiących, układała sobie obrazy, od których serce jej przyśpieszonem biło tętnem.

Mówił przecie pan Szandor Bekiesz, jako król Stefan, przybywszy do Połocka, jednej chwili nie wydychał po trudach uciążliwej przeprawy, a tylko zaraz, wziąwszy ze sobą Kacpra Bekiesza i Jana Zamoyskiego, oględzin polowych dokonał. A potem, nie zwlekając, nakazał przystąpić nazajutrz do zdobywania mocnej połockiej twierdzy [4]).

Jakoż i strzelanina się zaczęła. Ale wraz z nią lunęły niepohamowane deszcze; słoty uprzykrzone psuły robotę i udaremniały działanie artylerji. Zaś co najgorsze, kulom ognistym, które król Stefan pierwszy w Polsce przy oblężeniach zaczął stosować, deszcze wybuchać nie dawały; to też ześlizgiwały się one tylko ze ścian drewnianych we fosy, zwilgłych baszt nie zapalając. — A tu nieprzyjaciel, za palisadami skryty, sypie gradem pocisków; a tu praży ostro potrójne pierścienie polskich i węgierskich szeregów; — a tu i żywność poczyna nie dochodzić, żeć okolica, słabo zaludniona, przez moskiewskie tratowanie w pustosz zamieniona została oddawna...

---

[4]) T. Korzon. Dzieje wojen i wojskowości w Polsce t. II str. 36.

Lecz nikt na to wszystko nie szemrał; sam król żołnierską strawę z kotła jadł, wygód nijakich w namiocie swym narządzić nie dawał; — to i znosili wszyscy za jego przykładem one trudy i bojowe troski w cichości, owszem, prawie w zapomnieniu o onych. Jeno śmiałość coraz większa a zapamiętanie buchały z rycerskich serc. Królewskiem okiem prowadzony był każdy hufiec do boju, że i mało który żołnierz nie czuł na sobie onych spojrzeń władczych a zagrzewających, iż jakoby na popis do szturmów szli.

Sam miłościwy król niebezpieczeństwa wojenne mało sobie waży, po nasypach, po wałach, nad fosami chodzi, czasu strzelaniny, że i z rusznicy możnaby go dosięgnąć, nic jemu to; a zaś panom litewskim, którzy go ostrzegali, odpowiedział jeno:

„Certe nihil est, domini mei“ [5]).

Z twarzy urodziwego Bekiesza, w którą zasłuchana patrzyła, zesunęła wzrok Halzuchna i w głębokich tajniach duszy utonęła. — Certe nihil est, domini mei, w leciuchnem drżeniu przywtórzyły dumaniom drobne usta dziewczyny.

Podnieconą wyobraźnią patrzyła bowiem w tej chwili na postać królewską, oczom jej dotąd nie znaną. Mocarzem jej się był wydał i czemś więcej nawet, bo olbrzymią pochodnią, rozpraszającą mroki.

Odkąd z mazowieckich równin przybyła tutaj, wstecz, za sobą pozostawiwszy on dworny obyczaj szlacheckiej Polski, równający się pańskością z wysokim polorem krajów zachodnich; rozstawszy się z tymi, którzy mówili jej o widzianej przez się Italji, Francji i Niemczech, którzy w Bononii, Pawii, Paryżu i Wirtemberdze wiedzę czerpali i łączyli tem Polskę w jeden świetlany krąg z ówczesnemi państwami, przodującemi nauką i kul-

---

[5]) Co znaczy: „Nic to wszystko, mości panowie!“. Dzieje wojen T. Korzon t. II. str. 46.

turą; — odkąd w knieje litewskie zjechała, aż prawie pod samą ścianę iwanowego carstwa sięgające: zdało się jej, że w mrok jakiś zapadła.

Chmurą posępną niosło się ku niej wszystko od tego straszliwego kresu, za którym jakoby światło wszelkie zagasło, że jeno ślepa ciemność rządziła w tem władztwie, i tylko krwawy okrucieństwem i męką krzyk tam rozebrzmiewał.

O czemby nie opowiadano, co się za tym nieszczęsnym kresem działo, — wszystko zbrodnicze było, dzikie i skażone durem; wszystko nie ludzkie, a raczej zwierzęce; iż prawie wierzyła Bielecka, jako z tego carstwa, Buławom pobliskiego, potępieńcze głosy na świat wyją, a ziemie Rzeczypospolitej granicza tu z samą bramą piekła.

I gorzej jeszcze: bo widziało się Halzuchnie, która tu jasnym kwiatem z niw mazurskich spadła, że ciemność ona mija ścianę graniczną i płynie tumanem zarazy aż na ziemie kresowe, ciężko się po nich niesie, niby ta czadź czarna, ze zgorzelisk lecąca, osiada na litewskim kraju, mroczy mu słoneczną światłość, wnika ze tchem w ludzkie piersi i po duszach się rozpościera ...

Przeć posępni tu są wszyscy, lub zrywający się, jak burza; żywioł w nich nie pętany ani wolą, ani obyczajem; że i bała się Halzuchna tu każdego.

Postaciował jej ów żywioł niehamowany i tę posępność mroczną; Hrehory Ościk.

Gdy raz pierwszy z okna swej komnatki, ujrzała go, zajeżdżającego pod ganek buławiecki, sądziła, iż to prosty rosyjski mużyk ze sprawą do wuja Kuźmy podązał.

Aleć zdziwienie ją zdjęło, gdy ów, nie wysiadłszy jeszcze z wózka, począł nagle w porywie gniewu tłuc pięścią wyrostka, na koziołku przed nim siedzącego; — że w myślach patrzącej na to mazurki zbudziło się lękliwe przypuszczenie, jako obłąkany ktoś w obejście dworu się dostał.

To też i uszom własnym prawie zawierzyć nie chciała, gdy ciotka Salomea, w godzinę może później w jadalnej komnacie przyprowadziła do niej onego przybysza, a imię jego, nazwisko wymówiwszy, objaśniła, że mężowskim jest jej bratem ...

Jeszcze dnia tego, na spoczynek się udając, od Ustinki posłyszała Bielecka, jako wuj Hrehory między najgroźniejszymi tutaj prym trzyma: lud poddany w żelaznem dzierży objęciu, w Kowarsku, bogatej swej włości, w loszku pode dworem dziesiątkami ma więźniów; wielu tam z jego rozkazu albo i własną ręką Hrehorego, zamordowanych zostało ...

To Halka, słysząc takie powieści, aż obie dłonie do głowy w przerażeniu podniosła i dygotała z odrazy, z lęku.

Zpoczątku rzadko przyjeżdżał Hrehory do Buław; potem jednak wzmogły się te odwiedziny, — podczas których, jeśli i Halzuchna z innymi w komnacie siedziała, posępne oczy Ościkowe z oblicza jej się nie spuszczały. Gdy zaś spojrzenie Haliny niespodzianie spotkało się z onemi źrenicami, twarz Ościka miękła, łagodniała i korniała ...

Jednak nie wiedziała zrazu dziewczyna, czemu to wszystko się dzieje.

Dopiero one gorące, choć krótkie, dłoni jej uściśnienia, ten pół-przytomny wyraz oblicza Hrehorego, gdy znagła stawała przed nim, ów głos męski, tłumiący się przy lada słowie z Bielecką zamienianem: skierowały niewieścią jej domyślność ku źródłu onych objawów.

Aże wzdrygnęła się wtedy i zatrzęsła w sobie, aż wszystko zerwało się w niej do odlotu, by choć przez pustosz litewskich kniei, przez gąszcza borów, stopą niczyją nie tkniętych, uciekać ztąd na mazurskie równie, na ten zagon własny, sierocy, oddalony.

Wprawdzie ciotka Salomea, jedyna jej po stracie rodziców istota bliska, miłowała bratanicę, opieką i tą

dumą rodową otaczała ją troskliwie; a Justynce swej ostro do głowiny kładła, iżby wenerowała Halzuchnę, której herbowe klejnoty tak przodują ościkowemu szlachectwu, jako orłowie czaplom; — co i nie przeszkadzało obu siostrom ciotecznym przyjaźnią zewrzeć się ze sobą szczerą.

Jednak Bielecka, lubo pełna wdzięczności za okazywaną jej dobroć, nie spowiadała się nikomu z tych udręk a rzewliwych tęsknot, duszę jej coraz częściej nawiedzających. Nie spominała, iż odkąd tu przybyła, legła, zda się, na jej ramionach ciężarem duszącym cała ona dal niezmierzona, grodząca ją od rodzicielskiego domu, pozostawionego na Mazurach. Ani też słowem nie jawiła, jak przeraża ją, paniczny strach w niej budzi bliskość moskiewskiego władztwa ...

Tedy smutniała Halzuchna i gasła w Buławach, czuła się jako ta płonka od rodzimej gałęzi rzucona daleko i w ciemnościach pustkowia schnąca ...

Nagle, z rozchwianą, światłem, gorejącą pochodnią, na boje z oną straszliwą ciemnością zleciał tu rycerz ponad rycerze ... Od czasu Chrobrego Rzeczpospolita takiego nie miała ... Rdzewiejący już miecz polski z pochwy wyszarpnął i uniósł go przeciw krwawemu carowi, który barbarję nad światem utrzymać, gorzej, bo szerzyć usiłował ...

To też dokąd słuchy doszły o pana stefanowych zamierzeniach wojennych, zaczęło się wydawać Halce, że ów miecz królewski, ku groźnemu sąsiadowi Polski obrócony — i nad jej własną głową chronne skrzydło rozepnie ...

Więc jako-że teraz, czasu wieczerzy, pośród rycerstwa za stołem siedząca, nie miała dziewczyna chłonąć rozpowiadań pana bekieszowych, i podnieconej wyobraźni barwami krasić wizerunku króla ...

Toć mówiono przecie, jak to po zdobyciu Połocka, wojewoda Piotr Wołyńskij, jego „strzelcowie i dzieci bo-

jarskie", zgłosili się do układów;[6]) jak przed majestatem królewskim padło to wszystko na kolana, ramiona błagalne wyciągając, by Batory w głąb Rosji się nie darł.

Płomienie miała Halzuchna na licach, duma rozsadzała jej piersi, coś w niej chciało wołać i ono zwycięstwo nad carem światu całemu wieścić.

Wtedy, nagle, w upojeniu niosące się bezwiednie oczy dziewczyny, dotknęły spojrzeniem twarzy Hrehorego.

Mroczna była i skurczona męką, znój leżał mu na czole, wejrzenie zdało się raną otwartą. Patrzył na nią i jakby skamieniał w onem zapatrzeniu; dopiero pod wzrokiem jej — niema przed chwilą, jakby przywalona brzemieniem, pierś mężczyzny — zaczęła się poruszać. Rękę uniósł Ościk machinalnie i po twarzy swej nią powiódł, jako ten, co się przebudza.

Ale Halzuchna ciekawym wzrokiem pomknęła już ku marsowemu obliczu Krzysztofa Rozrażewskiego, który rocie najętych Niemców przewodził był czasu tej wyprawy a teraz w dyskursie z Szandorem Bekieszem ozywał się właśnie, iż Król miłościwy długo zwlekać nie będzie z ponowną kampanją, i byle sejm, który na dzień 23 listopada naznaczony został w Warszawie, zasilił potrzebnym sumptem wojenne fundusze, to i z zaraniem wiosny ruszy król znowu na Moskwę. Bo, jako świadomi jego zamysłów bąkają, złamać i Polsce pod nogi rzucić to carstwo ciemnoty, zbrodni i duru Batory zamierza.

— Byleć jeno nie poskąpiła szlachta dukatów, i swoje skrzynie, srebra i złota pełne, szparko uchylić zechciała; — ale, widzi mnie się, że łacno to się nie stanie ... — gderliwy głos jakiś odezwał się z końca stołu. Jeno że zginął raptem w szuraniu zydlów, gdyż Ościkowa znak właśnie była dała, iż czas od wieczerzy wstawać.

---

[6]) Dzieje wojen w Polsce t. II str. 39. T. Korzon.

Runęło tedy hurmem rycerstwo do jejmości Salomei i kornem ust dotknięciem jej ręki, dwornie dziękowało za sutą gościnę.

Tam zaś, w wielkiej, jak stodoła świetlicy, okolonej u pułapu rzędem płomyków, z glinianych kaganków buchających, i niżej, takim-że samym szeregiem krwawo-płomienistym jarzących się na kominkach, odrzwiach i ramach okiennych, rznęła już kapela dziarsko, a piszczki[7]), dmąc z całej siły w piszczałki i fleciki, do weselenia się całą kompanję niewolili.

Przecie, że nie kto inny, a Ustinka pierwsza skoczyła do tańca z jakimś chwackim rotmistrzem; to i porwali się w mig za nimi młodzi tanecznicy. Na rycerstwie, ni na urodziwych rezydentkach podczas w Buławach nie zbywało: aż i cała izba zaszumiała od pląsań; migotliwe płomyki kaganków rozjarzały się raz wraz od wiatrów, zaś woskowane deszczułki podłogi, misternie w „jodełkę“ ułożone, trzeszczały od przytupywań i hołupców.

Ku Halce z dwornym pokłonem pan Szandor Bekiesz był podszedł, ale zanim do pląsów z nią się wypowiedział, rzekł kwieciście i górnie, iż szczęśniejszej chwili nie przeżywał, nad godzin kilka temu, gdy ujrzał ją w saneczkach, po bieli śniegu, niby na skrzydłach łabędzich, niesioną.

Łacińską mową wypowiedziane były one komplimenty dworne; zaś Halzuchna, ku wielkiemu zdumieniu pana Szandora, ozwała się na to po madziarsku, mówiąc, iż cały dwór Buławiecki czekał z upragnieniem przybycia królewskich wysłanników.

Że, gdy umilkła, pofolgował pan Bekiesz swemu zdumieniu, słowami je wyjawiając. Wtedy posłyszał od niej, jako już od lat trzech, od czasu koronacji Stefana Batorego, w mowie jego ojczystej ćwiczy się i wprawia;

---

[7]) Grający w kapeli wojskowej na piszczałkach czyli t. zw. szałamajach.

bo, skoro miłościwy pan trudy swoje, dzielność, myśl wytężoną, więcej jeszcze, bo życie Polsce oddaje, to ... znać ona chciała ono narzecze, którem królewskie dumania się snują ...

Aliści ten dyskurs, obie strony wielce zajmujący, przerwał nagle Istwan Bakoni, porucznik jednej z rot węgierskich[8]) młodzian urodziwy, który stanął przed Halzuchną, skłonił się i o taniec dziewczynę poprosił.

Nie odmówiła, owszem, poszła, rękę w dłoń jego wkładając, on zaś tanecznicę krzepko ramieniem otoczył i wionął z nią na środek izby. Tu jęli kołować zawrotnie, a z takim wdziękiem, iż oczy obecnych za nimi się niosły.

Schmurniał pan Bekiesz, boć on właśnie pląsnąć z oną najpiękniejszą tu z dziewic zamierzał, a Istwan plany mu pokrzyżował. Tedy, że, kapitanem rotowym będąc, górował nad Bakonim szarżą, skoro tylko tenże poprowadził Halkę do zydla, w podle drzwi jadalnej stojącego, Bekiesz skinieniem przyzwał rycerzyka do siebie i rozkaz mu wydał, by osobiście dopilnował nocnego przeglądu zaciągów wojennych, które raz wraz do Buław z Połocka przybywały.

Aleć i tym razem kapitan Bekiesz do Halzuchny podejść nie zdążył, bowiem wstała z zydla i w pobliskich drzwiach zniknęła nagle.

Dla takiej zaś przyczyny opuściła izbę, że ów łańcuch, ze starego srebra kuty, kibić jej okalający, widocznie, podczas tańca z Istwanem szarpnięty przez kogoś, rozerwał się i paru medaljonami na łańcuszkach tylko wisiał.

---

[8]) Węgierskie wojsko Batorego zaliczane było do rot setkami. Każda rota miała 1 porucznika, 1 podporucznika, 1 dobosza, 1 piszczka. Nad 20 rotami stał tak zwany: peditum praefectus, albo capitaneus, on zaś podwładny był generałowi, którym wtedy był Gabryel Bekiesz, brat słynnego Kacpra Bekiesza. Dzieje wojen. T. Korzon 1. II.

Minąwszy więc jadalnię, gdzie za stołem starszyzna wojskowa przy kielichach dyskurs wiodła, wbiegła Halka do sieni, ku bokówce Marfy dążąc.

Marfę jednak tutaj napotkała, która wzięła się zaraz do spajania ogniwek łańcucha. Wpodle drzwi czeladniej stanęły, że światła tam było więcej, bo kaganki, łuczywa i ogień suty na kominku płonęły.

Czeladzi przybyłej i miejscowej sporo tu się znajdowało, w tej służbowej izbie, ci, gwarzyli podczas, a przeważnie nasłuchiwali ciekawie starego żołnierza Piotra Ziołki z Mazur, który powiadał:

— „Roty dniem, poprzedzającym szturm do połockiej twierdzy, stanęły w szyku z rozwiniętymi sztandarami i proporcami, a potem sunęły przed królem ze strzelaniem z arkabuzów, muszkietów i półhaków“ [9]) — Jeno, że pociechy nijakiej z onych szyków nie było nazajutrz, dla przyczyny ulewy rzęsistej, która zepsowała nam robotę oblężniczą.

Halzuchna, czekająca na naprawę zerwanego łańcucha, z którym stara Marfa nie rączo się porała dla słabości wzroku, krokiem ku drzwiom czeladnej przystąpiwszy, jęła słuchać opowieści wojennych.

A Ziołka powiadał, jak to król zachęcał żołnierzy nagrodami do podpalenia horodni, które wysoką drewnianą ścianą osłaniały skutecznie obleganych. Tedy z zapalonem łuczywem pięli się, co śmielsi drabowie na oną, stromą górę, ogień pod ściany chcąc podłożyć ...

Wtym momencie usłyszała Halzuchna głos Marty, wieszczący, iż łańcuszki już pospajane; przeto podziękowawszy ochmistrzyni, przysiadła Bielecka na zydlu, u drzwi stojącym i, głowę sparłszy o futrynę, nasłuchiwała dalej. Gdy zaś umilkł Ziołka, zapytała:

---

[9]) Z rachunku wypłacanego żołdu, spisanego przez K. Górskiego, złożonego podskarbiemu koronnemu. T. Korzon. Dzieje wojen t. II. str. 35.

A ... król miłościwy, powiadacie, na niebezpieczeństwo osoby swej nie baczy ...?

— Ni razum nie postrzegał — odpowiedział żołnierz — by choć temi oczami zamrugał, kiedy mu kule tuż nad głową świszczą; nie dba na one ...

Ustinka pędem przemknęła w tej chwili podle drzwi czeladniej, lecąc gdzieś przez wielkie sienie, ale zoczywszy Halzuchnę, nawróciła z impetem i jęła naglić siostrę:

— Chodź! chodź! tańcujemy wszyscy na umor!

— Nie, ostanę tu, wolę ... — odpowiedziała Bielecka, Ustinka przeto powiała w swoją stronę, aż trzepotała się jej modra sukienka, kwiatuszkami obdziergana.

— Rzeknijcie mi ... — do żołnierza zwracając się, spytała Halzuchna — w Krakowie, na zamku, czasu przerw bojowych, jako-że tam miłościwy pan nasz żywie? w blasku pewno, a wielkich festynach ...

— Nie — zaprzeczył stary — na Wawelu, czy w Grodnie jest jak w klasztorze abo i w obozie. Trzy roki temu nazad rozporządzenie takie król wydał, które marszałek, powiadał wszystkim dworzanom i służbie, iż wolą miłościwego pana jest, by dwór królewski zawżdy był wzorem i zwierciadłem obyczajności, dobrych spraw i poczciwego życia w Polsce; boć stąd każdy przykład zwykł brać przystojności swojej ...[10])

Usta otwarła dziewczyna, jakby do mówienia, w błyszczących jej oczach dumanie się snuło, lecz po chwili dopiero spytała:

— A ... miłościwa pani ... że to tak wielkiego wojownika i mądrego władcę ma w małżonku ...

— Leciwa ... — przerwał Ziołek z jakimś echem jej nie zrozumiałem, jeno, że wyczuła w niem coś gaszącego.

Tedy wzrok utkwiwszy w węgle kominka, smutno powtórzyła:

— Leciwa ... — I westchnęła, nie wiedząc czemu.

---

[10]) Źródło dziejowe. Adolf Pawiński t. IV. str. 53-57.

Wpadła właśnie we drzwi rozkrzyczana Ustinka:

— Ady chodź-że, Halzuchno! Czardasza będzie tańcował Bekiesz!

Poszła rączo z siostrą do tanecznej świetlicy, ciekawością zdjęta.

Już w jadalnej posłyszały one rzewliwe zaczęcie czardasza, które fleciki przędły, że słyszało się, by ten plusk wody daleki ...

A on sobie poczynał, na środku izby stojąc, gdzie przestrzeni wolnej miał sporo, boć wszyscy pod ściany teraz ustąpili.

Aksamitny żupan malinowy, pętlami czarnemi zczepiony, rozpiął na białej jedwabnej jace, by mu swobody ruchów nie psował i powolnem, jakby w myśleniu zgarniętem stąpaniem, piękne pozy przybierał.

Aliści smętna, na tęsknicy dumań niesiona początkowa pieśń narodowego tańca madziarów, porwała się znagła, by wicher, zaszumiała, wołaniem gromkiem zaniosła się gorąca, niby ten ognisty dech, płomieńmi zawrzała — i wszystkie siły, wszystką żądzę życia powskrzeszała pieśnią. — Miłość w niej była i zwycięstwo i krzyk szalonych uniesień ...

Bekiesz, na tyle kędzierzawej głowy dłoń położywszy, drugą, wyciągniętą mając przed sobą, w tył przechylony, zda się, na ostrogach tylko wsparty, wirował bezpamiętnie ... Ale wnet naprzód się rzucił, niby kogoś w ramiona porwać!

Lecz właśnie wtedy tańczyć zaprzestał i choć kapela coraz ostrzej grała, bębennicy walili pałkami w rozpięte błony bębnów, a piszczki zawodzili flecikowymi tony, on taniec przerwał i do siedzącej w pobliżu Ościkowej poszedł, tłumacząc się wielce strapiony, iż bez tancerki, zawrotnej onej pieśni odtańczyć nie może.

A właśnie Halka stała obok ciotki, przeto Ościkowa rzekła:

— Probuj, waść, z Halzuchną, zmyślna jest do pląsów, przyuczcie ją trochę, a zdoli ...

Z uciechą podeszła dziewczyna, Bekiesz aż spromieniał cały i wnet objaśnienia jej począł czynić, tłumaczył, gracji pełne pozy przybierając. Przecie, że łatwo zrozumiała, jakimi to ruchy w tańcu odpowiadać ma na jego pląsy.

Tedy od początku zaczęli.

Nic tam jeszcze było w onej tęskliwej przedśpiewce, ale kiedy wionął namiętny dech czardasza, kiedy się porwał, zawrzał ogniem, — to było na co patrzeć ...

Z półuśmiechem wabiącym na licach, ze spojrzeniem w oczach Bekiesza, sunęła Halka jako po leciuchnej fali przed węgrem, — niechwytna i umkliwa, już, już w jego ramionach, z twarzą prawie u twarzy, — a oto znowu daleka, siłą nagłą odeń pchnięta ... Że, w szalejącym wirze, z ostróg brzęczeniem, jakoby z krzykiem namiętnych pląsań rwał się ku niej, do nóg dziewczęcych przypadał, rozkładał ręce, jak przed objawieniem, wpatrzony w tancerki lica.

Przecie, że go pociągała spojrzeniem miłosnem, a tęsknem, chybka jednak i nieuchwytna, ku źrenicom jego śląca uśmiech słodyczy i kwietnej woni pełen ...

Nie, Ościk już dłużej poglądać na to nie mógł! we drzwi się rzucił, u których, czasu tańca, stał wsparty, — minął wichrowatym swym chodem jadalnię, wpadł w sienie i już był na dziedzińcu.

Skrzyknął pachoła, aż pozrywały się zestrachane konie, grzmotnął po łbie chłopaka, który na jego wezwanie przyleciał, i nakazał duchem zajeżdżać.

Minuta nie przeszła, a już walili obaj do hrehorowego Kowarska, w cienie jesiennej nocy się zagłębiwszy.

Aż ręce Ościka świerzbiły, że parękroć wyciągał je już ku tołubowi pachoła, na koziołku wózka siedzącego, bo trzeba mu było coś drzeć, burzę w nim szalejącą wyrzucać ze siebie choćby śmiertelnymi ciosy ...

Stała mu przecie na oczach ciągle widna; miłowana, nie jego, — daleka, a w żywem sercu noszona ...

W dłoniach chciało mu się skryć oblicze i płakać gorącemi łzami ...

Bekiesz w nią się wpatruje, by w ten obraz, czytał przecie w jego młodzieńczem wejrzeniu; i zachwyt tam był i żądza, uwielbienie korne i razem zuchwała pewność zwycięstwa nad nią. W źrenice same mu poglądała, w piękne, uroczne oczy rycerza, i rozkwitała od tego spojrzenia jej twarz szczęsnym uśmiechem, niecąc w nim skryte płomienie.

Ma to przecie Hrehory wszystko, jak przyrośnięte do powiek ...

Ani wiedział, kiedy przed dwór swój zajechali.

Sługa Ościka, Mirowski[11]) wypadł na przybycie pana i głownią płonącą spłoszył przed Hrehorym mrok nocy, a nie wcześniej oną smolną szczapę, dymnym ogniem cuchnącą, w śnieg cisnął, aż pan w wierzeje dworu swego wstąpił.

W sieniach zrzucił Ościk wilczurę z siebie i zawołał po Mirowskiego, by z surowcem w to mgnienie do niego przyszedł.

Zdziwił się sługa, kogo to chłostać pan każe, — ale, wedle rozkazu, z oną u drzewca rózgą rzemion cienkich, w pętlice powiązanych, wnet się stawił.

Kaganek tam jeno płonął chybotliwie w sypialnej izbie Ościka, który, wchodzącego ujrzawszy, kubrak ze siebie zdjął, i koszulę też zerwał, że jeno w hajdawarach, w buty wysokie wpuszczonych, został.

Przed zydlem drewnianym szeroko Hrehory stanął, dłcnie na onym oparł, głowę wchylił między barczyste ramiona i cisnął przez zęby:

— Smagaj!

---

[11]) Postać historyczna.

Nie żałował Mirowski razów, wedle pańskiego rozkazania chłostał rozrośnięte, trochę pałąkowate plecy Ościka, aż jęły pod uderzeniami barwić się na różowo; już tu i tam, gęsto nawet z przepękłej skóry kropliła się posoka, żeć ramię smagającego mdlało.

— Dość ... — ozwał się Ościk.

Sprostował zbite plecy, przyjęknął nawet, że to ból go był zaszarpał, i wtedy, jakoby probierczem wejrzeniem poniósł się do buławieckiej świetlicy ...

Nie, jeszcze nic nie ulżyło; targa się ano w nim śmiertelna męka, — każda kropla krwi ją kocha, każda łomocze mu w żyłach, jak burza ... Ramiona się prężą, by ją pochwycić i na śmierć zdusić w uścisku, by słyszeć jej krzyk w tym momencie szczęścia ...

Lecz oto ujrzał ją tuż tuż u piersi Bekiesza, że krwawe ostrze przedarło mu się skroś serca, aż się zatargał pod niem, jak pies na obroży.

Więc pochylił plecy, kudłatą głowę wcisnął między ramiona i przez zwarte zęby jęknął:

— Smagaj!

II.

A najsamprzód szli „weterani“ gwardji królewskiej oni zwycięzcy gdańszczan pod Tczewem, których wiódł teraz Jan Zborowski, kasztelan gnieźnieński.

Nie zatrzymując się w Buławach, mijali włość, a jeno dowodzący nimi kasztelan do dworu zajechał.

Nie strojne były one ciągi weteranów; — i pocóż im przystrój? Chwała bojów zwycięskich, niosący się niewidzialnie nad tym hufcem wawrzyn niewiędnący, starczyły im za świetne moderunki następujących za nimi wojsk.

Długim szeregiem wracała batorowa armia z Połocka, gdzie król jeno hetmana Mieleckiego zostawił, by na pograniczach czuwał i pozostałe działania wojenne przed zimą tam ukończył.

Za „starą gwardyą“ to żałobnicy kanclerza Jana Zamoyskiego jechali na czarnych koniach, sami też w czerń odziani, że-ć to jawili tem wdowieński stan swego pana, bolejącego po niedawnej śmierci małżonki swej, Krystyny Radziwiłłówny.

Za nimi zaś z fantazją wielką rwało dziewięćset jazdy Jana Chodkiewicza; konie aż buchały parą bo wilczemi lub lamparciemi skórami dla parady przysłonione były, — niektóre, to nawet dla większej pyszności, na łbach w orle lubo sępie skrzydła pozwieńczano pięknie; w okazałości bowiem silnie rozmiłowan był ów dziarski hufiec szlachecki.

Jeźdźcy mieli łosiowe skóry pod opończami i naszyjniki z blaszanem pokryciem, nie dającem się przebić ani przekłóć; u hełmów ich kolebały się pęki kit czaplich i żórawianych.

Szumnie się nieśli, bo i furkot różnobarwnych chorągiewek, osadzonych na drzewcach, powiewał nad nimi, by te ptakowe skrzydła, a konie piękne, ogniste, w szyjach giętkie, lekkim półgalopem defilowały przed dworem.

I tak walili jedni za drugimi, jak fale następujące po sobie ... Do się szli, w rodzinne strony dążąc: ci ku Wilnu, ci do Grodna, byli i z dalekich Mazurów, od samej Warszawy, i z Małopolski rodem i z Wielkopolskich równi.

Do domu wracali, laurem szczęśliwych bojów zwieńczeni, to i śpieszno im było; — niedziw.

A one obie, dzieweczki buławieckie z wysokiego okienka swej panieńskiej bokówki przyglądały się rycerstwu, niecierpliwie wyczekując, kiedy król miłościwy zjedzie.

Snać wolno sunął, że to nakazał w jednym orszaku dążyć z wiezionym na saniach Kacprem Bekieszem, który w Połocku zachorzał był tak ciężko, iże sam król zatrwożył się o onego. Jeno żywił nadzieję, iż medykowie w Grodnie zdołają chorego przyjaciela królewskiego lekami pokrzepić.

Zmierzchać poczęło, ostatnie roty węgierskie i lekka jazda kozacka minęły Buławy, i już tylko te wozy, ładowne skrzyniami i rynsztunkiem, dudniły ciężko, a orszak królewski nie nadjeżdżał.

Kazał Kuźma Ościk beczki smolne przede dwór powytaczać i rozpłomienić, że wnet łysnęły pożogą i krwawo świetlały, aż hen, blaskiem miotającym się, bo wiaterek roztrzepotał się i w płomienie uderzał.

A zaś w przerwach, między onemi beczkami po trzech pachołów stanęło, z gorejącemi pochodniami w

garściach, że jasność uczyniła się na dziedzińcu przede dworem, jakoby z tych blasków dnia.

Zmiękło i zelżało, obłocił się śnieg, lecz droga dla płóz była dobra; to i wyczekiwano już lada mgnienie podjezdków, wieszczących zbliżanie się królewskiego orszaku.

Jakoż i wpadł pierwszy na spienionym biegunie, zdarł konia przed gankiem, na który Ościk wyleciał, i jął krzyczeć, że król jegomość już o parę stajani.

Przecie, że zawrzało na dziedzińcu, rozstawili się rycerze, z Szandorem Bekieszem i Istwanem Bakonim w przedzie, a zaś na ganku, u samego wstępu, oboje Ościkowie, srebrną tacę z chlebem i solą dzierżąc, oczekiwali na witanie majestatu.

Z mroków zupełnej już nocy łonić się poczęły rozwaliny szerokie, kobiercem obrzucone, ciągnione stępa przez gniade bachmaty, pajuków czterech po bokach sani na koniach wolno jechało.

— Król, król ... — gorączkowym szeptem rzuciła Ustinka.

To Halka jeno oczy rozgorzałe posłała w ciemność ...

Pod trzepotem smolnych pochodni, jakby w tym pożarnym wichrze, ujrzała dziewczyna futrzaną burkę królewską, chwiejąca się na barczystych ramionach, niską czarną czapkę, prosto ściętą z półkitką sokolą.

On zaś sprężystym, żywym krokiem wstąpił na ganek, od schylonych kornie Ościków dar witalny odebrał i Bekieszowi do trzymania go zdał. Lecz prowadzony przez chylących się wciąż przed majestatem gospodarzy domu onego, obrócił znagła głowę i chwilę poglądał ku zbliżającym się powoli saniom, na których z ostrożnością wieziono starego, chorzejącego Bekiesza.

Zatoczono z nim właśnie pod lewe skrzydło dworu, gdzie pomieszczenie choremu przyrządzić kazała Ościkowa. Stał Batory i patrzył, jak nosze podjęli żołnierze z sań i we drzwi wnieśli chorego.

Wtedy król wstąpił w oświetlone sienie domu.

I wnet cichość ogarnęła Buławy: ni bieganiny po korytarzach żadnej, ni tych głosów gromkich, zmieszanych; spokój jakiś majestatyczny, czy powaga uroczysta zawładnęły dworem.

Tylko tam, wysoko, u słupkowej poręczy wschodów, do izb piętrowych wiodących, stały Ustinka z Halzuchną, zazierając w dół ciekawie. A zejść im nie było wolno.

Surowo Ościkowa zleciła obu, żeby nie poważyły się na dół zstępować. O Halkę spokojna była wprawdzie jejmość Salomea, ale swej wichrowatej Ustince zgoła nie dowierzała, że nawet Marfie nakazała młodszej panienki krokiem tego wieczoru nie odstępować.

Wiedzieli przecie wszyscy, iż ciszę, spokój i niesklóconą powagę król lubi; uciech żadnych, splendor go nie olśniewa: trudom rządzenia oddany, w łowach tylko szuka chwilowej rozrywki i tych myśli odpocznienia. Majestat go otacza, waga królewskości, on nimb władzy, odpowiedzialnością ciężkiej.

Snać one to: poczucie wielkich powinności, którym zdał całe swe obecne życie, na męską młodość Batorego spuściły jakby cień osędzielizny wieku dojrzałego.

I dla tego to właśnie Ościkowie wczorajszego dnia festyn uciechy, tańców zgotowali przybyłemu rycerstwu, bo jeno pod niebytność króla folgować było można młodości. Z bojów szli ci żołnierze, śmierci wydarci, a powróceni życiu, to się i radowali tem wszyscy.

Dziś nie ...

Jeno starszyzna, co najznamienitsza królewski stół osiadała.

Był Stanisław Sokołowski, słynny teolog i kaznodzieja Stefana Batorego, który towarzyszył orszakowi i czasu bojów połockich ni boku królewskiego nie odstępował, ani był przerwał pisania swej „Cenzury“, którą opracowywał, patrząc na one zmaganie się oręża polskiego z barbarzyństwem wschodniego carstwa.

I Heidenstein świecił za stołem dworną postacią, on cudzoziemiec, dziejopis, kreślący z uwielbieniem życiorys batorowy. Był Joachim Bielski, głoszący cześć swą dla króla rymami łacińskimi, a teraz pod murami Połocka walczący ze lwią odwagą i męstwem.

Lecz najbardziej krasił nieliczny zastęp biesiadników postawą wspaniałą i rzeżbionem zgoła obliczem kanclerz Jan Zamoyski, którego rady poczynał król cenić coraz więcej, że je z bekieszowemi nawet równał.

Młody husarz, Stanisław Zółkiewski, ów późniejszy, chwałą okryty, hetman nasz wielki, choć w poczcie kanclerskim władztwo już nie pośledne trzymał, tu jednak, dla wieku młodzieńczego do królewskiej biesady dopuszczony nie był.

Za to wieńczyli stół tacy zasłużeni, jak Tęczyński Andrzej, wojewoda bełzki, któremu na sejmie uprzedniego bezkrólewia koronę podano; jeno że jej nie przyjął, tłumacząc, iż sposobu mu brak, do opanowania wichrzącej Rzecząpospolitą niezgody, którejby „sam Salomon nie poradził“. Tak to powiadał, i on słowa wojewodzińskie długo z ust do ust podawano sobie, że to prawdę czystą wieściły.

I innych jeszcze znakomitych mężów z kilkunastu tam królowi wieczerzać towarzyszyło, bo i Mikołaj Radziwiłł Rudy, hetman litewski, i Wejher stary, co najętym niemcom przewodził i Łapczyński Walenty, żołnierz najmężniejszy, a razem ulubiony i zasłużony drukarz królewski.

Wielu ich tam nie było, a tylko, że co najprzedniejsi ...

Kuźma Ościk za krzesłem króla stał, baczący na wszystko i gotowy do posługi, a zaś Ościkowa, to sama, misy dymiące od służby odebrawszy, kornie schylona, królowi podawała.

Dalej już tam pacholikowie, znający się na rzeczy, gościom potrawy obnosili; ale królowi, — gospodarstwo własnemi usługiwali rękoma.

Przecie, że się akuratnie rozpytały o to wszystko obie panny, gdy im nareszcie po skończonej wieczerzy przywołała Marfa starego kredencarza, Łukę, który baczenie miał nad pacholikami, usługującymi stołowi pańskiemu.

Mówił o wszystkiem, jakże, odpowiadał ciekawym dziewkom na zapytania, któremi go obrzucały; a tak jasno w jego słowach odbijał się cały on krótkotrwały królewski festyn, że łacno odmalowały go sobie młodą wyobraźnią.

Owszem, mówił Łuka, co jeno zauważył.

Tylko Halzuchny nie zadowolił, bo gdy chciała dopytać, jak to król miłościwy wygląda, to rzekł stary, że „taki, jak wszyscy“.

Lecz po tych słowach zastanowił się Łuka i dodał:

— Jeno, jakby większy od wszystkich, choć tam wzrostem nad poniektórym i nie góruje.

Tyle ledwo rzekł o Batorym.

Starczyło to Halzuchnie na dzisiaj, bo jutro już własnemi oczyma ujrzeć go miała; tak byli postanowili Ościkowie, że po powrocie z łowów, na które król zamierza nazajutrz rankiem ruszyć, obie panny pokłon majestatowi złożą.

Z tą tedy myślą oddaliła się Halka z krużganka schodów, zostawiając na nim Ustinkę jedną, która pilnie nazierała w sienie, że to niekiedy Istwan Bakoni tamtędy umyślnie przechodził, łypiąc oczyma ku pannom.

Halka zaś wróciła do bokówki i usypiała, głowę w poduszki wtuliwszy, śród błogich rojeń o dniu nadchodzącym. A zasypiała pełna jakiegoś dziwnego uspokojenia: spełz jej lęk przed barbarzyńskiem carstwem moskiewskiem, boć poraził je król Stefan, zcichły, trwogę

budzące słowa Hrehorego Ościka, do uszu jej wczoraj rzucone, jako z rekuzy, którą mu dała nic być nie może i „nie będzie“.

W tej chwili niczego się Halka nie bała, cicha i ufna, pod skrzydłem królewskiem się czując.

Wrócili z łowów już pod zmierzch, ale że dzień trwał cudny, zjarzony słońcem, a ku wieczorowi łunami jego przepalony, to i świetlało jeszcze zupełnie, gdy Kuźma Ościk wprowadził przed majestat obie swe dziewczyny.

Nauczone były, że jeno paru krokami do siedzącego króla podszedłszy, w odległości pół izby pokłon mu głęboki złożą, a zaś gdyby rękę ku nim wysunął, kornie ustami dotknąć jej powinny.

Obie były w jednakich białych szatkach, perłami od główr do ramion onizane, które to drobniuchne sznurki płynęły im po wijących się włosach i srebrnemi pętlikami na szyjach obnażonych się kończyły.

Weszły, wiedzione przez Ościkową. Te serca to im tak łomotały, aż drżały na dziewiczych piersiach misterne bufki, z materyi pomarszczonej uczynione.

Gdy stanęły w komnacie, z wielkiego wzruszenia mrok zćmił im źrenice, jeno, że pierzchnął w ten moment . . .

Skłoniły się podłużnym, ku ziemi chylącym się ruchem, a potem młode głowy uniosły.

Spojrzała Bielecka.

Siedział Batory podle stołu na rozłożystym karle; ciemno był odzian: obcisłe hajdawery ginęły mu w trzewikach skórzanych, zagiętych w górze, kopieniak[12]) barankiem czarnym oszyty, opinał go, zwarty na piersiach pętlami sznurowemi. Siedział, zda się, król sparty jeno

---

[12]) Kopieniaki i półkopieniacze były to suknie męskie kroju węgierskiego.

na tych szeroko rozstawionych stopach, że lada moment, widziało się, powstanie z zydla. Dostojnicy otaczali go, barwnie a bogato odziani; on zaś spartańską, surową prostotą odbijał od nich, dwojąc tem monarszy swój majestat.

Ku obliczu królewskiemu podniosły się teraz oczy dziewczyny.

Ujrzała czoło białe, wysokie, okolone czarnym włosem; rysy męskie kreśliły się prostym profilem, usta cieniła broda, zestrzyżona krótko, okrągło. Rycerskie wrażenie budziło one oblicze czterdziestoletniego króla, dzielność i moc były w jego postaci, jakby zawarta w sobie żelazna siła, jakiś wewnętrzny tarcz, którego nic nie przemoże.

A zaś samo jestestwo, duch żywy i lotny, to w oczach królewskich się zebrał...

Gdy Halka spojrzała w batorowe źrenice, zmrużyły się jej powieki, jak tym, którzy znagła ujrzą potęgę.

Ciemne, trochę w cieniu jawiące się oczy królewskie miały w sobie złączone czucia: były to oczy tchnące. Tchnęło przez nie wnętrze człowiecze, przezierała tajemnicza dusza ludzka. Moc twarda, nie łamiąca się, na stal zakrzepła była w tych oczach i mądrość; że już wszystko inne: odwaga, spaniałość, dobroć — ćmiły się pod onym blaskiem przemożnym: mocy i mądrości. — Jeno tam, kędyś, na dnach onych dwu fundamentów batorowej jaźni ducha, krył się, uciekał od spojrzeń ludzkich, królewską wolą pętany — smutek.

W one oczy tchnące spojrzała Halka Bielecka i, bezświadomie, siłą jakąś możną wiedziona, cicho podeszła, — do leżącej na stole prawicy Batorego dziewicze usta przycisnęła.

Król Stefan uniósł wtedy drugą dłoń i dobrotliwym ruchem na głowie dziewczęcia położył, rzekłszy łacińską mową:

— Boże wam szczęść panienko.

Z krtanią ściśniętą, bez oddechu, oko w oko z tą wielkością, odstąpiła; a wtedy Ustinka, siostrę naśladując, też do Batorego podeszła, i, choć ją tam jejmość matka za rękaw chciała nieznacznie przytrzymać, — uklękła przed królem, a dłoń jego gorącym całunkiem dotknąwszy, takież jak Bielecka słowa królewskie usłyszała.

Zaś potem król Stefan do Ościka, wpodle stojącego, się zwrócił i o synów go żywo rozpytywać zaczął. To Kuźma rzekł, iż strapion jest wielce, bo pacholęta z nich jeszcze; tedy boleje, na służbę królowi i ojczyźnie nie mogąc ich czasu niniejszego oddać.

Ościkowa ku dziewkom skinęła, jako pora im ztąd wyjść; to, nauczone dokładnie już u drzwi stojąc, głębią ukłonu pięknego pożegnały majestat i znikły za podwojami.

Wnet tam, w sieniach, Bakoni Istwan do nich przypadł, wieszcząc z uciechą, że staremu Bekieszy zgoła się nie polepszyło: osłabion wielce; to i ruszyć go, jak za dni kilka nie można, zaś z przyczyny tej cały orszak królewski dłużej niż było zamierzone w Buławach zagości.

Dokumentnie jeno Halka wyrozumiała te słowa, po węgiersku rzeczone, Ustinka bowiem polskiem narzeczem tylko władała. Aleć wszystko jej było jedno po jakiemu tam kawalerowie z nią gwarzyli; liczko urodziwe, ten śmiech jej srebrzysty, zerkliwe oczka wyrozumiewał każdy, a zachwyt i czyste wielbienie dla jej fertycznej osóbki nie w samej mowie rycerzy się mieściły: szczerzej, ogniściej spowiadały je oblicza dwornych kawalerów, te usta śmiejące, żarliwe wejrzenia, bo każdy uradowan był, gdy Ustinka zaczepiła go bądź zerknięciem, bądź słowem.

Jednak z pośród wszystkich najostrzej afekty swe jawił dziewczynie Bakoni, bo skróś przeniknęły mu młode serce wdzięki Ościkówny. Co też rychło spostrzegł był i Bekiesz, miarkując, jako wcale niepotrzebnie wtedy, na tanecznym festynie, wyprawił Istwana ze

świetlicy i przy zaciągach na resztę nocy przytrzymał; boć nie o Halzuchnę zabiegał ów urodziwy młodzieniec. Pomyłkę swą poznawszy, zły był Bekiesz sam na się, gdyż Bakoni boczył się teraz na niego i odymał przy każdem zbliżeniu. Co zresztą i nie dziwota, wiadomo bowiem, że i najlepszych przyjaciół byle dziewka powaśni.

Ale teraz, to już Ustinka z Istwanem uciechę mieli szczerą, promenując razem po szerokich sieniach, oddani lubej pogwarze, choć tam i nie całkiem wzajem rozumianej. Lecz to nie umniejszało im radości.

Gdzie zaś, częstszym jeszcze śmiechem buchali dzięki tej przyczynie, jako na ten przykład w tej chwili: bo mówił jej Bakoni, iż łowy wielkie zapowiedziane są za parę dni, gdyż chce król puścić się na żubry, w leśnych ostępach tutejszych żyjących; zaś Ustince zdało się najwyraźniej, iż jej Bakoni o afektach swych prawi. To też, gdy się wreszcie dogadali, Istwan za ono ustinkowe mniemanie, aż dłonie dziewczęce gorąco jął całować, bo już i coraz lepiej czyniło im się ze sobą.

Jakże, foremny był ten młodzieńczyk, błękitnemi oczyma na świat patrzący, w śmiechu pierwszy, skory do figlów, urodziwy przytem; że i akuratnie udał się na wielbiciela Ustinki.

Halka im tam tej lubej pogwary w sieniach, zalanych rumianą zorzą, z okna bijącą, nie mieszała; siadło było sobie dziewczątko na ławie pod oknem, ręczynę o podfutrynie sparła i, nie widzącemi oczyma na dziedziniec patrząc, w dumaniach zatonęła.

Toć czuła się jeszcze możnem wrażeniem przed majestatem królewskim ... Ujrzała bowiem, co malowała sobie wprzódzi barwami wyobraźni całkiem mylnemi.

Wiedziała w prawdzie, że ten, nimb władzy najwyższej dzierżący, — od podwieczoru życia jest jeszcze daleki; ale mniemała go jawiącym zewnętrznymi pozorami swymi one roków czterdzieści i pięć jakie sobie wyliczał.

Ujrzała zaś postać w samem południu męskich lat, u szczytu górujących sił cielesnych i dusznych ...

I stał na tym szczycie, splendoru zbawion wolą własną, stał — samotny ... Bo jak-że mogła obok tej, w południowych promieniach życia widzącej się męskiej postaci, — w harmonijnem zespole postawić sędziwą, lat sześćdziesięciu dobiegającą, królowę Annę, przez naród Batoremu wraz z koroną danej.

Nie, nie ... samotny był, samotny zawsze.

Z łatwością jawiła go sobie w postaci bojowej, stojącego śród dymów i ognia bez mrużenia powiek; głos batorowy słyszała w gromkich, krótkich nakazach, i widziała one spojrzenia ócz mężnych, męstwo budzących. Tylko w zaciszu rzadkich chwil domowego życia wyobrazić go sobie nie mogła. Coś tam, w onych, domu jego wawelskich komnatach, mrokiem jej przysłaniało królewską postać! Że i posmutniała od tych rozmyślań, smętliwość sercu jej zaciężyła ...

Niespodzianie Ustinka obok niej przysiadła, ale wbrew zwyczajowi swemu, milcząca; że Halka zadziwione lico ku niej obróciła i spojrzała na siostrę. Jak trusia siedziała, czegoś pomieszana; lecz gdy wzrokiem dziewki się spotkały, Ustinka podniosła rękę i ukazała tkwiący na jej palcu sygnecik, turkusikiem błękitnym ozdobiony.

— Cóż to za pierścień? — zapytała Bielecka.

— Istwan mi go dał ... zdyszanym szeptem odpowiedziała Ościkówna. — A mój, ten z koralikiem, dla się wziął ...

— La Boga! Ustinka! zrękowiłaś się?! — z lękiem rzekła siostra.

— A no ... deklarował mi swój afekt ... — stropiona mówiła.

— Jakżeś to wyrozumiała? Bakoni mówi jeno po węgiersku ... — coraz żywiej, poruszona wieścią niespodziewaną, rozpytywała siostra starsza.

— Iii ... — Ustinka wzruszyła ramionami — co tam trudnego było do wyrozumienia: zabarwiły mu się te jagody, że jako rak się zrobił, źrenicami łyskał, by tym ogniem, a głos to mu raz wraz dygotał, — że i wątpienia nie miałam, jako o afektach mówi. Rękę mi wziął i tak całował, całował, aże mnie gorąc objęła, potem sygnecik mi z palca zezuł, ten od matusi, wiesz, z koralikiem, do ust go podniósł, ucałował i na mały palec swej lewej dłoni, bo na serdeczny mu nie właził, nasunął, — a zaś swój, ten — znowu rękę ku oczom Halki zwróciła — z palca sobie zdjął i sam mi go nałożył ...

— A gdzież się podział Bakoni? — poglądała Halina w puste sienie.

— Bo, kiedy się to wszystko przygodziło, zesromałam się raptem i nakazałam mu odejść ...

— Ej, ej, Ustinko — frasobliwie podjęła Bielecka — z rodzicami sprawę o to będziesz miała ...

— Miłuję go! — przerwała jej rezolutnie.

Halina wzruszyła ramionami. Te jej brwi ciemne ściągnęły się na białem czole i ku oczom pochyliły, rzeźbione rysy twarzy oblekła powaga. Rzekła:

— Ledwo dni parę Bakoni tu jest, prędkoś się rozmiłowała.

— O, wiele czasu na to nie trza! A Szandor Bekiesz nie płonie to afektem do ciebie? Razem przecie do Buławów przybyli!

— Bekiesz? — zadziwiła się Bielecka.

— At, wszyscy miarkują, tylko ty jedna nie ...

— Pleciesz, Ustinko ...

— Jako tę Ostrobramską kocham, jest prawda. I Bakoni mi mówił, i pan Zółkiewski powiadał, samam słyszała, po polsku przecie było, że w cale się nie dziwuje Bekieszy, iż mu za pierwszem wejrzeniem na cię strzała amora przeszyła serce; bo takiej Wenery, jakąś jest, i w samym olimpie nie najdzie. A Bekiesz

z afektem swoim dla ciebie nie kryje się, żeby już inni kawalerowie do cię się nie puszczali. Ten czardasz z tobą całkiem go w miłowaniu pogrążył.

Słuchała Bielecka, ale bez wszelkiej radości. Jej głębokie, cudne oczy gdzieś zabiegły i znieruchomiały ...

Posłyszała zapytanie Ustinki:

— A ty ... lubisz Szandora? Piękny i spaniały, urodziwszy od wszystkich ...

Cóż tam uroda ... — wzgardliwie rzekła. A potem ożywiła się i podjęła: — Mądrość, górowanie męstwem nad innymi, wola żelazna, to ... krasą jest mężczyzny ...

I znowu się zadumała.

III.

A stary Gaspar Bekiesz chorzał coraz lepiej; gorąco go ojmowało, dech rwał mu się w piersiach, że każde słowo dygotliwie z ust mu szło. Febra, nie febra była, nie wiadomo.

Medyka zostawił Batory w obozie hetmana Mieleckiego, choć i nie osobliwie ów leczył.

To też gdy król, nawiedzający nazajutrz chorego przyjaciela, wspomniał, iż po onego medyka do obozu połockiego słać zamierza, Bekiesz jeno łysnął gniewnemi oczyma i bąknął, że medykowa rada na nic się nie zda, boć ze śmierci nikogo on jeszcze nie wykurował.

Sfrasowany był król, gdy poglądał na zmożonego słabością towarzysza bojów; Kacpra Bekiesza bowiem nad miarę on cenił i miłował. Prawda, że wprzód, kiedy jeszcze obaj, Batory i Bekiesz w Siedmiogrodzie o władzę książęcą wespół się ubiegali, to, z powodu batorowego nad Bekieszem zwycięztwa, lat parę zwaśnieni byli. Jednak, gdy Batory na tron polski wstąpił, Bekiesz, „znając wspaniałość umysłu pana stefanową, oną sprawiedliwą miarę do ludzi przezeń przykładaną i wartości ich prawą ocenę, — dobrowolnie sam ofiarował polskiemu królowi swoje usługi“[13])

To zwarli się obaj przyjaźnią i tą ufną wiarą obopólną; razem troskali się wojennemi sprawy, razem szu-

---

[13]) Z rękopisów Albertrandego. E. Raczyński: Panowanie Batorego str. 153.

kali dróg zwycięztwa, i nad losami królestwa, którego berło dzierżył Batory, głowili się wespół.

Aż tu znagła ów dzielny wódz węgierskiej piechoty padł, chorością zwalony.

Z dnia na dzień niedomagał on silniej; to jako — że Batory trapić się tem nie miał, niepokoić i boleć?

Jejmość Salomea znała się, jak ogół ówczesnych niewiast, na lekowaniu; bo i potrzeba tego trafiała się często, i kalendarze, po miastach sprzedawane, ułatwieniem służyły, zalecając na poszczególne choroby suszki ziołowe i skuteczne naparki korzonków roślinnych. To też zaraz po zwiezieniu Bekiesza do dworu, zakrzątnęła się gorliwie koło chorego i wespół z Marfą, też rozumiejącą się na rzeczy, przeróżne medykamenty mu narządzała.

Cóż, kiedy nieosobliwie pomagały; a już ono rwanie się tchu w piersiach najboleściwiej chorego nękało, że i sama Ościkowa nie wiedziała, co-by radzić.

A zgryziona tem była wielce, jakże! W jej domu, przyjaciel królewski ... na oczach miłościwego pana one bezskuteczne zabiegi ...

Aleć czwartego dnia po przybyciu Batorego do Buław, gdy Salomea Ościkowa deliberowała w tej materyi ze starą Marfą, u drzwi otwartej apteczki stojąc, Halka Bielecka, która właśnie tamtędy przez sień biegła, posłyszawszy rozmowę, przystanęła obok niewiast i jęła nasłuchiwać. Gdy tamte zmilkły, sfrasowane i bezradne, ona podjęła, jako brat jej, gdy jeszcze za życia matki podobnie do Bekiesza był zachorzał, prędko wyleczony został przez italskiego medyka, który ongiś na dworze królewej Bony lekował jej fraucymer i dla starości swego wieku — do Italii nie powrócił, jeno w Polsce się ostał.

A tak skuteczny był zalecony przezeń medykament, który dobrze spamiętała, że już po paru godzinach sfol-

gowało ono ostre kłócie w piersiach chorego, i oddech mu się uciszył.

Posłyszawszy to wszystko Ościkowa, uradowana wielce, za rękę wziąwszy siostrzenicę, poprowadziła ją do chorego Bekiesza; boć należało dziewczynie naocznie się przekonać, czyli podobne są objawy bekieszowego cierpienia do onego braterskiego.

Trzepotało dziewczęce serduszko tym ptakiem zestrachanym, gdy ją ciotula do komnaty starego wodza wwiodła; aleć uspokoiła się Halka rychło, bo jeno pachołka pana kacprowego przy chorym zastały i sługę królewskiego, Ferensa. Ten Ferens Weselini był czemś więcej, niż sługą: był to stary króla przyjaciel, wraz z nim przybyły tu z Siedmiogrodu,[14]) a służył Batoremu jeszcze, gdy ten był wojewodą. Stał się powiernikiem najskrytszych myśli pana stefanowych, bowiem duszą i ciałem oddany był swemu panu, którego miłował jak żołnierz wodza, jak przyjaciel przyjaciela i jako ojciec miłuje syna ...

Ościkowa wyjaśniła leżącemu na łożu Bekieszy, dla jakiej przyczyny dziewkę tu ze sobą przywiodła. To stary popatrzył jeno na Halzuchnę, a od onego patrzenia, zmożone cierpieniem lico wodza coś nie coś spogodniało, że to wielce słodka była buzia onego dziewczęcia. Gdy zaś Halka w węgierskiej mowie rozpytywać go jęła o symptomy choroby, to aż się dźwignął stary od wezgłówka;[15]) a kiedy mu w drobne swe ręczyny dłoń wzięła, dla zmiarkowania ciepłoty, Bekiesz, folgując miłemu wrażeniu, drugą swą ręką po onej urodnej buzi Halzuchnę pogładził i cicho wyszeptał, że takiego medyka to cesarz nawet nie posiada. Przyśmiechnął się trochę, to rzekłszy.

---

[14]) Adolf Pawiński: Zgon króla Batorego Tyg. Ilustr str. 357 rok 1886!

[15]) Poduszka, mająca kształt wałka.

Zaś ona wzruszona i czegoś wielce szczęśliwa, jęła rozpowiadać choremu, jak to a to, owo i tamto bratu jej dokuczało. Snać utrafiała akuratnie, bo chory jeno głową z zadowoleniem potakiwał i ręką skazywał miejsca, kędy bóle go zmagają.

A gdy jeszcze dziewczyna rzekła, iż tę chorość medyk italski zwał: opaleniem letkich, panu Kacprowi aż oczy pojaśniały, i rzekł, jako w Połocku sam tamtemu lekarzowi ono był powiedział, choć ów tam mylnie na gorączkę przyranną przestrzelonej nogi Bekiesza wszystko zwalał.

Wtedy, że się tak dokumentnie oboje, Halzuchna ze starym — dogadali, z czego i bojarynia Salomea wielce była rada, Bielecka rzekła:

— Łatwe było medykowanie onego italczyka. Do wnętrza jeno masło topione z miodem po kapce nakazał łykać, a zaś, jak powiadał, cała waga ulgi w przyparkach się objawi.

Aż głową chwiała Ościkowa, słysząc te mądre zlecenia, które Halzuchna akuratnie była sobie zakonotowała, żeć dziewczyna była zmyślna i nawet naukom nie obca. Gdy zaś wyjaśniła, jak narządza się wszystko, to i zawróciły obie do apteczki, by z gotowem tu wrócić.

Nic, tylko w te drzwi po ich wyjściu poglądał Bekiesz i czekał niecierpliwie powrotu białogłowych. Ferens zagadywał, iż skuteczny może być ów lek, o którym buławiecka panienka powiadała tak sprawnie; a chory jeno swe wąsy siwiejące pociągał, co zadowolenie u niego oznaczało i pogodniał na obliczu, żeć to każdy bolejący spragnion bywa ulgi w znoszonych cierpieniach.

I jeszcze dziwował się głośno sługa królewski, iż ona panienka, aniołu postacią podobna, mówi tak pieściwie po madziarsku, że słuchając jej, jawi się prosto oczom ten daleki Siedmiogród i miłowane ojczyste równie węgierskie . . .

Ale ruszyły się drzwi: Ościkowa, Halzuchna i stara Marfa, różności narządzonych leków niosąca, weszły do komnaty; to i zmilkł Ferens, a tylko czekał, by na komendą niewieścią posłużyć choremu.

A i trzeba było. Już z raszki glinianej, pokrywką naciśniętej, dobywała Marfa wyrzęte z letniej wody lniane płócienko, na które, po rozłożeniu onego, podsunęła Halka szmatkę, tym woskiem pszczelnym akuratnie wysmarowaną, a to dla niepuszczania ciepłoty. Podała Ferensowi, objaśniając, by śpiesznie choremu na piersi położył i takież drugie na plecy,. co Ferens skwapliwie wespół z Marfą spełnił; jeszcze z rąk Halzuchny odebrał gruby błam wełny, świeżo z owieczki białej zestrzyżony i onym chorego szczelnie owinąwszy, pod komendą Bieleckiej i też przy marfinej pomocy długiem, wąskiem, w tudkę zwiniętem płócienkiem, niby tym drutem chorego dookoła okręcił.

Jak ta kukiełka legł teraz Bekiesz, głowę na bieli wezgłówka sparłszy i cichem słowem dziękował niewiastom za troskliwość.

Zaś Halka, pochylona nad starym wojakiem, powiadała:

— Wy, waćpanie, jeno sobie zaśnijcie w spokoju i cichości; a gdy się przebudzicie, znowu każcie sobie podać on miód, na maśle narządzony, to i poprawa nie chybi ... — Ucieszona była, aże różowa z ukontentowania, a głosik trochę jej się chwiał, bo czegoś wzruszenie w sobie czuła.

On głową kiwał z uśmiechem i wiódł za obiema łagodnemi teraz oczyma, gdy ze świetlicy szły i drzwi po cichutku za sobą zamykały. Potem spuścił powieki, wtulił się w miękkie wezgłówko, lube ciepło jęło go ogarniać kojąco i, zda się, kołysało w słodkie zaśnienie.

Weselini patrzył na drzemiącego i myślał:

— Poczciwa dziewczyna ...

Ona zaś poweselała w sobie, jak nigdy dotąd, zupełnie, by w tę jaśnię weszła, coś się w niej rozsłoneczniło, coś, duszką snać przeczuwane, rozradowało ją błogo ...

Z ciotką, z Ustinką i kilku rycerzami do podwieczerza zasiadła w jadalnej, gdzie im gorące nalewki, z palonego żyta narządzone, śmietanką zaprawione gęstą, służba podawała, i one misterne owarzanki i kukiełki, masłem i miodem smarowane suto.

Gwar tam był przy owym stole, spławionym w zorzach podzachodnich; że to białogłowy długo ust zamknionych nie zdzierżą, a i młódź rycerska żwawo niewiastom w rozmowie wtórowała, boć dobrze tu było przybyłym, w onych Buławach bogatych, ludnych, a gościnnych.

Szandor Bekiesz, posłyszawszy od bojaryni Ościkowej o onem halczynem lekowaniu, wyprosił sobie u jejmości Salomei permisję podziękowania kasztelance Bieleckiei za one trudy, dla stryjca jego ponoszone. Teraz więc dwornie a ze czcią po dłoń dziewczyny sięgnął i usłamj paluszków jej kornie się dotknął. Zaś potem miejsce u stołu obok Halzuchny zająwszy, usługiwał jej przy podwieczerzu gorliwie.

Ten cichy dzień, kłoniący się pogodnie w wieczorne zorze, a zwłaszcza bliskość urodziwej dziewoi rozmarzająco działały na młodego rycerza.

Rzekł przeto do Halzuchny, iż uzdrowienie stryjca radością dlań będzie wielką, szkoda tylko, że kres położy dniom w raju mu płynącym, do którego wstąpił zaraz na samem zaprożu Buławów.

Odpowiedziała:

— Waść przecie wtedy do dom pojedziesz, dasz tęsknotom folgę.

Ale on twarz urodziwą ku niej obrócił, patrzył przez moment na Halzuchnę oczyma, które były jako

tonie wód głębokich i świetlistych i przycichłym głosem powiedział.

— Ale dusza ze mną nie wróci w hungarskie swoje strony ..,

— Czemu zaś? — pytała trochę naiwnie, ożywiona wciąż tą radością, która ją w pana kacprowej świetlicy znagła była ogarnęła.

— Czemu dusza waćpanowa tam nie wróci? — powtórzyła pytanie, gdy on milczał, pogrążon w medytacji.

Wreszcie uniósł młodą głowę, spuścił na światło ócz powieki i rzekł głosem bardziej jeszcze przycichłym:

— Nie wróci, bo ... dusza moja tutaj pozostanie ...

I dokończył szybko, ku Halzuchnie pochylony:

— Jako że jej opuszczać tych, bez których waloru życie już dla niej nie ma ...?

— A jabym z radością jechała! — Ot tu opustoszeje — mówiła wpatrzona w jakąś dal, co jej się znagła jawiła. — Hufce, żołnierze, wodzowie ... wszyscy pociągną tam, hen, ku mojej Warszawie ...

Zmilkła nagle, a potem jęła mówić, poglądając pytająco na Bekiesza:

— Miłościwa pani, królowa Anna... ta czeka niecierpliwie!... Co?...

Nic nie odrzekł, strzyżoną brodę pogładził, oczyma łypnął, czyli kto z siedzących w pobliżu pytania onego nie posłyszał i zmilkł, słowami Halzuchny wielce zawiedziony.

Bo jakże...

Wypowiedział przecie dużo, a tych piersi dziewiczych nie przeniknęło żadne wzruszenie; raczej ześlizgiwały się z jej słuchu wyrazy bekieszowe, do czuć Bieleckiej zgoła nie wnikając.

Co w duszce ma ta cudna, której oblicze z każdym dniem droższe mu się czyni? ...

Rozmyślał rycerz, nicował jej słowa ...

Przecie o sentymentach swych prawie jawnie mówi, zaś ona wtedy tu, tam myślami zaleci, jak i do tej starej królowej Anny czasu niniejszego ...

Dziwował się przeto Szandor nic nie rozumiejąc i tylko w gorzkiem milczeniu na twarz dziewczyny poglądał.

Czyliż urodą swą męską, o której wiedział, że nie powszednia, ku sercu temu nie trafi? Otacza ją zabiegiem dwornym, odgradza od niej wszystkich, a niechwytliwa jest ta białogłowa. ...

Zesmutniał capitaneus, zcichł, dumał w rozżaleniu:

— Ot, Istwan ... i sygnecik od Ustinki ma i oberwało mu się razy parę piąstką od niej, gdy uszko dziewczęce chciał pocałować i, mówi, że Ościkowie zezwolą na ich ślubowiny, bo króla o wstawiennictwo za sobą poprosi.

A on? ... Mówi, to jakby do tego ptaka, który niespodzianie furknie i już poleciał, że go nie zgonisz ...

Króla to będzie prosił, by za nim kołatał do halczynego serca?

Schmurniało mu przeto wszystko dokoła.

Zaś tamci oboje: Ustinka i Bakoni, siedząc na krańcu wielkiego stołu, zszeptani byli serdeczną pogwarą. Jakże, powiadał jej przecie Istwan w onym momencie, że u majestatu pana batorowego o miłości ich obopólnej rzekł już słowo ...

Aż dech w sobie strzymała z wrażenia silnego, dopiero po chwili zapytała, co na to rzekł król Stefan.

Bowiem już się oni coś nie coś z sobą dogadywali: on, swojąc sobie polskie powiedzenia, ona przez Halkę przyuczana potroszę; to i zrozumiała, gdy rzekł, iż król naprzód zapytał, którą z dziewek Istwan miłuje; a zaś kiedy objaśnił, iż młodszą, oną do wiaterku wiośnianego podobną, Ustinkę Kuźmów, to przyśmiechnął się król i słuchał dalej. Zaś na prośbę młodzieńca, by do

Ościków za ślubowinami ich przemówić raczył, — zamyślił się, ważne uczyniło mu się oblicze, a potem rzekł, jako ślubowiny, to sprawa doli życiowej, nie kruszy nic onych więzów. Przeto im, wolnym jeszcze, których nic nie pęta, przeniknąć wprzód należy kłonienie się serc, czyli może tylko przelotna uciecha niemi kieruje, bo „na wierność przysięgę będziecie kłaść!“ — takiemi słowy dokończył.

Ledwo tę mowę posłyszała Ustinka, bowiem taki śmiech zatrząsł się nad stołem, tak przeginali się w onem buchaniu niektórzy, aż te haftowane poławniki zesuwały się z ław.

Ktoś tam o łowieckich przygodach dziejopisa królewskiego, Heidensteina powiadał uciesznie, że to imć pan Heidenstein, dla ścisłości sporządzanego przez się życiorysu króla Batorego — i obrazy łowów królewskich chciał tam umieścić.

Przeto, by własnemi oczyma im się przypatrzeć, wespół z wszystkimi na one harce myśliwskie — pod Dryssę pojechał. Jeno tchórzem jest ów dziejopis skróś podszyty, więc nawet przed szarakiem zmyka na ślep, lękiem gnany, jak się to właśnie tam przygodziło, gdy mu zając chlasnął niespodzianie kozła u samych nóg, myląc tem po swojemu, goniące go ogary. Na oczach jeszcze mieli niektórzy ono zmykanie wytwornego Heidensteina, który aż w bagna pobliskie zaleciał, i do pół pasa błotem unurzany, ledwo ztamtąd przez hajduków wydobyty został.

To i śmieli się teraz niektórzy do łez.

A kiedy już weszli na one myśliwskie treści, — potoczyła się najgłówniej rozmowa o polowaniu na żubry, które to łowy, zapowiedziane w dniach najbliższych, osobliwie ciekawiły rycerzów. Byli, którym wcale nieznane i niedopojęcia zdały się one zwierza tak przeogromne,

iż na głowie żubra, pomiędzy rogami dwóch, a nawet trzech ludzi dorosłych może usiedzieć.[16])

Ościkowa, iż niewiasta była mowna, jęła teraz rozpowiadać szeroko o tem, co własnemi oczyma oglądała.

Iście po królewsku siedziała sobie kobieta w górach stołu, spaniała, obfita i rozrośnięta, na licu piękna, by rzymianka. Ciemny nagłówek, błękitnymi kamyszczkami sadzony, włosy jej krył; a jeno te wijące, orzechowe pasma falowały jej nad czołem.

Ciekawie nasłuchiwano; powiadała, jakto w rannych dniach swego zamężcia wielekroć uczestniczyła w sławnych mężowskich łowach tutejszych ...

To i znagła porwała się Ustinka z zydelka, skoczyła do matki, i dalej-że w prośby, żeby dozwoliła jej i Halzuchnie w królewskich łowach też uczestniczyć! Całowaniem rąk i oblicza niewoliła matkę, która, pofukując trochę i mitygując dziewczynę, opędzała się całunkom.

Aleć przymiękła, kiedy młódź hurmem za Ustinką się ujęła, popierając żarliwie jej prośbę, by i panny turniej myśliwski obecnością swą uświetniły; przeto i chylić się bojarynia poczęła ku onemu ogólnemu życzeniu.

A jeszcze, gdy pan Stanisław Zółkiewski, ten z najurodziwszych najpiękniejszy, jakoby samemu Apollu podobny, też tam u stołu siedzący, który nie urodą jeno, lecz i wielkim geniuszem wojennym górował ponad wszystkimi, — ozwał się, iż w niewieście śmiałość, odwaga, on prawy animusz rycerski walor przeosobliwy mają, co i sam stwierdził później, boć na niewiastę wybrał sobie białogłowę o takiej hardości żołnierskiej, że gdy on wielki hetman późniejszy w bojowaniach z nieprzyjacielem się porał, to własna żona hufce mu rycerskie sama na pomoc przywiodła. Snać już od zarania młodości żywił Zółkiewski cześć dla cnót wojennych.

[16]) Marcin Kromer: Polska-str. 30.

Przecie, że gdy słowa padły, nie przeciwiła się więcej Ościkowa. Tedy Ustinka klaskać jęła w ręczyny i podskakiwała z uweselenia jak ptaszek radosny, bo i pokrzykiwała z uciechy. A potem jęła żywo rozpytywać kawalerów, co za broń na łowy ma wziąć, by potrzebne wszystko mieć w pogotowiu pod ręką.

Nie Istwana pytała; albo to wymiarkuje prędko, co jej odpowiada? Wolała żwawiej z polakami mówić, że się nawet Bakoni trochę o to pogniewał.

Odcięła mu na one dąsy:

— Kaczka z kogutem prędzej się w dyskursie z sobą połapią, niżli ja z waćpanem, a mnie pilno zwiedzieć się o wszystkiem.

To i całkiem obraził się Istwan, na dawne swe miejsce wrócił, tam siadł schmurzony i milczący.

I Halzuchna rada była z przyzwolenia ciotki. Kiedy jej Szandor usługi swe na czas łowów ofiarowywał, skinęła tylko głową, mówiąc ucieszona:

— Ot, i napatrzę się do woli, do woli ...

Jeno, że nie dokończyła komu.

A Gaspar Bekiesz, wiadomo, jak to chory, że mu od halczynych leków poprawiło się osobliwie, naprzykrzał się ninie Ferensowi, skoro doń przyszedł, by mu raz wraz panienkę Bielecką kornie poprosiwszy, do komory przyprowadzał, bo o to, o ono albo i o tamto rozpytać się, rady zasięgnąć musi.

Nie pierwszyzną były dla pięknej kanclerzanki te starania przy chorym: własna matka do lekowań Halzuchnę zaprawiała, która niewiastą była wielce czującego serca. Przeto na wsi, podle Warszawy w kasztelu swoim żyjąc, chadzała jejmościna Bielecka z córką do chat włościańskich, kędy słabowała biedota.

Zaś w Buławach one duszne rzewliwości i sierocy ból po stracie matki i opuszczeniu rodzinnych, miłowa-

nych stron, najlepiej koiły i śmierzyły zabiegi miłosierne, które tu nad cierpiącymi roztaczała Bielecka.

Nie dziwota więc, że tak sprawnie poczynała sobie i w pana bekieszowem słabowaniu:

Jako w obraz patrzył stary Gaspar na jej lico, i tych słów doradczych nasłuchiwał. Śmierć przecie zdała mu się już bliska, kiedy jechał do Buław; a tu wątłe dziewczątko ręczyną odegnało strachy i znoje zbliżającego się doń skonu.

Nie miało mu to być najlepiej, gdy Halzuchna u wezgłowia jego siedziała?

A i ona chętliwa była do tego. Liczko jeno barwiło jej się raz wraz i oczy mknęły zastrachane ku drzwiom, jeśli je kto ruszył, boć i serce wtedy trzepotało się w niej prędzej ...

Właśnie o południu tego dnia, przez pacholika kornie przyzwał ją pan Bekiesz do siebie. Poty jakieś bić nań poczęły, których się był zaląkł.

Przyszła śpiesznie, zaniepokojona również, i nawet Marfę ze sobą przywiodła.

Lecz uspokoiła się po przywitaniu chorego; rzekł jej bowiem, iż kolenie całkiem mu z piersi ustąpiło. A zaś Marfa ozwała się, dorzucając mądrze, że rosa gorąca, gdy z człowieka waporuje, osobliwie chorobę koi. To jeno nakryły obie niewiasty starego derą wełnianą, że sen i przyległ uspokojony do wezgłówka, aby ciepło lepiej go jeszcze objęło.

Marfa wnet odeszła, niewolona pilnemi zatrudnieniami gospodarczemi, zaś Bielecka, do życzenia Bekiesza się stosując, na krześle opodal łoża zasiadła.

Ostali się sami. bo tylko pacholik służebny u drzwi stał, jako zwyczajnie gotowy na zwanie.

Poglądała Halka dokoła.

Zmieniła się komora czasu kwaterowania w niej wodza piechoty węgierskiej. Na pustej ścianie nad ło-

żem szabla bekieszowa świetlała zimno, wyczyszczona na lustro; baczył wielce na ono stary wojak, a tę szablę darem po ojcach był dostał, toć ją i cenił.

Obrazika świętego wpobliżu zbroi tej upatrywała dziewczyna, ale nie ujrzała żadnego; arjaninem był Gaspar Bekiesz, w Bóstwo nie wierzącym.

Na stoliku, podle wezgłowia, to nie krucyfiks, jako powszechnie w Polsce bywało, — stał, a jeno ten stary zegarek ciekący, wodna klepsydra, dawno już przez ludzi poniechana, która to dokładnie czasu nie wskazuje, kapkami sując się z dwu naczyń stożkowatych, które ostrymi końcami pionowo do się są zbliżone. Tu, opodal głowy Bekiesza — arjanina stała ona, na symbol umkliwego żywota, co to kropla po kropli, tchnienie za tchnieniem, bez przerwy, nie strzymanie ku śmierci ciecze a ciecze ...

Ruszyły się drzwi, Batory wszedł.

Lękliwie wstała i tym pokłonem schyliła się głęboko.

Głową król Stefan jej skinął, ręką pokazał krzesło, z którego się podniosła, na znak, by siadła zpowrotem. On zaś bratersko dłoń Kacprową, na kołdrze leżącą, ujął i rozpytywać jął, jako się chory czuje?

Odpowiedział, chwaląc swój stan i raz wraz mowę i spojrzenie kierował ku Halzuchnie, jawiąc miłościwemu panu, komu zawdzięcza one znaczne ulgi.

Przecie, że obrócił na nią wzrok Batory i rzekł, jako uradowan jest wielce z polepszenia się bekieszowego zdrowia. Siadł na krześle, opodal okna, że światło dnia pogodnego siłą na niego biło.

Zbudowan krzepko, jawił postacią męską krasę.

Tchnęło odeń zdrowie i jędrność, życiem żołnierskiem wzmożone. „Był to pan wysokiej urody, twarzy wielce przystojnej, pociągłej, płci rumiano-śniadej, włosów czarnych, a zębów dziwnie białych, nosa kęs zakrzywionego z prostej linji od czoła, jak pospolicie ma-

lują Atyllę![17]) Głowę miał piękną, dumną, lecz oblicze łagodne. Prostota w niem była, złączona z energją, dobroć, którą spuszczają na człowieka: doświadczenie i równowaga umysłu. Dostępny widział się Bieleckiej, gdy bratni dyskurs z Bekieszem wiódł; a jednak majestat królewski od niego tchnął. Nie pozory go nieciły, ubiór przeć na nim był ciemny, jakby surowo żołnierski a tylko ta sama swoista jaźń, tajnia przezierającego ducha górowała w nim i ku niemu niewoliła.

Włosy czarniawe, bujne, niegdzie szroniały już; a powiadali rycerze, iż, zamierzając one boje z moskiewską potęgą, czarne nieskalanie miał jeszcze włosy; snać troski i udręki wielkiej wojny oprószyły mu tak głowę. Wiedziała przecie, mówili jej.

Słuchał Batory kacprowych słów o onem osobliwem lekowaniu; to i oczy zwrócił na dziewczynę, dobrotliwie zapytał, zkąd biegłość takową posiada.

Rzekła, malując parą słowami życie swe w matczynym domu. W rumieńcach to powiadała i głosikiem rozchwianym, co i nie dziwne, stukało w niej serce mocnemi wzruszeniami.

Zadziwił się król; sądził, że stąd jest rodem.

— Och, nie, zdaleka! — żywo objaśniła, mazurką była przecie.

Popatrzył uważniej onemi ciemnemi, tchnącemi oczyma i spytał, czyli nawykła do tutejszej strony.

Zaprzeczyła ruchem głowy i słowem.

— Czemu? — zabrzmiało batorowe pytanie głosem o tonach męskich i jakby tłumionych.

— Bo obca, nie swoja ... — odrzekła cicho.

Rumieńce z twarzy jej już spłynęły, a tylko barwa wzruszenia różowiła lekko dziewczęce oblicze, którego krasę dwoiły w tej chwili one czucia, wzmagające w sercu.

---

[17]) Rysopis Batorego według uczestnika wyprawy połockiej, J. Bielskiego. Kronika polska ks. III. str. 1535, oraz według rękopisów Albertrandego, zebranych przez E. hr. Raczyńskiego str. 358.

Nie ta Halzuchna oczom się teraz widziała, która łodem spojrzenia grodziła od siebie Ościka. W onych tu momentach blask wilgotny pławił jej cudne źrenice, drobnym kwiatem szkarłatu uczyniły się usta, drżące od pulsowań krwi, a snycerską rzeźbę jej rysów prześwietlały duszne tętna, tak, jako skróś alabastru jawi się płomię tam ukryte, gdy półgłosem rzekła ono: „obca, nie swoja.“

Leciuchny przyśmiech dotknął ust królewskich, ale oczu się nie imał. Zwrócił Batory twarz do Bekiesza; powiedział:

— A my, stary, zobaczymy kiedy swoje strony?

Ów zaś rękę ku ziemi nakłonił i odrzekł:

— Ale już ztamtąd.

Zatętniały ostro kopyta na brukowanym dziedzińcu.

Spojrzał król Stefan w okno.

A tam już zeskakiwał z konia, rosły, by topol żołnierz i, zdawszy bieguna hajdukowi, który wypadł ze stajen, — szybko na schodki ganku wstępował.

Poznał go Batory.

Bolko to był, Chojeński, podchorąży w samym hetmańskim hufcu. Snać z doniesieniem pchnął go tu Mielecki. To i nakazał król przez pacholika, obecnego w komorze, by Lepseni, dworzanin królewski, który w sieniach podle drzwi pana kacprowych czasu odwiedzin tam króla — stał, — zaraz doń przyprowadził Chojeńskiego.

Bekiesz był ciekaw wieści z Połocka, to chciał Batory pofolgować choremu, i dla tej racji tu wzywał gońca.

A Halzuchna nie wiedziała, co czynić: ostać, czy pójść, to jeno siedziała cicho.

Wszedł Bolko.

By ten prawy polak widział się postacią: mocny, jak dąb, śmigły, o kasztanowatej podgolonej czuprynie, oczach modrych i bystrych. Wąs miał nie obfity, żeć ranne lata mu szły, ten dwudziesty ledwo. Ale dobił

się rangi męstwem i zażywnością w bojach; trochę na obliczu szramami blizu był zrysowany, które mocniły bardziej i piększyły wyraz twarzy; urodziwy był przecie.

Skłonił się królowi sztywno, po żołniersku, a potem dobył z zanadrza hetmańskie pismo, pieczęcią czerniejące, — panu miłościwemu je oddał.

Przeczytał Batory.

Nic osobliwego nie było: wieścił hetman Mielecki, jako spokój jest w Połocku, i od granic carstwa nic nie zagraża, bo przetrzepują moskali, że się cofają w głąb. Przedzimowe roboty teraz sprawia hetman, pędząc z niemi, że to aura zelżała.

Jeszcze tam inne, małoważne napisania były, jako zwyczajnie, szczegóły by najdrobniejsze królowi malujące, nakaz przecie takowy był.

I drugi jeszcze list podał Chojeński, z tem powiedzeniem, jako od księdza Piotra Pawęskiego Skargi jest.

Nim go rozpieczętował Batory, skinął podchorążemu na znak, że dyskurs skończony, dodał tylko iż wtórym razem, po południu, rozpyta jeszcze o wiela, ale już u siebie w świetlicy, gdzie go i przyzwie.

Znowu wojskowym skłonem, sztywno oddał Bolko honory i wyszedł.

Już nie dzielił się król z Bekieszem treścią onego kapłańskiego pisania; nie obchodzące Gaspra, zgoła religijne zawierały materje.

Przez króla Batorego wezwany był pod oblegany Połock słynny już w on czas ksiądz Piotr Skarga Pawęski, który przed laty ośmioma, w Rzymie, świętobliwą swą duszę nasycił ascetyzmem i żądzą apostołowania, że papież Pius V do wielkich przeznaczył go powołań. W żarliwem swem duszpasterstwie, onem jakoby misjonarstwie, na ziemiach polskich bez wytchnienia szerzonem — do końca życia trwał, nawoływał naród do pobożności, rozumu uczył, wieścił nadzieję bożą i groził nieopamiętaniu.

Wymową kłonił Skarga do Boga zachwianych w wierze, nawracał wątpiących,[18]) boć duch ogniowy, żar dokół niecący, bił odeń wielką potęgą.

To i nie komu, a zaś Skardze polecił Batory, na zdobytych przestrzeniach, szerzyć działalność jezuicką. Został, żarliwie tam sobie poczynając, ksiądz Piotr Pawęski.[19])

Aż biła z listu onego kaznodziei szczęśliwość niezmierna, gdy króla uwiadamiał, jako przed dniami paroma przybyli do Połocka braciszkowie jezuici, z Krakowa wysłani; to i kolegium założyć będzie można w onem odzyskanem mieście, jeszcze przed zimą. I unosił się Skarga nadzieją górną, pisząc królowi, iż słowo Boże, na onych dalekich pustkowiach mową, czynem, dobrocią, miłością bliźniego szerzone — stanie się jako ta gwiazda, promieńmi bijąca w ciemność, która mroczy tu dusz firmament.

Takiej to niezwykłej treści był on list, przez Batorego teraz składany.

A Bekiesz, czasu owego niemego czytania, zdrzemnął się snać, bo powieki miał zamknięte i wyraz zaśnienia w twarzy.

Otrzymał Batory jeszcze i trzecie pismo, wraz z listem skargowym przez Chojeńskiego wręczone.

Jan z Czarnolasu, pieśniarz Kochanowski, słał je przez braciszków jezuitów królowi, mniemając go jeszcze w Połocku obecnym.

W kornych, wielbiących słowach prosił wieszcz umiłowanego przez się króla, by raczył przyjąć dobrotliwie jego skromne poema, w czuciu hołdu i niepomiernej wdzięczności składane.

---

[18]) Nawrócenie Sieniawskiej, wojewodziny ruskiej, Tarnowskiego, kasztelana wojnickiego, ołyckiej linii Radziwiłłów, z „Sierotką" na czele.

[19]) Chmielowski Piotr: Złota przędza t. IV. str. 375.

Pergamin zaszeleściał w batorowych dłoniach.

Spojrzał król na skreślone słowa.

Polską mową były spisane; teraz bowiem dopiero ów hymn chwały dla zwycięzcy gdańszczan, wyśpiewany zrazu po łacinie, przełożył Kochanowski na swą ojczystą mowę, dla tej racji, by rozebrzmiał po całej Polsce, wszystkim dał poznać one gorące, a sprawiedliwe chwalby, królowi przezeń składane.

Ku Halce pytanie Batory zwrócił, czyli przełożyć potrafi na madziarską mowę te nadesłane pieśnie?

I podał jej pergamin.

Naglądała weń przez chwilę, w ciszy miarkując słowa drobnego pisma Kochanowskiego i poszukując w pamięci wyrazów węgierskich, treść wiernie odbijacych.

Gładko chciała odczytać, przez moment więc sposobiła się do tego.

A Bekiesz, w śnie pogrążony, cicho leżał sobie na łożu, jakoby rad z pieczy, którą miał teraz przy sobie.

Bieleckiej zaś, w miarę, jak sunęła oczyma po papierze, rumieńce jęły występować na lica. Bo chyba z pod serca jej dobyta jest ta mowa, w pieśni tkwiąca, że zgoła odsłania myślenia jej tajne. Czuciem dopiero myślenia one miała w sobie, we słowa jeszcze nie obleczone, uniesieniem, tym żarem pragnień, by iść przed onym, mieść mu własnemi dłońmi z pod stóp ciernie, spychać kamienie, piersią własną słać mu drogę, którą szedł.

Byle być blisko, byle oną męską, twardą od żelaznej woli postać módz widzieć, oczyma do niej przywrzeć, — i nic już, nic ... jeno chronić onego od ciosów, odganiać zgryzoty, te promienie słoneczne zbierać, jako krople ros i prząść je nad oną dumną a samotną głową.

Zal jakiś wielki chwytał jej serce, trwoga w niej wstawała: oręże przecie nad nim są wzniesione ciągle, biją weń, by grom, niechęci zawistnych; bój jeden stoczył w ogniach i krwi, a teraz drugie bojowanie go cze-

ka z wolą nieustępliwą poddanych, ze ślepotą umysłów, z hardym oporem, który tam królowi gotuje, pono, sejm ...

To i rozedrganym zrazu głosem, zwolna, oczy mając spuszczone na zwój pergaminu, po madziarsku zaczęła ...

Słuchał.

Dryada,[20]) boginka lasów w Zamchu, Jana Zamoyskiego włości w Małopolsce, — zwołała teraz swe towarzyszki, i oto patrzą wszystkie, leśnem gąszczem skryte, na króla Stefana Batorego, który tu, goszcząc u kanclerza, na łowach dzień spędził.

Ujrzawszy postać królewską, zachwytem porwana Dryada, splata dłonie w uniesieniu i woła:

„Cóż to za gość, o siostry, przyszedł w nasze kraje?
„Sama twarz i uroda, sam statek wydaje,
„Że wielki jakiś człowiek, że król bezwątpienia,
„Onych cnych bohaterów jeszcze snać nasienia ...

Batory słuchał coraz uważniej ...

Zdało się, że coś postrzega, coś, skróś słowa wymawiane, poprzez dzwonny ton głosu czytającej — wyzierało ...

Było w jej sposobie mówienia niektórych słów tętno, od czci poddańczej silniejsze, zda się, rozwierające tajnię serca, niechwytne, duszącą wonią w głosie dziewczęcym płynące.

Że poglądał baczniej i nasłuchiwał onych rozkołysanych w niej tonów.

Zmilkła na moment. Tchu jej zabrakło ...

Znowu ozwał się głos niewieści, jeno zcichły, jakby rumieńcem przysłoniony, bo czytała:

„Mnie jednej, twą dzielność i twe słysząc sprawy,
„Serce niemylnie mówi, że cię z Bolesławy
„Równo Polska kłaść będzie ...

---

[20]) Dryas Zamechska, poemat J. Kochanowskiego, pisany na cześć Batorego.

Leciuchna barwa różana przewiała batorowe oblicze i wnet znikła, jeno te oczy jego nieruchome, tajemnicą dumań zasnute, zpod opuszczonych trochę powiek ku ziemi się chyliły ...

I zmilkła.

Biło jej serce, jak po wyznaniu ... Żrenice utkwiła w pergamin, który zwinął się w jej palcach.

Cicho, by chorego zapewne nie zbudzić, krótkiem słowem jej podziękował.

Wstał Batory.

Oczy świetliste, jeszcze ze wzruszeń nie ostygłe, nań podniosła, uniósłszy się z krzesła.

Popatrzył król Stefan na śpiącego.

Gdy obrócił się w jej stronę, pochyliła się kornym skłonem.

Rzekł:

— Nawiedzajcie chorego; wdzięczen jest wam za pieczę.

— Dziękuję ... — odpowiedziała cicho, nie wiedząc, czemu ów wyraz przyszedł na jej usta.

Przez sienie, w oddali oknem oświetlone, wracał Batory na swe pokoje. Poprzedzał króla kilku krokami dworzaniu, Lepseni, jakby w tej przedniej straży majestatu idąc.

Zaś tam, z głębi sień, w stronę kacprowej komory śpieszył Szandor Bekiesz.

Od Marfy rycerzyk się zwiedział, iż kasztelanka Bielecka u stryjca jego właśnie bawi, to i wpadł kawaler do swej bokówki, mieszczącej się w lewem skrzydle dworu, i, zrzuciwszy ze siebie strój ranny, żwawo wdział szafirowy kopieniacz, w którym mu do lica tak było osobliwie, że z samym Zółkiewskim do turnieju na urodziwość stanąć-by mógł. Jeszcze pasem rzemiennym, czarno- lśniącym w talii się opiął, figurant przecie był, buty miał na lustro, słowem paradę z siebie zrobił.

I taki piękny śpieszył teraz do stryjca.

Może-ć Halzuchna postrzeże, może olśni ją wabnym swoim pozorem; zażywał wszelakich sposobów, by to chłodne serce dziewicze, które czyniło mu się coraz droższem, ku sobie skłonić, zdobyć, dzierżyć przy swojem nazawsze.

Szandor Bekiesz, ujrzawszy idącego króla, stanął u ściany korytarza w postaci zesztywniałej żołnierskiego hołdu.

Skinął mu Batory głową, — myślami pogrążon szedł dalej. Po chwili przytłumione kołatanie rozległo się w oddali.

Król głowę odwrócił.

To Szandor Bekiesz, u drzwi kacprowych stojąc, zlekka w nie zastukał.

Coś mignęło w obliczu króla niezadowoleniem.

I wnet przywołany przez Batorego Lepseni, posłyszał rozkaz, aby Szandor Bekiesz natychmiast w kwaterze swej oczekiwał królewskiego przyzwu. Obecny być musi przy raportach przez Chojeńskiego składanych.

U samych drzwi pokrzyżowane zostały lube zamierzenia pana szandorowe.

W tym samym czasie Bolko Chojeński oblatywał dom, szukając jej skwapliwie. Dopiero w pustej jadalni dopadł Ustinkę.

Krzyknęła, ujrzawszy go:

— O reta!! Bolko!!

— Dyć ja ... Ustinko, ja ...

Do rąk jej się rzucił, radością uniesion, że to aż trzy lata minęły, jak jej nie widział.

Wyrywała mu te ręczyny, trochę przywstydzona.

— Zkądżeś się tu wziął, dla Boga?! — powiadała ucieszona.

— A z pana Mieleckiego obozu! zkądże-by? Podchorąży hetmański przeciem jest.

— Takiej wysokiej rangi?

— A cóś myślała? Ustinka, toć parłem się coraz, bojowaniem, tych szarż!

Przyglądała mu sie, patrzyła nań pilnie; byłże to on dawny Bolko?

— Śmigle wyrosłeś! — zachwycała się.

— A przecie mi już roków dwadzieścia jeden!

— Och jej! wiele!!

Patrzył na nią, rzekł:

— Spiękniałaś ...

— Powiadasz?

— Jakże, nie widzę to ...? Spominałaś mnie też kiedy, Ustinko?

— O, bo to raz!

— Powiadasz?

Mówili prędko, boć rącze słowa do ust im leciały.

Jakże! nie hodowali się to razem w Buławach?

Zwiezion tu przecie był z orszakiem młodej Salomei, de domo Bieleckiej, ninie Ościkowej, kiedy w mężowskie progi dworno wstępowała. Dzieciakiem jeszcze był, owdowiałej krewniaczki Bieleckich pacholęciem. Dziesiąta czyli nawet jeszcze dalsza była to woda po rodowym Bieleckich kisielu, oni Chojeńscy, ale zawsze wspólna z nimi krew, choć tą kapką, a w żyłach Chojeńskich płynąca; to i na mizerję bytowania zdać familjantów nie godziło się takim personatom, jak Bieleccy: i senatorów i kasztelanów i biskupów między przodkami swymi posiadali; wiadomo.

To i chował się w Buławach on Bolko, często za figle obrywając z ciężkiej ręki kuźmowej, bo chłopak był rączy, do wszystkiego ryzykant, odważny, to i czego się miał bać?

Rysie, uległe, malusie, ledwo gmyrające się, dwa Ustince z ostępu zniósł; małą jeszcze wtedy była, ośmiolatką, to go całowała za nie, że jej!

A kiedy mu raz rzekła, jako bobrowe ogony[21]) ze wszelkiego jadła są jej najsmaczniejsze, — ho, ho, wieleż to nocy, by ten bociek wystawał w jeziorkach przydźwinnych. A potem z tryumfem one smakołyki z cennego zwierza do dworu niósł i nie baczył, choć tam wujko Ościk Kuźma zesmagać go kazał raz i drugi za psowanie drobiazgu, z którego, gdy dojrzeje, futro przecie jest osobliwe.

Później, kiedy Ustinka trochę podrosła, to już razem na różne uciechy myśliwskie albo i te połowne puszczali się tajemnie; Marfa jedna wiedziała, ale do sekretu była z niej niewiasta pewna, Ustinkę miłująca, to się parę razy udało. No, nie zawsze, prawda; a jeśli na jaw wyszły one wymkliwe harce o świtaniach albo i powieczornych zorzach, to chryja podnosiła się w całym dworze, że Panie Boże ratuj!

Cóż, wszystko brał na siebie; powiadał, że nawet pobekiwała, nie chcąc z nim chodzić, jeno że molestował. Obronił ją zawsze; dałby to komu tknąć Ustinkę, choćby i jej rodzonemu ojcowi?

I bułanka jej ujeździł, że ów klękał, i z lewêj kłusował albo i z prawej, prosto na samo powiedzenie; wszyscy widzieli. Fechtować się ją nauczył i bronią lekką władać, a już konia zażywać to najbieglej . . .

Krótkie one nauczania były; do konwiktu ojców jezuitów w Wilnie był oddany, tylko wpadał na letnie tygodnie do Buław. Chcieli go Ościkowie Bogu na służbę oddać. To gdy się zwiedział o onem, jak nie drapnął z konwiktu, jak się nie zaszył w szeregach hospodara wołoskiego Iwoniego, który to akuratnie w sam czas koronacyjnego sejmu króla Henryka Walezjusza prał turków do żywej krwi i molestował sejm o pomoc przeciw onem pogańskiemu paskudztwu, jeno że bez nija-

---

[21]) Ogon bobra uważany jest jako przysmak. Marcin Kromer Polska str. 30.

kiego skutku;[22]) jak nie zaczął Bolko pod onym mężnym Iwonim cuda odwagi w bojach jawić, że na wyprzódki z najdzielniejszymi szedł, — jak mu tam łba turcy nie rozpłatali, że olejmi naznaczył go już kapelan, tylko, że się chwacko wykurował ze śmiertelnej rany i znowu w pierwszych szeregach stanął: to i poniechali Ościkowie zamiaru względem krewniaka, boć i matka bolkowa, przed śmiercią, wtedy właśnie poprosiła swoich i syna opiekunów, by chłopaka do kapłańskiego stanu nie zniewalali, żeć inklinacji do onego nie posiada żadnej.

O, do Ustinki to miał inklinację od zarania pacholęctwa; przecie i ona go lubiła, najwięcej ze wszystkich. jakże, nie widział to?

Trzy lata temu ostatni raz tu zaglądnął, ale na krótko. Skrzacikiem wtedy była piętnastoletnim, długa w nóżkach, jakaś flakowata, jeno że zawsze najmilejsza.

Pod Gdańsk wtedy szedł, przydan do Wejherowego pocztu, na boje wielmożne śpieszył; to go, żegnając, tak Ustinka płakiwała, jakby z samego serca lejącemi się łzami. Wołała wciąż:

— Bolko, dyć nie zgiń ... O, Matko cudowna .. Bolko ...

Aże ją jejmość Salomea uciszała. — Co tam pomogło? buczała, jeno że mu w radosne serce zlały się one jej łzy ... Miał je tam w sobie na pociechę, i jeszcze owo przypomnienie, jak to do nóżek jej przypadł i ciżemkę ustinkową ucałowawszy, już nie patrząc na nikogo, prosto na koń skoczył i pojechał.

Zpod Tczewa to wraz pod Połock z oddziałem był wysłany Chojeński, na kule, w ogień, ze śmiercią na harc ... Był tam, czasu całej kampanii, chlastany szablami, kulami pruty, zwyczajnie, jak w żołnierskich kondycjach.

---

[22]) Trzeci zbiór Pistoryusza, opisanie Lenarta Góreckiego, Raczyński: Panowanie Henryka Walezynsza str. 14.

Teraz dopiero, ot poszczęściło się: braciszkowie jezuici przywieźli hetmanowi Mieleckiemu żonine pismo, wieszczące źle, iż hetmanowa chorzeje już od trzech niedziel obłożnie i boleściwie. Zgryzł się hetman, który miłował przeciek żonę[23]) i uważanie dla niej miał, to pchnął Chojeńskiego do Wilna po język od onej. Niech cam obaczy, słowa jej własnemi uszami posłyszy i co tchu bieży zpowrotem z temi powiedzeniami.

Snać bolkowa zdatność i spryt pokierowały hetmańskim wyborem, że nie komu, a tylko Chojeńskiemu powierzył oną misję serdeczną.

Na Buławy szła droga, to i raporty zgotowali w obozie żywo dla króla, który w Buławach przecie gościł; ot i cały sekret bolkowego do onych przybycia.

Że tam gnany szczęściem, wesela pełen z pośpiechem jechał, nie dziwota, jakże; w pacholęce swe strony do krewnych, którzy go chowali ... do Ustinki ...

To patrzył na nią teraz, aż mu te oczy grały.

Ręce znagła rozłożył, przegiął się w tył, z zadziwienia silnego, zawołał:

— O! płonką cię odjechałem, a tą różą teraz witam!

— A tak, popięknialam ... — przyznała mu pewna siebie.

Rzucił się znowu do jej rąk w pokrzyku jakby witalnym:

— Ustinka!! — Radowała się w nim ta bujna młodość, ponosiła prawie.

Aleć wyrwała mu ręce z pod samych ust, pochowała je fertycznie za siebie i rzekła:

— No, powiadaj, co z tobą?

— Co ze mną?! — Sprostował się dumnie, tę młodą głowę uniósł, rzekł:

— Co ze mną, to starszyzny pytaj, wojaków najwyższych, i słuchaj, coć rzekną ...

---

[23]) Hetmanowa Elżbieta z Radziwiłłów, córka Radziwiłła Czarnego, brata królowej Barbary.

W ten mig zmiarkowała, jaki niepowszedni jest teraz z niego kawaler.

— A gębę masz zbronowaną bliznami, że jej!! — w admiracji poglądała.

— Ba, nie za byle co każda mi przyszła! Pod Tczewem, to ta na policzku, a z pod Połocka ta na czole ledwo zagojona, kiedyśmy już tak pierś na pierś z moskalami się barowali! Tę wielką na łbie, gdzie mi włos już nie idzie to w Gdańsku oberwałem, a te tam drobne: na szyi, na rękach, to i nie pomnę nawet...

Głową w zdumieniu chwiała, bohaterem jej się widział; nie był że to nim? A zawsze ten sam: modrooki, wesół, w nią patrzący, by w to słońce, teraz nawet jeszcze ogniściej ... on-że, Bolko ... Zarumieniła się czemuś, liczko spuściła.

— No — przerwał opowiadanie — co tam, boje bojami, a terazem tu, w Buławach najmilejszych ... Rwałem się od dnia przybycia pod Połock, aże dusza we mnie skowyczała: bliziuchno przecie, byle oczy mocno wytężyć, a Ustinkę obaczę!

— Co gadasz, mil dziewięć, Buławy przecie z boku...

— I cóż-że dziewięć! A choćby tam i cały świat grodził! — męską wiernością zabrzmiało mu w głosie.

— A z tobą co? ... Ustinka — zapytał po chwili, że to zakołysało się w nim serce przy mówieniu o onych dalekościach, ich grodzących.

— Co z tobą ...?

Milczała moment, jakaś przyłapana, poczem rzekła, jeno niezbyt głośno:

— Zrękowionam ... — I rękę z sygnecikiem uniosła.

— Co?!!

— Z Bakonim ...

— Jak powiadasz?! — Zdało się, że się nie połapał w jej słowach, rozumieniem nie obiły się o jego słuch.

— Co? ...

Teraz dopiero cofnął się krok, spojrzał w nią, jakby znagła ujrzaną, te oczy modre stanęły mu nieruchomo, skamieniał prawie.

— A tak ... zrękowionam ... — lękliwie padało z jej ust — z Bakonim ... Istwanem ... — głowę spuściła.

Wolno, boć jeszcze nie całkiem wchłonął w siebie oną wieść — powiedział:

— Ustinka ... możesz-że to ... być ... prawdę mi jawisz ...?

Potakiwała jeno głową, z oczyma spuszczonemi ...

Co mu to w głosie zabrzmiało ...? W onem zcichłem bolkowem pytaniu ...? — Że jeszcze niżej lica spuściła. Ciemny warkoczyk z ramienia jej się zesunął i na piersi dziewiczej chwiał teraz, bo oddychała śpiesznie.

Nagle zawołał Chojeński:

— Co powiadasz?! Dla Boga!! ... Jezusie ...

Za czuprynę się chwycił, zczerwieniał, buchnął weń jakiś ogień.

Ile zpowolniał zrazu, posłyszawszy tę wieść, tyle teraz stał się zgorączkowan.

Za rękę ją porwał tak mocno, że źrenice trwożnie na niego podniosła.

Oczy mu gorzały, brwie zwarły się, jako groźna chmura, dygotał cały.

— Prawda to? Gadaj!!

Przelękniona powiedziała tylko:

— ... zrękowionam ...

Puścił jej rękę.

— A ojcowie? — padło z bolkowych ust.

— Króla prosił Istwan o wstawiennictwo do nich ... Nie odmówił.

Młodą głową chwiał przez chwilę, wpatrzony gorejącemi źrenicami w dal. Mówił półgłosem wolno:

— Ani mi to kiedy do łba przyszło ... Gdzie? — Ze mnie tam ustrzelą ... jeno to, myślałem, rozłą-

czy nas ... Dyć-em miarkował jasno, iż upodobanie do mnie masz ... — tłumaczył się sam przed sobą. — Kiedyś chorzała, malusia jeszcze, siedmiolatka, jeno mnie do się przywoływałaś; nie matkę, nie ojca, mnie jeno ...

Potakiwała tym jego słowom spuszczoną głową.

Zcicha rzekła:

— A kiedy zdało się, już parę ostatnią ze siebie puszczę, jakeś-to tłukł głową o wierzeje, aż się rozlegało...

— A tłukłem.

— I w ramionach mnie nosiłeś, kiedym już z łoża wstawała, ale jeszcze stąpać nie mogąca ...

— Boś była, jako wątła płoneczka ...

Znowu usłyszała tętno w młodzieńczym głosie, które samych dusznych głębokości się ima ... W gardle ściskało Ustinkę.

Mówił Chojeński z uniesieniem teraz:

— Wszystko ja pomnę, wszystko, by klejnoty miałem w sobie, czasu onych bojowań ... W walkach śmiertelnych widziałem swój splendor. Jakże ... Próżen przecie byłem bogactw: ni ziemi, ni mienia wszelakiego ... Nie miałem nic wtedy, jak i dziś. Jeno, że dziś mam cześć rycerską i oną chwałę, która z ran, ciekących krwią, imieniowi mojemu spłynęła ... Wiedziałem, żeś wysoko, tom na te wyżyny szedł ... Albo polegnę, albo dojdę! — Dla ojczyzny czyniłem, prawda, bom jest polak prawy, ale ... i dla ciebie, Ustinko ... Dla ciebie — przycichłym głosem powtórzył raz drugi.

— Żeś wiaterek, wiedziałem ... jeno i to baczyłem, jakąś dla mnie była, tom i nie żałował ran ...

Unosił się, tętniał mu głos bólem, co się ze zranionych głębin dobywa, że łzy ciurkiem już lały się dziewczynie po licu.

Nagle zczerwieniał, żywym ogniem zagrały mu źrenice:

— Żeć serce w tobie nie krzyknęło: „Bolkowem jest!“ nimeś on sygnet istwanowy wdziała ...

Już chlipała coraz głośniej.

— A teraz ... co ze mną? ... Jako ten odegnany pies w świat pójdę ... jako ...

Nie dokończył, za łeb się chwycił i, na Ustinkę nie spojrzawszy, wyleciał z komnaty.

— Bolko!! — krzyknęła za nim.

Nie nawrócił.

To buzię w dłoniach skryła i jak nie zacznie płakać, tych łez z oczu lać, a targać się w szlochaniu ...

IV

Wstawał ranek cichy, opajęczony mgłą, przedwschodni.

Motały się tam jeszcze te białe rozwiewy, jeno, że chyląc coraz ku ziemi; a zać w górze lśnęło już modrą czystością, zmytą rosami, kryształową, rzeźwą...

Cudny czynił się dzień.

Tam zaś, na wschodzie gorzało niebo przedsłonecznym pożarem, jakoby dymy krwawe nad horyzont biły, wieje purpurowe, niosące na sobie słońce.

Czyniło się coraz pogodniej.

A wiaterek słabiuchny wstawał właśnie z leśnych ostępów, akuratnie dla umniejszania zwierzowi czujności węchu. Dzień mieli, zda się, sposobiony na łowy..

W ów „rumiany przedświt jesienny zgromadziły się liczne czeredy myśliwców“ przede buławieckim dworem.

„Król miał się już wkrótce ukazać, aby z całym orszakiem nadwornym puścić się na łowy, które miłował nadmiar, a będące w jego życiu trudów i walk jedyną rozrywką. Innych nie znał.

W powietrzu rozlegały się głosy grających ptaków, które już swe gniazda o wczesnym ranku rzuciły. Ich świergot coraz weselszy przerywały kwilenia rarogów i sokołów. Rżą niecierpliwie konie, i psów słychać szczekania. Już wszystko w pogotowiu.

Nadworny łowczy, pan Jan Krzysztoporski zaprowadził wszędy ład i porządek i, pędząc na rączym rumaku

po szerzy wielkiego majdanu, jeszcze raz ostatni lustrował szeregi myśliwców i łowczych.

Już wszyscy zajęli swe miejsca na szybkich i lekkich koniach. Tam, na prawo, jakby na skrzydle wojska stanął w dziedzińcu dworskim niewielki oddział sokolników, których sprawia Łukasz Biedrzycki, ptasznik zawołany, wierny sługa królewski. Najprzedniejsza pod jego dowództwem rzesza ptasia, która się na pozór w dziwnym przedstawia nieładzie: białozory tu i owdzie porozsiadały się na karkach i głowach koni. Ich białośnieżne pierze na czubkach i na szyi, odbija jaskrawo od ciemnej maści wroniego rumaka. Wyuczone konie już przywykły do ostrych szponów sokolich, a sokół także oswoił się już z ruchami niespokojnego bieguna. Jedynie białozory nie mają na głowie żadnych „czapeczek“ z powodu słabego wzroku, innym zaś, bystrzejszym i lotniejszym powkładano na oczy różnokolorowe kapturki.

Głębiej w dziedzińcu, poza oddziałami, ptaszników, na jednem i drugiem skrzydle uwijają się między niecierpliwymi końmi — różnego gatunku psy myśliwskie, to rącze charty na sworach, to przylegacze, to wyżły, ogary, popędzace, znalazce ...

Jedne sprawuje Feliks Nowik, ma szesnaście chartów na sworze, ale sobie nie może dać rady z tą drużyną wiatronogą.

Myśliwczyków i pacholąt wiejskich na tyłach psiarni całe szeregi. Dopiero za nimi ruszą myśliwskie rydwany. Jołda i Mucha wiozą wielkie sieci łowne, bez jakich na grubego zwierza puszczać się nie można. Kitce i Golbie dano wóz ze sprzętami kuchennemi i żywnością, która tam dla starszyzny narządzona będzie w drewnianych namiotach, które Ościk powznosić kazał w borze na czas łowów królewskich.

Jelonek ma konie zaprzężone do pustych wozów pod przyszłe łupy łowieckiej wyprawy.

Przed gankiem dworu, wpośrodku myśliwskiego kręgu, kilkanaście koni osiodłanych rży niecierpliwie w oczekiwaniu swych dzielnych jeźdźców.

Dosiadł jednego z tych koniuszy nadworny, Kacper Maciejowski. Daje znak giermkom, aby trzymali w pogotowiu swe rumaki!![24])

Różana barwa, od wschodnich roztoczy nieba lejąca się na ziemię, coraz się wzmacnia, że już pławi się w niej świat cały, kraśnieje w tych tchnieniach dalekich ...

Lecz oto złotawe czynią się skłony niebieskie, mocnieją w oczach jasnością dnia. Wiaterek chybki, trzepotliwy, już, już przedsłoneczny, oblatuje stwór ...

Aż i trysnęły znagła pierwsze rzuty promieni, czerwień od jednego tchu znikła, a jeno ta czysta, kryształowa, skrząca się światłość zalała ziemię: zamigotał rąbek ukazującego się słońca.

Jeszcze Szomlai ściągnął popręg pod siodłem królewskim, Teleki pogłaskał lśniącą szyję batorowego, pieszczonego Mustafy, który łbem czarnym potrząsał i białopęcinową nogą bił niecierpliwie o ziemię. Ogon przepyszny odsadził, kark wygiął. by tę łabędzią szyję, gotów już był do lotu.

Apoldi, Nagy, Stójka i inni giermkowie, których Batory lubił do koni używać, zrównali się w szeregu, żeby podawać w porządku bieguny swoim panom.“

„Aż oto na ganek, promieniejący radością, uśmiechnięty, swobodny, orszakiem dostojników otoczony, wszedł król.“

Stanął, spojrzał w on dzień słoneczny, hoży, zapowiadający nieschmurzoną na cały czas łowów pogodę. Pierś Batorego odetchnęła wysoko balsamicznem tchnieniem.

Miał na sobie król Stefan kożuszek krótki, czarnym barankiem oszyty, ściągnięty czarno-lśniącym pasem, na

---

[24]) A. Pawiński: Batory jako myśliwy.

głowie on ścięty nisko kołpaczek, nad którym kołysała się czapla półkitka.

Pełen był Batory wesela; to jego hartowne, by z żelaza ciało, znoszące ochoczo wszelki trud, do niewygód przywykłe, zdało się dziś „młodzieńcze, jakoby w samym wiośnianym kwiecie“, aż biły odeń zdrowie i siła.

Zszedł ze stopni ganku razem z Kuźmą, Ościkiem i kanclerzem Zamojskim, do rumaka swego się zbliżył. Uśmiech to mu z męskiego oblicza nie schodził, że bielały one śnieżne zęby w rozchylonych pod czarnym wąsem ustach.

Szomlai podał mu Mustafę, Batory ujął cugle, nogę w strzemieniu sparł, dosiadł bieguna.

Wtedy łowczy dał znak: ozwały się trąbki myśliwskie; szybko dosiadało rycerstwo swoje wierzchowce.

Grał jeszcze łowiecki apel, Batory zawołał radośnie:

„Mily gyōny oruseg! Mily ö rōin! Nem lech szabbet gondolni! (Co za rozkosz! jak cudnie! Nie masz nic nad to piękniejszego!)“

A Zygmunt Fogacz i Majlot Cathai, którzy pędzą obok króla na koniach, jego nieodstępni towarzysze na łowach, podzielając zachwyt króla, półgłosem przytakują: — Felséges! Csoda latos!“

Już rwie cała liczna drużyna myśliwska ku przydźwinnym borom, w białoruskie puszcze dziewicze.

Został na ganku jeno Hrehory Ościk; kobietom miał towarzyszyć i nad niemi czuwać, które dopiero za godzin parę, przed samem południem zjadą tam do myśliwskiego koła, by popatrzeć na łowy.

I Bakoni Istwan też w Buławach pozostał, że to wyprosił sobie u króla strożowanie przy ustinkowym boku. Zgodził się król, owszem, Istwana lubił, nie przyrzekł mu to swem królewskiem słowem poprzeć go u Ościków? Więc wyczekiwał teraz w ganku kawaler na swą bogdankę niecierpliwie.

Ktoś jeszcze tam był w Buławach, którego pozornie łowy nie znęciły: to Szandor Bekiesz otrzymał permisję od króla nie uczestniczenia w myśliwskiej zabawie, że to chciał niby dnia tego czuwać u łoża chorego stryjca.

Trochę tam po prawdzie symulowana była owa troskliwość o krewnego: Ferens Weselini i Martfa dostatecznie przecie go strzegli; to też inne były racje pana szandorowe, a jawiąc je z tajnych zamysłów dorodnego kawalera, trzeba rzec, iż nadzieja to spędzenia godzin kilka z Halzuchną w uciszonym domu, po wyjeździe dworu i całej rycerskiej rzeszy, a następnie chęć towarzyszenia jej podczas wycieczki na łowy, takowe wybiegi nasunęła rozmiłowanemu już do cna rycerzowi.

Nie młokos to przecie był, za lada wichrem uczuć lecący, lat liczył dwadzieścia i siedem, świat znał, ludzi znał, no, i znał siebie. Ta, owa w oko mu już nieraz wpadła, wiadomo, urodziwy był mężczyzna na podziw, dworny, stateczny i z rodu wysokiego; to szturmowały doń wabnemi minkami zalotne białogłowy. Ale jeno faramuszki to dlań były, nie przebijające twardej obojętnością piersi szandorowej.

Tu jakieś słówko cieplejsze, ondzie drobnej dłoni uścisk albo i ten całusek przelotny niewieściego lica znaczyły wystarczająco różaną barwą dzieje młodocianych wrażeń. Serce miłośnie dotąd w nim nie zabiło, bo każda widziana zdała mu się jeszcze nie tą śnioną, pragnioną w tajni męskich czuć.

Dopiero ona, Bielecka, nadobną postacią, jakąś szlachetną dumą dostojną, licem o rzeźbie snycerskiej, wejrzeniem prawej Wenery, tym czarem niewieścim, który oniewala, zbudziła to zamknięte dotąd serce rycerza.

Nocami jął nie sypiać, bo czuł ją pod jednym ze sobą dachem, świat mu pustoszał, gdy jej nie widział; rzuciłby wszystko: zawód rycerski, splendory, sławę, byle z nią w cichem ustroniu żyć, żoną swą zwać, mieć z nią dziatki ...

Ach, i na miłującem sercu ją nosić, poić się szczęściem patrzenia na ono cudne lico, uśmiech jej ku sobie mieć zwrócony, słodki i oddany ...

Przekonał się rychło, że na opoce niezłomnej twierdzi się w jego sercu owa rodząca się w nim miłość.

Tedy, że dojrzałym był już mężczyzną, plan sobie ułożył, jakoby drogę prawną, jawną i nie wykrętną, na którą wszedł ku zdobyciu Bieleckiej.

Prawda, odjedzie teraz z Buław; u królewskiego boku stać musi czasu sejmu w Warszawie.

Aleć znane mu są przecie zamysły króla, wiedzą najbliżsi poufnicy, że, byle nowe pobory sejm uchwalił na drugą wyprawę, byle Rzeczpospolita na następny bój z Moskwą zezwoliła królowi, — to i przylecą tu wszyscy wiosną, jako orłowie ... przylecą.

Nadzieja Szandorowi świtała.

A ona?

O! czyż moc męskiego kochania nie oczaruje kobiety? Czyliż krzyk serca miłującego echem w niej się nie ozwie ...?

Ufał.

Minutę ledwie zabawił w świetlicy stryjowej; toć raźny był stary. Co mu tam dolegało? nic prawie, mówił iż jutro z łoża się dźwignie. To i ostawił go Szandor na opiece Ferensa Weseliniego i rad wielce na pokoje buławieckie pośpieszył.

Jeno że z kąta w kąt potem się tam przechadzał, akurat, jako i Istwan Bakoni; obaj dybali na panny, zaś one ze swych dziewiczych nie wychodziły komnatek wcale.

Wiadomo, jak to dziewki przekorne; że zwiedziały się od Marfy, iż obaj kawalerowie wyczekują na nie, to i rozmyślnie nie pokazywały się im, wiadomo.

Choć z Ustinką było trochę inaczej. Ledwo posłyszała o Bakonim, że czatuje tam na nią, to aż spłonęła na buzi, zapaliły jej się źrenice, stała się niecier-

pliwa, zła i kąśliwa, iż garderobiana, wdziewająca na nią myśliwską szatkę, wydziwić się tej niekontentności nie mogła. A szatka była przecie śliczna, zielono-sukienna, króliczem futerkiem oszywana, fałdzista w spódniczce, na fest opinająca pannę w biuście i talii, u szyi temże futerkiem bielejąca, by puchami łabędzi. Cudnie było Ustince, gdy kołpaczek takiż na ciemną głowę nadziała; lecz, miast zejść na dół do kawalerów, siadła u stołu na zydelku, nóżki, obute w żółte wysokie buty, foremne, że to stopki miała drobne, wyciągnęła przed siebie, łokcie wsparła o stół, brodę na dłoniach złożywszy, przyglądała się machinalnie, strojącej się Bieleckiej.

Ta zasię z ciemnych szafirów aksamitu jubkę i myśliwską jakę miała, na dole wokół oszyte bobrami, co to mięciuchne są, a połyskliwe, w dotknięciu lube i jak wąż krążą dookoła. Czapeczkę wzięła panienka białą na denku i także brzeżkiem bobrowym oznaczoną, ale tuż nad włosami; kitkę sobie jeszcze sokolą z boku do czapeczki krwawym rubinem przypięła. Aż ujrzawszy ją w tym całym przystroju, Ustinka główką pokręciwszy, rzekła:

— Fiu, fiu! niczem ta boginka leśna.

I raptem skoczyła ku siostrze, w pół ją chwyciła i, całując jej cudne lico, wołała prosząco:

— Halzuchna! dla Boga, zmóż Istwana, rozmiłuj w sobie, wdzięków na nim poprobuj!

— Byśmi to oczy wydrapała, co? — zaśmiała się Bielecka. szczęsna dziś i hoża i czegoś pełna wesela.

Ale tamta schmurniała, twarz ku ziemi zwróciła, westchnęła ciężko i, w dół patrząc, szepnęła:

— Oj ... nie. — I znowu westchnęła.

A tu już schody dudniły, bo leciał chłopak kredensowy, słany przez masztalerza Maciejowskiego, z doniesieniem, iż wierzchowce już stoją przed domem, i bojarynia Ościkowa jest na ganku.

To i zbiegły rączo, posłyszawszy o tem.

O, masztalerz wystąpił dwornie, chcąc zaimponować nawet królewskim koniuszym; pannom, że to śmignąć może zechcą galopem za jakim umykającym szarakiem, to wierzchowce, dla swobody ruchów, tylko w siatki krótkie odział na łbach, do półbrzuszy i aż ku podogoniom sięgające. Czarne były siatki, misterne, z kordonków jedwabiu, pętliczkami zakończane, — a zaś konie oba wybrał pod siodła cisawe, to poprzez oka, opinającej sieci przezierała jasna maść biegunów, że pięknie się widziało.

Dla Ościkowej klacz była ciemno-gniada, ciężka, lecz mocna, akurat, by obfitą we wdzięki niewiastę udźwignąć i ponieść.

Statecznie bojarynia zażywać przecie będzie konia, tedy ustroił go masztalerz we wstęgi płowej barwy jej rodu, że spływały ku ziemi, chwastami zakończone, niby ten płaszcz wierzchowca bogaty.

Zbędne to wszystko nie było: królewskie łowy; raz drugi może takich buławiecki dwór nie dostąpi. To i paradę zrobił odświętną.

Sam Maciejowski pomógł Ościkowej dostać się na ono siodło wysokie, umocował na niem niewiastę, która ciemną szatę, futerkiem podszytą na sobie miała, zdobną w te floresy zakrętne, z czarnej taśmy robione, a czapka z soboli osłaniała jej głowę.

Ku pannom skoczyli kawalerowie.

Na szandorowej dłoni otwartej stopkę wsparłszy, uniosła się lekko Bielecka i, w mig nogę przełożywszy przez oną kulę, która utwierdza kobietę w siodle, cugle Halzuchna w ręce chwyciła i nawracała kręcącym się koniem. Polki przecie zażywać go umieją.

Ustinka poczubiła się o coś z Istwanem, jako źle jej rękę podstawia, czego on i nie zrozumiał, że niecierpliwie przyzwawszy stojącego wpodle giermka, kazała mu przyklęknąć i po ramieniu onego dostała się na grzbiet wierzchowca.

Ościk Hrehory już na swym srokatym siedział, to i puścili się w drogę: damy w przedzie, z kawalerami pobok, Hrehory za niemi krok trzymał, a dalej masztalerz Maciejowski i paru koniuchów.

Jechali.

Pławił się świat w słodkich promieniach, prawie ciepłych, wesele biło ze słońca, niebo bladym błękitem grało aż pod skłony, dal czysta, wielka, wzgórzami pogarbiona, toczyła się ku widnokręgom. W podzachodniej stronie bory ciemniały tą zwartą ścianą.

Na samą najciekawszą chwilę zajechali.

Wielką szerz leśną zajął był krąg myśliwców; drzewa to tam pozwalać kazał Kuźma Ościk już wprzódy, a zostawiono tylko te, które dla żubrzych łowów są niezbędne.

Puszczę, od głębin jej tajnych, grodzili myśliwczyki i zwołane chłopstwo, by zwierz łowcom nie zmykał, a właśnie na nich szedł. Ów krąg, z włościan złożony, obiegał cały dookoła ostęp, zaś rycerze u drzew stali rażąc zwierzynę.

Na wozach Jelonek już miał sporo sztuk rogatych onagerów, z łacińska tak nazywanych, które w naszej mowie mienią się łosiem.

Łatwe na niego są łowy, to i nie dziw, iż napsowano go wiele; bo chociaż łoś to zwierz wysoki, na goleniach długich, konia często przewyższający wzrostem, ze łbem u samców rogami rozskrzydlonemi zjeżonym, jednak, że w jesieni tracą łosie racice u nóg tylnych i nim te nie poodrastają słabuje zwierz i chorzeje, przeto pora obecna najlepiej nadawała się na łowy onagerów. To też z samego ranka nazabijali ich wiele.

I pantery, rysiami tu zwane, których brzuch i nogi obrosłe są cennem futrem, leżały też tam na wozach, krwią spaprane; udawały się łowy. Rosomaki cztery

ustrzelono, a kun i wilków — nie zliczyć; królewski przecie był turniej, każdy usiłował się popisać.

Zagrzali się myśliwcy, ta żądza zdobyczy, pragnienie górowania nad drugimi celnością strzałów, zręcznością ruchu, krwią zimną — już tam namiętniły świetnych uczestników turnieju.

Misia też zabili, sam król oszczepem go był zbódł, przed samem przybyciem niewiast.

Sieci były rozstawione, że się w nie pojmał wielki starawy już niedźwiedź, zagmatwał się, splątał i, tarmosząc się w onych pętach, runął na ziem.

Hurmem rzucili się doń myśliwi, jeno królowi pierwsze uderzenie oddawszy; zaś na drugie już kolej chybiła, że to Batory jednym żelaznym ciosem obezwładnił zwierza.

Nie darmo mieniono króla Stefana lwem łowów; był nim istotnie.

Wywlekano właśnie zabitego misia poza krąg łowczy, ku wozom go ciągnąc, gdy niewiasty ukazały się na wzniesieniu, kędy grunt o kilka stajani od ścian puszczy, garbi się szeroko.

Akuratnie i przerwa była w turnieju łowieckim; dostrzeżono białogłowy, to i czapki myśliwcy z głów przed niemi unieśli witaniem dwornem.

Król też rękę do kołpaczka uniósł, ku bojaryni głową lekki ukłon z oddali zwrócił.

Bliżej podjechały.

A tu krzyk wzbił się znagła, cała czereda myśliwczyków i chłopiego pospólstwa we wrzask uderzyła . . .

Pan Jan Krzysztoporski, nadworny łowczy, z ciemnych głębin puszczy rwał na spienionym koniu, służbą otoczon; jakże, sam moment szczytowy łowów nadchodził: wpędzono żubra w myśliwski kręg.

Poodrzucali rycerze oszczepy; co one tam warte na żubra! Łuki, strzały chwycili, one półhacze, któremi się wali zwierza między rogi, by się obrócił. Oszczep,

jaki się bierze na niedźwiedzia, tu nie sposobien wcale a rusznica jeno. To też ją szybko podawali giermkowie swym panom i one płachty czerwone, do juszenia zwierza służące.

Łowy na żubry sposobem takim się prowadzą:

„Gdy żubr, on bisons po łacinie zwany, tętentem koni, wrzawą łowiecką, szczekaniem psów wystraszony zostanie ze swej kryjówki na środek ostępu, wtedy myśliwcy, zaczajeni między drzewami, miotają nań postrzały w miarę tego, jak się zwierz ku któremu zbliża. Zraniony żubr rzuca się do drzewa, za którego strzał go dosięgnął, uderzając w nie rogami i pędem całego ciała.

Tymczasem łowiec, wciąż rażąc zwierza, cofa się, a przy pomocy potężnych psów, krąży z nim dookoła drzewa, bo zwierz gonić zwykł tego, który go poraził, aż póki żubr spracowany lub śmiertelnie ranny nie upadnie. Jeśli myśliwiec chybi w strzale, lub grozi mu insze niebezpieczeństwo, drudzy ze swych kryjówek ukazują płachty czerwone, która barwa o wściekłość zwierzę przyprowadza. Tak drażniony żubr, opuszczając pierwszego, rzuca się na następnego strzelca ...“[25])

One łowy na bisonsa to już nie sama tylko zabawa łowiecka; raczej turniej na śmierć i życie, na kalectwo czy na chwałę, prawie na splendor szlachecki: byli z plebsu, których, podobnie jak za wielkie czyny bojowe, nobilitowano w nagrodę bohaterstwa okazanego na wielkich i niebezpiecznych łowach, herb sobie zdobywali, zwyciężając potężną bestję.

To też i teraz dech niejednemu zapierał się w piersiach, przycichały lub łomotały serca, gdy tam, w głębi ostępu stanął on król puszczy, żubr.

Znieruchomiał, zdało się, pogląda dokoła.

---

[25]) Marcin Kromer. Polska str. 31-32.

Ogromny był, zbrojny wielkiemi, czarnemi, na wewnątrz nieco zachylonemi rogami; małoż to jeżdzców one żubrze rogi z konia w górę cisnęły? mało grubych drzew z trzaskiem powaliły na ziemię?

Łeb wielki, z szerzawą u czoła na trójstopę, obrośnięty kędzierzawym włosem, jako i całe potężne cielsko, schylił teraz zwierz, iż ów wspaniały, gruby podbród, fałdą potężną zwisł mu ku ziemi.

Naszczekiwały nań zdaleka głupie ogary, jeno że lękliwie, i one miarkowały, jako sprawa zaczyna się gruba.

Wyczuwał snać zwierz czyhające niebezpieczeństwo-bo znowu łeb dźwignął, bił ślepiami myśliwską czeredę, ostęp okalającą zwartą ścianą.

Zwolna szedł pustym środkiem; chyży z przyrodzenia, teraz zpowolniał.

Cisza uczyniła się dookoła ...

Ku kanclerzowi Zamoyskiemu mierzył, chodem równym, że ów nasadził strzałę na łuk. Załośnie przyjękła cięciwa, grot błyskawicą mignął, już tkwił w karku zwierza.

Ryknął żubr, skoczył naprzód, walił prosto na drzewo, za które chyłkiem kanclerz umknął.

Zaplątał się zwierz rogami o konary klonowe, trzasnęły gałęzie, uskoczył Zamoyski, żubr pędem za nim leciał.

To począł kanclerz krążyć dookoła drzewa, a ów machał za nim, jusząc się coraz bardziej.

Jeno Zamoyski, człek przyciężki, wzrostem wielki, chyżych ruchów pozbawion, za blisko drzewa swego krążył, żubrowi umykając, a tenże spracowany jeszcze przecie nie był, kilka strzał ledwo tkwiło mu w potężnym karku, raniąc tylko boleściwie, lecz nie śmiertelnie.

Zmykał więc coraz prędzej Zamoyski, bych żubr językiem szorstkim kraju szaty jego nie dotknął, wiado-

mo bowiem, że wtedy, siłą jakąś nieznaną a groźną ku sobie strzelca pociąga i obala.[26])

Może i przygodziłoby się co złego dostojnemu mężowi, boć już, już, a zdało się, że kanclerz mu nie umknie; jeno Bolko Chojeński, w kolei tam przy następnem drzewie stojący, niebezpieczeństwo widząc, dybiące na kanclerza, zawiał nagle czerwoną chustą, trząsł nią, oczom zwierza jawiąc, że podrażniony, rykliwy już groźnie i rozsierdzony żubr, kanclerza poniechał, skokiem rzuciwszy się w stronę Chojeńskiego.

Wtedy Bolko jakby na harc z nim się puścił.

Gdzie mu tam o szyciu strzałami, o łuku było myśleć, rzucił go na ręce giermkowi ...

Pułhacz jeno miał, by walić nim między rogi, rusznicę dla strzału, i oną gibkość w młodzieńczem ciele, umkliwość błyskawiczną, odwagę lwią i płomienie w oczach: oto, z czem rzucił się na żubra.

Krzyk się zerwał grozy i zdumienia, bo cisnął Chojeński na ziem płachtę czerwoną, a gdy pędem żubr do niej przypadł i jął tarmosić wściekle, trzasnął go Bolko pułhaczem między czarne rogi. Obrócił się zwierz i ze strasznym porykiem ku umknionemu już skoczył.

Skrył się Bolko za drzewo, drugą płachtą, którą doń rzucił germek, zawiał prawie podle łbem żubra i błyskawicznie mizerykordją rozjechał mu skórę tuż nad ślepiami, aż kość zachrzęściła; i znowu uskoczył za masztową sosnę.

Był jak błyskawica prędki, jako piorun rażący, ściglejszy od zwierza, kąsający go, prójący mu boki pociskami celnymi. Że, rozwścieczony żubr walił tym uraganem na swego prześladowcę.

Brzuch mu już Bolko rozwalił, iż trzewia obwisały ze środka niżej i niżej; kopytami o nie zwierz jął zahaczać, przydeptywał je, wywlekał z wnętrza coraz ob-

---

[26]) Tamże.

ficiej. Zaś rana, mizerykordją żubrowi zadana, brocząca krwią, zalewała mu oczy, iż chwilami na ślep walił zwierz, trykając wściekle o drzewa lubo i w pustkę samą. — Była w tem nieraz ochrona dla Chojeńskiego, albo i niebezpieczeństwo większe, gdyż odwracać zwierza wianiem chusty nie dawało się za razem każdym.

To też uskakiwał tylko młodzieniec i znowu godzi w ranionego, pról mu skórę, dziurawił kulami.

Taniec był to jakiś piekielny, od którego krew patrzącym tężała, tchy do ust nie szły, groza bezwładniła myśliwców.

Niektórzy zjeżdżali bliżej, by patrzeć. I Batory był między tymi, o parę stajań na wzgórku przystanął, — wrażeniami mocnemi grało mu marsowe lico.

Ale snać raptowy zlew posoki nad oczyma zwierza — ustał, żubr zgarnął się w sobie, pochylił łeb zjeżony rogami i natarł na Chojeńskiego całą siłą, prawie go już chwytał...

— Bolko!! Jeszcze cię rozedrze!! — wybił nad szamoty zapasów, nad zgrzyt żelaza krzyk Ustinki.

— Niech ozedrze! — zabrzmiało od ostępu odrzutem zaciętym, uporem mściwym. — Żałować nikt nie będzie, niech ozedrze!

I zmałga się Bolko lany potem, opryskany krwią, błyskawiczne rzuty spojrzeń śląc ku nacierającemu zwierzowi.

Bo, chociaż następni, w kolei stojący myśliwcy, chcąc zmylić żubra, ku sobie go zwrócić, wiali tam krwawemi chustami, — nie puszczał Chojeński zwierza od siebie, pod samemi onego ślepiami tarmosząc czerwoną płachtę.

To Ustinka skryła lico w otwarte ręczyny i szlochała bezmocnym, duszy zranionej płaczem.

Męka była w jej łkaniu, paniczny strach i krwawy wyrzut bolejącego serca.

Usiłował ją Bakoni uspokoić; mówił, że czasu łowów takie harce nieraz się przygadzają. Ale jeno złe

pojrzenie rzuciła mu do oczów, jak ta kotka rozsierdzona, a potem znagła koniem zawróciła, ku stojącej opodal matce podjechała i wcisnęła się swoim cisawym między wierzchowca bojaryni i Maciejowskiego, który tam straż trzymał.

Istwan zaś wcale wymiarkować nie mógł, co za przyczyna rozgniewała tak umiłowaną przezeń pannę.

A tam, na ostępie zmachany był już zwierz, osłabion ranami i krwi utratą, oraz tą wywłoką dobywających się trzew, że, instynktem wiedzion, ledz usiłował. Raz, drugi grzebnął już przedniemi nogami ziemię, jakby schcąc legowisko sobie czynić, bowiem upust wnętrzności takowe ruchy przyrodzone dyktuje wszemu zwierzowi. Teraz już bronił się tylko żubr.

Chciał go dobić Chojeński, to jak się nie zamachnie pułhaczem ...

Lecz nie zdążył ciąć, — umkliwym skokiem nieoczekiwanym, a sił ostatkiem, we krwi cały rzucił się w bok olbrzym leśny, tam, w oną pustkę, międy drzewami, przy których stali łowcy, i prosto już walił w tłuszczę myśliwczyków i pospólstwa chłopiego, które z wrzaskiem zmykać poczęło na wsze strony, otwierając żubrowi ostęp na rozdal szeroką.

A tam właśnie Bielecka stała z Bekieszem.

Nie baczył na nic zestrachany motłoch, zdało się każdemu, iż żubr go na rogi już chwyta. Ręce popodnosili, z twarzami oniemiałemi trwogą, rwali na oślep przed siebie.

Zaś żubr tocząc się, słaniając, szukał jakby kryjówki dla bliskiego zmagania się ze śmiercią i biegł prosto ...

To i jakże onym tumultem, wrzawą i widokiem zwierza nie miał się zestrachać młody wierzchowiec Halzuchny?

Skoczył niespodzianie, choć dziewczyna krótko i przytomnie trzymała cugle ...

Aż tu w skoku tym nagłym trzasnął koń nogą o wystający potężny pień ze ściętego drzewa, trzasnął tak mocno, że zachwiał się cały, może mu w pęcinie i kość pękła, bo walił już biegun na ziemię... A tu opodal żubr tarza się po trawie.

Bekiesz rzucił się ku onemu, by sobą pannę osłonić.

Jednak nie żubr jej zagrażał; parę ostatnią już przecie puszczał, Bolko oszczep unosił, by serce onemu przeszyć...

Oto coś gorszego działo się z Bielecką, padał pod nią cisawy akurat na bok lewy, kędy nożyny miała w strzemionach, i kulami popętane stopy.

Szarpnęła cugle, jako się czyni, by powstrzymać konia w potknięciu.

Co tam pomogło? wcale...

I byłby przygniótł ją koń swoim ciężarem, gdyby nie Hrehory Ościk. Stał Wierszułowicz czasu łowów niepostrzeżony, za nią; teraz chwycił dziewczynę błyskawicznie i ze siodła ją wywlókł.

W samą porę zaś to uczynił, bo właśnie runął cisawy na ziemię, w bólach się wił, łbem uderzając o sterczący pniak.

Porwał Halzuchnę Ościk i o piersi swe sparł...

Że to zakotłowało się w onej części ostępu, gdzie żubr wywalił gromadę i dostał się na równię, że krzyk zawrzał na widok lecącej jakby w przepaść Bieleckiej, — to myśliwcy, stojący dalej, niepokojem zdjęci, wypadek jakiś przewidując, zjeżdzali tu pospiesznie.

Wzrokiem żubra szukano...

A stał tam, z nogą na jego karku, pogromca króla puszczy, Bolko.!

Stał nieruchomy, dumny, z głową wzniesioną, ze wzrokiem chmurnie patrzącym z pod ciemnych brwi.

Nagle zabrzmiał tuż obok głos batorowy:

— Puść, wasze, kasztelankę Bielecką!...

Wtedy dopiero od żubra i jego pogromcy odleciały oczy łowców ...

Postrzeżono konia, leżącego na ziemi, Halzuchnę trzymaną przez Ościka między karkiem srokatego, a własną jego piersią.

Cisnął dziewczynę Hrehory ku sobie w bezprzytomnem zgoła uniesieniu, zaś ona, ramiony wyprężonemi sparłszy się o szeroką pierś ościkową, odpychała się odeń mocą.

Postrzegli to wszystko teraz, gdy głos króla rozebrzmiał.

Przeć, że oprzytomniał Hrehory na on zew, rozplótł dłonie ...

Istwan pomagał już pannie spuścić się na ziemię.

Jeden z masztalerzy luzaka jej podawał, które w pogotowiu były.

Zostawił ich tam wszystkich Ościk, sam do Kowarska swego wracał.

Borem jechał, mroczejącym już. Pora była przedzachodnia, a gąszcz lasu plotła się wysoko podniebnemi gałęźmi sosen i jedliny, że niegdzie tylko spływały światlejsze smugi, a ondzie cień już ojmował puszczę.

W myślach pogrążył się Hrehory ... Coraz wolniej stąpał pod nim srokaty i ów sługa, o parę kroków jadący za panem.

Dumał Ościk, raczej postanawiał. Co ma dłużej zwlekać? zamysł skuteczny. Będzie to wyczekiwał, aż mu ją kto zabierze?

Zapieniła mu się twarz na samo takie pomyślenie.

Ją utracić?!

Czuje przecie jeszcze war krwi, która zapaliła się w nim pożarem w momencie, gdy ją u piersi swoich miał ...

O, wspomnienie wielkie, wstrząsające ...

Nie znał, snać, dotąd żądzy. Czemże były one wrażenia, przeżyte u niewieścich łon, w równaniu z onym wstrząsem, który dotąd jeszcze burzą mu w żyłach szaleje.

Zdało mu się, że ją w siebie wchłania; jaźń swą dopiero wtedy poczuł, gdy ona jakoby własnością jego się stała, oną krwią żył, zmysłem samym, łomotem serca, a zarazem takiem umiłowaniem, które z ciała zda się być wyzute.

Na cóż czekać będzie? Już pora ... już pora ...

Zbódł konia ostrogami, że pokłusował rączo, to i dojechali do Kowarska prędko.

— Mirowski! przychodź do komory! — w sieniach rzucił Ościk nakaz słudze i już śpieszył swym wichrowatym krokiem ku ostatnim drzwiom długiego korytarza.

Cisnął czapkę na stół, pośrodku świetlicy stojący, a potem zaraz przy kantorku zasiadł, ze schówki, w boku sprzętu umieszczonej, kluczyka dobył; zgrzytnął zamek. Szufladę wysunął, wziął papier, inkaust, gęsich piór kilka i wnet jął pisać.

Przekreślał, znowu zaczynał, głowił się snać, może i ciężko, bo lewą rękę na łokciu postawił, palce w kudły ną głowie wplótł, zamyślał się, znowu pisał.

A teraz jął odczytywać:

„Najjaśniejszy Carze Istwanie Wasiljewiczu, Panie a Panie mój miłościwy, Władco wszech Rossiei, Wielki Książęciu na Moskwie, Inflanciech, Estonii, Kurlandji ...“

Szedł tam długi wypis własności i dostojeństw, nie żałował tego Ościk. Czytał dalej:

„Przeze mnie umiłowany i czczony Hospodarze i Ojcze całej Rossiei ...

Wylewał inkaustem uczucia, że, zdało mu się, jest wszystko, jak trzeba, bo i górnie a razem poddańczo.

Znowu pisał.

Teraz leciało mu pióro po papierze, aż skrzypiąc: „... i wcale im tam nie w smak one boje, że, powiadając, sejm przeciw się stawi i na nowy zaciąg wcale

godzić się nie zechce. Kotłuje się w Warszawie jako i na całem Mozowszu, Małopolska też do wojny nierychliwa wielu będzie miał król przeciw sobie, gdy do Warszawy na sejm przybędzie. Skarb też nie osobliwy, a i królewska szkatułą nie obfita ...

Jawił Hrehory, co wiedział, gdzie! zwiększał jeszcze, dochodzące go słuchy, mienił ilość sił hetmańskich, zostających pod Połockiem, donosił iż Gabryjel Bekiesz, kacprowy brat, a ojciec onego Szandora, do którego Ościk nienawiścią płonął za jego zaloty do Halzuchny, to prosto Dźwiną na Dynaburg ku Szawlom się kieruje wiodąc liczny zastęp swoich jezdnych i pieszych węgrów; co wszystko jest świadectwem, że w szeregach Mieleckiego w Połocku nadmiaru wojska niema.

Cóż miał tam kryć? zależało mu, by wagę mające wieści posłać.

Teraz aż się przygarbił, pisząc dalej, łeb między ramiona wchylił.

„ ... a zaś wypowiem więcej jeszcze, wszystko odsłonię, tajni żadnej nie ostawiwszy przed Wami, Carze Najmiłościwszy, Panie, a Panie mój wielbiony, wypowiem własnem słowem ustnie, jeno, że po zaślubinach. I kładę to warowanie, jako nie pop, waszym obrządkiem z oną przywiezioną ze sobą panną ma mnie związać a tylko klecha katolicki.

W lochach, w więzieniach zamkowych jest u Was, Najjaśniejszy, Najmiłościwszy Carze wszech Rossiei, Panie a Panie mój wielbiony, onych świeckich i zakonnych klechów naszych wielu. To i na rozkazanie Wasze miłościwie, żeć to i spisy mieć będziemy, okazujące, jakośmy: ja i ona panna, rzymskiej katolickiej wiary są wyznawcy, on klecha nie odmówi wtedy dać ślubu, zresztą batami a kaźnią ciężką do tego go się przymusi, i z oną panną mnie związe. Nie dla siebie samego stoję o rzymsko-katolicki obrządek, a jeno, że takim tylko ślubem związana, dziewka owa poczuwać się będzie za żonę moją prawowitą ...“

Skrzypnęły drzwi, Mirowski się jawił,

Obrócił głowę Hrehory. Przywołał sługę.

Zcicha teraz ze sobą mówili.

Jutro rankiem, i tylko niemego ze sobą wziąwszy, puści się Mirowski w drogę.

Moskiewski w Pskowie jest ponoś, zeznali tak jeńcy, wzięci w Połocku, że tam miał car Iwan pojechać. A zresztą niech go Mirowski szuka, choćby po całem carstwie.

Do onego listu tajnego Ościka, to, by walor wieści wzmocnić, radził sługa dla utwierdzenia ufności iwanowej — i one blankiety listów prywatnych dołączyć; a zaś pieczęcie, umieszczone na nich senatorskie i podpisy personatów możnych, podrobił Mirowski tak trafnie, że o dobrem przyjęciu gońca na carskim dworze wątpienia żadnego nie było.

Zcicha się naradzali, pod bladem światłem ogarka, płonącego w żelaznej małej urnie na kantorku; papiery im w rękach szeleściły, przeglądali je.

To, uradziwszy nareszcie dokumentnie wszystko, jął Hrehory na pergaminie sztywnym kreślić wolno ów list swój do cara, a Mirowski udał się do komory, by rzeczy dla drogi potrzebne przygotować sobie.

Na samem doświciu miał puścić się w drogę daleką.[27]) [28])

---

[27]) „Pod tę porę odkryto rzecz, która niemałe na umysłach wszystkich sprawiła wrażenie: Grzegorz Ościk, bardzo zacnego rodu, gdyż jedne familii jego, co Radziwiłłów, Gintowtów i t. d. początki były, zwykł się był często porozumiewać z moskiewskim, tajne związki miał z carem, listy mu śląc, aże się ta zdrada odkryła.“ Marcin Bielski: Kronika polska str. 1462.

[28]) „Inni wyznaczeni byli do przetrząśnięcia dworu Ościkowego w Kowarsku. Tam znaleziono w skrzynce blankiety z pieczęciami różnych senatorów i podpisami kształtnie naśladowanej ich ręki, czem sobie większe u Moskwy zaufanie jednał: bo udawał, jakby wielu z panów przedniejszych spólników miał tych swoich zamysłów; co wyjawił Mirowski niejaki, służący u Ościka.“ Pamiętniki odnoszące się do Stefana Batorego, a zebrane przez Edwarda hr. Raczyńskiego str. 162-163.

V.

Nazierała, to cofając się chybko w jadalną, jeśli kto korytarzem szedł, albo wsuwała się w sienie cichutko, by ta myszka ...

Nurkując, pod długą ścianą, szczęśliwie dopadła murowanki wielkiego pieca, za którym było od węgla wgłębienie, pustka ciemna, zupełnym nawet mrokiem osłoniona. Tam się wsunęła i cała skryła. Aże i jubkę rozmyślnie wdziała cicmną, to nic zupełnie widać nie było, że w onym zapiecku Ustinka czatuje.

Ku królewskim drzwiom raz wraz trwożne, płonące oczy zwracała; naprzeciw tam bieliły się zamknięte, tyle, że słabiuchny szmer niekiedy, zrzadka z poza nich dolatywał. Wiedziała, iż król jest tam u siebie na pokojach.

Godzina była przedpołudniowa, jeno, że dzień ckny jakiś, obłoczysty, cichy, zduszony, światło słał, jakby przędzą omotane; to też bardziej niż zwykle ciemniało dziś wedle pieca, kędy panienka siedziała, na ziemi przykucnąwszy.

Łokietki o zgięte kolana wsparła, dłońmi pobok buzię sobie ogarnęła i rozmyślała.

Ba, nie miała to o czem?

Ani na nią spojrzy, nie pokazuje się wcale na pokojach, gdzie? ... Między oficerkami a inszem rycerstwem przesiaduje w oficynach lubo w skrzydłach dworu, wyczekując na papiery, które król z kanclerzem

nagotowują, by je Chojeński, do Wilna jadąc w miasteczkach podrożnych i różnych siołach we właściwe ręce zdawał. Wyprzedzi orszak królewski, rączo rwąc naprzód, zresztą i wcześniej wyjedzie.

Wiedziała o tem wszystkiem; wieści one kamieniem nosiła na duszce.

Pojedzie Bolko ...

Ani napotkać go gdzie mogła, a jeśli przygodziło się, że tam w sieniach albo i przede dworem rozminął się z dziewczyną; to głowę odwracał, jakby ten niepostrzegający i w swoją stronę szedł.

Raz tylko jej się udało.

Posłyszała, że ojciec nakazał słudze przyzwać Chojeńskiego do swej komory. To i wślizgnęła się tam; o, bez trwogi, ulubienicą rodziciela była przecie, więc obok głębokiego, amarantową skórą wysłanego zydla ojcowego przysiadła sobie na ławce, głowinę o łokieć kuźmowy wsparła i była obecna całej rozmowie.

Ha, no, na wezwanie Ościka jawił się Bolko.

Stał z głową trochę hardo wzniesioną, na pytania odpowiadając krótko, węzłowo. Co miał kogo wtajemniczać w swą dolę, wiele tam obchodziła.

Pytany, mówił, gdy skończył, milkł; dyskursu nie przewlekał.

Ozwał się Kuźma, chwaląc Bolka tryumfy myśliwskie, że to zwycięzcą w łowach go okrzyknięto. Ale on jeno ręką ruch uczynił, jako nic ważącego jest w onych chwalbach o żubrowym pogromie. W końcu skłonił się sztywno i, jednego spojrzenia ku Ustince nie puściwszy, odszedł. Cóż? wróciła do swej bokówki, w kątek się zaszyła i, każdy przecie wyrozumie, chlipała.

Znowu zaszemrało w pokojach królewskich, aż jej zabiło serce.

To Ferens Weselini krzątał się tam, jako zwyczajnie sługa, na wszystko baczenie mający. Batory zaś u stołu siedział i czytał z otwartej księgi. Było to:

C. Juli Caesaris
„Belli Gallici"
Libri VII

Księgę tę miał Batory nieodstępnie przy sobie, stale czerpał z niej światło, jakoby nakaz wielmożny, że umysł królewski rozrastał się bezprzestannie pod żarem, tchnącym z onych cezarowych myśli, tak jako zboże dojrzewa w letniem słońcu, jak kwiat w promieniach południa przelęga się w zaród owocu. Bogacił się tem zgłębianiem prastarej mądrości duch stefanowy, duch, o którym współcześni mawiali, że wznosi się ponad czas, że wiedza żadna obcą mu nie jest, że do najświatlejszych należy.[29]) [30])

Czytał teraz król z zajęciem, a Weselini majstrował coś przy puzdrach królewskich, na kantorku stojących.

— Ferens! — przyzwał go Batory.

Stanął przed królem.

Ów wzrok od księgi odjął, ku słudze go zwrócił:

— Do pakowania rzeczy bierz się jutro, nazajutrz wyjeżdżamy.

Widać, że nie w smak poszła staremu słudze ona wieść.

Czytał król dalej, a Ferens, nogami powłócząc, co znakiem u niego było nieukontentowania, zbliżył się do kantorka, mrucząc:

— Do czego się śpieszyć? Co tam dobrego czeka ...?

Wzruszył ramionami. Puzdra, szkatuły składał jedne przy drugich na ławie pod ścianą, poławnikiem, pięknie haftowanym, zasłaną, boć paradne były te królewskie pokoje.

Co tylko najwspanialszego w Buławach się znalazło, stroiło teraz one komnaty. Łoże w drugiej świetlicy

---

[29]) R. Heidenstein: Pamiętniki.

[30]) Rodolfino, technik na dworze Batorego: Listy.

to z namiotem widziało się czerwonym adamaszkowym, materacami a pierznikami wysłane, obrzucone kapą adamaszkową takoż.

Kryształy i srebra wszędy, nawet ona misa do mycia się i nalewka ze szczerego były srebra, wewnątrz złocone. Tureckie kobierce leżały na ziemi, u drzwi wisiały opony niderlandzkie stare i bardzo cenne, a u okien to jakby pajęcze białe obsłony, dziergane w gwiazdki i ząbeczki.

Stoły rzeźbione w dębie albo mozajkowe cudne, jedwabiami i aksamitem obrzucone. Lichtarze ze srebra i złota, świece w nich tkwiły, że to zmyślne niewiasty narządzać je już umiały z tłustości i kordonków wełnianych. Niczego na onych pokojach królewskich nie brakowało, bo i światło z szerokich okien biło na całą komnatę, że dziwnie przyjemnie było: widno, przestronno, powietrznie.

Rozpięty miał król żupan, jakę pod nim popielatą, wygodnie sobie siedział na stołku, amarantową skórą powleczonym. Zdało się, że czyta, bo oczy na księgę miał spuszczone, łokieć na serwecie wsparty i rękę u skroni, a drugą dłoń na stole był złożył.

Ferens dreptał od kantorku do ławy pod ścianą, zbierał na jedno miejsce drobiazgi, ale pomrukując wciąż, snać rozgoryczał się coraz bardziej.

— Jeno te boje wódź — mówił półgłosem — jeno rządź, turbuj się o wszystko. — Ramionami szeroki ruch zakreślił.

— Sejmami kieruj, powaśnionych gódź, wrogom groź, a dla siebie to ... nic.

Z cicha wiódł: — Tu dobrze, wypoczynek po bojach. A mało było tego harowania pod Połockiem? Ni się zjadło, ni się spało, a tylko ta myśl pracująca, tylko ten trzask kul nad królewską głową, tylko ten ogień wokół.

Teraz odpocznienie nastało, ludzie tu poczciwi gościnni, nie pomnę już, kiedy nam tak było ...

Westchnął:

— Ale cóż, śpieszyć trzeba, byle prędzej pod te kamienie, które tam ciskać zaczną, pod te oszczerstwa ... do dusznej targaniny ... Aż strach pomyśleć ... A za to, co? Będzie tam choć chwila jaśniejsza, choć ten jeden promyk dla siebie?

Czuć było w półgłosie starego, że ozywają mu się już one najgłębsze pokłady żalów, ów czysty ból ojcowskiego prawie serca:

— Inni, byle tam który radości swoje ma doma ... A ... — ręką jeno poruszył, nie kończąc.

— Jakże? każdy człowiek tego samego potrzebuje, każdemu w żyłach gorąca krew płynie ... każdy to pożądanie ...

— Milcz! — popędliwie padło z batorowych ust.

Zmilkł, jeno coś długo przeżuwał w siebie, jadł oną gorycz, która skróś jego miłowania szła, jak żal do poddanych.

Dreptał stary pod ścianą ze zwartemi usty, schmurzony i twardy w licu.

A wzrok Batorego zesunął się z kart starej księgi, ponad nią gdzieś poglądał nieruchomo z pod nachylonych powiek.

Lepseni, dworzanin króla jawił się, wieszcząc, iż kanclerz o pozwolenie wejścia zapytuje.

Po chwili wszedł wspaniały, nad wszystkimi urodą postaci górujący, Zamoyski, on mąż rozumu wielkiego i zasługi nieskończonej.

Honory oddał królowi, na wskazanem mu przezeń zydlu siadł podle stołu.

Jęli ze sobą rozmawiać o sprawach, wagę mających.

Objaśnił kanclerz, jako zgotowane już ma papiery, które zabierze Chojeński, tylko jeszcze królewskiego podpisu im brak.

Rzekł król Stefan, iż zaraz przejdzie do kancelarji, podpisy swe położy, by co prędzej wyprawić Chojeńskiego.

To wstali obaj i wyszli.

Lepseni, jako zwykle, wyprzedzał króla o kilka kroków, a Batory obok kanclerza szedł przez sień, rozmawiając.

Ustince zjarzyły się oczy, kiedy ich w oddali dojrzała, dech w niej się zapadł, aż te drobne ząbiny ze strachu zadzwoniły. Lecz zmogła się. Przepuściła Lepseniego ...

Dopiero, gdy król Stefan z Zamoyskim zbliżali się już do stojącego wpodle pieca, ona wypadła ze swego ukrycia, i prosto przed królewskie nogi, na kolana.

Zdumieni obaj dostojni męże zatrzymali się, ją zaś z wielkiej konsternacji płacz chwycił raptem tak gwałtowny, że buchnęła szlochem, ni słowa nie zdolna wymówić.

Jeno ten but batorowy dłońmi objęła, rozpłakane, łzami zalane lico ku królowi podniosła i mówiła w rozełkaniu, rwąco:

— Miłościwy panie ... dla Boga ... nie powiadajcie rodzicielom ... panie Miłościwy ... Bolkowam jest ...

Ręce splotła raptem tym ruchem błagalnym i cisnęła je w trwodze do piersi, targanej płaczem.

— Od dzieci miłujemy się ... jenom na chwilę zapomniała ...

Król i Zamoyski zaskoczeni byli niespodziewanem zjawieniem się Ościkówny, a Lepseni zgoła przerażony jej rzuceniem się do królewskich nóg. Jakże, wartę trzymać winien przez panem, a tu ... nie wiadomo zkąd ... i kto byłby przewidział, że tam za przypieckiem panna czatuje, by swą petycję do majestatu tak szturmującym obrazem wieścić.

Zaś ona mówiła dalej tym rozszlochanym głosem:

— Bolkowam jest, nie chcę Istwana, tej madziarskiej mowy nijak nie wyrozumiem do śmierci ...

Bakoniego ścierpieć teraz nie mogę ... Ach ... miłościwy panie ... nie powiadajcie za nim rodzicielom, och Boże, nie powiadajcie, bo wtedy wszystko przepadnie, la Boga ...

Za oba buty ściskała go coraz mocniej, spłakaną, przerażoną własnym postępkiem buzię do skórzanej, cholewy przytuliła i łzami zlewała, targana płaczem wylękłym.

— Co powiada? — spytał król Zamoyskiego, że to Ustinka po polsku błagania swe niosła.

Powtórzył je kanclerz, od uśmiechu strzymać się nie mogąc.

I król uśmiechnął się również, potem nachylił się ku klęczącej Ustince, z ziemi ją dźwignął, że wstała, ale jeszcze srodze płacząca.

Dobrotliwie i wciąż z tym mknącym na licach uśmiechem obaj dostojni męże patrzyli na zawodzącą panienkę, zaś król rzekł po węgiersku, iż zrozumiała:

— Chojeński? ów, który zmógł żubra?

Głowiną twierdząco potakiwała, trzęsąc się w płaczu.

— Jegom jest ... krztusiła z siebie.

— Dzielny żołnierz — ozwał się Batory.

To jeszcze rzewliwiej zapłakała, paluszki do powiek cisnąc.

— Nie powiadajcie, miłościwy panie, rodzicielom, nie wstawiajcie się do nich za Istwanem ... nie chcę go ... jeno mojego Bolka ...

Co usłyszawszy król, przełożone mu przez kanclerza, rzekł:

— Wierną trzeba być ... całe życie ...

— Chojeńskiemu będę. — Załzawione oczy na majestat podniosła — Nie powiadajcie, miłościwy panie, za Istwanem do rodziców ... Nie powiecie ...?

Ruchem jakby ojcowskim pogładził Batory jej ciemną główkę i powtórzył znowu:

— Wierną bądźcie, dzielny to rycerz ... — Uśmiechnął się, niby do dziecka, rzekł:

— Rodzicielom nie powiem ...

W wielkiej świetlicy, tej, co ją salą zwano, zebrani byli teraz wszyscy na królewskie wezwanie.

Przy stole stał król, Weselini w pobliżu, by mu podawać do rąk one dary, któremi Batory miał żegnać gospodarzy i domowników gościnnego buławieckiego dworu.

A oni wszyscy stali w półkole.

Na skinienie króla podszedł pierwszy Kuźma Ościk.

Dziękował mu słowem łacińskiem miłościwy pan, mówiąc, jako z pod jego dachu wielce dobre spomnienia wywiezie. By zaś wdzięczność swą królewską choć kęs wyjawić, prosi Ościka, by odeń przyjął w darze ulubionego batorowego wierzchowca, Iwaszkę.

Był to koń ceny niesłychanej, biały turecki, lotny, gorący i łagodny, a tak cudny kształtem i oną manierą, że za pierwszego uchodził w królewskiej stadninie.

I cały rzęd na konia otrzymał Ościk, więc siodło wysokie, pyszne, nagłówki, halsbanty, wodze, czapraki dwa kosztowne, bo tą srebrną nicią dziergane.

To aż przykląkł z dziękczynieniem gospodarz buławiecki, gdy Weselini ręką mu skazywał rozłożone na ławie one dary królewskie.

Podaną sobie dłoń batorową dotknął Kuźma ustami ze czcią, a potem, z kolan wstawszy do okna się zbliżył wraz z innymi, bowiem na dziedziniec podkoniuszy Temeszwer wywiódł właśnie Iwaszkę. Koń stąpał z paradą wielką i tym splendorem, czującego własne piękno wierzchowca, stąpał śnieżno-biały, cudny, różowawy w pysku i chrapach, każdym swym ruchem wieszcząc ono wysokie pochodzenie z krwi czystej.

A gdy po admiracji powrócili wszyscy na środek sali, to bojarynia Ościkowa do króla Stefana podeszła.

Jej dziękował król dwornie, z tem lekkiem pochyleniem głowy męskiej przed kobiecą godnością. Z rąk Ferensa odebrał król pięć skór sobolich tak wielkich, że na płaszcz iście królewski starczały, futro było zwięzłe a miękkie, o połyskach jedwabiu, guzy do onego futra, na spięcia, te złote podał jej król, szmaragdami sadzone.

Także dotknięciem kornem ręki królewskiej dziękowała Ościkowa za dar, ceny niesłychanej, i uradowana oną pamiątką, oddaliła się na swe miejsce majestatyczna zawsze i wspaniała.

Teraz na Ustinkę król skinął, że to gospodarską była córką.

Podeszła, zesromana wielce, bo jej się przypomniało, jako wczoraj za buty go ściskała.

Król z uśmiechem na nią poglądał, a potem z puzdra, przez Ferensa trzymanego, dobył sygnecik z djamentem wielkim, tryskającym ostremi barwami, by tą tęczą, że widział się jak gwiazda jarząca.

Podał go Batory zczerwienionej Ustince i rzekł z uśmiechem, nie schodzącym mu z twarzy, by onego pierścienia żadnemu kawalerowi nie dawała.

Cała zesromana, jak rak na buzi, dziękowała, poczem wróciła i stanęła wpodle matki.

Za nią Halzuchna trzymała kolej.

Obie dziewki z polecenia bojaryni to dziś polskim krojem miały na sobie odziewy: kontusiki i jubki barwy gołębiej, łabędzim puchem oszywane w dole i na wylotach, z których atłasowe, opięte rękawy cielisto się barwiły.

Halka ku królowi podeszła z oczyma spuszczonemi pobladła ze wzruszenia.

Inne puzdro podał teraz Weselini królowi, stojącemu przy stole.

W onej szkatule, aksamitem wyłożonej — miniatury leżały królewskiego oblicza ...

Wziął zrazu Batory jedną, na której czoło miał już zwieńczone koroną polską. Malunek był piękny, włoskiej roboty, podobien wielce, a ujęty w medaljon weneckiego kunsztu, tak misternie dokonany, że go znawcy mienili arcydziełem.

Lecz zawahał się król, ujął drugą miniaturę, tę, która oblicze jego jawiła z lat młodych, gdy wojewodą siedmiogrodzkim był jeszcze, oblicze wielce dorodne, hoże, tętniące życiem, młodością.

Robota była też przednia, jeno że miniaturę ojmował medaljon skromniejszy; — tylko to lico pięknialo tu bardziej niż w tamtym ...

Miniaturę oną dobył Batory ze szkatuły i podał ją Bieleckiej, mówiąc półgłosem:

— Na pamięć ozdrowienia mego przyjaciela ... na pamięć ...

I złożył w jej ręce swą podobiznę.

Gdy ujrzała dziewczyna nad swą dłonią tę rękę pana stefanową, rękę, na której ciężar miecza swe twarde piętna naznaczył, rękę, znającą trud i zmęczenie, otwartą wszem potrzebującym, osłaniającą przed niebezpieczeństwem poddanych, nad głowami ich jakoby zawsze chronnie wzniesioną, — pochyliła się Bielecka i do tej dłoni gorące swe usta mocno przycisnęła.

Batory głowę wtedy zlekka odwrócił, powieki miał spuszczone na oczy, coś, jakby łuna przemknęła po jego obliczu.

Na piersiach splótłszy obie ręce, w których medaljon z wizerunkiem królewskim dzierżyła, szła Halka ku swemu miejscu z mgłą na oczach, wzruszeniem w licu przemieniona ...

Kolejno podchodziły do króla rezydentki, domownicy, nawet służba buławiecka, nawet te dzieciny sług i służebnic; Batory chciał obdarować wszystkich.

Całą noc śnieg sypał i sypał, mrozik tchnął, że świat jakby zastygł.

Puchami zasłała się ziemia, wyrównały się, umościły drogi na lepszą podróż królowi.

Jeszcze nade dniem walił śnieg, a potem stał się rzadszy, pyłkowy, a w końcu zcichł, że nawet trochę pojaśniało, choć i nieosobliwie.

Zwały chmur tarzały się po niebie, tchnęło już z nich lecącą na dobre zimą. Jakiś smętek, jakiś lęk był w przyrodzie ...

I na dziedzińcu i w domostwach wrzało wszystko: jakże, dwór wyjeżdżał.

Przednie szyki już były poszły na doświciu, a teraz jeno król ze swoim orszakiem, starszyzna zbierała się do odjazdu, no i Gaspar Bekiesz ze swem otoczeniem.

Właśnie prowadziły go pod ręce obie buławieckie panny, smutne na buziach, w duszkach wzruszone, rzewliwego smętku pełne, że niekiedy aż łzy im poświtywały w oczach.

Stąpał stary dobrze, choć tam i mocy wielkiej jeszcze nie miał. Na Halzuchnę to prawie miłująco patrzył, żeć przecie wylekowała go i córkę mu postacią przypominała.

— Niech wasza miłość raczy pilnie na się baczyć — mówiła Bielecka półgłosem. — Lepiej ostańcie, panie, we Wilnie i tam czekajcie na nadejście zwiesny, bo do Warszawy podróż daleka ...

— A gdy zachorzeję — odpowiedział z uśmiechem — to was przywołam gorącą supliką do siebie ...

— Och, bym to mogła ... bym to mogła ... — szepnęła cicho.

Wstąpili ze drzwi na ganek.

Koleba na płosach, którą narządzić kazał Ościk, przed domem na chorego Bekiesza czekała, król bowiem w otwartych saniach wolał jechać.

Właśnie ze stopni ganku schodził Batory, burką, futrem podszytą odzian. Nim siadł w sanie, jeszcze się obrócił ku tym, stojącym przed domem; żegnające spojrzenie im posłał; gdy kłonili się przed nim, on królewską głowę nieco pochylił.

Siadł w sanie.

Zaraz pomknęły po bieli śnieżnej.

Przed nim, za nim konna straż w szyku jechała.

Jeszcze raz, drugi w oddali dojrzała Halzuchna ten nisko ścięty batorowy czarny kołpaczek, zachwiała się kitka sokola ...

Już znikła za zakrętem drogi.

Tak ją coś pochłonęło, że nie postrzegła, jako Szandor Bekiesz przed nią stoi. Dopiero, gdy zaczął mówić, dojrzała go.

Smutny był ten jej wielbiciel wierny. Czuł coraz wyraźniej, że go coś rozgradza z tą miłowaną już świadomie i razem beznadziejnie; coś stoi między nim a nią, coś jej zasłania i miłość jego i postać nadobną, iż zgoła niewidzącą go — być się wydaje,

Ona jednak uradowała się teraz nieoczekiwanie, ręce mu podała i rzekła z budzącem się w twarzy ożywieniem:

— Waćpan tam obowiązków a trudu mieć będziesz pewno wiele, wiele ... że i nie śmiem waszmości prosić ...

— Ach błagam — wzruszonym głosem zawołał młodzieniec, cały radością przemieniony — raczcie waćpanno rozkazanie swe mi jawić ... szczęsny będę ... będę wniebobrany, pełniąc je ... błagam.

To rzekła, oczy spuściwszy:

— Racz waszmość kiedy ... często, bardzo często wieści mi słać piśmiennie o ... zdrowiu stryjowem, o ... wszystkiem, o ... wszystkich ... o wszystkich ... Proszę waćpana ... pisujcie ...

Aż do rąk uszczęśniony rzucił jej się i całował je gorąco, kornie, z miłością, a potem, pocieszony w swych zwątpieniach, ugruntowan w nadziei, zamiótłszy przed stojącymi na ganku Ościkami i ich rodziną, czaplą kitą swej czapki, siadł na koń i, z obnażoną głową ku nim wciąż zwrócony, patrząc, dojechał tak aż do zakrętu drogi. Znikł.

Jeszcze te rozwaliny naładowane taborem obozowym wytoczyły się z przede dworu na gościniec i odjechali już wszyscy ...

We wzdychu omroczonych duszek, z ciężarem zsuniętym nagle na piersi przestąpiły obie dziewki próg domu i weszły w mroczną sień.

Jakby lęk zdjął w tym mroku Bielecką.

VI.

Dzień 23 listopada 1579 roku wzeszedł nad Warszawą mgławy, spowity tumanami zmrożonych oparów, które dnia poprzedniego rozpylonym deszczem moczyły chodniki miasta, dziś zaś, w pamiętnym dniu otwarcia sejmu, zatrzymane w powietrzu przymrozkiem, kłębiły się jeno ciężko pod niebem ołowianem i zastygłem.

Od rana toczyły się ze stron różnych kolasy do katedry, gdzie odprawione być miały modły na intencję pomyślnych obrad sejmowych.

Dygnitarze duchowni, świeccy, wojskowi, szlachta, mieszczanie tłumnie, wstępowali we wrota Świętojańskiego kościoła.

Aż i rozpłonęły setki świec u ołtarza i na świecznikach, zwisających od stropów; karmazyn tronu królewskiego jaskrawo się zabarwił.

Że z wojny wracał i na wojnę szedł, to w bojowym stroju jawił się król śród swego orszaku.

Oblicze miał twarde, zamknione.

Nie dziw.

Doszły go już były w Wilnie, gdzie bohatera, z bojów idącego, po bohatersku witała i podejmowała Litwa, gdzie słano kobierce pod nogi królewskiemu koniowi, gdzie go, jako zwycięzcę laurem wieńczono, — już tam dowiały one pomruki niechętnych, one skarżenia, rzuty oszczerstw, ciskanych w Polsce na królewską głowę.

Zwiedział się o nich Batory najpierw w Wilnie, a wyraźniej jeszcze posłyszał w Grodnie, tam, gdzie mu wnet po przybyciu skonał na rękach Gaspar Bekiesz, gdzie tchem ostatnim w opiekę mu zdawał pacholęta swoje, gdzie, w oblicze batorowe patrząc, ojczysty swój Siedmiogród żegnał. Z bólem królewskiego serca po stracie przyjaciela, najbliższego ziomka, towarzysza bojów śmiertelnych, złączył się odzew burzliwej waśni, gotowanej wracającemu królowi przez poddanych ...

Zamknięte i tajne było teraz oblicze króla Stefana.

Pobok tronu stał marszałek sejmowy, na lasce swej sparty, w fotelach rozsiedli się dygnitarze kościelni, w stalach hetmani i senatorowie, personaci nadworni, zaś dalej, w głębi nawy stali chorążowie, trzymający zdobyte ne Moskwie sztandary. Środek świątyni zapełniło rycerstwo, tłumy szlachty i mieszczaństwa.

Wprost majestatu, po lewicy prezbiterjum, królowa Anna Jagiellonka ze swym fraucymerem miejsce była zajęła.

Sadzone turkusami czółko, kształtem korony wieńczyło oblicze batorowej małżonki, oblicze zwiędłe, już prawie sześćdziesięcioletnie, bolesne, zrysowane przez ostrze cierpień i sieroctwa, napiętnowane niestartym śladem ¦onych bólów, w tajni serca przeżytych i przeżywanych, płynących z niezaznanej w życiu niczyjej miłości: ni macierzyńskiej, ni braterskiej, ni mężowskiej. Oblicze to było jakoby wychłodzone przez lata, zgaszone już, mgłą czegoś minionego zasnute.

Z pod szlarek białej gazy, spowijającej czoło, szyję skłon oblicza królowej, ukazywała się twarz blada, okrągła, patrząca wyblakłym błękitem ócz dużych, lecz najczęściej powiekami do półźrenic osłonionych; cisza była w onem obliczu, nieruchomość starcza i modlitewne skupienie.

Przed niskim purpurowym fotelem królowej Anny, która dla powitania małżonka z Krakowa była zjechała, stał klęcznik dębowy, poduszkami na stopniu wysłany.

Już przy pierwszych sygnaturkach Ofertoryum uklękła królowa, dłonie na wyłożonej aksamitem poręczy klęcznika zaplotła ruchem modlitewnym i, schyliwszy sędziwą głowę, zatonęła w cichej suplice. Niosła ją do stóp Ukrzyżowanego o pomyślność owej narady sejmowej, która wnet po modłach się zacznie, o jej pożytek dla narodu, o wylekowanie ran Ojczyzny, o wzmocnienie, co było osłabło, o dźwignięcie, co się chyliło, o zasilenie zdrową krwią organizmu Rzeczypospolitej.

Aż do Agnus Dei w tejże błagalnej modlitwie królowa trwała, że ni jedna osobista troska przez nią się nie przebiła, żadna myśl obca nie zmąciła jej przylotem; było to błaganie bezosobiste, wiew samego serca narodu.

Posłyszała królowa szmer osuwających się na kolana uczestników nabożeństwa w czasie Podniesienia, doleciał uszu jej szelest sztandarów, chylonych ku ziemi, w rozwarte drzwi świątyni wdarł się rozgłośny huk strzału armatniego, a potem cisza osłoniła schylonych, bezruch, przytajenie się tchu w piersiach, gdy on biały krąg Hostji wolno podniósł kapłan do góry i na moment zatrzymał go tam wysoko u stóp Chrystusa, rozpiętego na krzyżu.

Trwały uroczyste modły ...

Jeno po Baranku Bożym, przy dobiegających końca słowach celebransa, roztapiać się poczęło, szybko nikło z oblicz szlachty i dostojników ono suplikacyjne skupienie, ginęło w żarach utajonych na moment przed powagą świątyni, lecz już buchających w piersiach, z serc z ócz poruszonych i niecierpliwych. Myśli, by te błyskawice, przedzierały się skróś mózgów wielu zebranych, błyskawice, któremi pioruny zamierzano niecić, że je bardziej jeszcze wzmacniano, deliberując w cichem wnętrzu.

Wszyscy gotowali się do obrad sejmowych, każdy miał tam w sobie ostre pociski, skarżenia dumne, każdy gotował się do rzucania ich z mocą przed królewski tron. Że i niecierpliwość gorączkowała już z minuty na minutę zebranych w katedrze, boć wszem pilno było rozewrzeć zamknione usta i gromko dobyć ze siebie, co pełniło i wrzało w piersiach ...

Już błogosławiąca prawica celebransa szerokim znakiem krzyża zakreśliła się nad pochylonemi głowami.

W moment później ruszył orszak królewski ku drzwiom kościelnym.

Od dawnego zamku książąt mazowieckich[31]) przerobionego na rezydencję królewską, w prawo od baszty mieszczańskiej, ku stronie Wisły, ciągnęło się skrzydło zamkowe, obszerne, z oknami na prawy brzeg rzeki zwróconemi.

Tam właśnie mieściła się obszerna, widna sala sejmowa. Tron, we wgłębieniu owalnem, na które po dwuch stopniach, szerokich, jak cała sala, wstępowało się, osłaniał i wywyższał wysoki baldachim, ciemno purpurowy aksamitny, nad którym orzeł Jagielloński władne skrzydła rozpinał.

„Po prawej stronie tronu miejsce pierwsze zajmował prymas, po lewicy zaś arcybiskup lwowski był zasiadł, a dalej biskupi: kujawski, krakowski i inni dostojnicy kościoła. Po senatorach duchownych następowali świeccy: najprzód kasztelan krakowski, po nim wojewodowie, starosta żmujdzki, dwaj kasztelanowie litewscy, za nimi mniejsi, wszyscy w porządku, oznaczonym przez prawo. Więksi siedzieli w krzesłach, tak zwani krzesłowi, zaś mniejsi na drążkach, czyli łowach, że mianowano ich drążkowymi. Dopiero po kasztelanach miejsce trzymali ministrowie: marszałkowie wielcy,

31) Dzisiejszy Zamek Królewski.

kanclerze, podkanclerze, podskarbiowie wielcy i w końcu marszałkowie nadworni. Za senatorami hetmani stali, przodując rycerstwu[32]) dalej cała ciżba posłów szlacheckich.

Ni miejsca pustego nie było na ławach; naprzeciw, że na wielu poselskich drążkach nadto siedziało z panów szlachty; lecz nie baczono na ciasnotę: wrzało we łbach ono sierdzenie przeciw tronowi, one żale, czasu nieobecności króla duszone, a to pominięciem w zaszczycie wywołane, a to zrodzone ze wzniesienia się za królewską łaską rodu nienawistnego, to za ciągniony przez króla na potrzeby wojenne on grosz miłowany. Jakże! w spokoju i lubym dosycie żyć chcieli bracia szlachcice: do Gdańska słać zboże, za które płynęło złoto, kabzy onem nabijać, pola uzyzniać potem poddanych, bogacić się, piąć w zaszczyty, miłego żywota w pełni używać. A tu z woli królewskiej jeno te syny dawaj w szeregi, by orężem kąsali moskwicina, jeno ten pieniądz licz, jeno te zaciągi za niego szykuj, naprzeciw wszelkiej ochocie. Król za łeb ich dzierżył, że już mierziło wszystkich, prawicę onego na karkach swoich czuli i ukrócenie znaczne dawniejszej swawoli.

To się burzyli w sobie coraz ostrzej, jeden przez drugiego głośniej pokrzykiwał, jako dość wszemu, jako tamę rządom takim położą, zahamują dziś one wojownicze zapędy twardej batorowej ręki ...

Wszedł król.

Płaszczem pozłocistym był odzian, który na ryngrafie z Matką Boską spinały klamry ciężkie, berło w prawicy dzierżył. Szedł, otoczon przez dworzan.

Wstali wszyscy.

Gdy król zasiadł na tronie, wtedy dopiero miejsca swe zajęli.

W on czas wystąpił Januszewski i w przemowie wielce podniosłej a sprawiedliwej jął - witać króla,

---

[32]) Dzieje narodu polskiego. Wł. Smoleński T. II. str. 2022

przybyłego z wyprawy zwycięskiej. Chwalił jego tryumfy, dziękował imieniem narodu za on laur, pana stefanowym orężem zdobyty i blasku Rzeczypospolitej dodający.

Zaś potem zwykłym trybem jęły się toczyć sejmowe sprawy.

Jeszcze zanim marszałek dopuścił do głosu zapisanych posłów, wszedł na salę Kochlitzki, przez cesarza Rudolfa wysłany na sejm pełnomocnik, który miał wybadać, czyli król polski nie pragnie przymierza z cesarzem niemieckim.

Batory odpowiedź dał obojętną i wielce powściągliwą politycznie; snać nie chciał być pierwszym w czynieniu kroków w tej sprawie.[33])

Następnie, że to hetman Mielecki, na sejmie nieobecny, uchylił się od uczestnictwa w zamierzanej nowej przeciw Moskwie wyprawie, przeto kanclerzowi Zamoyskiemu oddał król naczelne nad wojskiem dowództwo, z władzą tak rozległą, jaką jedynie posiadał niegdyś Jan Tarnowski, zaś po onym, już żaden z hetmanów nie dzierżył.[34])

Ta nominacja rozsrożyła bardziej jeszcze senatorów; rósł Jan Zamoyski w zaszczyty i moc, co sierdziło wielu.

Wnet też wionęło na sali, jakoby czemś zjadliwem . . .

Głosy wielmożów, głośnych z imienia i krezusowych fortun, uderzyły w żale boleściwe, goryczą zalane.

Jeno, że nie odrazu tknięto sedna onych kwasów i niechęci, które szerzyła pokątna agitacja, pobudzana osobistą lub stronniczą zawiścią do króla.

Tedy pierwszy zarzut postawiono królowi, iż paktów zaprzysiężonych nie dotrzymuje: cudzoziemcowi Bekieszowi nadał starostwo lanckorońskie, hołd od księcia

---

[33]) J. Szujski. Dzieje Polski str. 63.

[34]) Według T. Korzona: Dzieje wojen w Polsce, Jan Zamoyski otrzymał buławę na początku trzeciej, pskowskiej wyprawy.

kurlandzkiego Kettlera przyjął nie na sejmie i w czasie właściwym, jak prawo wymagało. Tu, tam ozwały się głosy, że nadto węgrów przybywa do Polski, że waśnie między żołnierzem polskim a węgierskim szerzą się w wojsku, aż i wojenne zamiary króla zaczęto poddawać krytyce ostrej.

Ci, którzy siedzieli doma, żadnego unużenia bojowego nie znający, zbawieni od niebezpieczeństw, skarżyć doczęli króla, iż mu o zawojowaniu całej Rosji się roi; to i gromko mówcom przytakiwali inni senatorowie i posłowie, boć w myśl wszystkim prawie były one potępieńcze głosy.

Jakże miało być inaczej? Chodkiewicz nie oczekiwał to buławy litewskiej? zaś dostał ją Radziwiłł.

Do starostwa żmujdzkiego dobijało się wielu, a Jan Kiszka je otrzymał. Kasztelania wileńska przez króla Wołłowiczowi nadana została, a małoż to spodziewało się i pragnęło ją posiąść? że liczny i wielce zapalczywy, wrastający z minuty na minutę był on zastęp posłów wrogich królewskiemu majestatowi.

To i walili już zarzuty, by te kamienie ku siedzącemu na tronie. Żar słów szamotał się płomieńmi w izbie sejmowej, paliły się twarze, iskrzyły oczy, pieniły gniewem usta w gorących przemowach; zda się, buchało już ze łbów, każdy był tem upostaciowaniem waśni, gniewu, kąśliwych zarzutów i nienawiści.

Już książę Sierotka Radziwiłł, znany ze zgryzliwości, nie pomny świeżo doświadczonych dobrodziejstw królewskich, wołał, — zapieniony na obliczu:

„ — Smoleńskowi dać pokój, bo on dawnością wyszedł nam z rąk, a lepiejby pokój z Moskwą zawrzeć . . .“ [35])

Zaś inny krzykał namiętnie:

---

[35]) Archiwum Radziwiłłów str. 19. Sokołowski III t. str. 721.

— Rany wewnętrzne Rzeczypospolitej opatruj, królu, a nie na nowe rany w pole naród wódź! Krwią zlewasz Polskę, te tryumfy nęcą majestat i ślepią go na inne, całe nie wojenne potrzeby lubej ojczyzny!

I już hamulce wszelkie rozpękły się, na nic nie baczono, nic zgoła nie wstrzymywało wartkich i jakoby kamienie rzucanych pocisków.

Wołano w gniewie coraz zapalczywszym, iż król pęta swobodę szlachecką, depce wolność obywateli tego kraju, obcych ludzi do Polski sprowadza, Bekiesz wysoki urząd wojskowy miał powierzony ...

Wrzało już w izbie sejmowej, chrypłemi głosami wołali, iż wszemu winien jest król, któren rękami polskiemi na tron był wniesiony, a lekce sobie teraz waży te dłonie, co mu koroną jednego z najmożniejszych w on czas królestw — czoło wojewodzińskie zwieńczyły.

Coraz zjadliwsze ozywały się głosy, coraz cięższe zarzuty w nich rozebrzmiewały, aż i któryś z posłów ostro zakrzyknął, a tak gromko, iż przytłumił inne wołania, zaś rzucił w twarz Batoremu, że potajemnie o rozwód z królową starania podjął w Rzymie, śląc w tej sprawie do papieża Wolskiego podkanclerzego.[36])

Na kamień stwardniało było oblicze królewskie pod temi pociskami. Śród burzy rozpętanej, wichrzącej nad jego głową ni czoła nie pochylił, ni powiek nie zmrużył. Patrzył onemi tchnącemi mocą oczyma prosto w rozpalone twarze uniesionych namiętnie skarżycieli.

W źrenicach krzyżowały mu się tylko niekiedy błyskawice, fala krwi łuną przewiała królewskie czoło, siedział nieruchomy z berłem w dłoni, druga ręka jakby bezwiednie rękojeść szabli była pochwyciła. Ale usta miał zwarte, wzgardliwe, chwilami gorzkie.

---

[36]) Sokołowski August III. t. 721 str. Według Szujskiego pomawiano króla o wysłanie do Rzymu biskupa płockiego, M. Wolskiego str. 62. Dzieje.

Patrzył twardo w pieniącą się izbę, słuchał głosów, brał w siebie one pociski, one rzuty zawiści, ostrza weń godzące.

Lecz twarz poczynała mu już płonąć, pulsowały żyły na skroniach ...

Aż gdy o zdeptaniu paktów konwentów zakrzyczał któryś jawnie, gdy onym klamliwym pociskiem o rozwodzie z królową Anną ugodzono majestat, porwał się był z tronu Batory.

Zcichło na sali ...

On zaś, rękę do głowy uniósłszy, zawołał głosem, jakoby z głębin burzy dobywanym:

— „Mnie tam, z trosk wojennych włosy pobielały“ ja i wojsko cierpieliśmy znój i bój, darmo nieśliśmy rany i życie krajowi, — nie zarzuty nam się od was należą! Może i pomyłki jakie zarówno ja, jak i wodzowie moi popełnili, ludzka to rzecz; lecz wróciliśmy zwycięzcami, zmogliśmy wielkiego wroga, przeto honor narodu do przemilczenia zarzutów obowiązuje, a powinność do dania pomocy. Tu zaś kamieniami oszczerstw mie obrzucono ...

Uniesienie mocniło głos królewski, od krwi napływającej pociemniało batorowe oblicze, oczy gorzały, gdy wołał:

— „Stawiliście mnie jakoby dłużnika waszego, miast się za wierzycieli waszych obowiązków obywatelskich poczuwać.“ Lęk was przejmuje na myśl o nowych, poborach, dla przeprowadzenia których sejm ten zwołałem, trwożą was małodusznie podatki na nową wojnę.

— A zaś „powiem wam iż potęgą swoją wspieracie zdrajców i wichrzycieli, a zwracać jej przeciw wrogom ojczyzny nie chcecie.“ Wiem ja gdzie gniazdo onych waśni, z jakich źródeł cieką obelżywe zarzuty przeciw memu majestatowi ciskane ...

Uderzył król wzrokiem w siedzących nieopodal Zborowskich. Zmilkł na moment, trzymając ich pod ostrzem swego spojrzenia.

Mówił głosem o śpiżowym dźwięku:

— Obowiązkiem moim, który spełnię, jest: zdrajców ukarać, zerwać sieć obcych intryg, narodowi memu oczy rozewrzeć, nie bacząc na wasze hałasy i przeczenia, bo ni „urojonym ni malowanym królem nie jestem i niebędę.“

„Zgoda między mną a poddanymi, między wolnością obywatelską a królewskim majestatem zbudowana być nie może na waszej swawoli, ni na mojej słabości“[37])

Zdało się, że ze słowem każdem urasta ten na stopniach tronu stojący, biło w jego głosie żelazne tętno, jakoby tarcz mocy go osłaniała, że zdały się chybionemi strzałami one uprzednie pociski, weń godzone. Mówił dalej głosem do czystego dzwonu podobnym:

— „Nie służalcem jestem, lecz człowiekiem wolnym z urodzenia, ani też mi wprzód, nimem w te kraje przybył, na czembądź zbywało. Miłuję wolność waszą i takową za wolą boską przestrzegać będę, ale nigdy nie ścierpię, by moja królewska swoboda w czemkolwiek naruszoną, uszkodzoną została, by najmniej nawet uszczuploną. Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę polską na moją głowę włożyli, jestem więc królem waszym prawdziwym i prawym, chcę i muszę rządzić i panować i nie dozwolę, aby kto nademną panował.

Poruczam obowiązki, zdaję dostojeństwa, którzy według rozumu mego sprostać im zdołają, wy zaś prywatą i samolubstwem kierujecie się w onych żądaniach. „Celem każdej rzeczypospolitej jest pożytek ogólny, dobro narodowe, o które staram się usilnie, nie

---

[37]) Szujski: Dzieje polski str. 91.

bacząc na wasze głosy złośliwe. Panowie senatorowie! albo mi uczyńcie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszemi związali, boć ja ni czyjeś, ni własnej krzywdy nie zniosę!“[38]) Ani wewnętrznych spraw kraju, w rząd mnie oddanego, nie zapominam, ni na grożące mu od zewnętrznych wrogów niebezpieczeństwo oczu nie zamykam; bom jest stróż Polski, jej opiekun ... i sługa przyszłości narodowej: ta jedna sądzić mnie ma prawo.

Zaś nie bacząc na waszą swawolę iść będę po onej drodze, na którą mnie wwiodła powinność ... Tedy ozwieram oczy wasze, jako Moskwy nie lekceważcie, bo ten sąsiad wasz dziki jest, gotowy na wszystko, mocarny i w ślepstwie zatwardziały ... Tedy, jeśli wy jego nie złamiecie i nie spętacie, — on was powali i złamie, spęta i podepce. To tu w chwili niniejszej tkwi najgroźniejsze dla Polski niebezpieczeństwo, które, aby odegnać, nie żałowałem, ni żałować będę znoju i krwi... Wy zaś nie żałujcie cząstki mienia na nowe dla wojska pobory ... — Są, którzy woleliby, żebym przez namiestników, a nie osobiście wojnę prowadził, czem chcą jakoby troskliwość o zdrowie moje jawić; lecz mienię ono dla siebie rzeczą nie przystojną i mej godności uwłaczającą; — bowiem przytomność królewska na onych polach bojowych, gdzie śmierć żenie, gdzie nagłe trwogi i najmężniejszych oblatują: dwoi odwagę, krzepi ufnością, zapał budzi, waśnie przygasza i ściąga do obozu wojowników liczniejszych ... Ten jest cel i ona jest przyczyna, że miecz swój królewski wespół z żołnierzem moim wzniesiony trzymam ...

Umilkł na chwilę.

Owa śmiała, dumna głowa króla Stefana, teraz wyżej się jeszcze podniosła. Wzrok Batorego uczynił się jakby ostygły z przedchwilowych żarów i uniesień, a tenże chłód lodowaty ozwał się i w głosie, gdy król, zimne oblicze ku senatorom zwróciwszy, rzekł wolno:

---

[38]) Pauli. Pamiętniki str. 186. Autentyczna mowa Batorego.

— Zarzuty padły tu przeciw mnie wszelakie, czyn mój każdy roztrząsano i potępiono, aż i do wielu oszczerstw, dorzucono skargę, iż dążę do zerwania ślubów z królewską moją małżonką ... Onej należny szacunek, powinny, z mej strony, składałem i składam ... a zaś wierności i uczciwości małżeńskiej ... nie skaziłem niczem. Na ono pomawianie mnie o starania o rozwód z królową, mam jeno ... prawdę i wzgardę.

Umilkł król, siadł na tronie. Cisza zaległa izbę.

Skinął Batory na kanclerza Zamoyskiego, by ów swą mowę wygłosił.

Posłowie z podełba poglądali; jakoby przysłony spadł im były na oczy; jawny protest króla, którego się nie spodziewali, na poprzek stanął wszem, że nawet Zborowscy, oni wodzireje wichrzeń, rokoszanie namiętni, nigdy kłótni nie syci, nawet ci, a przywarowali znagła w konsternacji. Tylko we wnętrzach kotłowały się burze, boć obroża ocisnęła im karki, której twardość odczuli.

Ozwał się Jan Zamoyski.

Słowa kanclerza na wzburzone odmęty waśni sejmowej, na nieostygłe jeszcze uniesienia namiętne, popłynęły, jako ten kojący spokój, i ciszący i łagodzący. Głos Zamoyskiego nieczem nie był zmącony, że, zdało się, żadnej fibry nie poruszyły w kanclerzu poprzednie grzmoty, jakoby zdala był od nich. Wiew ochładzający szedł z jego słów.

Mówił ...

Zebranych senatorów zapoznawał z trudami, jakie król pokonał czasu wojny, odsłaniał wszelkie niebezpieczeństwa, grożące walczącym w kampanii połockiej, ukazywał wielkie korzyści, odniesione ze zwycięztwa. Dowodził, że koniecznością jest dalsze prowadzenie tak świetnie rozpoczętej przez króla wojny.

Odwołał, się wreszcie do patryotyzmu malkontentów, skłaniał ich umysły ku mądrem zamierzeniom batorowej polityki:

— „Złączcie się z usiłowaniami królewskiemi, przystąpcie do nich sercy i animuszni, dobremi, szczeremi i uprzejmemi, w miłości i zgodzie obopólnej, ninacz inszego nie patrząc, jeno na dobro ojczyzny swej, na jej salutum, aby kiedy potem nie przyszło z waszmościami albo potomstwem waszmościów do jakiego, Boże racz uchować, upadku.“

I mówił dostojny, spokojny, odsłaniający w każdem słowie mądrość serca i umysłu, szlachetny na obliczu i w onej pańskiej posturze, zdający się postaciować greckie kalós k' agathós: dusza piękna w nadobnem ciele ...

Niewoląca siła była w głosie i słowach Zamoyskiego, że słuchano go w skupieniu, przemieniając się na licach i w tajniach myśli.

Mówił kanclerz:

— Jeśli król burzy wojennej z potęgą caratu zwycięzkie stawił czoło, to go nie uchyli przed sejmową burzą. Naród musi wiedzieć i w to uwierzyć, że tu włada prawo, a interes państwowy obrażony być nie może. Tedy poniechajcie waśni panowie senatorowie i posłowie, zjednoczeni stańcie przy majestacie, a będziemy potęgą. Do onej potęgi dążyć, jest każdego z nas powinnością najpierwszą.

Gdy król i kanclerz na oczach wszystkich nieopodal siebie byli, złączeni jednaką myślą, spojeni tymże samym o rzeczach sądem, wspólnemi usiłowaniami i czynem; gdy Batory postaciował siłę, incyatywę, płomienność i rozum, Zamoyski uosabniał mądrość, zespoloną z rozwagą i spokojem: zdali się obaj tą granitową opoką, o którą musi sie rozbić wszelka prywata, małoduszność, omyłka, z której ześlizgnie się złe, legnie u jej podnóża wichrzycielstwo ...

Słuchano kanclerza, a słowa jego odnosiły skutek pożądany. Zachwiany został zamierzony protest sejmu przeciw nowym poborom, budziła się nadzieja, że usiłowania królewskie i wola królewska na następnych posiedzeniach sejmowych zwycięztwo odniosą w wojennych jego zamierzeniach.

Zmierzchało już, krótki dzień listopadowy ciemniał i gasł, gdy Batory po pierwszej ukończonej rozprawie sejmowej na pokoje swoje wrócił.

I wnet zaroiły się korytarze zamkowe wielu przybywającymi do króla.

Dawno w mieście tem Batory nie był, listownie polecenia swe tylko dawał; teraz więc kwapiono się do omówienia ustnego załatwionych już i zamierzonych stanowień. A było ich wielu i najpilniejszych.

Toć w znacznym rozstroju, w wielkiem zaniedbaniu zastał był Batory Polskę, rządy nad nią objąwszy; „ostatnie lata Zygmunta Augusta, panowanie Henryka, burzliwe bezkrólewia dozwoliły wybujać indywidualizmowi na niekorzyść publicznego interesu. Sprawiedliwość bywała deptana, skarb rozkradany, duch obywatelski zanikł w Polsce; lenistwo, domatorstwo ogarnęło większość narodu.“ Kraj zdał się nie ojczyzną, względem której obowiązki ociężają ramiona każdego, lecz misą pełną, która winna sycić, szmatą, rwaną przez mocniejszych. Ślepota omraczała wzrok większości: nie widziano, że Polska jest korabiem, zapadającym się w odmęty topieli.

Porwał on korab żelazną ręką Stefan Batory, wydźwigał z głębin, mocował, co pękało, burze rozmiatał i wiódł, chwiejącą się łódź państwową, ku brzegom bezpiecznym.

Z energią i pośpiechem jął się odbudowy państwa, pieczy swej powierzonego.

W sądownictwie przeprowadza tedy szybko myśl szlachecką sądów ostatniej instancji, tworząc trybunały.

Korona pierwsza, bo już w 1578 roku otrzymała trybunał, który w Piotrkowie miejsce sobie obrał; zaś po załatwieniu spraw Wielkopolski do Lublina się przenosił, służąc Małopolsce.

Rok już pełnił swe powinności, w życie wcielony przez Batorego sąd najwyższy, o którym relacje p - semne słano królowi do obozów. To też teraz kwapili się marszałkowie, prezydenci, oni deputaci trybunalscy duchowni i świeccy, by rachunek z prac swoich pozdawać królowi.

Tłumno było na pokojach zamkowych, szła tam praca gorączkowa, coraz ktoś się wieścił, skwapliwie przez Batorego przyzywany, który żądny był zdania sobie spraw z dawniejszych swoich poleceń.

Tedy o onych pocztach, których siecią splótł był, Polskę pierwszy król Stefan, skracając przestrzenie, chybkimi gońcami łącząc stolicę z daleką prowincją, słuchał teraz król relacyj — z zajęciem i uradowaniem boć sprawnie działając, wielą korzyści kraj darzyły.

Sprawy skarbu pospolitego, reorganizowanego przez króla na modłę zachodu, przeglądano ściśle, sondując dochody państwowe, z dóbr, z żup solnych, ceł, mennicy, sejmowych podatków, z poborów łanowych, z opłat od rzemiosł, przemysłu, handlu, czopowego, pogłównego, i należnego skarbowi od duchowieństwa, subsidium charitativum; że królowi i urzędnikom roztrząsanie wszystkiego czasu wiele zajęło.

To też o czynnościach Akademji krakowskiej i Wileńskiej przed rokiem przez Batorego założonej, już dni następnych obradować miano.

Jakoby ukończone być zdały się na dzisiaj wszystkie sprawy krajowe; aleć uprosił sobie przez Lepseniego jawienie się przed majestatem on drukarz wielce gorliwy; niósł bowiem do rąk królewskich tylko co ukończone wydanie Żywotów Świętych, księdza Piotra Skargi Pawęzkiego, tę księgę przedziwną, napisaną przez onego

wielkiego proroka, teologa, mędrca, jaśniejącego nad narodem, jako gwiazda, która wiedzie w światło z ciemności.

Aże podziękowanie i pochwałę usłyszał drukarz z królewskich ust, boć Batory, będąc jednym z najoświeceńszych w on czas mężów, ocenił wielkość i długotrwałość genialnego dzieła.

Już usunęli się wszyscy z królewskich komnat, sekretarz Batorego, nieodstępny Reinhold Heidenstein, oddalił się do swych pokoi, niosąc grubą pliką notat, dziś spisanych, czasu obrad sejmowych i rozpraw królewskich, dokumentnie miał te notaty rozwinąć dalej i dla archiwów je narządzić.

Uradowan był wielce Weselini, gdy wynieśli się wszyscy, a król do sypialnej swej świetlicy udał się nareszcie.

Alić wszedł Lepseni i obwieścił Batoremu, wiedząc, iż król rad będzie, jako tylko co z pod Połocka przybył Ilma, ów ulubieniec królewski, węgier, masztalerz. Wojewoda Drohostajski, który po usunięciu się hetmana Mieleckiego władzę w obozie teraz dzierżył, słał Ilmę do Warszawy po gojące mastyki, bowiem na pęciach od mrozu wiele koni miało jakieś ranki, nie dające się wygoić, że, znającego się na rzeczy masztalerza wyprawił wojewoda dla zasięgnięcia rady u mądrych jakich konowałów.

Wielce miłował król swe konie, były mu jako przyjaciele i dzieci, o które się, troskał, że teraz jął z zajęciem rozpytywać Ilmę o onych swych faworytów, zostawionych w Połocku i sąsiednich włościach.

— Wszem pegazom jest dobrze, ale najlepiej tym, które w Buławach u bojara Kuźmy Ościka kwaterują — powiadał Ilma.

— Tak im tam dobrze? — z ożywieniem król Stefan zapytał.

Ów zaś rozpowiadał. słuchany pilnie:

— Wielce troskają się tam o nie wszyscy. Masztalerz Maciejowski pilnuje koni, jak tego oka w głowie ...

— A Sułtan? — zagadnął król, że to najcenniejszy był z jego wierzchowców i przez Batorego stale zażywany pod wierzch.

Aże głową w admiracji chwiał Ilma, słowa następne rzecząc:

— Onemu, to jak w samym raju jest w Buławach ... Panienka Bielecka co dnia go w stajni nawiedza, a pieści Sułtana, to liczko swe do szyi mu przytula, słodyczami karmi, że niech jeno stanie w wierzejach, a rwie się koń na łańcuchu, byle prędzej do niej ...

Spogodniało oblicze królewskie, śnieżnie zęby zabielały pod ciemnym wąsem, uśmiechał się Batory, skwapliwie słuchając.

Po wyjściu Ilmy nie ruszył się z miejsca, sparty plecami o krzesło, pogrążył się w zadumie. Jakby gdzieś daleko i czasem i przestrzenią poniosły się jego myśli, jakby w głąb tajnych rozmyślań był zstąpił.

A lico czyniło mu się zbyte troski, spokojne, jasne, czegoś rade i ukontentowane; pogoda legła na czole i w męskich oczach.

Wieczór zaś płynął w noc, łączył się z jej głębokością.

Tedy przystąpił do stołu Ferens Weselini i ozwał się tym swoim troskliwym i razem ojcowskim głosem:

— Miłościwy panie, późno już, legnijcie na spoczynek. Trudu dziś mieliście wiele, a i w onem teraz ważeniu i dumaniu też jest pewno mozół i udręka ... Legnijcie lepiej ...

Podniósł król Stefan wzrok na sługę, wzrok łagodny, marzący. Rzekł zwolna:

— Nie ... w tych myślach udręki niema, a naprzeciw, bo ... ukojenie ...

Dodał zcicha:

— Jeno, że ... przelotne.

— Zdobywacie wszystko, miłościwy panie, rozumem swym i wolą; zdobędziecie i to.

— Zapóźno — rzekł Batory półgłosem. I znowu poglądał gdzieś daleko, jeno już bez poprzedniej w obliczu jasności:

Głosem zniżonym, nie do sługi, raczej do siebie samego, rzekł wolno:

— Ni rozum, ni wola po ono ukojenie nie sięgną.. Że i lepiej wspomnienia te odganiać ...

VII.

Ku końcowi dobiegał sejm.

Stawało się woli królewskiej, a kanclerskim usiłowaniom zadość. Szlachta, prowadzona na smyczy Zamoyskiego, zagrzewana przezeń w patryotycznych czuciach, przekonywana o nieodzowności dalszych walk z carem Iwanem, ruszyła wreszcie ofiarnością, zatwierdzając nowy pobór wojska w takiej obszerności, jako był roku zeszłego. A starostowie, iż animusz był się w nich ocknął, podwójną kwartę na zaciąg ofiarowali.

Że i uradowan był król wielce.

Już grudzień mijał dni swe ostatnie.

Srożyła się zima nad Warszawą: biel śnieżna, mrozy tęgie wyszroniły miasto, które się widziało, jako ten całun niepokalany. Ale pogodne niosły się dni, iskrzące w promieniach słonecznych, błękitem nieba czyste i wesołe; to i śliczna uczyniła się Warszawa, niby dziewoja urodziwa, hoża, wdzięków swych świadoma, wabnie uśmiechająca się do swych gości.

A tłumno i rojno było przecie w mieście, które już od czasów Zygmunta Augusta jęło się rozrastać i jakby w oczach ogromnieć.

Przyczyny do onego rostu były słuszne i wielorakie: leżało miasto w samym ośrodku Rzeczypospolitej, między Krakowem, a Wilnem, tak oddalone od Gdańska, jako i od Lwowa, zupełnie by ono serce, w samych piersiach kraju umieszczone. Blisko ztąd było do Małopolski

blisko na Litwę i na Ruś czerwoną; toć i coraz dogodniej bywało królom w Warszawie, gdy sprawy państwa czujnego oka rządu, wsze ziemie ojmującego, potrzebowały.

Znajdował się przytem ów gród „przy głównym trakcie wodnym i wielu ważnych drogach lądowych“, co bogactwo jego mnożyły.

A mało dobra i zamożności otaczało Warszawę?

Pola żyzne świadczyły o gospodarności ich posiadaczy; setki trzód tuczyły się na nadwiślańskich łąkach, latem kwieciły się dokoła sady, owocu i warzyw pełne, miodem ciekące w licznych pasiekach ...

Albo to, czasu elekcji Henryka Walezego, nie zdumiewali się wszyscy, jak Warszawa sprawnie, gościnnie i suto żywiła, ba, fetowała one przeszło stutysięczne tłumy, zjeżdżającej na Wolę szlachty.

Przecie każdy personat i dworzan i pachołków ze sobą wiózł, ciżbiło się tego wszystkiego w mieście.

Ale się Warszawa nie frasowała, nic to dla niej było; ugościła wszystkich, zamożna, ruchliwa, wesoła, wabna, aże w głowie się kręciło.

Zadowoleni i chwalący rozjechali się wszyscy do dom po elekcji, już wtedy bąkając, jako mazowiecki ten gród sposobniejszy na stolicę od Krakowa, który na zboczu leży, nie zaś w samej kraju środzinie.

Teraz znowu zaroiło się od przyjezdnych w syreniem mieście: sejm dwoił ruch, a pobyt dworu królewskiego ściągał tu wielu.

To też i tłumno było wszędy, nie tylko na takich pryncypalnych ulicach, jak Świętojańska, albo Freta czy ten Staro-miejski rynek, który był „pestką“ i „jądrem“ całego miasta: spaniały, murowany, bogactwem górujący. I w dzielnicach, ciągnących się za murami miasta, poza bramą Krakowską i Nowo-miejską też przechodniów nie brakowało.

Kto w centrum Warszawy kwatery nie znalazł, dostał ją na Czerskiem przedmieściu (dzisiejsze Kra-

kowskie), albo na Bykowcu, czy za Mniszkami, a w ostateczności tam, het, za miastem, w tych folwarczkach, sadami otoczonych, wedle Świętego Krzyża.

Kościołek to był mały wprawdzie i stary, ale bogaci mieszczanie tutejsi predylekcją, a pieczą szczególną otaczali oną świątynię. Legaty na nią zapisywano, obdarzano gruntami, że się czyniła zamożniejsza. Rajcy warszawscy z pańska żyli, szczodrobliwość nie była im obca: już ta Warszawska hojność głośniała po kraju. Albo to taki Bernardyński kościół, obok bramy, prowadzącej na przedmieście, komu innemu, a nie opiece warszawian zawdzięczał swą egzystencję i dwojące się fundusze? Choć i słuszne to było; przecie w onym to kościele i zakonie bernardyńskim, śluby swe zakonne, trud czterdziestoletni pracowitego a dobroczynnego żywota złożył święty Ładysław z Giełniowa. Tu, w tej świątyni, na krótko przed śmiercią, ostatnie swe natchnione kazanie wygłosił, tu szczątki jego wpodle ołtarza złożone, cudami głosiły świętość tego grobu. To i jakże mieszczanie warszawscy nie mieli onej świątyni czcić i za splendor swój uważać?

Coraz paradniejsza i bogatsza stawała się Warszawa, że ono poślednie miejsce, które zajmowała po Płocku, a nawet i po Czersku, wcale nie odpowiednie być się już widziało.

Przeto król Stefan, który częstym w Warszawie bywał gościem, mocą nadanego miastu temu przywileju, zrównał je w prawach z innymi grodami Rzeczypospolitej.

Troskał się Batory o Warszawę, pod pieczołowitą swą garnął ją opiekę: ów most na Wiśle, który za staraniem Zygmunta Augusta jął się dźwigać nad wód topiela, poczytywany przez spółczesnych za cud mechaniki „na podziwienie misterny“, przytem i w robocie i w materjale i w samym pomyśle stawiany jeno kraju siłami,[39]) — skwapliwie polecił Batory wykończać, trudu i kosztów na niego nie żałować.

---

[39]) W. Gomulicki: **Opowiadania o starej Warszawie.**

To i jakże za tyle dobra nie miała się radować Warszawa?

A najlepiej jawiła się ona przyrodzona miastu wesołość w dni świąteczne i niedzielne, wrzało wtedy na ulicach, jak w ulu.

Z kościołów: Św. Jana, od panny Marji, od Augustyanów ciągnęły tłumy zwartym korowodem na rynek Starego Miasta, „gdzie na środku stał Ratusz z wysoką wieżą, na której szczycie wykręcała się blaszana syrena“, herb onego grodu.

W piwnicach ratusza wino przedawano, miody sędziwe, wonne małmazje; wódek tam żadnych gościom nie podawano, bo ci w nich nie gustowali, spiritualie w one czasy tylko apteki posiadały.

A młodzież płci obojej, mieszkańcy miasta stali i przygodni wiedli się ukontentowani, strojni odświętnie wokół ratusza, pod murowanemi kamienicami, zdobionemi malunkiem, ostawionemi posążkami. Wesele aż tęczowało dokoła, gwar się wzmagał z minuty na minutę, spotykano znajomków, ulice roiły się od ślicznych niewiast, z których jedna od drugiej była ładniejsza, zaś wszystkie razem uroków niewieścich tak była pełne, bo i ładne na buziach i fertyczne w ruchu, śmiejące i lube, że już w on czas rozchodziła się fama, iż kto chce urodą białogłowską oczy swe napaść, — nie gdzie indziej, jeno prosto do Warszawy kwapić się powinen.

Kipiało w mazowieckim grodzie od życia i ruchu.

I dziś też tak było: szły tłumy wolnym krokiem, zażywając dnia niedzielnego, pławiąc się w czystych blaskach zimowego południa.

Parł się przez ten tłum, niecierpliwie go roztrącając, gniewny na obliczu kasztelan gnieźnieński, Jan Zborowski, zwycięzca zpod Tczewa.

Na zamek, na posłuchanie do króla szedł; suplice jego stało się zadość: dozwolił mu miłościwy pan jawić się przed majestatem.

Pewien nie był jednak kasztelan wyniku tego posłuchania; król, zgniewany na Zborowskich, statecznie ród ich pomijał.

Każdy, by ta mizerota, kołacząca, przed oblicze pana stefanowe wpuszczana bywała, — nakaz takowy wydał król, który musiano skwapliwie pełnić.[40])

Chociaż bowiem „Batory majestat swój królewski cenił, niby drugi Cezar“ i żelazną dłonią dzierżył wzburzone odmęty wichrzeń stronniczych, — to jednak „częściej łagodnością i roztropnością, więcej niż surowem obejściem poskramiał niechętnych i garnął poddanych ku sobie“. Przecie mawiał niekiedy:

„Ja się w srogości nie kocham; jednak musi być karność, jeśli ma być posłuszeństwo, i rząd, nie zaś Babilonia“.

Wiedział o tem wszem Zborowski, dufał, iż pan przystępny dlań będzie, jednak w momentach ufność w nim gasła, a wątpienie ciężyło sercu.

Jakże! toć za Samuelem, za bratem swym banitą kołatać ma o łaskę do tego, który w dniu otwarcia sejmu twardo powiedział:

„Zgoda między mną a poddanymi, nie na waszej swawoli, ni na mojej słabości zbudowana być nie może . . .“

Słabości w Batorym nie spodziewał się Zborowski, ani tego, by postępki samuelowe za co inszego, niż za rozpętanie swawoli król poczytywał.

To i chmurniało lico kasztelana w miarę, jak zbliżał się do zamku.

Już minął zapchaną strojnisiami Świętojańską ulicę, wyszedł na szeroki plac zamkowy. Brama krakowska, wprost jego oczu rozwierała się na ścieżaj, daleką, niegdzie domkami albo i temi pałacami murowanemi jaśniejącą ulicę — ukazując. Poza murem, miasto okalającym, tuż za placem zamkowym, dźwigały się

---

[40]) „Sam król supliki najlichszych biedaków przyjmował“ Marcin Laterny, spowiednik króla.

ściany kościoła Bernardynów i wyraźnie znaczyły na błękitach pogodnego nieba.

Zboczył wreszcie kasztelan gnieźnieński w bramę zamkową.

Gdy do audyencjonalnej sali wszedł, kędy u mozajkowego stołu siedział na rozłożystem krześle Batory, lotem pomknęło przez myśl Zborowskiego, iże ciężka będzie ona suplika, do majestatu zwrócona. Zimne bowiem, nieustępliwe było pana stefanowe oblicze.

Na głęboki pokłon Zborowskiego, ledwo głową król skinął, one tchnące mocą źrenice, na przybyłego zwróciwszy.

Że w długich korowodach omówień Batory upodobanie nie miał, a jeno prosto do rzeczy zwykł przystępować, to i na znak królewski, kasztelan zaczął mówić, z czem przybywa.

Stał przed królem, którego odziewał ciemny żupan, pętlami sznurowemi zwierający się na piersiach — jakby naprzeciw onej skromności, wyparadowany w kontusz orzechowy o wylotach błękitem podszytych, pasem złotawo-białym opasan i lśniący guzami drogimi. Stał wyniosły, męski w obliczu, z białem czołem, sięgającem aż poza skłon czaszki, ku podgolonej czuprynie; Rozum miał w twarzy i spokój, wolą, snać, zwołany. Jeno głos trochę mu się chwiał niepewnością, i sumiaste wąsy machinalnie ręką raz i drugi targnął.

Zaczął jawić z czem przybywa:

— Nie lekce ja sobie ważę, miłościwy panie, postępki samuelowe, — mówił — ani pomniejszyć winę braterską zamierzam; tylko do łaski monarszej kołaczę, suplikuję o nią tym głosem swoim, który zawsze wypowiadał się za tronem i niczem przeciw waszej królewskiej mości nie zawinił.

Światłość zbudzonej myśli przewiała batorowe oblicze, ozwał się król:

— Waść temu tylko przypisuj obecność swą tutaj, żeś jeden z pośród Zborowskich pełen zasług, i że chcę pomnieć jeno na mężnego zwycięzcę z Tczewa i Czchowa, a zapomnieć usiłuję, żeś, kasztelanie, z rodu wichrzycieli i banitów!

Głową skłonił Zborowski w znak podzięki, ozwał się jednak:

— Wszelako, miłościwy panie, ród tych „wichrzycieli“, jak nas mianować raczysz, pierwszy wypowiedział się za siedmiogrodzkim księciem, gdy Polsce króla obierać miano ... Brat mój, Andrzej, był tym, który na polu elekcyjnem donośnie w zebrane tłumy rzucił imię Stefana Batorego. Drugi mój brat, Piotr, krakowski wojewoda i starosta krakowski, zamek królewski stężyczanom oddał[41]). A ów „banita Samuel“ jeszcze w Medyaszu podpisem swym przysięgę waszą, miłościwy danie, na pakta konwenta, potwierdził.

Mówił to Jan Zborowski wolno, dobitnie; snąć chciał, aby mocnem brzmieniem ozwały się niedawne wspomnienia.

Słuchał król Stefan, patrzył mu w oczy; ów zaś wiódł dalej:

— Nie na zapłatę liczyliśmy; mienia i znaczenia w Rzeczypospolitej mamy dość. Ale słusznie chyba, na fundamencie onej wiary do was, miłościwy panie, w samem zaraniu elekcji przez nas objawionej, mogliśmy budować nadzieję, że wasza królewska mość, do władzy monarszej doszedłszy, — zaufaniem swem ród Zborowskich obdarzy i na nich w sprawach publicznych polegać będzie ... — Dufaliśmy ... jeno, że próżno.

Cień zawodu, czy nawet obrazy dźwięknął w głosie mówiącego:

---

[41]) Szlachta, zebrana na zjeździe w Stężycy, przeciwna była powrotowi Henryka Walezego do Polski i usiłowała nowego króla obrać.

— Inni zdobyli sobie wiarę waszą, miłościwy panie, inni na czołowe stanowiska w kraju wysunięci zostali. Nas pomijano stale, chłodem ku rodowi mojemu wiało od tronu ... Uprzedzeń? ... — ręką uczynił Zborowski ruch nieokreślony — tuszę nie żywiliście do nas, miłościwy panie; ale i bez wszelakiej królewskiej życzliwości dla nas, przeszły lata dotychczasowego waszego, miłościwy królu, panowania.

Śniadawa twarz Batorego okrasiła się żywą barwą, świadczącą, iż ruszono w nim głębię uczuć. Podniósł król głowę wyżej, z ciemnych oczu bił mu blask. Lecz Batory zaczął mówić spokojnie:

— Gdy na elekcji obierano temu królestwu opiekuna i ojca, cały naród, porzucony przez mego poprzednika, oczekiwał nowego króla, aby ten chronnem skrzydłem całą Rzeczpospolitą osłonił ...

— Kto wołał i za kim wołał, nie obranego rzecz. Koroną się nie frymarczy; ręce, które nią wieńczą, jawią wiarę, czoło, na którem ona legnie ... innej myśli nad dobro i korzyść kraju, w pieczę oddanego, odbijać nie powinno ...

— Obowiązek, na moich barkach leżący, nie tyczy jednego rodu Rzeczypospolitej, ale całego narodu; nie protektorem jestem Zborowskich, lecz królem Polski ...

— Gdybym wynagradzać miał tych, którzy wypowiadali się na elekcji za mną, powinienbym jednocześnie prześladować tamtych, obiorowi mojemu przeciwnych ... Widzisz waść dokąd logika twoich wyrzutów prowadzi ...

— Z chwilą gdyście mnie ukoronowali, wszystko minione, prywatą będące, choćby i bliskie sercu mojemu — musiało zniknąć i ... znikło.

Ożywiał się Batory, mówił szybciej, gorącej:

— Jako-że w wasze ręce miałem oddawać kanclerskie pieczęcie, buławy, urzędy odpowiedzialne, skoro ani zdolności ani charaktery wasze burzliwe, gwałtowne,

warcholskie — sprostać nie byłyby mogły obowiązkom takowym?

Płacić za koronę szkodą powierzonego mi państwa nie będę. Draźni was, że Zamoyskiego powołuję do coraz wyższych obowiązków, bowiem zaszczyty jeno widzicie, a trudu, z szczytem onym złączonego nie dostrzegacie. Jeden jest dziś w Polsce mąż, na miarę wielką: Jan Zamoyski. Jest on duchowym synem mądrej, ruchliwej szlachty, tej oświeconej, patryotycznej, walecznej, serca gorącego, skorej do dzieła, szczodrej i śmiałej.

Życiem swem, umysłem, geniuszem — postaciuje kanclerz Zamoyski wielkiego ducha Polski; szczęsny się czuję, mogąc takiego człowieka postawić u swego boku, wespół z nim nieść trud rządzenia. Przewiną moją byłoby wielką, gdybym na ścieżaj nie otwierał drogi temu, który jest bogactwem swego narodu; ślepcem byłbym, zapoznając jego rozum i talenty...

— Mości kasztelanie, sami tu jesteśmy, niczyje uszy, prócz waszych, słów moich nie słyszą, tedy powiem szczerze, że tylko pycha wasza, zabiegliwość w zbieraniu fortuny, łowienie zaszczytów publicznych utwierdziło znaczenie waszego rodu w Rzeczypospolitej. — Za krótkich rządów Henryka Walezego wyście władali prawie całą Polską, a władali z jej szkodą i korupcją, rozpasała się za waszym przykładem swawola i samowola: że dziś żelaznej na nie trzeba ręki! Banicja, na jaką skazan został Samuel, niczem zdała się wam wszystkim... Pókim był księciem Siedmiogrodzkim, jeszcze nie związany z Polską, wolno mi było „banitę“ na dworze swym, jak człeka prywatnego przyjmować i gościć; lecz mi nie jest wolno, królem polskim zostawszy, deptać dla prywaty prawa rządzonego przeze mnie państwa...

— Przeto i nie spodziewajcie się wysłuchania waszej supliki: ni banicji z Samuela nie zdejmę, ni pozwolę mu, jako dotąd czynił, swobodnie w kraju przebywać. I tak banicja za małą jest karą za zabójstwo Wapow-

skiego: prawo za takową zbrodnię żąda śmierci winowajcy. Toć wiecie wszyscy, iż król Henryk Walezjusz, jeno prywatą kierowany, a prośbom waszym ulegając, ku zdumieniu wszech, — wyrok nadmiar łagodny na Samuela zasądził.

— Łaskę czynić, królewski to przywilej ... — ozwał się Zborowski.

— Tak, przywilej cenny i wielki, jeno baczyć należy, na czyją korzyść nim szafować — odrzucił Batory. — A któż to jest Samuel Zborowski? awanturnik, gwałtownik, fantasta, depcący prawo, granic dla swej szlacheckiej buty nie znający! Tu wolną nogą po wszem kraju jeździ, choć wyrok precz za granice Rzeczypospolitej go żenie; potem na Niż jedzie do zaporożców, na ich czele staje; kiedym dobywał Połocka, on samowolnie wyprawę na Wołoszczyznę podejmuje; napada ziemię Halicką, lekce sobie waży wszystko, przed żadną władzą, nawet przed władzą własnej ojczyzny głowy nie uchyla!

Z podnieceniem, w gniewie prawie mówił Batory:

— Jeno to wam, kasztelanie rzeknę, że bardziej on szkodzi sobie niżeli drugim. — „Canis, qui latrat, sed non mordet“[42]), psem szczekającym jest wasz Samuel, jeno, że ugryźć nie zdoła!

Chmurą ciężkiej troski zasnuło się oblicze kasztelana gnieźnieńskiego, siwiejące brwi zwarły się na jego czole, gdy mówić zaczął zcichłym przez wątpienie głosem:

— Miłościwy panie, wiecie, że zdala od braci moich się trzymam, nie pochwalam, naprzeciw, ganię ich postępki; alem jest krwią z ich krwi, i kością z ich kości; co dziwne, że ich miłuję, że wielce mnie nęka srom banicji, plamiącej mój ród. Domagacie się słusznie, miłościwy panie, by wyrok na bracie moim wypełniony został, precz go wypędzacie poza ziemie polskie ...

---

[42]) „Pies, który szczeka, lecz nie kąsa“ — Szujski. Dzieje Polski t. III. 75 str.

Ale on młody, żywot przed nim, a w niwecz mu się obróci tam, na wygnaniu ... Szlachetny grunt, mimo wszystko, w samuelowej duszy zapoznać się nie da, animusz go zdobi rycerski, lwia odwaga, naraża on bardziej siebie, niż drugim szkodzi, więcej lekkomyślność, niżeli złość przeziera przez jego postępki ... Przeto zmiłujcie się nad nim królu. Tę pierwszą i ostatnią suplikę do waszej miłości zanosi ten zwycięzca zpod Tczewa, którego raczycie we mnie widzieć ...

Na kolana osunął się Zborowski przed królem, ręce ku niemu błagalnie wyciągnął.

Moment w zamyśleniu trwał król Stefan, aż ozwał się wolno, bacząc na każde słowo:

— Spełnionego uczynku nic nie cofnie. Tu jest tragedium ludzkiego żywota; bo mało ważym, iż jako w kamieniu kowa się każdy nasz dzień.

Lotem bieży chwila naszego życia i wnet twardnieje w opokę przeszłości ... Nikt nie jest mocen zmienić przestępstwa waścinego brata, krew go zbroczyła, bratobójcza jego prawica. Bezmocni my wszyscy wobec tego uczynku. Jeden Samuel, sam winowajca skruszyć zdoła tę opokę przestępstwa, którą w przeszłości swej wydźwignął. Bowiem winę zmazać można karą albo zasługą. Karę wyznaczyło prawo, — zaś łaską moją królewską dam Samuelowi ... czas na zasługę. To jedno dla was, kasztelanie, jako nagrodę za wasze męstwo, za czyny wielkich dla kraju zasług, uczynię.

Nowa wyprawa wojenna pocznie się rychło, staniemy znowu u moskiewskiej granicy.

Niechże banita udział w niej bierze, zezwalam mu, niech męstwem, nie szczędzeniem krwi, ofiarnością, lekceważeniem niebezpieczeństw, zasługą siebie zbogaci i tą zasługą sam banicję swoją zmaże. Wtedy dopiero ja narodowe prawo karzące będę mógł uchylić. Nic więcej, tylko czas na zasługę daję mu, nic więcej.

Powstał z kolan Zborowski, ku królowi podszedł, który mu ucałowania ręki swej nie uchylił.

Rzeczywiście, w myśl słów królewskich, do Zborowskiego rzeczonych, rozwierały się z batorowej woli coraz szerzej wrota do prac i powołań przed wielkim kanclerzem, hetmanem dzielnym, mędrcem i razem patryotą. Szedł Jan Zamoyski drogą zaszczytów i obowiązków najwyższych ze spokojem i rozwagą, z niestrudzonem działaniem, budząc podziw spółczesnych, urastając na żywy wzór, dający się we wsze czasy stosować — dla potomnych.

Była w Zamoyskim na granit zwarta, zestrzelona w mocne ognisko mądrość, widząca jasno nietylko daleką przyszłość, lecz czytająca przyczyny i skutki minionych wydarzeń.

Nigdy żadne uniesienie, żadna namiętność nie zćmiła siły myśli onego męża, który barwę swej własnej duszy kładł na spółczesne mu dzieje. Wszystko ogromniało, wszystko czyniło się rzetelne i konieczne, na czem dłonie swe położył.

Batory był ognistszy, mocnem tętnem życia bijące jego wnętrze zdawało się nieraz naglone pośpiechem; jakoby pilno mu było spełnić, co zamierzał, iścić, co mniemał potrzebnem, gorączka czynu go trawiła; a może raczej bezświadome, w tajniach nie rozeznanych niepokojące go przeczucie krótkiego żywota, lecącego ku niemu z pośpiechem kresu dni.

Gdy byli razem: król i Zamoyski, zespoleni znajomością obopólną swych jaźni, swych usiłowań, pragnień i czuć, zwarci pracą, ku jednemu celowi wiodącą — widzieli się jako dwa kolosy niosące razem wytężeniem jednakiem swych ramion — losy kraju, niosący je w taką przyszłość, która stać się musi fundamentem potęgi narodu i razem słońcem, bijącem w najdalszą przyszłość.

Do tego obaj dążyli, to było ich czynem, wiarą i poczuciem dźwiganego obowiązku.

Ze świtem dnia zrywał się i teraz Batory z łoża, którego pozór zawsze był obozowy; żaden sybarytyzm nie docierał do wnętrza sypialni królewskiej. Na mocnej więzi trzymane było krzepkie, męską siłą najwyższego rozkwitu kipiące ciało pana Stefana. Onych swych sił cielesnych nie zużywał Batory nigdy na festyny, choćby odbywane w zaufanem gronie, na lube wrażenia, na uciechy jakiekolwiek. Zadne słodycze ludzkiego istnienia udziałem króla Stefana nie były od chwili, gdy polska korona legła mu na czole.

Twardy spartanizm, stoicyzm, który oniewalał tętniące może w nim żądze, — trzymały w nierozwierających się nigdy kleszczach męskie życie batorowe.

Ona namiętna żądza życia upust miała jedynie w pracy, na jej polu tylko pozwalał Batory siłom swym fizycznym wrzeć potęgą przyrodzoną.

W oddalonej od komnat królewskich sypialni swej, sędziwa małżonka Batorego przebywała sama. Progu tej sypialni stopa Stefanowa nie przekroczyła nigdy. Tam, gdzie nie majestat władzy najwyższy, nie symbol potęgi mocarnego państwa, lecz czar ponęt niewieścich królować powinien, gdzie urok słodkiej pieszczoty berło wiecznie zwycięzkie do dłoni kobiecej wkłada, kędy troskę przytłumia pocałunek, chmury życiowe rozprasza płomienna łuna miłosnych uniesień, gdzie włada niepodzielnie z uczuć najsłodsze: miłość mężczyzny do kobiety, tam, w samotności, zgrzybiałe, rumieńcem upokorzenia i zawodu powleczone oblicze, Anna Jagiellonka osłaniała zwiędłemi rękoma.

Była ona tą, która tylko dopełnia majestat królewski, która w rzadkich chwilach wielkich dworskich występów, dziejowych wydarzeń u mężowskiego boku staje jako królowa, lecz nigdy nie znajduje się u tego boku jako małżonka.

Niewieści wstyd, zda się, poczucie odpowiedzialności za długi szereg lat już przeżytych — osłaniały cicbe oblicze królowej Anny zmierzchem upokorzenia, które ocięża powieki i chyli głowę w poczuciu przewiny. Winną i pełną zawstydzenia czuła się sędziwa batorowa małżonka w swej pustej sypialni królewskiej.

Gdy wybór narodu wprowadził wielkiego madziara na tron, zajmowany przez liczny szereg jej przodków, przez ojca jej i brata, Anna Jagiellonka czuła się tego tronu tak bliską, że związek małżeński, łączący ją z tym, który miał posiąść ów tron, związek za późny dla kobiety, ale mający siłę i wytłumaczenie, owszem, konieczność niejako w onem właśnie nierozerwalnem zespoleniu ostatniej Jagiellonki z polskim tronem — uważała za słuszny i wykonalny.

Zaślubiwszy Batorego, zrazu jakby ocknęła się sieroca do niedawna królewna do życia nowego. Gdy Batory śmierzył bunt gdańszczan, sprawy krajowe, których Anna Jagiellonka świadoma była, ocierały się o nią, że prawie jawił się w nich jej udział i jej sąd.[43])

Nazbyt jednak potężne było ramię batorowe, za wielkiej mocy potrzebowały rozpętane przez Zborowskich i szlachecką samowolę żywioły wichrzące i pchnięte przez króla Stefana tętno dziejów zawrzało za donośnie i mocno, by ona żelazna siła wielkiego króla nie miała się ujawnić mocarnie i szybko.

W onym władczym rozmachu olbrzymich działań, w mądrym zaczynie planowanych na daleką metę, w głębie czasów przyszłych dolatujących zamierzeń politycznych i państwowych — nie było już miejsca na spółudział kobiety. Wszystko dłoniom niewieścim czyniło się za wysokie, za potężne, za niedostępne; że wyciągnięte zrazu skwapliwie do spólnej pracy ramiona niewieście, zwisły bezwładnie.

---

[43]) E. Raczyński. Panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego.

Im silniejszy jawił się Batory, tem słabszą czuła się wobec niego Anna Jagiellonka; im bardziej indywidualizm króla postaciował męską siłę, szczytowy rozkwit najbujniejszego plonu południowych lat ludzkiego jego żywota, tem wątlejszą i sędziwszą widziała się we własnych oczach królowa Anna.

On był cały w słońcu, w słońcu czynów prędkich i mocnych, gorzały na nim blaski nadziei, bijące w przyszłość; ją osłaniał zmierzch dni wieczornych, zstępowała w cienie starości.

Gdzie łącznik, gdzie ogniwo zwierające te obie dalekie sobie dole? nic, jeno wyrzeczone słowa nierozerwalnej przysięgi ślubnej.

Na serce męskie owa przysięga legła kamiennem pętem, stłumiła jego uderzenia, wychładzała skryte w mężczyźnie pożary; sercu niewieściemu przeciwnie: ślubna rota, wymówiona u ołtarza, rozwarła zamknione dotąd przed niem wrota, które wiodą do krainy lubej, pragnionej przez długie lata samotni, wyzłoconej tęsknotą...

Wstąpiła Anna Jagiellonka w rozwarte wrota tej uroków pełnej krainy, lecz znalazła w niej pustkę i zmierzch.

Gorycz zawodu objęła w kolące kleszcze serce ostatniej Jagiellonki, ból przeniknął duszę królowej.

One miesiące wielkiej bohaterskiej epopei batorowej, śpiewanej przezeń orężem u granic moskiewskiego carstwa, były dla królowej Anny okresem zupełnego już zwątpienia w możność jakiegokolwiek zespolenia się jej życia z życiem Batorowego. Godziła się ze swą dolą, rozumiała ją, może poczytywała nawet za usprawiedliwioną, lecz mimo to serce kobiety krwawił cierń, jątrzył je bólem i w przędziwo smutku osnuwał cichą postać starej królowej.

Równocześnie z powziętem przez Batorego postanowieniem rychłego opuszczenia Warszawy, i królowa zamyślała o wyjeździe. Miała z dworem swym wracać

do Krakowa, a tylko zimowa pora, nie sposobny jeszcze do podróży dalekich czas, kładła się wpoprzek jej chęciom. Tęskniła za Wawelem, mniej jej dolegał rozdział, nie upokarzał, gdy Batorego przestrzenie od niej grodziły, Dla oczu ludzkich samotność królowej miała wtedy swe wytłumaczenie i racje słuszne.

To też pośpiech jakiś począł przenikać warszawski zamek mazowieckich książąt, wylatywały już zeń myśli i zamierzenia przygodnych mieszkańców, niosły ku stronom różnym.

Wszystko, co tu, w średzinie kraju jeszcze do spełnienia było ze zdwojoną energią załatwiał Batory. Zwoływał do siebie uczonych, poetów, rozpatrywał ich prace, często pomocą materjalną, gdy była potrzeba, darzył. Właśnie i Bartosz Paprocki z wielu innymi kwapił się żywo do króla, by podziękować za one czterdzieści florenów pensji przez króla mu wyznaczonej. Ale nie darowizną mienił Batory swój dar, hojny na czasy owe, owszem, żądał, aby Paprocki spłacał dług dziełami, ku którym bystry umysł heraldyka kłonił się już wyraźnie.

Reinhold Heidenstein, ten po Długoszu pierwszy na miarę wielkiego talentu historyk dziejów naszych, skwapliwie korzystał z pobytu Batorego, podając mu w wolnych od pracy chwilach zeszyty swej Wojny moskiewskiej, której Heidenstein był świadkiem naocznym i uczęstnikiem stałym.

Batory nie tylko czytał historyę Heidensteina, nie tylko udzielał mu rad i wskazówek, lecz „własną ręką robił w niej poprawki i dodatki“[44]). Przeto odbiły się, jako w zwierciedle, nie same strategiczne ruchy wojsk, obrazy szturmów i wojennych zmagań w dziele onego historyka, ale, co ważniejsze, wyłoniły się zeń duchowe

---

[44]) St. Tarnowski: Historya liter. pols. t. I. str. 279.

wizerunki Batorego i Zamoyskiego; z ich to bowiem umysłów czerpał Heidenstein światło do swej pracy.

Połocka kampania była już skończona, bliska przyszłość miała nieść nowe zapasy orężne; przeto tak historykowi, jako i królowi zależało, by opis jej był całkowicie ukończon, zamkniony — przed drugą wyprawą.

Właśnie wychodził z komnaty królewskiej wytworny dziejopis, niosąc zwój swych cennych rękopisów, gdy dworzaniu Lepseni obwieścił królowi nowego przybysza.

Żywo zezwolił Batory na wprowadzenie onego.

Rozwarły się podwoje, na ich progu stanął olbrzymi, barczysty, ciemną głową powały wierzei sięgający, Kuźma Ościk Wierszułowicz.

— A witaj-że mi, gościu miły! — zawołał król w ucieszeniu nie małem.

Twarz stanęła mu w uśmiechach, spromieniały żywe źrenice, światło, które z nich strzeliło nagle, ogarnęło lico.

Kuźma zwykłym, pełnym rozmachu ruchem przeszedł dzielącą go od króla przestrzeń, ukląkł i głosem, uszczęśliwienie odbijającym mówił, podaną sobie łaskawie do pocałunku dłoń królewską, ustami dotknąwszy:

— Miłościwy panie, królu jedyny, szczęście to dla mnie wielkie, że was w zdrowiu fortunnem widzę ...

Nie przebierne były to słowa, a jeno że z samego serca idące.

Litwa kochała Batorego, wielbiła go za gromienie nękającej ją Moskwy, której potęga wzrastająca wdzierała się coraz uporczywiej w sprawy polskie, zgubnie ważyła już na onych, a postrachem wzmagającym się stawała dla ziem litewskich i białoruskich.

Ale w głosie Kuźmy Ościka, gdy witał króla Stefana była nie tylko cześć dla zwycięzcy, była i radość jeszcze z jego widoku, jakieś echo przyjacielstwa wiernego i oddanego.

— Miłościwy panie ... jako-że wam tu? nie za wiele mozołów i trosków?

Dyć wiemy tam o wszem, co się działo ...

Troskliwem, miłującem spojrzeniem ojmował Ościk lico królewskie.

— No, nic, dźwignąłem mozoły, minęły troski, no, nic ... — z tym nie schodzącym z oblicza uśmiechem pełnym jasności, w uradowaniu mówił król.

Zasadził u stołu obok siebie bojara Kuźmę, widać było, że z jego przybycia ukontentowan jest wielce.

I gwarzyli już ze sobą niby przyjaciel z przyjacielem, niby rówien z równym: równała ich bowiem pospólna uciecha z wzajemnego widoku, ogniwo wdzięczności za dobre dni w Buławach przeżyte, zwarte z ogniwem poczucia wielkiego zaszczytu, jakiego dostąpiły Buławy, majestat królewski dachem swym osłaniając.

Mówił Ościk, drobiazgowo szczególniąc każde wydarzenie, zaszłe na pobliskich od jego dworu kresach.

Bywał w obozie, w Połocku, o wszem wiedział, że i lepiej niż kurjer umyślny zdawał królowi sprawy z tego, co majestat obchodziło.

Potem jął Batory rozpytywać o rzeczy wagi drobnej: o dom Ościków, o rodzinę, o mieszkańców Buławów. Czy we zdrowiu ostawił tam wszystkich, czyli sam przybył do Warszawy.

Odpowiedział Ościk:

— Miłościwy panie, pomyślnie tam z łaski Bożej, i we zdrowiu moi wszyscy.

Nie sposobna do dalekich podróży pora, choć droga dla płóz równa, ale mrozy pętają nas tam groźne. Ostali moi doma, a tylko krewniaczka nasza, Bielecka, przybyła tu ze mną.

Coś wzmocniło się w uśmiechu oczu i ust Batorego, coś wionęło mu świetlistego przez oblicze.

Mówił dalej Ościk:

— Jak to dziewka, naparła się tej jazdy. Mrozem ją straszyłem próżno, molestowała, łasiła się, że brała, że i ustąpiliśmy oboje. — Po prawdzie to i sprawy tu ma w majętności swej, wedle Grójca położonej; dobrze, gdy je sobie rozpatrzy. A tymczasem u swej krewnej, Kunickiej w Warszawie sobie rada kwateruje.

Uśmiechał się król Stefan, ukontentowany wciąż i jakby lubujący się w onym familjarnym dyalogu.

Wreszcie jął Kuźma mówić o sprawach de publicis, o tem, o owem, czego król słuchał, ale, zda się, odbiegający często myślą od treści kuźmowych słów.

Po chwili zapytał:

— Waść długo zagościsz w Warszawie?

— Do Połocka za dni kilka pojadę, rozrachunki czynić z reszty ojcowizny żoninej, robota będzie, czasu trochę zmitręży, że potem prosto już z Połocka na Grodno do dom pojadę.

Mówili jeszcze ze sobą, każde słowo waloru było dla słuchającego pełne, aż kornie chylić się począł Ościk przed majestatem; zaś miłościwy pan łaskawie go żegnał, zaszczyt mu czyniąc słowem zezwolenia na ponowne odwiedziny.

Że ukontentowan, prawie dumny z przyjęcia opuścił Ościk zamek warszawski.

A Batory stał się po odejściu Kuźmy czegoś rad, ucieszon i wielce dobrotliwy. Kto tam dziś ze sprawą swą do majestatu królewskiego kołatał, taką łaską pańską był obdarowan, że się aż zdumiewał. Hojny, przystępny widział się Batory, prawie braterski w styczności z każdym, było w nim jakieś życzliwości pełne wyciągnięcie ramion do ludzi. Uśmiech jaśniał mu na męskiem obliczu, niby odbicie świateł, z głębin duszy bijących ...

Ale nie trwało to długo, Batory jął się zamyślać, w tem zamyśleniu z pośpiechem i jakby w znużeniu załatwiał sprawy, z któremi się do niego zwracano.

Zwiał uśmiech z męskich ust, znikły wewnętrzne swiatła, z duchowych źródlisk bijące, cały przygasł.

Wtedy zwolna, ale nie strzymanie przeobrażać się zaczęło oblicze króla: ogarnęło je zniechęcenie, apatja zamknęła usta, jawiło się w postaci Batorego zmęczenie, chłód obojętności na wszystko od niego powiał.

Biegły znowu dni lotem dwojonym przez prace gorączkowe a rozliczne, wypełniające królowi i jego otoczeniu wszystkie pozostałe już chwile pobytu w Warszawie.

Na skutek narad ze starszyzną wojskową, po postanowieniach obmyślanych, rozsądzonych i powziętych, znowu słał król jak przed połocką — po węgierskie zaciągi do Siedmiogrodu, aby wczesną wiosną do wymarszu w pogotowiu były. Obliczano siły bojowe Rzeczypospolitej, któremi rozporządzano obecnie.

Wojsko dobrze było zorganizowane i przejęte duchem najlepszem.

Teraz również stanąć miały do boju dzielne drużyny żałobników hetmana Zamoyskiego, i stary hufiec Zborowskiego Jana, kasztelana gnieźnieńskiego po nowe laury chciał sięgać.

Nad piechotą, lepiej jeszcze zorganizowaną, naznaczył król Urowickiego Mikołaja, a zaś węgierskiej przewodzić miał Istwan Karolii. Radziwiłłowie obaj: hetman Krzysztof i wojewoda Wileński Mikołaj, jako i poprzednio bitne pułki litewskie pod wodzą swoją mieli. Zaciężne roty polskie dowództwu Janusza Zbarazkiego, wojewody bracławskiego, powierzył król, a zaś lekką jazdę kozacką, to Wołmińskiego hufiec miał w szeregi swe wcielić[45]).

I tak to po niedawnych krwawych zapasach ledwo wytchnąwszy, rycerstwo polskie, czynną, dłonią króla kierowane, skwapliwie gotowało się do nowej wyprawy

---

[45]) A. Sokołowski. Dzieje polskie t. III. str. 99.

na Moskwę, do powtórnego chronienia swych praw na groźnym wschodzie, do przeciwdziałania rozrastającej się niebezpiecznie potędze caratu.

Tę grozę, to niebezpieczeństwo i deptanie praw polski widział Batory, dzwonił w Rzeczypospolitej na alarm, rozumiejąc, jak żaden z królów polskich, że kolos dzikiego władztwa zdruzgotać może Polskę, jeśli w porę hamować go się nie będzie.

Ono przeciwdziałanie mienił Batory swą najpierwszą królewską powinnością, jemu siły swe wszystkie, usiłowania, trudy żywota zdał i oddał.

Sejm już był skończony. Ku połowie drugiej przeważał się miesiąc styczeń onego roku 1580.

Pilno było królowi Stefanowi do swych wielkich zamierzeń, w Wilnie miał przebyć do wiosny, gdzie pod jego okiem a osobistą kontrolą naprawione będą działa uszkodzone i odlewane nowe.

Lecz wyjazd swój musiał Batory opóźnić, że to aura zepsowała się rychle po Nowym Roku, i takie odwilże, deszczowe pluchy spławiły świat, iż trzeba było uniknąć nazbyt ciężkiej dla koni przeprawy po drogach rozmiękłych, błotnistych.

Zwłóczył król z wyjazdem tem słuszniej, bo od paru dni ruszone z północy wiatry ostre a silne, zapowiadały prędkie ustanie ponowych mrozów, czasu których podróże saniami odbywa się sprawnie i szybko.

Ale ona mitręga w wyjeździe korzystna była sprawom natury innej. Król miał czas omawiać z przedstawicielami trybunałów swój zamiar zastąpienia w kodeksie prawnym kary chłosty na grzywny, zalecał wprowadzenie pewnych ulg dla chłopów w pańszczyznianym systemie, że to poglądy i racje królewskie znacznie poza swój czas się wymykały.

I z ciałem profesorskiem krakowskiej akademii narady odbywał król, usiłując nadać owej wysokiej polskiej uczelni bardziej humanitarny kierunek; to te

i ściągał do Krakowa hojnem uposażeniem pierwszorzędnych europejskich luminarzy.

Ni chwili nie spoczywał Batory, czynny był ustawicznie. Ale od niedawnego czasu stał się król Stefan jakby niecierpliwy, rozdrażniał się łatwo, popędliwy gniew przelotem go zapalał i gasł i budził się ponownie.

Mienili to niektórzy symptomem niepokojów przedwojennych, lubo twierdzili inni, jako właśnie zapowiedź bojowych surm uspakajająco działała dotąd na króla.

Ferens do drogi nagotowane miał wszystko, że tylko tego rozkazu czekał.

A spodziewał go się rychło, zwłaszcza, widząc dzisiejszy zachód słońca, który po dniu mglistym i sennym nagle obwionął niebo rozlewem krwawych blasków, śród których spływało za horyzont czerwone, gorejące słońce.

— Na mróz ma się, na mróz ... — powtarzano skwapliwie.

Już w swej komnacie, zbywszy prace dnia, znajdował się Batory, gdy Ferens do niego podszedł, mówiąc, ako capitaneus Szandor Bekiesz o krótkie posłuchanie króla uprasza.

Swojak to przecie był, ów stateczny peditum praefectus piechoty węgierskiej, urodziwy bratąniec zmarłego Kacpra, Bekiesza, bliski batorowemu sercu, ceniony przez miłościwego pana za rozwagę i spokój jemu to zdał król opiekę nad sierotami Gaspara, nad któremi pieczę swą umierającemu przyrzekł.

Nie na sali audjencjonalnej, nie czasu posłuchań dworskich wolno było otoczeniu króla ze sprawami swemi do majestatu przystępować.

Zlecił przeto Batory Ferensowi, by wprowadził doń Bekiesza.

Wszedł młody mężczyzna, honory oddał powinne.

U okna siedział król pod owym zlewem zachodnich łun, bijących przez szyby.

Zrazu rozpytywał Batory o młodzianków zmarłego Gaspra, których polecił wziąć z orszakiem królewskim do Wilna, by tam na grobowcu rodzica, przed Batorego wzniesionym, pamięć ojcowską synowie uczcili.

Na pytania odpowiedział Bekiesz treściwie i krótko, jako było we zwyczaju na dworze. Aż ozwał się król, w urodziwe lico węgra poglądając:

— Ze sprawą osobistą przychodzisz ... mów — zezwolił.

Wtedy piękne, czarno-szafirowe oczy Szandora pogłębiły swe wejrzenie, usta młodzieńcze rozchyliły się, lecz przed słowem zwarły, wzruszenie, czy jakaś niepewność objęła mu twarz.

Półgłosem, źrenice z twarzy króla zesunąwszy, zaczął mówić:

— Miłościwy panie ... nie wiem, czy wam wiadomo ... że ... jako tu ... od miesiąca blisko ... we Warszawie przebywa ... która z bojarem Kuźmą Ościkiem zjechała ... kasztelanka Bielecka ...

Twierdząco skłonił Batory głową. Słuchał.

Ów zaś, szukając słów, z przestankami, poruszonym głosem mówił:

— U stolnikowej Kunickiej, sędziwej matrony, w domu jej mieszka, krewną onej po macierzy będąc; a zaś za miesięcy kilka, na wiosnę ze stryjem swym, Bieleckim, do którego w Płockie bojar Ościk podążył, zamierza do Buławów przejechać... Aliści losy pokrzyżowały plany tej białogłowej: sędziwa stolnikowa Kunicka akuratnie w sam dzień wyjazdu z Warszawy bojara Ościka zaniemogła ciężko. Tygodni trzy chorzała, pielęgnowana z oddaniem przez imć pannę Bielecką, aż i zmarła dni temu kilka...

Zmilkł na moment Szandor Bekiesz, widać było, że do sedna swych wzruszeń dociera, bo ozwał się przyciekłem i raz wraz milknącym głosem:

— Sama ostała się tu, śród obcych ona dziewica, parę dwórek przy sobie ma, jako zwykle panna rodu wysokiego, lecz... opieki nijakiej... Do stryja w płockie jechać jej nie sposób, bo ów w kawalerstwie żywie; iż, wobec śmierci jedynej tu swej krewnej, ostała imć panna Halzuchna jako ta sierota, zbawiona wszelkiej pomocy... Do Ościków, aż na Białoruś dążyć, czyż może? Bojar Kuźma już doma.

Poczt może się jeszcze jaki trafi ... ale czy będzie dostatecznie pewny? opieką, jakiej potrzebuje, czyż ją otoczy ...? Młoda jest ... urodziwa nad miarę ...

Patrzył Batory w oblicze mówiącego; po przez wzruszenie młodzieńczej twarzy poglądały tchnące oczy pana Stefanowe w duszną głąb Szandora, bowiem wiele jawiło mieniące się uczuciem lico młodego mężczyzny, źrenice zgorączkowane, niepewny ton głosu.

Zorze zachodnie, w których blaskach cały spławiony stał przed królem Szandor Bekiesz, odsłaniały niedojrzane dotąd oczom Batorego zmiany, widne teraz w onem pięknem obliczu. Oblicze szandorowe znało już cierpienie, już dotykane bywało cieniami, które niesie ze sobą smutek.

Patrzył na niego Batory, dostrzegał, słuchał.

Szandor powtórzył ciszej i wolniej:

— Młoda jest ... urodziwa nad miarę ...

— Tak — półgłosem potwierdził Batory.

Na moment zmilkli.

Spytał król:

— Widujesz ją ... często?

— Widuję, lecz nie często; dom zamknięty, sędziwa w nim mieszkanka, zrazu choroba, potem śmierć. — Wobec spadłego na imć pannę Bielecką nieszczęścia starałem się nieść jej pomoc, zażegnać następstwa niespodziewanego opuszczenia, w jakiem się znalazła. Stolnikowa tylko z kilku rezydentkami mieszkała, żyła zdala od ludzi, że w obliczu zaszłej śmierci ostały

niewiasty jedne. Winien jestem niewypłaconą wdzięczność jejmościance Bieleckiej za jej troskliwość, stryjowi mojemu okazywaną, radbym przeto wszelkie trudności z jej drogi usunąć ...

Mówił Bekiesz w dwojącem się ożywieniu:

— Pytałem, coby życzeniem jej obecnem było, jakowe zamiary powzięła; aleć, stratą krewnej dotknięta, niefortunnemi skutkami jej śmierci, nie wie zrazu co postanowić ...

Choć przedsiębiorcza jest, umysłu na podziw głębokiego, światłego — wiódł dalej, jakby chcąc zjednać swym słowom przychylność królewską.

— Wszystko zajmuje ją najżywiej, te krajowe i ogólno-ludzkie sprawy ... Pełniąc jej prośbę, zwróconą do mnie przed odjazdem z Buław, słałem jej wieści listowne o wszystkiem. Żywo ją zajmuje życie dworu królewskiego ...

— Życie dworu królewskiego ... — powtórzył Batory ruchem warg, gdy z głową na dłoni słuchał Szandora.

Ów mówił:

— Tu przybywszy, radosna była jako to ptaszę wiosenne ... Suplikowała mnie gorąco, by choć raz ujrzeć mogła obrady sejmowe; to też, życzenie jej pełniąc, wprowadziłem ją razy parę do onej na piętrze bokówki, zkąd małe okienko, pod szczytem sali sejmowej, do środka jej zaziera; że wielce uradowana kasztelanka Bielecka ztamtąd na majestat się patrzyła ...

— Uradowana patrzyła ... — znowu powtórzyły cicho usta Batorego.

— Jeno teraz ... cóż mogę? ... — wiódł Bekiesz, — choćbym i rad fortunne warunki jej zapewnić. Przecie nie na Węgrzech jestem, a w Polsce. O, gdyby tam, w moim kraju ... setki wielkich rodów węgierskich otworzyłoby na ścieżaj zamki swe przed zaszczytem rozciągnięcia opieki nad oną białogłową ... Ale-ć tu

nic dla jej dobra uczynić już nie mogę ... — dokończył z żalem Bekiesz.

Wzniosły się królewskie powieki, wpatrzył się Batory badawczo, przenikliwie w stojącego przed nim mężczyznę. Był moment, w którym zdało się, że jakieś ciche pytanie u ust królewskich wisi, nie ozwało się.

Szandor Bekiesz patrzył milcząco w przygasające już podzachodnie zorze.

Po chwili nakazał król, by mu podano listę ze spisem osób, które na posłuchanie do króla w dniu i godzinie oznaczonej są wezwane.

Ferens Wesselini mu ją doręczył.

Batory listę przejrzał, poczem zlecił Szandorowi Bekieszy wpisać na onej jejmościankę Bielecką.

Śniegi poczęły sypać, mościły drogi, wygładzały nierówności; tuman drobnych rozpyłów, lecących z chmurnych głębin w ciszy bezwietrznej, ćmił światło dnia, że okna zamkowe mgłą zdały się być zasnute. To też stłumione, półsenne było dnia tego światło w sali recepcyjnej, kędy teraz król Stefan przyjmował wezwanych.

Kolejno wprowadzał ich Lepseni, według listy, którą dzierżył w dłoni. Sekretarz królewski, Reinhold Heidenstein, obecny był, że to trafiała się niekiedy potrzeba załatwienia piśmiennego niektórych spraw.

Spiesznie kończył posłuchania Batory; zniecierpliwienie przemykało mu często po licu, ozywało się w głosie, krótkie postanowienia wydającym.

Otwierały się przed wchodzącymi drzwi i za nimi zawierały, dworzanin, powinność swą pełniący, czuwał nad porządkiem.

Ostatnią kolej, na skutek porozumienia się Szandora z Lepsenim, wyznaczono Bieleckiej.

Weszła do sali recepcyjnej.

Powłóczysta żałobna szata zdała się podwyższać smukłą jej postać, czarny welon odrzucony od oblicza chwiał się skrzydłem leciuchnem.

W onej czerni, twarz dziewczęca ukazywała się jasnością o liniach wielce łagodnych i pięknych. Błękit oczu promieniał zpod brwi blaskiem wilgotnym i mocnym.

Był w niej spokój i jakby już dojrzałość, budząca się wcześnie u niewiasty świadomość własnej jaźni, przejrzenie skróś samej siebie...

Tchnące oczy Batorego spoczęły na twarzy Bieleckiej, jak wezwanie.

Zbliżyła się.

Pod mocą królewskiego spojrzenia, szukającego czegoś uporczywie w jej licu, powieki dziewczyny nie zwierały się teraz lękliwie, owszem, chłonęła zagadkową mowę męskich źrenic, wzmożonem światłem swoich sarnich oczu.

Król począł mówić głosem stłumionym, nie tak dźwięcznym, jako na posluchaniach uprzednich.

Mówił, ze wiadome mu są niefortunne terminy, które zepsowały jej pobyt w Warszawie.

Bielecka słuchała, z oczyma na twarzy królewskiej.

A Batory, zatrzymując się niekiedy, jak ten, któremu coś rozprasza myśli, ciągnął dalej.

Heidenstein siedział opodal króla, słuchając.

i Król Stefan mówił do stojącej przed nim Bieleckiej, menił wdzięczność swą dla Ościków, chwalił wierne majestatowi i dobru ojczyzny oddane służby Kuźmowe. Rzekł, iż dług niespłacony nosi względem rodu Ościkówś których Bielecka jest jakoby córką rodzoną, że za, obecnie, na skutek niefortunnych okoliczności, opieki ich została pozbawioną, przeto król winnością swą mieni, oną opieką ją otoczyć...

Do Heidensteina zbliżył się Lepseni, jakiś zwój foljałów mu podając, że wstał sekretarz i ku oknu podszedł, gdzie mieścił się stół z przyborami do pisania.

A Bielecka słuchała królewskich słów. Gdy umilkł Batory, rzekła cicho:

— Ostałam się sama jedna ... Nikogo tu nie mam bliskiego, że ... nie wiem, gdzie pójść, co czynić mi należy ...

— Skorom jest, czemu się trwożycie ...?

I znowu ono zespolenie ócz męskich i dziewiczych, ono chylenie się z trudem powiek na źrenice niewieście, ono powolne zesuwanie się w dal oczu meżczyzny, oczu świetlistych teraz, zbudzonych, pełnych promieni i razem cienia.

Po momencie ozwał się Batory:

— Na dworze mej królewskiej małżonki, miłościwej pani, królowej Anny, miejsce dla was jest zawsze.

— Jeśli to wolą waszej miłości, szczęsna będą ją pełniąc ...

— Ostawajcie na dworze królowej, póki bezpiecznie do Buław nie przejedziecie. Ale zbytnio się do tej podróży nie kwapcie, iżby was przygoda jakowa nie spotkała; czasy tam groźne się zaczną. Bezpieczniej wam na Wawelu je przetrwać.

Głębokim skłonem podzięki schyliła się Bielecka przed majestatem i według dworskiego obrządku postąpiła potem bliżej ...

Uczuł Batory zwierające mu się na ręce gorące usta dziewicze pocałunkiem tęsknoty pełnym, za długim.

Łuna przewiała mu oblicze.

Już Lepseni dwornie odprowadzał ją do drzwi.

Wyszła.

Budził się ranek pierwszem świtaniem. Zimowy szron siwił się na dachach domów, na opłotkach ulic, na barjerach mostu, łączącego przeciwległe brzegi Wisły.

Sunęły już po nim rozwaliny szerokie, ładunkiem dworskim ciężarne, niosły się na prawy brzeg rzeki, ku północno-wschodniemu traktowi.

Przed zamkiem na placu zbierała się świta królewska, sanie dla króla Stefana, do podróży narządzone, zaprzę-

żone w kare ogiery, ku bramie miejskiej zwrócone, już stały u przedsionka.

Niezbyt liczny gotował się orszak; inni w przedzie wyruszyli rozstawionym etapem, aby na całej drodze, na Grodno do Wilna wiodącej, przygotowane były popasy i posterunki na czas przejazdu miłościwego pana.

Zamek w ciszy porannej tonął jeszcze.

Tylko to skrzydło, przez dwór królewski zajęte, chwilę odjazdu jawiło światłami, bijącemi z okien; zaś reszta zamku grążyła się w spokoju snu.

W sali rycerskiej, na kamiennych płytach podłogi rozległy się kroki szybkie i mocne ...

Król Stefan śpieszył do małej, na końcu baszty mieszczańskiej znajdującej się kaplicy, Sercu Jezusowemu poświęconej. Snać na ostatnią, samotną modlitwę tam dążył.

Stanął między marmurowymi filarami okrągłego wnętrza, w którego środku zwisała na łańcuszkach od stropu lampka, tląca się nad mysterjum.

Zmierzch przedwschodni cieniem osłaniał wnętrze kaplicy, że tylko chybotliwe światełko ukazywało twarz Chrystusową, ręce Pana, ranami przebite, zwrócone ku widnemu na Jego piersiach krwawemu sercu.

Na stopniu przed ołtarzem ukląkł Batory, pochylił się, moment trwał bez ruchu.

Ciemnemi, zwartemi liniami kreśliła się jego krzepka postać i schylona przed boskiem sercem męska głowa.

Wystrzelił promień ode wschodnich zórz, widnych przez okno kaplicy; jakby na zew onego powstał Batory.

Wtedy, w blaskach wzmagającego się wschodu w różowym zalewie łun, ujrzał w pobliżu okna stojące dwie kobiece postacie.

Królowa Anna Jagiellonka, podtrzymywana ramieniem Halszki Bieleckiej, na ostatnią snać przed podróżą królewską suplikę tu przyszła.

Król rzekł do nich łaskawie:

— Ostawajcie we zdrowiu i spokoju.

A Bielecka zwarła nagle ręce ruchem błagalnego uczucia, zawołała gorąco:

— Boże wam szczęść, miłościwy panie!

Był w jej głosie młodzieńczy poryw uniesienia, cześć dla bohatera, razem targał się w nim lęk niewieściego serca.

Zapominawszy, zda się, o wszem innem, pełna tylko świadomości, że oto ten, widny jeszcze jej oczom, w dalach bezkresnych rychło zaginie, ku straszliwym, dzikim przestrzeniom groźnego carstwa znowu się rzuci, — głosem drygającym raz drugi zawołała, dłonie do bijącego serca cisnąc:

— Boże was chroń, miłościwy panie! ... Och, Matko cudowna, osłaniaj was ...

Z głosem jej żywym, wiośnianym złączyły się ciche słowa Anny Jagiellonki:

— Szczęść wam Boże, miłościwy panie, we wszystkiem ...

— Ostawajcie we zdrowiu i spokoju o mnie ...

Królewskim, władczym ruchem skinął na ich pokłon.

Zabrzmiały znowu śpieszne męskie kroki na granitach rycerskiej sali ...

Budził się dzień cichy, mroźny, pogodny.

Korowodem długim sunęły przez most sanie, kierując się ku dalekim wschodnim kresom.

VIII.

Ze wszystkich stron Rzeczypospolitej ciągnęły wojska ku wschodniej granicy państwa; szły z Małopolski, z Mazowsza, szły od równi poznańskich, z Litwy, z Podola, zewsząd. Aż i dotarły do zwartej ściany borów, stojących u wstępu do moskiewskiego carstwa. I natura i ludzie je tam wydźwignęli. Murem z nieprzebytego żywopłotu sosen, klonów, brzóz niebotycznych, olch i jedliny, żywopłotem tak potężnym, że siekierą roztrzaskiwać go należało, — odgrodziło się carstwo od reszty Europy.

Wichry tu do głębin leśnych nie dopadały, gasły w mrokach borów słoneczne promienie, zmierzch i cisza panowały w mistycznej tajni lasów, w potędze prawiecznych olbrzymów.

W tę ciszę, w ten zmierzch wstępować jęły wojska pana stefanowe ...

Toporami i wielkim ludzkim wysiłkiem rozwierano drogę dla zbrojnych szeregów, dla przeprawiania dział i amunicji. Rozbijać, roztrzaskiwać musieli żołnierze tę dziewiczą głębię stuletnich borów. W błota niezgruntowane, w topiele śmiertelne, rozlane w lasach, wodnymi porostami zdradnie a cudnie przysłonione, nad któremi jeno ptaki chyżym lotem się niosły, kędy tylko jaszczury i węże prześlizgiwać się ośmielały, w te trzęsawiska, porywające w swą głębię stopę człowieka, walić musiano chrust, zrąbanę chojary, mościć je olbrzy-

miemi kłodami drzew, zaścielać kosmatą jedliną twierdzić uginającą się drogę, mosty zawieszać nad rozlewami wód, z podziemnych łożysk rzecznych zasilanemi ...

Darli się tak polscy żołnierze krok za krokiem, bez przerwy, czasem już i bez tchu, wstępując w oną mroczną, obcą, nieznaną ziemię moskiewską, by dotrzyć do tego, który coraz częściej i coraz dalej chciał zarzucać pęta kajdan na wolne ziemie polskie, który z pogranicznych swych sąsiadów chciał uczynić rabów dla siebie i swego carstwa.

W Szczydutach, o mil parę od Czaśnik, dokąd ściągało wojsko, król odbywał tajną naradę ze starszyzną wojskową.

W onych naradach zdania krzyżowały się różne, głosem doradczym ozywali się tacy potentaci w bojowym kunszcie, jak Zamoyski, jak Radziwiłłowie, Zborowski Jan, Bekiesz, Barbelli, Żółkiewski Stanisław, któren lubo w kwiecie męskiego wieku jeszcze będący, ale taki geniusz wojenny jawił, taką zdumiewał eksperjencją, znajomością strategii i niesłychaną w boju brawurą, że wszyscy wróżyli mu przyszłość — chwały blaskiem spromienioną.

Tedy na owej naradzie, tajemnicą największą osłonionej, większość rycerzy doradzała skierować wyprawę na Smoleńsk i tam uderzyć na nieprzyjaciela. Król jednak uważał, iż korzystniej ku północy obrócić akcję wojenną, w stronę Łuk Wielkich. Dowodził bowiem Batory, że dobywaniem Smoleńska, ześrodkowaniem w nim armii, odkryłoby się granicę Inflant, „dostęp otworzyło nieprzyjacielowi do Wilna, zaledwie o mil dwadzieścia oddalonego od pogranicznych zamków moskiewskich“.

Utwierdzał król radę wojenną w słuszności swego zamiaru i tym argumentem, jako wyprawa na Wielkie Łuki większe i z tej racji korzyści przedstawia, że

nęka się nieprzyjaciela we własnym jego kraju, Dźwiną i Uświatą spławiać można żywność dla wojska, działa, przybory wojenne; jednocześnie zaś, postępując tą drogą „godziło się w serce Moskwy i przygotowywało podstawy do dalszych działań, w kierunku Pskowa i Nowogrodu Wielkiego, które to miasta były jako filary ziem moskiewskich".

„Dla tego król, nie bacząc na zdania przeciwne, nakazał obrócić się w stronę Witebska; bowiem ztamtąd rozwierała się droga ku Wielkim Łukom, a na przeszkodzie stały tylko dwa zamki: Wieliż i Uświata, które pierwej zająć należało. Zdobycie onych obronnych twierdz powierzono Zamoyskiemu, u którego boku stanął młody, a wielki już rycerz, Zółkiewski".

Zaś król ciągnął dalej z wojskiem przez uciążliwą drogę leśną, którą torowały i przecierały hufce kanclerskie.

Czasu pochodów żałował Batory trudu, nie związanego bezpośrednio z wyprawą bojową; wygód wszelkich poniechał;" Na noc tylko namiotek, ni ławki ni stolika.

Jak trzeba się posilić i strawę jaką podać królowi, to zydel mu uczynią, kilka kołków w ziemię wbiwszy, a kiedy legnie na spoczynek, to na tym chruście, brzozowym liściem obrzóconym, przesypia krótkie noce letnie. Często mu się trafi na gołej ziemi spać, kuchni przy sobie nie mieć, ale i owszem, opuściwszy kredence królewskie, sam wędzonkę z tajstry wyjąwszy, swemu miłemu rycerzowi krajał i z nim się jadłem podzielając, zasilał".[46])

To też nie w zewnętrznych, zbytych teraz doszczętnie przez Batorego pozorach, jawił się jego królewski majestat; cześć, jaką mu oddawali żołnierze, ich niewzruszona ufność do jego rozkazów, wiara w moc tego, który wiedzie szeregi, w myśli jego światło, w sprawiedliwość, która będzie przez króla — wodza wymierzona każdemu, — to wieńczyło daleką teraz od królewskiego czoła koroną, skroń Batorego.

[46]) Wereszczyński: Reguła r. 1587 str. 115.

Znał król nieomal każdego swego rycerza, wiedział czem który celuje, — oceniał ich wytrzymałość fizyczną i psychiczną jakiemś ojcowskiem czuciem. To i nie dziw, że żołnierz batorowy rzucał się wielekroć na eksperymenty wojenne, pozornie niewykonalne, że, wykonywał je za cenę jednego spojrzenia króla — wodza, spojrzenia, hojnie nagradzającego za męstwo.

To wtedy już gruntowały się te ozywające się później, po batorowej śmierci — zdania, zdania przeciwników jego nawet, takiego Zborowskiego Andrzeja, który rzekł:

„Takim był panem, iż, nie jedne lwy wiodąc, jako jest naród polski i litewski, ale choćby i jelenie wiódł, — nie przegrałby z niemi“.[47])

Obóz Batorego, czasu wypraw moskiewskich „był rojowiskiem, z którego wyszło kilka pokoleń najdzielniejszego rycerstwa, najznakomitsi wodzowie polscy: Stanisław Zółkiewski, Marek Sobieski, Urowiecki i inni. Cóż dziwnego, że magiczny węzeł przyjaźni wiązał w tym surowym, prostym, żołnierskim obozie króla — bohatera z bohaterstwem narodu“.[48])

Aż i dobyli się z leśnych uroczysk.

Wtedy rozwarły się przed rycerstwem polskiem ziemie rozległe, tu, ondzie na wzgórki malownicze zabiegające, cudnym szmaragdem łąk okryte, łąk tak bujnych, że falowały za kłonieniem wiatru, by wodne topiele, by te łany zbóż wysokich.

Czysta, rzeźwa, rosista zieleń miała się tu dokoła; ona to nadała nazwę miastu łąk wielkich, które pośród oceanu traw, za mgłami oddalenia, w oparach wstającego poranku, ukazywało się już na skrajach widnokręgu — oczom batorowych zastępów.

---

[47]) A. Sokołowski: Dzieje Polski str. 149. Słowa Zborowskiego wyrzeczone na sejmie konwokacyjnym r. 1587.

[48]) T. Korzon. Dzieje wojen w Polsce t. II.

Aromatyczna, durząca woń niosła się od kwiecistych pól, od kołyszących się zbożem zagonów, od roziskrzonych w słońcu wód rzeczki Łowati.

Konie poczęły rżeć, tu, owdzie z żołnierskich szeregów wybił okrzyk radosny; zostawiwszy za sobą głębię, mrocznych borów z czyhającą tam powielekroć grozą śmierci, witano teraz z uniesieniem szczęsnem obraz życia światła, bezpieczeństwa i dosytu.

A słońce biło coraz lepiej światłami na ziemię, mocniło barwy przyrodzone, czemś lubem, hożem przenikało cały stwór.

Nagle w dali, na bielejącej drodze gościńca ukazał się poczt zbrojny. Zagrały w promieniach dnia łuski stalowych pancerzy, te skrzydlate hełmy husaryi ...

Poznano oddział pana Zółkiewskiego, który śpieszył złożyć królowi dobrą nowinę o zdobyciu twierdzy Wieliża, zaś Uświata sama poddała się wojsku polskiemu.

Na dobrą wróżbę radowano się oną wieścią pomyślną tem więcej, że, powaliwszy tak rychło pograniczne twierdze moskiewskie, szeregi kanclerskie staną razem z resztą wojska pod Wielkiemi Łukami, utwierdzając tem nadzieję, że ześrodkowanym tu znacznym siłom polskim nie zdoła oprzeć się wielkołucka twierdza.

Jechał król na swym buławym ogierze, dufny wielce, rozpogodzon w obliczu.

Jeszcze o tem, o tamtem słowa zamieniał z towarzyszącym mu pobok Zółkiewskim, którego twarz cudnym kształtem jawiła się ze stalowych osłon hełma, gdy oto niespodzianie przypadli do nóg królewskiego rumaka gońcy carowi.

Zgoła nieoczekiwaną rzecz wieścili:

Oto groźny Iwan, nie znający zamysłów swego przeciwnika, nie wiedzący ani kędy ześrodkowane zostaną siły polskie, ani gdzie uderzy Batory na Moskwę, „słał teraz na wsze strony gońca za gońcem, zapowiadając

przybycie wielkich posłów"[49]) dla traktowania z Batorym o pokój.

Wysłańcy zdrożeni byli wielką przestrzenią, jaką przebyli; bowiem wyprawił ich car aż ze Starycy, kędy sam przebywał, z za źródlisk Dźwiny i Wołgi, — tam, gdzie teraz targał się w trwodze bezmocnej, gdzie „zwoławszy swe duchowieństwo, kajał się z grzechów, prosił Boga o przebaczenie, bił siwą głową o kamienne płyty cerkwi... Obiecywał, ślubował, przysięgał, że więcej okrucieńst popełniać nie będzie"[50]) — byle nawałę polską, wdzierającą mu się do carstwa, wzniesiony miecz batorowy, Bóg raczył od niego oddalić.

„A gdzież znajdowały się wojska moskiewskie, te ogromne siły, zgromadzone przez cara?

Wszak teraz nastręczała się najlepsza sposobność do atakowania wojsk polskich i litewskich, kiedy szły drogami, przedzielonemi dużą odległością. Ale Iwan zakazał wojskom swoim zaczepiać polaków w otwartem polu",[51]) polecił schodzić im z drogi, a jeno zamknąwszy się w twierdzach, na całem pograniczu carstwa u wstępu do Rzeczypospolitej rozciągnionych, — kazał tam swoim siłom wyczekiwać na rezultaty pokojowych zabiegów.

To i z pokorą teraz, z tem chyleniem głów odkrytych zanosili gońcy błagalne prośby do króla Stefana, by raczył wielkich posłów do oblicza swego dopuścić. Na to Batory odrzekł, jako przyjmie na posłuchaniu carowych wysłanników, skoro tu przybędą.

I posuwał się eszelon królewski naprzód, ku tym, wyłaniającym się z mgły rannej, murom i basztom Łuk Wielkich, aż i połączyły się pod miastem oba wojska: królewskie i kanclerskie.

---

[49]) T. Korzon. Dzieje wojen i wojskowości w Polsce t. II.

[50]) Tamże.

[51]) Tamże.

Król kazał zaraz Zamoyskiemu objechać zamek ze strony wschodniej, dla upatrzenia miejsc na obozy, sam odbył przegląd wszystkich sił zbrojnych, już tu pod Wielkiemi Łukami skompletowanych, i natychmiast szańce sypać rozkazał, na co z trwogą patrzyła moskiewska załoga, w twierdzy obronnej zamknięta;

Zdawało jej się, że niezliczone zastępy zbrojne okryły całą okolicę, że aż tam pod horyzont łąk wielkich sięgają te białe namioty i tabory nieprzeliczone ...

„Zaś Batory dosiadł konia i objeżdżał zamek ponad samym przekopem, tak blisko, że można go było dosięgnąć z rusznicy, a załoga moskiewska już gęsto strzelała. Król nie zważał na to i panom litewskim, którzy go ostrzegali odpowiedział, uśmiechając się; „Certe nihil est, domini mei“.[52])

I zapatrzył się w dal pogodnie i ufnie; może wspomnienia jakowe tam ujrzał, bo rzekł jeszcze z tym nie schodzącym mu z oblicza uśmiechem:

— Uchroni mnie Matka Cudowna, ocali ...

Bóg poszczęści ... — i patrzył na one szmaragdowe przestrzenie, na ciche wody Łowati wzrokiem spokojnym i pełnym radości ...

Tego dnia wieczorem przybyli wielcy posłowie Groźnego Iwana.

Nazajutrz o południu udzielił im Batory posłuchania.

W namiocie królewskim zgromadzili się dowódzcy, wszyscy senatorowie, obecni w obozie; moc rotmistrzów i poruczników, wokoło niezliczona ilość ciekawych. Piechota we dwa rzędy ustawiona tworzyła ulicę, którą posłów przed majestat prowadzono.

Z przepychem, z królewską okazałością jawił się teraz Batory ...

Namiot dlań uczyniono wysoki, obszerny, nakryty kosztowną osłoną, białą powierzchu, o podbiciu różowem.

---

[52]) T. Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce II. str. 46.

Pobok otwartego szeroko namiotu, na rzeźbionych drzewcach sztandary amarantowe z białemi orłami targały się na wietrze, jako te potężne skrzydła. Wielkie, okrągłe cyzelowane tarcze podpinały kotarę u wierzchowin namiotu, którego wnętrze kobiercami było wyłożone.

U rozwartego wejścia namiotu siedział król Stefan na rozłozystym szerokim żelaznym karle, jedwabną poduszką wysłanym, przed którym rozpościerało się dla stóp królewskich czarne wielkie futro niedźwiedzie.

Miał król na sobie ubior bojowy: piersi osłaniał mu stalowy pancerz o niebieskawych błyskach, rzeźbionem złotem szlakowany. Kolczuga druciana twardą siatką osłaniała rękawy, sięgając aż po dłonie, ociągnięte jasnemi rękawicami o szerokich sztylpach. Hajdawery miał król aksamitne czarne, opięte, wpuszczone w płytkie żółtawe trzewiki o złotych ostrogach. Głowę osłaniał mu czarny prosto ścięty kołpak z miękkiego, lśniącego futra, kitą czaplą przyzdobiony, którą utwierdzał klejnot.

Złocisty płaszcz ze sztywnego złotogłowiu, spięty na piersiach, osłaniał króla wielce spaniale. Obnażona szpada leżała mu na obu kolanach, o którą machinalnie dłonie spierał.

Poza królem, w głębi namiotu, obok stołu, amarantem zasłanego, gdzie leżały pergaminy i królewska szkatuła cyprysowa, stukwerkowa Augusti regis, pięcią pieczęci zamykana,[53]) stał Jan Zamoyski. Pieczęć kanclerską trzymał w dłoniach.

Karmazynowa delia o różowych atłasowych rękawach krasiła okazałą postać kanclerza, szeroki kołnierz czarny futrzany miał Zamoyski na ramionach i rząd cennych, klejnotami iskrzących się guzów, które zwierały mu delię na piersiach.

Starszyzna zapełniała licznie królewski namiot, okazale strojna, pełna buty i pewności siebie, że to z najwyższych rodów Rzeczypospolitej składało się rycerstwo

[53]) Marcin Kromer: Kronika Polski.

Batorego. Nie pod samym-że królewskim przewodem szło teraz ono świetne wojsko do boju? nie sam król to hetmanił szeregom? Za chwałę i zaszczyt poczytywali sobie rycerze obecność w tym heroicznym obozie.

Już przed majestat „prowadzono przez długą ulicę między dwoma szeregami piechoty wielkich posłów carowych, Piwowa i Snickiego," też znacznym orszakiem bojarów i duchowieństwa otoczonych. „Poselstwo również było liczne i dosyć świetne. Naprzód szło trzech wielkich posłów w złotogłowy i altembasy przybranych, w sukniach i kołpakach suto perłami naszywanych; około nich dwudziestu znaczniejszych personatów też w złotogłowiach i pysznych płaszczach, wreszcie" hałastra, „pięćset koni wynosząca".

Skoro przybyli do króla, runęli posłowie na ziemię „zdjęli kołpaki i czołem uderzyli o te własne sztandary, przez Batorego na Moskwie zdobyte, leżące teraz przed namiotem.

Posłowie, podparłszy się rękami o ziemię, bili pokłony królowi Stefanowi, że trwało to chwil sporo, potem się przeżegnali, a kasztelan trocki kazał im iść do pocałowania ręki królewskiej".[54])

Lubo, stosując się do zleceń carowych, zachowywali się posłowie kornie i niemal poddańczo, nakazał im bowiem Groźny Iwan nie tylko gniew królą polskiego, lecz nawet zniewagi czynne cierpliwie od niego znosić; — jednak w pierwszem zaraz słowie ozwali się, jako błagają króla Batorego, bych nawrócił do Wilna i tam, obyczajem dawnym poselstwa carowego wysłuchać raczył.

Ale król Stefan nieprzystępne swe oblicze tylko chłodem uśmiechu na moment przemienił i słuchał posłów dalej.

Zaś ci niepewnymi głosami mienić zaczęli skargi Iwanowe na Batorego, iże król polski odmawia mu

---

[54]) A. Sokołowski: Dzieje Polski t. III. str. 102—3.

tytułu władcy Smoleńska i Połocka, iże carem go nie mianuje, iże Batory do Inflant pretensje sobie rości ... I znowu początkową piosenkę zatonowali, by król do Wilna nawrócił.

„Na co od tronu odpowiedziano krótko:

— Jakoście z niczem przyjechali, tak też z niczem odjedziecie“.

W łunie gniewu, bez spojrzenia na klęczących posłów, wstał Batory, przerwał ceremonię, która „lubo wspaniała była i poważna, to jednak marnym zakończyła się skutkiem“.

Zaczem król, nie bawiąc dłużej, rozpoczął oblężenie.

Zawrzało w obozie.

Piechota polska i węgierska usypała szańce, ustawiła działa, i 1-go września wszcząsł się ogień na całej linji.

Batory na swoim ciemno-gniadym Turku objeżdżał szańce, baczył na wszystko, szturmem kierował.

Ale fortunny tenże nie był.

Palisady, dla ochronienia ich od kul nieprzyjacielskich, „obwaliła Moskwa ziemią aż na trzysążniową grubość i darnią szczelnie ją umocowała“,[55]) że niedostępne nawet dla armatnich pocisków okazały się te chronne parkany, z drewnianych okrąglaków zbudowane, obiegające murem wysokim twierdzę dookoła.

Na głucho zarzynały się kule w te zwarte góry ziemi, szkody żadnej ogrodzeniu nie czyniąc, albo ześlizgiwały się z wysokich baszt, ukąsić się nie dających. Co najwięcej drzazgi płytkie zestrugiwały pociski z drewnianych palisad, wcale nie raniąc ich szkodliwie.

Zaś przystęp do twierdzy utrudniony był jeszcze dla oblegających przez wody rzeki Łowati płynącej tuż pod miastem z jednej strony, a zaś przez jeziora, okalające Wielkie Łuki, że strony drugiej.

---

[55]) T. Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce t. III. str. 48.

Jednak szturm trwał.

Na czele swego pocztu arkebuzerów, dniem i nocą waląc do niezdobytej twierdzy, Samuel Zborowski nie odstępował swych dział.[56])

Jakże! Na onych nieustępliwych murach moskiewskich kule banity wypisać mogły zmianę królewskiego wyroku, zasługą przeistoczyć wygnańca — w miłowanego syna ojczyzny.

Prawda, że ni jedno spojrzenie Batorego dotąd nie padło na męską postać śmiałego wichrzyciela; zdało się, że król cale nie postrzega banity, że oczom jego widny on nie jest, i jako-by zgoła w obozie nie będący.

Lecz dopuszczon przecie jest do udziału w pracy, śmiercią grożącej, zezwolono mu odbierać rany, przez które może razem z życiem i hańba z imienia Samuelowego spłynie.

To dymem osmalon, bez jadła, bez snu stał banita Zborowski na swoim szańcu w ciągłym ogniu, w bezprzestannym, piorunowym huku rusznic i dział. Oczy mu płonęły, tę zaciętość miał stwardniałą w marsowej twarzy; śród ciemnych obłoków dymu widny był wszystkim, do baszty najwyższej szturm wiodąc.

Jeno, że bezskuteczny, jako i inni.

Minęły dwa dni. Psowano jeno pociski, które pacały w ziemię, bo nawet one eksplodujące kule ogniste, sporządzane przez Ridolfina, włoskiego technika, przebywającego u boku Batorego, nie wybuchały, gasnąc pod murawą.

Aż i odbyła się tajna narada nocą, w zawartym szczelnie namiocie królewskim.

Głowili się tam na niej wodzowie frasobliwie, król jednak spokojny był i dufny, wiarą w zwycięstwo przeniknion.

Postanowił bowiem na onej naradzie imać się środka innego ...

[56]) T. Korzon: Dzieje wojen i wojskowości t. III. str. 50

Nic, tylko żywy ogień zmoże zwarte na żelazo drewniane parkany, nic, tylko języki płomienie zgryzą drwiące sobie z szturmu palisady. Trzeba przeto najpierw odedrzeć murawę, odwalić zpod niej sążniowe nasypy ziemi i dotarłszy do okrąglaków drewnianych, popodpalać je, i twierdzę pożarem sobie rozewrzeć.

Robota zapowiadała się straszna, pod samym ogniem moskiewskiej załogi, która przecie trupem będzie kładła kopiących ziemię na palisadach żołnierzy.

To też nazajutrz po naradzie wojennej król kazał ogłosić wszem wojsku, że każdy, kto ogień podłoży, nagrodzon zostanie:

Nagrodzon majątkiem ziemskim, jeśli jest szlachcicem, nagrodzon szlachectwem, jeśli go nie posiada i całkowitem opatrzeniem; a jeśli cudzoziemiec ogień zdoła rozniecić, to wypłacona mu będzie nagroda 400 dolarów.[57])

Ochotników stawiła się gromada spora, że zaś szli jakoby na żywą śmierć, to odprawił kapelan obozowy mszę świętą na ich intencję, podczas której ochotnicy do komunji przystępowali, a następnie, okiem króla prowadzeni, jęli wstępować na blankowania.

Temi motykami uzbrojeni byli, darli murawę, wgryzali się w ziemię, bych smolne łuczywa módz pod palisady podłożyć. Kule warczały im nad głowami, nie baczyli na nie, jakoby w to kretowisko się grążąc. Heroizm szturmujących szedł teraz w zawody z rozpaczliwem męstwem nieprzyjaciela. Bowiem oblężeni, widząc, jako gęsta strzelanina nie wstrzymuje ochotników polskich przy tej gorączkowej robocie, poczęli staczać im na głowy kamienie, lać na nich wrzącą wodę, — że i przerzedziły się szeregi; sporo kopaczy odstąpiło, najśmielsi jeno trwali na swem śmiertelnem stanowisku, choć tam już i gęstym trupem zasłała się, zryta polskiemi motykami ziemia na blankowaniach.

---

[57]) Bielski Marcin. Dzieje Polski.

A król nieopodal stał, tuż za szańcem, Szandora Bekiesza mając przy boku, patrzył i pono frasował się w sobie, choć tam nie jawiło tego zamknione jego oblicze.

Dzień był cichy, słoneczny, w złota wrześniowe spowity, jeno że tu nad miastem i nad obozem zgasły się zdał, przysłoniły horyzont dymne obłoki, a słońce tylko bezpromienną, rudawą kulą gorzało na niebie.

I coraz wzmagały się kłęby dymu, huk dział; jakoby w piekielnych czeluściach widzieli się ci, odrywający ziemię na stokach palisad.

Jeszcze trwali tam ochotnicy, ale robota ich była już dorywcza, zbyta energji, nie zagrzewana nadzieją, ostudzana wątpieniem ...

Milczał Batory.

Wiedziało już jego otoczenie, że troska zwiera usta królewskie, które do słów są wtedy nie skore.

Ale dostrzegł Szandor, iż ciemne źrenice króla zpod zesuniętych brwi poglądają uporczywie w stronę najwyższej wielkołuckiej baszty, do której Samuel Zborowski szturmował bezprzestannie. — Chwilami widać było w buchającej dymnej kurzawie, iż on sam lont zakłada do działa, jako ten żołnierz prosty się trudzi. Coś porywało snać tego człowieka, potężna siła całe jego duchowe jestestwo ponosiła na mury niezmożone, na twierdzę zawartą ...

Może ten widok rozbudzał w królewskich myślach nadzieję, że banita w bohatera i zbawcę przemieni się rychło, że on właśnie zdoła rozewrzeć zamknione dotąd miasto.

To i zrazu nie dostrzegł król, iż Bolko Chojeński się zbliżył i, oddawszy majestatowi honory, czekał na zezwolenie przemówienia.

Nieustępliwą, żołnierską zaciętością stwardniałe oblicze Batorego zwróciło się teraz ku stojącemu opodal, sprężonemu w baczności rycerzowi.

— Jaw, z czem przychodzisz ... — zezwolił król.

Patrzył na młodzieńczą twarz wojownika osmaloną upałami letniemi, wyniszczoną od uciążliwych pochodów, zciemniałą jakby na bronz, że tylko oczy Chojeńskiego zpod opalonego czoła patrzyły światłami męskiej odwagi i tej nadziei, zbudzonej na widok majestatu.

— Miłościwy panie ... — zaczął przerywaną, targającą się mową — na flankach wschodnich jest moje stanowisko ... I trwam ... Jeno, że ... — unosił się, coś burzyło mu się w głębinach piersi — jeno że to pilniejsze ... — ręką ukazał nieliczną gromadę kopaczy, z mozołem odwalających ziemię od palisad. — Pilniejsze jest ... pożarem objąć twierdzę ...

— Na ochotnika może iść każdy — odrzekł król — nie nakazuję, a zezwalam, owszem, zachęcam nagrodą.

Łuna objęła twarz Chojeńskiego, wzruszenie zagrało w jego oczach.

— Miłościwy panie ... darujcie, że ośmielam się ... — niepewnie szło mu teraz z ust. — Ale ... — i zawahał się.

— Mów — łagodnie przyzwolił Batory.

— Bo ... o nagrody nie ... szlachectwo mi zbędne, mam je z urodzenia, majętności nie pożądam ... a tylko ... jeśli ... miłościwy panie ... jeśli ogień zdołam pod palisady podłożyć i pożarem twierdzę objąć ... tylko, w miejsce nagrody błagać będę Waszą miłość ... królu jedyny ... o szarżę, o wyższy stopień wojskowy .., Tylko o to ... miłościwy panie ... tylko o to ...

Namiętna prośba gorzała w młodzieńczem obliczu, drżały usta bolkowe pod płowym wąsem. Zawisł zciemniałemi ze wzruszeń oczyma na marsowem obliczu króla.

Ów patrzył w twarz Chojeńskiego; złagodniał mu wzrok.

Milczał chwilę, wejrzeniem przenikał tę niemą prośbę, widną w licu młodzieńczem.

— Wielce ci zależy, rycerzu mój, na onej wyższej szarży? ... — blask uśmiechu życzliwego miał w oczach.

— Wielce ... miłościwy panie ... — powtórzył zcicha Bolko.

Jakby ojcowskie uczyniło się spojrzenie Batorego, gdy spytał półgłosem:

— Zali nie dla zdobycia Ościkównej chcesz się rzucić w ogień? ...

Co usłyszawszy Bolko zadygotał cały, przemienił się w obliczu, przypadł do królewskich nóg, płonące oczy wzniósł na majestat.

Głosem, rwanym przez łomot serca, mówił już szczerze, żeć mu usta rozwarło życzliwe pytanie królewskie.

— Tak jest ... miłościwy panie ... tak jest ... bo jeno w chwale imienia mojego, w wysokiej randze, bohaterstwem zdobytej ... mogę ją dopiero od rodziciela wybłagać ...

— A serca jej żali jesteś pewien ...? — ku klęczącemu pochylając się, spytał Batory.

— Wierzę, miłościwy panie ... wiadomo mi, że u nóg Waszej królewskiej mości żebrała o cofnięcie instancji za Bakonim ... Już moje znowu jest ustinkowe serce ... i ostanie przy mnie ...

Dygotał Bolko ze wzruszenia, bo długo tajne, wypowiadał teraz głosem:

— Wierzę ... ale zrównać mi się z nią trzeba — wysokością imienia własnego, światłem jego wielkiej chwały ... bom jeszcze jej nie rówien ... jeszcze od niej za daleko ...

Dotknął Batory jasnej, odkrytej głowy klęczącego

— Szczęść ci, Boże, żołnierzu mój miły, idź, zwycięż, zdobądź, co w sercu miłowaniem nosisz ... Boże cię wspomóż ...

To jeno porwał się Bolko jak pijany od królewskich nóg i znowu ku nim przypadł, ustami dotknął,

wstał, wyprężył się przed majestatem w służbistej baczności, honory oddał i żołnierskim krokiem się oddalił.

A Szandor Bekiesz patrzył na smukłą postać Chojeńskiego, idącego po szańcu, rzekł cicho:

— Szczęśliwy, bo jest miłowan... — Wyzute z nadziei było piękne oblicze węgra, gdy mówił te słowa.

Skoro przebrzmiały ozwał się półgłos Batorego: Szczęśliwszy, że miłować mu wolno...

Zwołał Bolko swoich ludzi, wyjawił im, co zamierza. To pięciu ochotników stanęło mu w pobok: chłopcy dziarscy, żelaźni w siłach, z tą lwią odwagą i żądni nagród. Albo śmierć, albo życie, majętnością zbogacone, z herbem w rodowej tarczy. Aż im się oczy paliły.

Uzbroili się w motyki i żelazne łopaty, zaś Chojeński dzidę wziął do rąk, i tak poszli.

A tam, przy palisadach warkotały kule, bo Moskale strzelaniną okrutną usiłowali rozpędzać kopaczy. I wrzątek lał się z drewnianych blanków twierdzy, prosto na łby tych, którzy tam usiłowali dobrać się do parkanów, i kamienie tam waliły druzgocące, rozmiotane z góry, że śmierć na palisadach żęła ludzi ostro.

Kazał Bolko swoim pięciu żołnierzom przysłonić się kawałami zdartej murawy, że pod ciężarem onej schyleni, czołgali się aż pod samo blankowanie.

Już wrzątek nie imał się tak parząco skóry, ani oczu nie zalewał, studzony przez błam murawy której dźwigali na plecach, sięgający im aż poza głowę; ciężki był, że dech zapierał, ale osłaniał bezpiecznie.

Z kul to drwili, tak blisko podeszli do palisad, że pociski ukosem się niosły, minęli pole strzałów. Tylko te kamieniska ich tłukły, z góry na nich ciskane, ale też nie osobliwie raniące, jeno siniaczyły im plecy, darnią na fest osłonione.

To jak się w sześciu przypieli do roboty, jak nie zaczną rwać tej ziemi, a grążyć się w nią, a rozwierać nasypy...

Pot ich zlewał, gorętszy od onego wrzątku, tryskającego z nad palisad, dychały im piersi na podobieństwo miechów nie strudzonych; ani na moment roboty nie przerywali. Kopali coraz ostrzej, choć i ramiona im mdlały, choć już ten, ów gwałtem miał chęć przylegnąć, by na to oczymgnienie; lecz sobie nie folgowali.

Nic, jeno dostrzeć do belkowania, do tej drzewnej zagrody, płomieniowi poddanej, nic, jeno prochy pod nią podsadzić, hej, śmignie w powietrze galanto.

Ale ziemia garbiła się jeszcze na blankowaniach grubym nasypem, że łopaty kopaczów jeszcze pod sam trzon żelazny głębiły się dotąd.

A dzień kłonił się ku zachodowi.

Trwał Bolko ze swą drużyną, trwał bez przerwy, bez pożywienia, w największych opałach, i bez pomocy, że to łan śmierci grodził ich od polskiego obozu, ciałami zabitych ochotników zasłany ...

Zmierzchło zupełnie, wiaterek niósł się, górą trzepotliwy. Strzelanina trochę sfolgowała.

Cóż? nic, kopali, jak w przódy, tylko poomacku.

Gwiazdy nie wybiły na nieboskłon, czarny widział się i tym wzmagającym wichrnem grający.

Kazał Batory całą noc strzelać, lecz jeno dymnemi prochami, właśnie, aby te kłęby białawe słoniły błyski ognia, jeśli kopaczom uda się pod palisady zapalone lonty podłożyć.

Aż radował się Bolko we wnętrzu, czując, że ów rozkaz królewski ustawicznej przez noc dymnej strzelaniny, jest jak głos porozumiewawczy między wodzem a żołnierzem, jest zbrataniem się ich obu niejako przy pospólnem dziele, i więcej jeszcze, bo czyni się strzegącem, czujnem wejrzeniem opiekuna nad głowami oddalonych.

— Boże ci zapłać, królu nasz kochany — szeptał Bolko, pełen budzącej się świetlanej nadziei, bo już zachrobotała mu motyka o okrąglaki palisady.

— Ot, i pobarujem się ze sobą, co? — poszeptał gorączkowo. — Stałyście drzewiny dziesiątki lat moskalom w służbie, to teraz polakom na fajki pójdziecie. Aleście, juchy, wilgotne, jako to tutejsze klima. No, nic, smaku wam dodam, smołą obmazawszy.

Sięgnął do torby. Miast prowizji żołnierskiej miał tam w kitajce smołowinę, drzazgi, łuczywo, hubkę i krzesiwko. Proch zaś w kieszeni hajdawerów niósł zsypany.

Zrzucił z ramion kurtę, pracował ze wzmagającem się podnieceniem, a raźno mu szło, przeto znowu zaszeptał w ukontentowaniu.

— Zubram zmógł, a was to nie zmogę, pniaki sosnowe? Twarde wy, ale on był jeszcze twardziejszy. Wtedy jeno dla podziwu tamtej dziewki wagowałem się na śmierć, a teraz idzie sprawa ważniejsza, bo pospólnej naszej szczęśliwości, dla serc naszych gwoli.

— A czy to nie wiem, że zcichła? Nigdzie... ani na te zabawy, ni do tych kawalerów... Cale na nich nie zerka, matuli za kiecuchnę się trzyma jako trusiątko... Powiadali mi przecie towarzysze...

Więc jako że oprzecie mnie się moskowskie blankowania? Na tę czystą śmierć się gotujcie, ogniowi na żar... bych się nasza rozłąka skończyła, bych do tych ustinkowych rączków przypaść mi wreszcie, od rodzicieli ją wyżebrać...

Wzruszał się Chojeński coraz bardziej, to i grubo jął smarować smołowiną zwarte, podłużnie leżące okrąglaki, świdrem wiercił między niemi otwory, w które prochu nawalił. Strzelanina ustawiczna głuszyła jego robotę, że dzidą śmiało pogłębiał oną dziuplę w drzewie.

Raptem dymek ujrzał nieopodal, uprzedził go któryś z towarzyszów, onemu udało się wcześniej rozpalić łuczywo...

Przeto rzucił się Bolko wtył, wdrapał na wzgór nawalonej ziemi i zmykał już, co tchu, po stoku murawy.

A i tamci wszyscy też uciekali od blankowań, boć, gdy ogień prochu się dojmie, wysadzi palisady w powietrze, to i nikt żyw nie zostanie, kto w porę nie ujdzie.

Aliści niespodziewanie woda chlusnęła z kubła na ono tlące światełko; zgasło, i wstęga dymu bezwładnie omdlała na ziemi.

— A żeby was siarczyste! a bodajście czartom na żer!... — ulżywał żalowi swemu ów z towarzyszących Chojeńskiemu żołnierzy, który podpalił swe łuczywo. — Taka piekielna robota i na nic... łapserdaki mu ją zepsowali, a bodaj was lucyper zagryzł...

Jednak przyczołgali się znowu do swych stanowisk. każdy wrócił do przerwanej roboty.

Lecz Bolko pomrukiwał:

— Źle; czujniejsze będą teraz bestje... — frasował się w myślach.

To też, aby zmylić czatujących tam na flankach moskali, skryty nocą, uczynił Chojeński z darni jakby namiot nad otworem. gdzie prochy był zasadził. Potem zwołał do siebie towarzyszów, rzekł im:

— Pospólnie nad rozniecaniem tu ognia pracować będziemy, pospólnie miłościwy pan nas wynagrodzi... Ni to światełko nie powinno mignąć; na przeciw, czarna czeluść niech się moskalom na tem miejscu wydaje.

Jakby w kretowinie nasadziłem lont i tam go rozpalę pod osłoną z darni. Jeno, że nam jeszcze trza ciałami swemi osłaniać otwór, by nic nie błysło; to i powietrze nie dojdzie do lontu, może się drzazgi nie rozpalą. Tedy tchem własnym wzmożem wiater, bych się od hubki zatliło łuczywo...

To się i zwarli ze sobą ramionami, przyosłonili Chojeńskiego, który obok otworu przyklęknął.

Jął trzaskać w krzesiwko, aż się hubka zaogniła; dęli na nią coraz ostrzej, pochyleni nad Bolkiem żołnierze, przeto i rozetliła się, jak należy. Od niej

szczapki smolne chwyciły budzący się żar, płomienie poczęły wrzeć.

Zadygotało serce Chojeńskiemu. Cały wpatrzony w ogień, wespół z nim niejako płonący, szeptał bezładnie:

— ... o Jezu... niech nie zgaśnie... zwilgłe wszystko dokoła... o Jezu. — Dyć tylko ogniem rozewrzem twierdzę...

Ostrożnie, prawie w same płomyki zanurzając palce, dokładał Bolko strużyny drzewne.

— Chrystusie miłosierny — modlił się w dusznych tajniach coraz żarliwiej — musim zwyciężyć... pobłogosław... by Moskal nad nami nie zagórował. Dzikie oni bestje, dopomóż nam... Nie po próżnicy dałeś nam króla wielce mężnego... nie dopuść, by car go zmógł...

Aż zadygotał od tych myśli, coś wstrząsnęło się w nim mocą protestu i straszliwego lęku.

Byłożby to możliwe? ażali Moskwa zdoła sie oprzeć batorowej sile? Szturm nie przyniósł korzyści, bronią się oblężeni zajadle, posiłki im napływają z głębi carstwa. Wielcy posłowie iwanowi, obecni wciąż w obozie, którym zrazu imponowały zbrojne zastępy pana stefanowe, po dniach bezowocnego szturmu zhardzieli spojrzeniami dumnemi, lisie przyśmiechy chodziły im już po licach. Sam opór, jeśli potrwa dłużej, oblężonych sprawę zmocni a polskie zastępy osłabi...

Kłębiło się tak w myślach Chojeńskiego, że już wszystko znikło mu z duszy, z pragnień, osobiste żądze zetlały w nim do cna... Tylko ta żywiołowa potrzeba zwycięstwa, żelazna prężność ramion do miażdżenia wroga; jeno to czuł teraz w sobie.

Na niebie szarzało, dzień się budził, ale mętny cały w zgiełkach hukającej wichury.

Noc osłoną im już nie posłuży; to aże przycichło serce w bolkowej piersi, dech mu się utaił; gdy postrzega, strumieniami wody zgaszą mu trzepoczące się coraz jawniej płomienie.

Już pod samą drewnianą ścianę podsuwał się ogień, lont zagorzał, ogniste języki poczęły pełgać po blankach, smołowiną nasyconych.

Krzykną nagle:

— „Uciekajcie, bo wam łby poobrywa“ ...

Jakby ich kto pchnął w tył, rzutem gwałtownym odskoczyli wszyscy pięciu i już rwali, zmykając po pochyłości nasypu.

Nie cofnął się, bez tchu patrzył na buhające, dymne płomienie, stał, jakby wrosły w ziemię, drżał z lęku, że coś zniweczy mu wszystko, zapomniał o niebezpieczeństwie, o świecie całym, o samym sobie; duszę swą rzucił w one gorejące płomienie...

A tam, na palisadach zawrzał zgiełk, dziesiątki wiader chlusnęły potokami wody, ziemię walono z góry na płomienisko.[58])

Chojeński jeno uśmiechnął się wzgardliwie, zcichła w nim obawa, spokój go objął:

— Zapóźno — szepnął — już nie zagasicie...

Gorejące lonty dojęły snać głębi blankowań, ogień rzucił się na całą ścianę twierdzy, że uczyniła się jednym zalewem płomieni, targanym przez wicher.

Nagle ryk straszliwy targnął powietrzem, niby z kraterл wulkanu wionął słup ognia, buchnęły piorunowo prochy, rozszarpały blankowania, szczapy drzewne, darte straszliwą mocą leciały w górą i waliły się na ziemię dookoła.

Okrzyk zwycięski, wołanie tryumfu wzbiło się nad polskim obozem.

Jeszcze raz, drugi warknęły prochy, które nasadzili w innych miejscach żołnierze Chojeńskiego,

I już powódź ognista płynęła po palisadach, targana, gnana pędem wichru, krwawa, żar miotająca tchnieniem potężnem, straszna, w kłębach dymu mierzchnąca

---

[58]) A. Sokołowski: Dzieje Polski t. III str. 103.

Leciał ten łan płomienisty, szalał wraz z wichurą, chwytał w moc swą niepokonaną pobliskie budynki, chłonął je, unicestwiał, bowiem wiatr dął w stronę twierdzy, huczał nad nią, kierował pożar w jej głąb. Zdało się, iż oba żywioły pospólnie rzuciły się do walki z oblężonymi, iż pastwią się teraz nad nimi.

„Zapaliła się już jedna cerkiew. Cała załoga polska stanęła pod bronią, szykując się do szturmu“.[59])

Szeregi rycerskie czekały tylko na skinienie swych dowódców; jeżyły się wielkim półkręgiem husarskie skrzydła i hełmy o żelaznych pióropuszach, łukiem ojmując stojącego pośrodku Stanisława Zółkiewskiego. Młodzieńczy wódz, cudny w obliczu, o postaci mężnej, jawił się już oczom żołnierzy tym rycerzem niezłomnym, śmierci nie uległym, zwycięzkim. Że jak na bohatera nań patrzyli. Kary jego koń wbił kopyta w ziemię, łeb uniósł, rozdął chrapy, zdało się, że chłonie niemi żar, niosący się od gorejącej twierdzy. Wicher miotał mu czarną grzywą, grały drżące nozdrza, mądre, sokole oczy wierzchowca patrzyły nieruchomo przed się.

W pobok od husarji stały ściany rusznic i pik, zimnym błyskiem lśniły miecze u boków rycerzy. Jako las nie przeliczony były te batorowe zbrojne szeregi.

Ów zaś, Samuel Zborowski, na flankach pod najwyższą wielkołucką basztą przy dziadach swoich stojący, był teraz jako lew, gotujący się do skoku.

Przemienion w obliczu, miał jasność nadziei i żelazną zaciętość w wejrzeniu...

Oto zbliża się dlań chwila wyzwolenia, sam zerwie z siebie banicję, rzutem wielkich czynów zagóruje nad wszystkimi, ukorzy podziwem swych wrogów, stanie się ze zhańbionego wygnańca — wielkim synem Ojczyzny...

Szturm za moment się zacznie... jego chwila nastaje... i któż zdoła mu się oprzeć?...

---

[59]) T. Korzon: Dzieje wojen w Polsce t. II. str. 49.

Szczęście już rozsadzało potężne samuelowe piersi, ponosiła go gorączka czynu...

„Patrzyli na te potężne zbrojne siły wielcy posłowie moskiewscy, w obozie jeszcze pozostający, patrzyli z przerażeniem, losem oblężonych poruszeni, a więcej może energią królewską wystraszeni, zgłosili się teraz znowu z prośbą o układy“.[60])

Nieopodal namiotu swego, bojowym rynsztunkiem obleczony, Stefan Batory miał dosiąść swego wierzchowca, którego mu już podprowadzano, gdy przypadli do królewskich nóg poselscy wysłańcy.

Dłonie o ziemię wsparli, bili poddańczo obnażonemi głowami, wołając trwożnie i razem błagalnie, iż wielcy posłowie gotowili już do ustępstw.

Patrzył Batory na schylonych u swoich nóg bojarów moskiewskich; zwycięzki spokój miał w obliczu, wejrzenie wagą wielkiego momentu wzmocnione.

Słuchał jeszcze próśb poselskich wysłaników, gdy nagle odstąpił od nich paru krokami, ominął ich, zostawił kornie do ziemi schylonych...

Zwrócił się król śpiesznie do tej gromadki idących ku namiotowi jego.

Oni podpalacze szli, wszyscy pięciu, przez starszych wojowników do króla prowadzeni.

Pośrodku nich żołnierze nieśli na noszach Chojeńskiego.

Stanęli wszyscy przed królem, nosze wprost jego oblicza postawiono na ziemi.

Spojrzał Batory:

Leżał Chojeński zczerniały od ognia, z twarzą w ranach, zgniecion kłodami płonącemi, które go przywaliły w momencie wybuchu.

Wolno, z trudem uniósł Chojeński zamknione dotąd powieki, krwawo osmolone, bez rzęs, zatrzymał półprzytomne źrenice na wyniosłej postaci króla.

Poruszyły się usta bolkowe...

---

[60]) A. Sokołowski. Dzieje Polski t. III str. 105.

Lecz nagle począł blednąć, zsiniały mu wargi, źrenice stały się mętne... Jęk, jako dech zagasający dobył mu się z ust.

Batory uniósł rękę, zwolna obnażył głowę.

Za królem, wszyscy stojący wpobliżu, uczynili to samo, honory żołnierskie oddawano temu zamierającemu, który rzucił się na niedostępną twierdzę carową — cały w siłach młodzieńczych, w porankowej krasie męskiego wieku, — a wrócił kłodą zwaloną, spalonym żużlem, ranami poszarpany, że jako ten zdarty łachman krwawego ciała ludzkiego leżał martwo na noszach, duszą już prawie w zaświeciu.

Ozwał się Batory.

— Rotmistrza Bolka Chojeńskiego, który nam wespół z pięciu towarzyszami na ścieżaj rozwarł wielkołucką twierdzę, za czyn bohaterski mianuję pułkownikiem.

Za męstwo, za cierpienia, za krew przelaną, może i za ofiarę życia wypłacić mu się winien miłością i czcią każdy z rodaków, na egzemplum brać go należy dla siebie. A zaś rodowi swojemu Bolko Chojeński zaszczyt swą przynależnością czyni i tarczę jego herbową bogaci dwiema płonącemi gwiazdami, które mu do herbu dodaję jako pamiątkę dla potomnych jego, że ów to właśnie, nie inny do zwycięstwa Wielkołuckiego głównie się przyczynił.

Mówił Batory, a łuny, bijące od płonącej twierdzy, coraz jaskrawszą czerwienią grały dokoła, że nawet te najdalsze polskie namioty zalane były purpurowemi blaskami.

Jednak najstraszniejszy obraz jawiło samo miasto: ku jego głębi przecie, w samą średzinę niosły się, orkanem zawieruchy kierowane, płomieniste jęzory. Lizały one dachy domostw poblizkich, pochwytywały je w swą moc.

Padła pierwsza zapowiedź komendy, wnet rozpocznie się generalny szturm....

Zwarli się w sobie żołnierze, zmocnił się wyraz ich oblicz.

Już!...

Warknęły na całej linji trąbki krótkim, ostrym zwem, gruchnęły grzmoty dział, straszliwe, wybuchające kule, sporządzane przez Ridolfina, padały w to piekło ognistemi miotami...

Noc nastała; przerwała jednak szturmu, nie a tylko zdwoiła obraz grozy.

Samuel Zborowski szalał przy swoich działach, rękami poosmalanemi wespół z żołnierzami swemi podpalał lonty, gorzał zapałem, rwał piersi, wybijając głos swej komendy ponad huki dział.

Płynęła straszliwa noc.

A w jednym z namiotów, w obecności króla, dziewięciu senatorów rozpatrywało propozycje wielkich posłów carowych.

Postąpili już naprzód, oddają w imieniu Cara Wieliż, Uświatę, zrzekają się Rygi i kilku zamków, lecz żądają, aby poniechał król polski oblężenia Łuk Wielkich i wojsko swe wycofał z moskiewskich granic.

Wstał Batory od stołu, ruchem ręki tylko zaprzeczył wielkim posłom, którzy znowu z niczem odeszli.

„Tymczasem zapłonęła najwyższa baszta, tak, że już ogień objął blanki całe. Z namiotu hetmańskiego z trąbiono na trwogę, całe wojsko w szyku bojowym okrążyło palący się zamek.

Wyjechał sam król, otoczony swoim dworem i rycerzami“.[61])

Zcichł wicher, szarzalo już na niebie, wstawał dzień września trzeci.

Załoga rankiem poczęła wołać, by zaniechano strzeania; że się poddaje wieściła gorączkowo.

I wnet pięciu wojewodów moskiewskich ukazało się, zstępujących z wałów.

---

61) A. Sokołowski. Dzieje Polski t. III str. 103.

Kazano szturm przerwać, ustała wrżawa wojenna, przed Zamoyskim stawili się wysłannicy, oddający miasto i życie jego mieszkańców na łaskę i niełaskę polskiemu królowi.

Wieść o odbywającej się u kanclerza Zamoyskiego naradzie z wojewodami moskiewskimi obleciała już wszystkie szeregi wojsk.

Szmery niezadowolenia, głosy protestów jęły się ozywać:

— Z dymem ich puścić, nie wolnością darzyć!

„Za miłościw jest król, wypuszczając wrogów, którzy powtórnie i raz trzeci jeszcze będą wojowali“.[62])

A tam, przy wielkiem oblężniczem dziale padł twarzą do ziemi Samuel Zborowski.

Wieść o poddaniu się twierdzy rzuciła go w proch, krzyk jęku targał mu się w piersiach, bił głową o murawę, darł ją rękami w szale rozpaczy, w zawiedzionej nadziei.

...Gdzie rycerskich swych przewag dokona? kiedyż bohaterstwem zajaśnieje?... Stał już prawie u wrót wyzwolenia, już przemazujący zbrodniczą swą przeszłość. A oto znowu banitą przypadł do ziemi, wygnańcem, odepchniętym od ojczystego stołu. Żaden czyn rycerski nie zdążył go jeszcze zbawić, żadna ofiara nie jest mu prawem do królewskiej łaski.

Rzucony szałem rozpaczy, targał się w mękach szlochu banita Zborowski.

W posiadanie brano już twierdzę. Oddział hajdamaków kroczył do Łuk po odbiór armat i prochów.

Lecz oto czeladź obozowa rzuciła się za nimi, rozbiegła po całem mieście, poczęła grabić.

Rabowani i rabujący staczali krótkie zażarte walki. Raptem ogień, w wielu miejscach jeszcze płonący, dostał się do prochowni.

---

[62]) T. Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce t. II. str. 49.

Ryknął grzmot, zakolebały się wzgóry miasta, z czeluści ziemi wyleciały w powietrze armaty, hakownice, części domów, świątyń, zwyciezcy i zwyciężeni...

Znowu piorunowo buchnęły prochy, wulkanem płonącym zdała się cała twierdza. Skroś dymnej kurzawy, poprzez wichry, płomienie widać było setki ciał ludzkich, rzucanych w powietrze wirem straszliwym.

Oniemał z grozy polski obóz.

Przed odsłoniętym namiotem, kędy kanclerz pieczętował akt poddania się twierdzy, — stał Batory. O krok cofnięty w tył, patrzył skamieniały na to dzieło niszczenia.

„Zamek zmienił się w kupę gruzów". Ucichły, znieruchomiały Wielkie Łuki, czarny dym jeno wzdymał się i kłębił tam, gdzie o poranku jeszcze żyło miasto bogate i ludne.

Przed zachodem słońca, kiedy pogorzelisko nieco ostygło, rycerstwem otoczon wjechał król do Łuk.

Trupy tylko tam leżały, gruzy, nicestwo, martwota śmierci...

Ubolewał Batory, oglądając to cmentarzysko, w poruszonych grozą widoku „oczach króla połyskiwały łzy".[63])

Jeszcze „tego dnia zarządził Batory odbudowę miasta. Sam naszkicował plan, kierownictwo robót powierzając trzem inżynierom, na których czele stanął włoch, Ridolfino".

Jakkolwiek celem i kresem zamierzonym obecnej wyprawy miało być zdobycie Łuk, co i dokonane zostało, to jednak król obozu nie opuszczał, sam pilnie dozorował odbudowy spalonego miasta i zamierzał nie wcześniej do Wilna podążyć, aż twierdza nie zostanie doprowadzona do stanu zupełnej obronności.

Jednak dla ubezpieczenia pozostającego tu na zimowe leże wojska, niezbędne było opanowanie jeszcze

[63]) T. Korzon. Dzieje wojen w Polsce t. II. str. 51.

trzech zamków moskiewskich: Zawołocia, Jezierzyszcza, a głównie Newla, twardo nad rozlewem swego jeziora stojącego; słuchy poczęły dochodzić, że ciągną już na odsiecz carowe siły zbrojne.

Nakazał tedy Batory one trzy zamki natychmiast zdobyć i załogami mocnemi obsadzić.

Tymczasem wielcy posłowie Iwana, Piwow i Snickij wciąż kołatali o pokój, coraz ustępliwsi, coraz korniejsi, na krok Batorego nie odstępujący. Że, dowiedziawszy się, iż król sam chce rozpatrzeć położenie onych granicznych trzech zamków moskiewskich, wnet poczęli się także do drogi szykować, byle wciąż wpobliżu króla polskiego módz się znajdować, czatując na każdą sposobność zawarcia pokoju.

Miesiąc wrzesień już ku połowie się chylił.

Urastała, dźwigała się ze zgliszcz nowa wielkołucka twierdza; radował się nią Batory, czujnem okiem pracy doglądał.

I jedna jeszcze przyczyna dwoiła ukontentowanie królewskie: oto relacje lekarza, któremu zlecił Batory czuwać nad Chojeńskim i troskliwie onego kurować.

Bo jakoś Bolko śmierci się nie dawał, wprawdzie dychał ledwo, pluł żywą krwią, w żarach gorączki wygadywał androny, — aleć żył. To i nadzieja się budziła, że ów mężny rycerz między żywymi jeszcze pozostanie...

Dnia jednego, wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, w ciszy zapuszczonego namiotu, jął Batory pisać list, dla Kuźmów Ościków Wierszułowiczów przeznaczony.

Juz w nagłówku na pergaminie zaciemniało batorowem mocnem pismem:

„Uprzejmie i wiernie nam mili!“.[64])

---

[64]) Według Ed. Raczyńskiego: Panowanie Batorego — zwrot taki używany był przez króla Stefana w korespondencji prywatnej.

Łaskawie w życzliwych słowach witał król mieszkańców Buławów i donosił, jako na Dzisnę ku Wilnu kierując się, radby król i tym razem pod dach Ościków zajechać.

Jednak różne sprawy krajowe może pokierują dwór odmiennemi drogami podróży. Przekazuje zatem król słowom niniejszego listu to, co byłby wołał ustnie módz wypowiedzieć. Pieczy bowiem Ościków, ich troskliwości powierza rycerza wielce sobie miłego, a zasłużonego ojczyźnie.

Pułkownik Bolko Chojeński, skoro tylko dźwignie się z łoża boleści, na które rzuciła go wierna służba krajowi, więcej jeszcze, bo heroizm, równający go z Mucjuszem Scewolą, — wkrótce z rozkazania królewskiego do Buławów przewieziony zostanie, aby pod opieką rodziny, której jest klejnotem i chwałą, do pełnego zdrowia ku królewskiej radości coprędzej mógł powrócić...

Pisał te słowa Batory, uśmiech z ust mu nie schodził, rad był z czegoś król i ukontentowan wielce.

Potem kazał przywołać do siebie Lepseniego, i ów list, pieczęcią królewską zamkniony, zlecił nazajutrz przez gońca do Buławów wieźć i Ościkom doręczyć.

Dnie nastawały teraz chłodne, rankiem i z wieczora rosą ciekące, lecz niezmiernie pogodne, promienne, wyzłocone słońcem, hoże i wesołe.

To też one przejazdy królewskie do pogranicznych zamków, które zamierzano zdobyć, odbywały się przy aurze tak lubej, iż uciążliwości miłościwemu panu nie sprawiały.

Owszem, jakoby zdwoiły się teraz batorowe siły. Radość z odniesionego nad Moskwą zwycięztwa, zapał, niecony tryumfem, rozpięły w królu Stefanie jakieś skrzydła orłowe, które po wysokościach go niosły.

Rycerska brawura szła w nim w zawody z rozwagą zimna krew z płomieniami uniesień, moc ducha krzepiła siły fizyczne; nigdy nie strudzon, zawsze wszystko na

pamięci mający, potęgę geniuszu jawiący w każdym czynie, — był Batory ogniskiem, z którego bije światło na zastępy żołnierskie, które nieci żądzę zwycięstw, zdrową dumą umacnia szeregi...

W Zawołociu był teraz król, gdzie Zamoyski gotował się do zdobycia twierdzy. Tu otrzymał Batory list od cara Iwana ze Starycy doń wysłany.

Wrzał gniewem moskiewski władca.

Te niewzruszone, druzgocące ciosy Batorego, w węgły carstwa na podobieństwo żelaznych taranów bijące, to zdzieranie maski z oblicza cara, pod którą kryła się słabość i tchórzostwo, doprowadzały do szalu Groźnego Iwana.

To też zaraz po połockiej zwycięskiej wyprawie króla Stefana, posłał car Iwan kniazia Szewrygina do Rzymu, za jego pośrednictwem przedstawiając obłudnie papieżowi Grzegorzowi XIII, jako wojny z Batorym przeszkadzają mu przystąpić do wielkiego związku chrześcijańskich narodów przeciw Turcji. Gotów jest bowiem car nie tylko ruszyć na wspólny bój z półksiężycem, lecz z całem swem państwem rosyjskiem przystąpić do Unii z Rzymem, kościelną jedność z nim tworzyć, — byle papież zapośredniczył w zawarciu z Polską pokoju, byle wzniesiony miecz batorowy zlecił do pochwy zesunąć.

Okłamywania one nieciły w Iwanie nadzieję, bowiem poselstwo carowe spotkało świetne u papieża przyjęcie. Grzegorz XIII skwapliwie zajął się sprawą, łuszczoną przez moskiewskie poselstwo, żywo obeszła Ojca Świętego obietnica Unii z Kościołem całego moskiewskiego władctwa. Już nawet mieniono słynnego jezuitę, włocha, ojca Antoniego Possewina, któremu ona wielka misja powierzona pewnie zostanie.

Jednak wszystkie te zabiegi i starania, echa wieści ze stolicy apostolskiej płynące, nie strzymywały Batorego od ponownego szturmu do wrót carstwa, od krwawej

pogrozy, za dzierżenie kresowych ziem Rzeczypospolitej, niewolenie ich i gnębienie.

To też w szał złości uderzył groźny władca moskiewski, niehamowane uniesienie kreśliło słowa jego listu, które teraz właśnie w namiocie Zamoyskiego Batory odczytał.

Brzmiały one:

„My, z Bożej łaski, a nie z buntowniczej woli ludzkiej, pokorny pan Moskwy, władca Inflant, Smoleńska, Połocka i t. d. i t. d. — doznaliśmy od poprzedników twoich prawowitych panów Polski i Litwy — umiarkowania, mieli oni wstręt do krwi... Ty zaś nie wiesz nawet, co to jest chrześcijaństwo! Chcę spokoju, ty chcesz mordu, krwawy człowiecze, na rzezie wiedziesz zastępy ludzkie...“.[65])

Tętniał strach w carowych słowach, boć niecierpliwie wyczekiwany Possewini był jeszcze daleko, a Batory już coraz bliżej; poza Dźwiną stały żelazne polskie szeregi, niezwyciężone jak pod Grunwaldem, a wysłannik pokoju, Rzymu jeszcze nie był opuścił. To też ten, który tylko postrachem dotąd ludzi przejmował, sam spojrzał teraz w groźne oblicze trwogi.

Batory odpowiedział carowi listem spokojnym i długim:[66])

„...Carze moskiewski! chełpisz się tronem dziedzicznym! Ja do korony doszedłem zasługą, ty zaś przez urodzenie z Glińskiej, nie zazdroszczę. Mówisz, że się pastwię nad zmarłymi, lecz to fałsz; ty zaś pastwisz się nad żywymi, i to prawdą jest. Mnie zarzucasz zdradę ty, który fałszujesz traktaty, który okłamujesz Najwyższego Pasterza! Pokaż się, bożku moskiewski, zwany tak przez swoich nieszczęsnych niewolników. Czemu nie widzieliśmy w boju ani ciebie, ani twego

---

[65]) Marcin Bielecki: Kronika Polski str. 1481.

[66]) Tamże. Oba listy autentyki.

świętego sztandaru Krzyża Świętego? — Mówisz, że ci żal krwi rozlewu.

Tedy oznacz czas i miejsce, będziemy się bić osobiście, a Bóg stanie po stronie sprawiedliwego...".

Do listu onego dołączył Batory książki niemieckie, współcześnie wyszłe z opisem okrucieństw iwanowych, chcąc mu dowieść, co Europa o nim wie i co mówi.

Car jednak nie przyjął snać wyzwania, tylko z upragnieniem czekał gońca pokoju, Antoniego Possewina.

Jeszcze niewielki, ale krzepki, dobrze umocniony nad rozległem jeziorem zamek newelski postanowił przed wyjazdem obejrzeć Batory, gdzie Dorohostajski sposobił szturm.

Z ciemni lasów ogromnych po uciążliwej przeprawie wyjechał nieliczny orszak królewski.

A było to o samym zachodzie pogodnego dnia. Zatrzymano się w Plisie, podle cerkiewki, na wzgórzu o parę stajań od Newla wzniesionej.

Zaraz ku rozlewom jeziora ze swymi dworzanami śpiesznie podążył król.

U brzegu zrumienionych zachodem wód wielkich stanął i spojrzał...

Tu dopiero była przestrzeń, były dale, kończyło się władztwo borów. Jawiły się oczom ludzkim jakoby olbrzymie wierzeje, wywarte na obszary carstwa, droga, wiodąca do samej jego średziny...

Wolna równia, przewiana jędrnym tchem wód i lasów leżała tu u nóg Batorego.

Stał i patrzał.

Grała mu rącza fala u samych stóp, blaski purpury płonęły królewsko nad jego głową. — Nieruchomo patrzył w one dalekości; zda się, orłem potężnym tu zleciał, mierzył swoją i tamtego potęgę. Głowę uniósł, sokole spojrzenie słał przed się, mocniła śmiałość pana Stefanowe oblicze.

Może duch wielkiego króla wyzywał w tym momencie dzikiego mocarza; może wyobraźnią docierał aż za źródliska Dźwiny i Wołgi, do siedziby Groźnego Iwana, do Starycy, kędy, według słów jeńców, duchowieństwo dnie i noce trawiło w cerkwiach na modlitwie, pozbawione jadła, wyzbyte ze snu i sił; kędy car krzyżem leżał codzień przed ikoną, przekleństwa łączył z błaganiem, krzyczał do wizerunku Boga na obrazie namiętnym głosem niecierpliwej supliki...

Może to właśnie ujrzał Batory, wpatrzony w bezmiar otwartych przed nim ziem, w zlewiska jezior, w zmierzchy od północy płynące.

Patrzył, dumał...

IX.

Aura była tak słodka i luba w roku wtórego batorowego nad Moskwą zwycięztwa, że, mimo październikowych już dni, — nie tylko młody fraucymer miłościwej pani, lecz i sama dostojna królowa często zażywała wczasu w zaciszach zamkowego ogrodu.

Pod oknami komnat królowej Jadwigi, na schyłach, ku Wiśle skłonionych, leżał ogród podwawelski, rozbarwiony teraz cudnie jesiennemi kwiaty.

Jaskrawiły się liście klonów ode tła blednących już drzew sadu, kosmate gałęzie jedlin, wznoszących od zachodu zwartą ścianę pociemniałego igliwia, czubami aże pięter starego zamczyska sięgały, majestatyczne, wielkie.

Na rabatach, to jeszcze kwiatuszki się barwiły, wątłe korony ku słońcu obracając.

Nici babiego lata przędły się w powietrzu, niby rozmotana pieńka,[67]) ćwierkał wesoło ptasi rój, modrzała Wisła w pobliżu, za którą ścierniska opustoszałych pól koliły się ku horyzontom.

Luby był dzień.

Na jednej z ławek, pod klonem, siedziała Halszka Bielecka.

Z pod długich zwojów białego letniczka[68]) ukazywał się brzeżek jej żółtej ciżemki, bowiem nogę na nodze

[67]) Konopie, pasma konopne.

[68]) Niewieścia suknia letnia.

miała założoną, łokieć o kolano wsparty, zaś dłonią część policzka swego i skroni ogarnęła, pogrążywszy się w czytaniu książeczki, którą w ręce drugiej trzymała.

Przed dniami paroma miłościwa pani, Anna Jagiellonka, otrzymała ją; były to zaś drukiem tylko-co ogłoszone Treny[69]) Jana z Czarnolasu.

Pierwszy egzemplarz, wielce bogato w purpurę safianu oprawny, kornym darem drukarz królowej miłościwej złożył.

Przeto zezwoliła dziś batorowa małżonka, przeczytać Bieleckiej ono wiekopomne poema łez, zmagań się z nieszczęściem ojcowskiego serca, rozdartego przez śmierć miłowanej dzieciny.

Bowiem targnęło się to rodzicielskie serce poety krzykiem boleści tak wielkim, z taką mocą wyrzuciło ze siebie jęk, w słowa przemieniony, własną raną obnażyło, szlochem Nioby, kamieniejącej nad zwłokami dziatek, zanioslo się rozgłośnie, że cała Rzeczpospolita spółczuciem odpowiedziała wielkiemu poecie. Nad zmarłą przed rokiem Urszulką Kochanowską polały się szczerze polskie łzy, boleściwemi zwrotami Trenów wyciskane.

To i cóż dziwnego, że szkliwem wilgotnem owłekały się raz wraz lazurowe oczy Bieleckiej, że drżały jej usta, a serce biło czująco, kiedy w ciszy, siedząc samotnie w ogrodzie, czytała:

„Urszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała? W którą stronę, w którąś się krainę udała?...“

i dalej:

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo, tym zniknieniem swoim...“.

a zaś najlepiej odczuwała Halzuchna te słowa:

„Wzięta mi, zgoła mówiąc, duszy połowica,
Ostatek przy mnie został, jak wieczna tęsknica...“.

---

[69]) Treny Kochanowskiego opublikowane zostały w r. 1580 St. Tarnowski: Historja literatury polskiej str. 239.

Licowały bowiem zupełnie z nastrojem wewnętrznym te rzewliwe słowa...

Od pamiętnych dni kilkunastu, które minioną jesienią dwór królewski był spędził w Buławach, przeobrażać się zaczęła dusza halczyna.

Prawda, że wesołością, płochym niefrasunkiem nie znaczyło się jej usposobienie nigdy; cichość raczej snuła się z dziewiczych tych głębin dusznych i, skłonne do zadum, myśli zapatrzenie. Jednak mimo onych czuć przyrodzonych, chętliwa przecie bywała Bielecka do ożywionej pogwary w kompanii personatów dwornych, Buławy nawiedzających; zaś sentymenty miłosne kawalerji, jawione jej bądź wyznaniem głośnem, bądź tylko płomiennością spojrzenia, — jako każdą dziewkę, radowały i Halzuchnę szczerze. Owszem, miło jej było adorowaną się czuć przez wielu, choć tam obojętni jej byli ci, szturmujący o wzajemność młodzieńcy; z każdą białogłową tak przecie bywa, despektu jej nie czyni grążenie wdziękiem niewieścim męskich serc, przeciwnie nawet, bo waloru często dodaje jeszcze dziewczynie.

Ale od tamtej jesieni zamknęły się nagle halczyne czucia na wszystko, co afektem było.

Nie postrzegało prawie męskich dokoła siebie zabiegów, nie słyszała wzruszonych tonów mowy swoich wielbicieli, deklarujących jej prośbę w zamęście; wprost niespodzianką zdały się Bieleckiej one wyznania i sentymenty.

Aż jejmość Salomea pofukiwać już zaczynała na krewniaczkę za przebierność takową, zaś Ustinka, choć m ieniona również, bo trusiowata jakaś cichsza i wzdychliwa, też zdumiewała się halczynym rekuzom i jej kamiennej dla mężczyzn obojętności.

Ale co Bielecką obchodzili teraz ci wszyscy?...

Ów, w blaskach zwycięstw, mocarz, depcący carskie imperjum i wichrzenia poddanych, **wielkim** rozumem czuwający nad jej ojczyzną; — ten, którego postać

rycerska niewoliła halczyne oczy, którego spojrzenie męskie i surowe łagodniało, spocząwszy na jej dziewiczem obliczu; ten bohater, stąpający komienistą drogą, z piorunami nad głową, wyzuty z ziemskiego szczęścia, niczem nie złamany, — porwał ją za sobą, uniósł w takie wysokości, że już nic, krom niego na szczytach onych nie widziała...

Po gwarnych dniach, spędzonych pod jednym dachem z dworem królewskim, nastały dla dziewczyny ciche miesiące rozpamiętywań. Skryta w swej dziewiczej komnatce, trzymając medaljon z wizerunkiem oblicza królewskiego w dłoniach, wpatrzona w mężne oczy pana stefanowe, — wstępowała duszą w krainę szczęścia, którą rozwiera miłość.

Mrużyły się jej modre oczy jakoby pod ślepiącym blaskiem, gdy wspomnienie ukazywało jej spłomienioną nagłym gniewem twarz króla, kiedy Hrehory Ościk, wywlókłszy Halkę z siodła, do piersi swoich przyciskał; biło jej serce dziewicze wszystkiemi skrzydłami, bo oto dźwięknęło w jej słuchu ciche słowo żegnania, owo „Na pamięć...“ brzmiące teraz pieśnią w głębinie halczynego serca... Coś tchem duszy wyczuwała i przeczuwała, woń jakąś omraczającą; jakoby trwała w myślach onego wielkiego; jakoby ostała w średzinie wrażenia, które zbudziła w męskiem czuciu, może zbudziła na moment tylko, ale ów moment w niej żył i trwał, że jawa przed nim gasła, a marzenia obłóczyły się w rzeczywistość... Zaś serce już nie kryły się przed świadomością; jawnie biło blaskiem miłowania.

Gdy zima ubieliła Ruś, mrozy ją zwarły w jeden skrzący się kryształ, kiedy całun śnieżny odgrodził Buławy od reszty świata, zatargała się w Bieleckiej rządza odlotu, pragnienie, by nieść się tam, gdzieby jednem powietrzem oddychać mogła z tą mocarną piersią, gdzieby wieści o królu nie po miesiącach do niej dochodziły, ale obijały się tejże samej chwili o jej serce...

Oddalenie stało się dla Bieleckiej męczarnią, poryw potężny niósł ją ku onemu wielkiemu.

Aż i stanęła przed nim w krepach sieroctwa, czernią żałoby osłoniona. Wątpienie władało wtedy jej sercem, nie wierzącem w trwałość męskiego wrażenia. — Lecz oto spojrzenie królewskich oczu objęło ją i odrzucało, zaprzeczyło wątpieniom; na więzi dzierżyły czarne oczy batorowe dziewicze jej źrenice, że odwrócić się od tych płomienistych głębin nie mogły; posłyszała Bielecka głos męski, mącony wrażeniem, echo jego wzruszeń uderzało o jej serce... I znowu we władztwo brało ją królewskie spojrzenie, że cichło w niej tchnienie płuc, a niemy krzyk szczęścia rwał się ku zamkniony ustom dziewiczym...

Już znikła świetlana chwila spotkania, olbrzymie przestrzenie ich rozgrodziły; w cichym dworze królowej Jagiellonki, śród wawelskich komnat starego zamku poczęły płynąć dla Bieleckiej dni, które przenikały jej ducha czuciami zgoła od tamtych odmiennemi.

Bowiem niezwykły był dwór sędziwej królowej.

Ni bogactwem ani okazałością nie górował już wprawdzie krajowi, jakkolwiek zewnętrznym splendorem przewyższał dwór Batorego, dwór, rynsztunkiem wojennym stale odziany, różniący się zupełnie od dworów Zygmuntowych, jakie pamiętały jeszcze dobrze oczy poddanych.

Po wyjeździe królowej Bony, z którą wiele bogactw uniesionych zostało z Polski, po śmierci Zygmunta Augusta, kiedy reszta zabytków świetności dawnej rozmiotła się między królewskimi ulubieńcami płci obojej; — tylko już to, co własnością było osobistą ostatniej Jagiellonki krasiło teraz Wawel.

Lecz ćma sędzielizny tłumiła barwy tych królewskich okruchów wielkiego ongiś życia; wyblakłe były kolory, w jakich jawił się poddanym dwór batorowej małżonki.

W równaniu z dworem ojcowskim i braterskim — ubożuchny wydawał się ten, obecnej miłościwej pani. Jednak prześwietlały go blaski, i nimb królewskości rozpościerał się nad domem Jagiellonki; jeno że nie z materjalnych źródeł płynęło ono tajemne światło...

Oto czuł naród, patrząc w okna Wawelu, kędy ukazywała się niekiedy postać starej królowej, że zamek ten jest wciąż strażnicą, czuwającą nad krajem; żywie w nim serce miłujące, ku któremu prośbą kołacze się skutecznie, są tam ręce córy królów, zawsze do posług gotowe, są myśli, wnikające w dolę narodu, macierzyńskie skrzydło, rozpostarte nad głowami poddanych.

To też kwapili się do tej cichej, smutnej i osamotnionej — cierpiący, stroskani, zalękli, i odchodzili obdarowani, ukojeni, uspokojeni.

Stała się wszemu narodowi ta ostatnia Jagiellonka, pod niebem Polskiem żyjąca — czemś drogocennem, że jej nie tylko dolegliwości życia chętnie jawiono, ale dzielono się i ze szczęściem, jej ukazywano i u nóg składano owoce pracy; — Anna Jagiellonka żyła w dniu powszednim, swego narodu. A dzień ten przeżywał naród wartościowo; niezależnie od wojennych zmagań, zdala od wichrzycielstwa, kalającego zawsze czystość naszych dziejów, — biły w Polsce źródliska pracy czystej, mądrej i niewyczerpanej. Jędrne tętno pulsowało w narodzie coraz mocniej, w głębinach umysłu polskiego wyczuwać się już dawały żyły złota, docierano do onych bogactw i dobywano je z ukrycia. Głosy mądre szły po Rzeczypospolitej, strzelały z nich promienie jasne: wiedza, twórczość poetycka, rozum świeciły nad narodem, plótł się wieniec żywych kłosów ducha, i głów coraz więcej obejmował. — Czas to był jakoby południa, w który wstępowała rozbudzona jaźń narodu, czas pogody i złotego światła. Wzmacniała ono światło Akademja Krakowska, gorzało w Polsce drugie ognisko wiedzy: przez Batorego założony Uniwersytet Wileński,

kanclerz Zamoyski nosił się z zamierzeniem fundowania w swym Zamościu takiej-że wszechnicy. Uczeni, profesorowie, poeci szacunkiem otoczeni byli; ku kulturze duchowej kłonił się naród coraz wyraźniej. Zwany przez Batorego Izajaszem polskim, nadworny króla teolog, Stanisław Sokołowski porywał żywem słowem, którego słuchano skwapliwie; sława kaznodziejska Skargi głośniała już potężnie, — a ponad Górnickich, Rejów, Szarzyńskich, Klonowiczów wzbijał się w otoku złotych promieni ten, który ukazał narodowi swemu własną jego mowę w krasie tak wielkiej, że muzyką być się wydała; przecudne pieśnie zadźwięczały w tej mowie, gdy oczarowane usta narodu za wieszczem swym, Janem Kochanowskim powtarzać ją zaczęły. — Rozwiewały się coraz mgły z nad horyzontu umysłowego życia Rzeczypospolitej, wybijało wielkie słońce Złotego Wieku, wdzierał się naród na wyżyny skały pięknej Kalliopy, „gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy“.

A on pochód ku górze, ku światłu jawił się najwyraźniej w stolicy Polski, w majestatycznym, starym Krakowie, dopływał do Wawelu i słodkie jagody ducha polskiego u stóp Jagiellonki składał. Księgi wszelkie, zanim się do rąk czytających dostały, pierwej szeleściały kartami w drobnych palcach królowej Anny, pienia religijne najsamprzód wydzwaniały swe zwroty na organkach miłościwej pani...

W ten kręg światła, w majestat życia umysłowego wstąpiła Halina Bielecka, przeniósłszy się z królową na Wawel, — wstąpiła zaś głębiej od dwórek innych, bowiem czującą i do wrażeń podatną miała duszkę, a przytem znalazła się od rówieśnic swych bliżej samej miłościwej królowej.

Upodobała ją sobie Anna Jagiellonka zaraz od pierwszego wejrzenia; może ono liczko Bieleckiej pełne snycerskiej harmonii, jawieniem dusznych głębin cudnie

ukraszone w spojrzeniu sarnich oczu i w słodkim uśmiechu wiośnianych ust, — tak ujęło starą królowę, że z upodobaniem poglądała na dziewczę, snać czując się przeniesioną w młodość własnych swoich lat. A może duszka czująca Haliny, te fale wrażeń, łatwo przepływające dziewicze serce, pokrewnem tętnem obijały się o zwiędłe piersi królowej. To też najczęściej Bielecka wzywana bywała do miłościwej pani, czy dla czytania budujących dzieł, czy bądź dla kreślenia pod dyktandem królowej jej pamiętników, nieraz i do korespondencji z personatami różnymi używała jej Anna Jagiellonka postrzegłszy, że sprawnie w wyrażeniach dziewczyna sobie radzi i zgrabniej nawet układa pisania od samego sekretarza zaufanego królowej.

Przytem lubiła Anna Jagiellonka gwarzyć z Bielecką. Kiedy obie, nad rozpiętymi w tamborkach haftami, pochylone, dziergały jedwabną nicią osłony na kościelne kielichy, lubo misterne serwetki pod monstrancje, czy inne wdzięczne robótki, chętnie stara królowa gwarzyła i głosu dziewczęcia słuchała.

Zaś Bielecka, zbliżywszy się takiem życiem do królowej, odczuła, iż stoi teraz w obliczu jakiejś niewypowiedzianej dobroci i... niezgłębionego smutku. Wielce dobrą i zawsze smutną wydawała jej się miłościwa pani.

Zrazu, pod potężnem wrażeniem królewskiej postaci Batorego, jak omroczona, patrzyła na starą Jagiellonkę wejrzeniem, które mąciło jej ducha; prawie mrużyły się dziewczęce oczy, dotykając zmarszczkami porytej twarzy Anny Jagiellonki; — bo tuż przy tej twarzy, w krasie tętniącego najwyższą siłą życia męskiego, stawała przed nią tamto, miłowane, oczarowujące ją oblicze pana stefanowe.

Otwartą źrenicą w nie patrzyła jako sokół w słońce, — zaś źrenice te kryły się pod trzepot płoszonych powiek, gdy ojmowały zgrzybiałą postać małżonki

tamtego potężnego... Jakiś zgrzyt wtedy ranił jej oczy, ciężar zesuwał się na serce.

Słyszała zgaszony, tonów już pozbawiony głos królowej, a spominki przynosiły jej one drygnienia gorącej ręki królewskiej, kiedy ustami z nią się zwierała, tam w Baławach, przy odbieraniu medaljonu i na zamku mazowieckim w Warszawie.

Był zrazu w Bieleckiej jakiś ustawiczny przerzut, tchu ją pozbawiający, rozdal, chwytające w swe krańce przeciwległe, że nie wiedziała ku której stronie się rzucić; żal wielki targał jej sercem, ono tragedium, milczeniem zamknione, w którego ciemnie nie zstępowali nawet ci, ofiarami jego będący, — legło teraz kamieniem na dziewiczych piersiach, przyciszyło gorące tętno jej sercowych dla króla wielbień, zimna ręka rzeczywistości chłodziła uniesienia, które dziewczyna przeżywała od jesieni.

Ale jednocześnie łagodnemi promieniami przenikała ją dobroć starej królowej. Raz pierwszy od śmierci swej rodzicielki, poczuła Halina przy sobie macierzyńskie jakby serce. Ku sierocej jej doli zwracały się częste zapytania królowej, lot chwil bolesnych życia swojego wypowiadała Halina, postrzegając z jaką czułością jest słuchana, jakie spółczucie budzi w Annie Jagiellonce sieroctwo jej i osamotnienie.

— ...minie ci ono, dzieweczko — mówiła do Halki wczoraj królowa Anna — miłowana będziesz, łatwo cię umiłują..., nową rodzinę mieć będziesz, wstępujesz dopiero w życie, szczęścia ono dać ci może wiele... Wiem jako zabiegają o twe łaski skwapliwie różni godni młodzieńcy, mówiono mi, iż Szandor Bekiesz, capitaneus przy pieszem wojsku węgierskiem miłościwego pana, wiernem miłowanłem radby cię w zamęście zdobyć... Badaj jednak, dziecino, kłonienie się własnego serca, ale badaj jeszcze więcej siłę męskich uczuć; bowiem szczęście daje nie to, gdy się samej kocha, lecz to,

kiedy jest się kochaną... Serce niewiasty nie miłowane... cierpi wielce...

Wczoraj tak do niej mówiła królowa, a potem, jakby czemś spłoszona umilkła miłościwa pani i wnet kazała jej zajrzeć do antikamery, czy tam kto z potrzebujących nie czeka na widzenie królowej; zdało się, że spieszno było Annie Jagiellonce odwrócić od czegoś wejrzenie duszne, i te zbudzone w sobie czucia przygłuszyć.

Tedy szereg poddanych kolejno jął tu wstępować, to skarżąc się na jakąś krzywdę, to o radę prosząc, lubo kołacząc nieśmiało do ubożuchnej szkatuły królowej... A każdy jakoby tem wyciągnieniem rąk był witany, każdego troski do serca królowej szły, każdy odchodził ukrzepion, odarowan... Że szlarek białej obsłony, kryjącej głowę Jagiellonki, zwracało się ku poddanym żółkniejące starością oblicze o oczach błękitnych, czujących, łagodne, ciche, wielce dobre i smutne.

Z kart księgi Kochanowskiego zesunęło się teraz spojrzenie Bieleckiej, przeczytała bowiem ów koniec trenu:

„—... Nie wiem co lżej, czy w smutku jawnie żałować,
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować...?“

I oto znowu nagle rzucona została halczyna dusza na rozdal czuć: smutek żałości wzruszał ją ze strony jednej, gdy jednocześnie biło o jej serce echo tamtego mocowania się gwałtownego z potęgą przyrodzoną: bowiem to były właśnie one dwa węgły, na których pierał się obecny dwór królewski w Rzeczypospolitej, świecąc krajowi przykładnością obyczajów i nieskazitelnością ślubnej przysięgi.

„... czy w smutku jawnie żałować, czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować...?“
cicho zaszeptała Halzuchna.

Ale dumania te przerwała Bieleckiej służebna, która zbliżyła się, wieszcząc, iż miłościwa królowa wzywa Jejmościankę do siebie.

Prędko powstała dzieweczka z kamiennej ławy, pospieszyła na pokoje zamkowe.

Że popołudniowe godziny płynęły już nad ziemią, to przyćmione było światło w komnacie, gdzie siedziała Anna Jagiellonka. Wprawdzie słoneczny był jeszcze dzień i wielce pogodny, jednak tu mroczało już pośród staroświeckich kantorków, wysokich szaf gdańskich, wyściełanych altembasem i materją zydlów, podobnych z kształtu do kolebek głębokich. Dębowy, w kwadraty listwowane rznięty sufit, nisko rozpościerał się nad komnatą, zasłaną zblakłym kobiercem, obwieszoną zwierciadłami z metalu i malaturami, przedstawiającemi oblicza w koronach, bliskie sercu miłościwej pani.

Siła światła grała jeno w małej części pokoju, tam, w okrągłem wzniesieniu, na które po dwu schodkach wstępowano, gdzie półkoliła się ściana zamkowa, wąskiemi czterema oknami otwarta na krajobraz niezmiernie piękny, ukazujący, jak w panoramie nurt Wisły, obrzeżony łąkami, przygasłą już zieleń bielańskiego lasku i zarysy gór, na dalach horyzontu widne.

Podle otwartego okna siedziała królowa.

Kornet biały, głaciutki osłaniał jej głowę, chyląc się sztywnym rąbkiem ku czołu, spowitemu białą, pajęczą tkaniną. Szlarki ojmowały skłon twarzy niewieściej, łącząc się ze zwojem, okalającym bielą szyję królowej. Szata miłościwej pani ciemno orzechowej barwy, rozłożysta była, w fałdach obfita i zdała się łączyć cechy zakonnego ubrania ze strojem świeckim. Bieluchne, drobne, wielce kształtne ręce Anny Jagiellonki leżały nieruchomo na kolanach, a oczy królowej, ku otwartemu oknu zwrócone poglądały w krasę pobliskiego pejsażu.

Szelest drzwi, ruszonych przez Bielecką, skierował wzrok Jagiellonki w głąb pokoju. Twarz Królowej ożywiła się na widok wchodzącej.

— A to, Halzuchno — rzekła miłościwa pani — kazałam wymierzyć długość obrusa na ołtarz świętej Jadwigi, — jeszcze nie staje nam trzech gwiazd z krzyżami pośrodku. Musisz przyspieszyć dzierganie, by obrus w przyszłą niedzielę legł już na ołtarzu.

— Zdążę, zdążę, miłościwa pani — odpowiedziała, siadając na wskazanym jej przez królowę zydelku — gwiazdy już mam zrobione, i nawet więcej niż trzy, że tylko spoić je trzeba i kordonkiem obdziergać dokoła ząbki i fontasie.

Zdążę...

Postrzegła Anna Jagiellonka książkę Kochanowskiego przez Bielecką trzymaną, rzekła przeto:

— Wielce piękne, prawda...? że i mowa ludzka nie wypowiedziała dotąd takiej pieśni bólu rodzicielskiego...

— Och, krwawi się serce czasu czytania, i nie wiem, miłościwa pani, co mocniej porywa: boleść-li pieśniarza, czy piękno jego pieśni...

— Rozkwitła nasza mowa w uściech Jana z Czarnolasu — ozwała się królowa — że i nie sądziliśmy w niej bogactw tylu. — Wzięła do rąk książeczkę w safian bogato oprawną i złożyła ją na niskim mozajkowym stoliczku, tuż obok niej pod oknem umieszczonym. Lecz zamyślone oczy ku oknu posławszy, rzekła królowa:

— Jeno to dziwnem być mnie się wydaje, zgoła nawet nie do wyrozumienia: boć do samych trzewiów serdecznych sięgał pieśniarz, wszelkie męki przecierpiał, wielorakiemi łzami się rozpłakał nad swą stratą niewrotną; a tylko olimpijskie potencje ozywają się w jego słowach; ni razu nie rzuca się do nóg tej Mater Dolorosy, która sroższą jeszcze mękę przeżyła i... zniosła...

Cicha, w nieruchomość starości zakrzepła twarz królowej, obrócona teraz ku Bieleckiej, zdała się rzezaną w kości słoniowej, bladawe wargi poruszały się wolno, oczy, zadumą osnute, wystudzone były i bez

świateł. Lico Anny Jagiellonki świadczyło, że dusza, która przez nie przeziera stąpa też swą drogą kalwaryjską, która jeszcze do ostoi nie wiedzie.

Nagle zaszemrały otwierane drzwi: pacholik w ich głębi stanął, skłonił się nisko, gdy królowa wzrok ku niemu obróciła, i ozwał się temi słowy:

— Z Wilna od miłościwego pana goniec umyślny przybył, list wiezie, prosi o zezwolenie jawienia się przed majestatem.

Prawie uniosła się z zydla królowa, zaciemniałe ożyły oczy, dotąd zgaszone, polśnęła blaskiem wewnętrznym twarz nagle zbudzona.

— Niech wnijdzie, niech wnijdzie — zawołała nagląco.

Minuty zaledwie spłynęły, które wyczekała miłościwa pani stojąc, w wierzeje niedomknione wpatrzona.. Gdy oto rozwarły się znowu, i żołnierz ze szwadronu pana Bekieszowego stanął w nich, nisko pochyliwszy się przed majestatem.

Anna Jagiellonka obie ręce po zapowiedziane pismo królewskie wyciągnione trzymała, a czucia lotne, wzruszeń pełne, pomykały przez jej oblicze.

Ów zaś, goniec przybyły, dobył z zanadrza skórzaną torbę, roztworzył i, — znowu w pas się pokłoniwszy, ruszył z nią do stojącej u okien królowej. — Na stopniu wzniesienia przykląkł, pieczęcią królewską oznaczony pergamin podał miłościwej pani.

Królowa sięgnęła po zwój, rzekła:

— Dziękuję, wielce waści dziękuję... Za godzin parę jawcie się znów tutaj, rozpytam o wiela; teraz wytchnijcie po trudach podróży, ugoszczą was wdzięcznie z mego polecenia.

Żołnierz głowę pochylił, potem wstał, hołdy powinne złożył i, cofając się pokłonami, zniknął za ścianą drzwi.

Anna Jagiellonka osunęła się na wyścielany zydel, drżącemi palcami złamała pieczęć, poczem, rozwinąwszy pergamin, spojrzała na stronicę.

Lecz oblicze królowej czyniło się przemienione, był w niem trzepot takiego nagłego płomienia, który nieoczekiwanie zatarga się nad popieliskiem, orzuci jasnością cienie, chybocze się, chwieje, omdlewa...

Mdlejący rumieniec barwił zwiędłą twarz miłościwej pani, wzruszenie rozwierało i zwierało usta, mgły wilgotne niosły się przez oczy.

— Pierwszy list... od miłościwego pana... mój pierwszy list... — — bezwiednie szeptała.

Źrenicą niewidzącą patrzyła w pergamin, szloch ku ustom jej szedł, szumiał, jękiem już się w piersiach ozywał.

Nie mogła czytać, wzruszenie objęło ją całą, łzy skapywały z powiek; duszę zraniła nadzieja, dla której wiary już nie stawało. Ta, co z podniesionem czołem wycierpiała srom spółżycia pod królewskim dachem Wawelu z braterskiemi „sokolicami"; ta, która mężnie dźwigała zniewagę odsuniętej od spółżycia małżonki: — ugięła się dopiero przy pierwszym dowodzie pamięci, ona, o której tak mało, tak nikt wcale w życiu nie pamiętał...

Gorąco szlochu zatamowało oddech królowej, we łzach oślepłe źrenice przysłaniała powiekami, i dłoń z pergaminem ku Bieleckiej zwróciwszy, rwanym przez łkanie głosem, rzekła:

— Odczytaj, dziecino... nie zdołam... nie zdołam..

W czuciu kornego chylenia się przed majestatem cierpień, zaczęła Halzuchna przycichłym tonem.

Twarde, mocne pismo Batorego kreśliło te słowa:

„Do małżonki naszej, królowej, miłościwej pani, Anny Jagiellonki!".

Zapytywał król w początku listu o zdrowie miłościwej pani, czyli jest w pomyślności, o czem rad posłyszy.

Dalej jawiło pismo, jako uporczywa petecja[70]) zjadliwie szerzy się w wojsku, z obozu do Połocka ją zawleczono, gdzie i samego króla nie ominęła, który we Wilnie z tej niefortunnej racji ostać się jeszcze musi, choć do Grodna radby już spieszył. — Na sejm, któren w zaraniu przyszłego Roku Pańskiego 1581 naznaczony jest, zdążyć król zamierza do Warszawy, by tam dziękczynienie złożyć Bogu za drugie nad Moskwą zwycięstwo, i sprawy kraju wespół z sejmem załatwić.

Słuchała królowa półgłośnego czytania Bieleckiej, dłoń ze szmatką, zwiniętą u drgających ust trzymała i poglądała przez nalot ustawicznych łez na ciemną głowę dziewczęcia.

Czytała teraz Halzuchna:

„A zaś czasem pewnie już rychłym przybędzie do Krakowa wysłannik papieski, ojciec jezuita Antonio Possevini, któremu, dążącemu do cara Iwana, zezwoliliśmy na przejazd przez polskie ziemie...".

Tedy w ciągu słów dalszych lecił król, aby dwór, miłościwej pani z godnością, wysłannikowi Ojca Świętego należną, przyjął posła papieskiego, — z godnością ale... powściągliwie, nakazywało pismo królewskie; bowiem misja onego wysłannika przeciwna jest zamierzeniom batorowym, paraliżować usiłuje, owszem, strzymać uderzenia, mierzone w rdzeń caratu.

Nie wielu już słowami kończył się list miłościwego pana, zamkniony onym mocnym podpisem:

Stephanus Rex

co zdał się oczom niby brzęk berła, w kształt znieruchomiony.

Umilkła Bielecka; lecz w ciszy, która zapanowała, czuło się długo władztwo słów odczytanych.

---

[70]) Febra.

Snać wrażenie takież niewoliło i Annę Jagiellonkę bo postać jej poddańczym ruchem kłoniła się w głębi rozskrzydlonych sparć zydla.

Łzy już nie ciekły po miłościwej pani obliczu, które oschło, ukoiło się, postarzało bardziej po wzruszeniach nagłych. Świecące oczy obróciła Anna Jagiellonka ku łunom zachodu, krwawo malującym okrągłe, w ołów oprawne liczne szkła otwartych okień. Aż zaczęła mówić miłościwa pani wolno, jakby w cichej medytacji:

— Król miłościwy po rycersku sobie postąpił, rozwierając bramy ziem swoich przed tym, którego usiłowania stanąć mogą wbrew zamierzeniom królewskim... Choć wątpię czyli wysłannik Ojca Świętego usiłowania swe przeprowadzić zdoła...; nie tuszę tego. Car do sojuszu z chrześcijańskiemi potencjami jeszcze nie sposobien; dzicz tam w Moskwie, pogaństwo, choć krzyżem się osłania...

Sparła królowa łokieć o mozajkowy brzeg niskiego stolika, wiodąc te słowa:

— I... dziwne, do wyrozumienia trudne, bo zgoła jedne oczy królewskie widzą jasno nie tylko ono, dziejące się w caracie coraz przemożniej, niweczenie wszelkich symptomów światła, ale postrzega czujny umysł miłościwego króla i to, co przyszłe czasy gotują.

A czas brzemienny idzie; rośnie w straszliwą potęgę zła rosyjskie władztwo; chciwie, grabieży żądne są te miljony rąk, ku Polsce wyciągnionych... rozszarpią one Rzeczpospolitą, gdy się ich w porę nie odepchnie...

— Jeszcze król na straży stoi, chronnemi ramionami nas osłania... Ale teraz już sam naród stanowić musi o przyszłych losach swoich, rozstrzygnąć do kogo należeć będzie panowanie nad wschodem: żali do oświeconej Polski, czy do barbarji carstwa... Bowiem jeśli poddani nie poprą śmiałych, mądrych, jasnowidzących usiłowań króla, tedy prędko stanie się Polska łupem

moskiewskich złych potęg i służebnicą niemieckiego cesarstwa...

Cicho, z głębin umysłu, który przedumał wiele płynęły słowa Jagiellonki, świadomszej, niż którakolwiek z polskich królowych, spraw i dziejów ojczyzny.

Jakiś lot zbudził się w duchowem jestestwie batorowej małżonki, przemożna potrzeba dobycia ze siebie tego ruchu, w którego nurt popchnął snać jej ducha list ów królewski. A słuchaczkę widząc przy sobie, chłonącą brzmienie jej słów, ciągnęła dalej królowa:

— Rządy miłościwego pana, choć od czasu niedługiego kierują naszym krajem, jednak dobyły już Rzeczpospolitą z pochyleń, ku którym się kłoniła.

Wniósł król bladnący już wzrok potęgi polskiej wielkiemi zwycięstwami swemi na szczyt, wszem widny; powiało trwogą od miecza pana stefanowego na ościenne nam kraje. I ta jest przyczyna, że napady tatarskie, trapiące dotychczas polskie ziemie kresowe, ustały za rządów obecnych. Złagodniał ton listów sułtańskich, Wielka Porta skwapliwie pełni żądania królewskie.

Wzmaga się, dwoi nasza siła, rozpościera możnie pod prawicą miłościwego pana..., choć mało który z królów tyloma, jak on wstrętami obcych i, co boleściwsze, własnych poddanych był otoczon. Cesarz niemiecki od samej elekcji prowadzi tajoną walkę z królem, w czem mu pomagają polscy jego partyzanci, biorący żołd od cesarza Rudolfa, a jednocześnie zasiadający u nas w senacie; ci to podkopują najbardziej, niweczą usiłowania królewskie, w których zbawienie jest dla Polski.

Cesarz nie kryje, owszem, jawnie świadczy, że nie poniecha starań o polską koronę, póki jej nie posiędzie. A jednocześnie kamienie ciskają królowi pod nogi Chodkiewicze, Uchańscy, Tarnowscy, Czarnkowscy, Zborowscy... Nie wszyscy potrafią, jak Kochanowski,

który lubo sprzeciwiał się wszelkiemi siłami obiorowi miłościwego pana, jednak rychło postrzegłszy, iż ten nowy król jest nieprzyjacielem, owszem, niszczycielem tego wszystkiego, czego Jan z Czarnolasu dla ojczyzny swej się obawiał, poznawszy, iż mocna mądrze czyniąca jest prawica królewska, — wiarą do pana miłościwego zapłonął serce mu oddał i współdziałaniem dopomaga rządom króla. Inni postępują przeciwnie: rozpasanie, prywata, warcholstwo nie chce ugiąć hardych karków pod twardą ręką pana batorową, która je przygina i kiełzna... Że i do pojęcia trudna taka siła niepożyta, niczem nie złamana, ten hart w królu żelazny... Śród huku i żaru najniebezpieczniejszej z wojen, funduje miłościwy król akademję wileńską; na horyzontach wiedzy usiłuje rozpędzić mroki i promienie światła siać po Rzeczypospolitej; wszystko widzi, wszelkie potrzeby naglą jego niestrudzone ręce; rozum jego i mądra wola docierają wszędy...

Cześć dźwięczała w głosie królowej dla tego męskiego serca, które wobec Boga i ludzi jej było przecie własnością...

To tu może właśnie biło źródło tragedji sędziwej dziewicy w koronie, że iściła rzeczywistość górne marzenia młodości, dała córze królewskiego gniazda rycerza nad rycerze, — ale dała zapóźno...

Uzmysłowiło-by się marzenie, cud oblekł-by w ciało, gdyby królowa miała młodość i krasę tej klęczącej u jej nóg, wpatrzonej w Jagiellonkę wzrokiem uroków pełnym, słuchającej brzmienia słów w tętnie młodzieńczego serca...

Snać myśli takie mknęły przez głowę królowej, umilkła bowiem, wpatrzyła się zazdrośnie w lico Bieleckiej, cudne, falą wzruszeń zróżowione, pełne uniesienia w błękicie sarnich ócz, w rozchyleniu ust, bijących pulsem młodej krwi.

Bezwiednie uchyliła się królowa ku temu pięknemu obliczu, chłodnemi dłońmi objęła twarz Halzuchny, do czoła jej przytuliła twarz zwiędłą.

— Och, dziecko — zaszeptała, uniósłszy blade oczy ku górze — jakżeś szczęśliwa, że masz młodość i krasę...

Mocno cisnęła się starość do tej wiosny życia, może w pożądaniu, może w nadziei, że cudem jakimś dobroczynnym wchłonie tę wiosnę we własne piersi, przeistoczy się w postać piękności pełną, zzuje zwiędły łachman swojego ciała...

Cicho, boleśnie szemrało tuż przy twarzy Bieleckiej:

— Jakżeś szczęśliwa, że masz młodość i krasę...

Obnażała się coraz bardziej przed Haliną tragedja królewskiego stadła; pojmowała już wszystko, pojmowała więcej, niż było we świadomości tej sędziwej, która ją tuliła do siebie. Rozwiały się mgły, wiedziała Bielecka, że w jej to własnych rękach był ów talizman, mogący urzeczywistnić szczęście. Raj wspomnień ją objął, ujrzała płomień królewskich oczu złączony z jej spojrzeniem, posłyszała tętno zcichłego głosu męskiego... Ale raj był zawarty; nie chwytny żadnym dłoniom pozostał wielki talizman szczęścia.

Wtedy ogarnęła Halinę jakaś przemożna, ofiarna potrzeba wyzucia się z tego, co posiadała; otoczyła Jagiellonkę ramionami, głosem, z głębin wzruszeń idącym, mówiła:

— Ach, gdybym mogła... gdybym zdołała... oddałabym wszystko ze siebie dla waszego, miłościwa pani, szczęścia, waszego i...

Nie dokończyła, sznur łez posypał się z jej oczu i złączył z ustami Jagiellonki...

Pierwsza ocknęła się królowa z momentu obopólnych wzruszeń, dźwignęła głowę, — popatrzyła na Halzuchnę, twarz jej mokrą od łez otarła. Aż ozwała się cicho: —

Nadto długo trzymam cię przy sobie, dziecino, nadto wzruszam; stara już jestem, tobie innych potrzeba czuć... Idź do młodych dwórek, powesel się z niemi...

Nie poszła do dwórek Bielecka.

Opuściwszy pokoje królowej, wolno, w zamyśleniu pogrążona, jeszcze cała na falach wrażeń przeżytych, stąpała po zamkowym podwórcu.

Zamkniony wysokimi murami budowań szczytowych, z których pozierały głęboko osadzone okna, w półzmierzchu już cichł i pustoszał dziedziniec. Jeno tam na wyniosłościach nieba różowiały rozwieje zachodu, mżąc w głąb Wawelu światłami sennemi.

Posłyszała Bielecka tony, płynące z otwartych wrot, do katedry wiodących; jakieś modły tam odprawiano, przedwieczorne nabożeństwo jeszcze trwało.

Weszła Halina do kruchty, korytarzem głębokim dostała się do wnętrza kościoła. Pławił się we światłach wielki ołtarz, ustrojon ostatniemi kwiatami jesieni. Ksiądz w albie pozłocistej siedział przed klęcznikiem opodal ołtarza i pienia jakieś tonował, które podejmowali, wiedli dalej donośnemi głosami, zebrani w świątyni pobożni.

Do jednej ze stal bocznych wsunęła się Bielecka. Zrazu, wyzuta ze wszelkich myśli, jakby zacichła w sobie, niosła się za śpiewem kołysaniem kojącem.

Aż pochyliła twarz, we dłoniach ją skryła, wsparła głowę o modlitewnik, na pulpicie ławki leżący. Poczęła tonąć w słuchaniu, bowiem nowa melodja rozpłynęła się teraz z organów. I szła po wnętrzach wawelskiej katedry pieśń niezwykła, od niedawna dopiero brzmiąca, wstrząsająca siłą, rozlewna, leciały po niej słowa chóralne, by te perły świecące, zdało się, że jakaś krynica bije z cudnego zespołu tonów i słów.

Brzmiało w kościele:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa Jemu...“

Natchnienie Kochanowskiego, przelane w one psalmy dawidowe, mowie ojczystej przyswojone, które omyły ją w kastalskiem źródle piękna, dobyły skrytą w niej jeszcze potęgę słowa, skarby poetycznego języka polskiego, — złączyło się teraz z melodją muzyczną pierwszego kompozytora naszego, Mikołaja Gomółki. Uczeń italskich twórców muzycznego tonu dostroił swą śpiewną lutnię do czaru i siły słów czarnoleskiego wieszcza, sielskie echo niw polskich, skowrończe trele wtórowały pięknym zwrotom poety, potęgowały ich śpiewność, łączyły się z nimi w jakiś hymn mocy i uroków pełny. — Że porywały się serca, ku Panu zastępów leciały jakieś odmłodzone, hoże, silne, niosąc swą dań wdzięczności i miłowania.

A pieśń słów i pieśń melodji prowadziła czucia ludzkie ku wysokościom, nie przestąpionym dotąd, rozwierała zamknione jeszcze polskiemu duchowi wrota krainy piękna, krainy gorejących słońc sztuki, ów Akropolis, ukazujący się teraz dopiero oczarowanym oczom polskim.

Z twarzą ukrytą w dłoniach, pochylona, spowita cieniem tonęła Osielecka w falach brzmień, widziała światła szybujące nad jej ojczyzną ku wyżom słonecznego ducha, wyczuwała żywiołową potęgę nieśmiertelnej, zbudzonej już duszy narodu, która poczynała swą wielką siejbę pod promieniami Złotego Wieku.

X.

Czarny, fałdzisty płaszcz mnisi go odziewał, zwieszający z ramion szczupłych i stromych, ale postać była wysoka.

Patrzyły ku ziemi ze skupieniem one źrenice czarne, ogniem południa płonące... Jedne oczy żyły w obliczu Possewina, lubo nieruchomiały często, kędyś w przestrzeni zatrzymane, zda się, myślą, władnącą przemożnie.

Lico, choć młode, zacichłe było, jakby drętwe, chłodne od bladości, rzeźbione rysami drobnemi. Czoło mądre, wysokie, żółkło na pochyleniach skroni, wglębionych ku czaszce; zlot myśli, ściągnięciem czarnych brwi trzymany jakby na więzi u czoła, mocnił wyraz oblicza, tchnącego. Rzadka, krótka, ledwo zwitym włosem ciemniejąca broda okalała usta bladawe, szerokie, mało ruchome. — Coś z twarzy tej niosło się lodem obojętności na wszystko ziemskie, lecz i płomieniem myśli nie zgaszonym, w którym żarzyła się dusza, dusza fanatyczna, oderwana od ziemi, lotna, ale ważąca kamienną nieustępliwością.

Głos z ust płynął wolno, bez tonu, stłumiony; żelazna była w nim moc, że silne brzmienie stało się zbędne... Szły słowa spokojne, padające, jak granit.

Mówił Antonio Possewini, Batory go słuchał, sam byli w komnacie, zmierzchłej już od pozachodnich ćmień. Siedział król u stołu, jezuita stał przed nim; ważyły

się między obydwoma sprawy, mające kierować losami dwu ziemskich władztw.

Przez okno, w głębi muru na wąską, ciemną ulicę wywarte, dolatywały tchnienia czerwcowego wieczoru i świetlał w oddaleniu płomyk, gorejący w widnej stąd Ostrej Bramie, kędy Cudowna chyli rozmodlone oblicze i pogląda na sierp księżyca, okalający obraz święty

Mówił wysłannik papieski...

Chwilami, skupione na jednym jakimś punkcie wejrzenie Possewina, rzutem nagłym padało na twarz Batorego; wtedy płomienie oczu legata wgrążały się w królewskie oblicze, usiłując skroś je przeniknąć, do dusznych tajni pojrzeć.

Było to, jakoby mierzenie się dwu sił, ocenianie wzajemne, wyczuwanie wrogich dążeń tam, gdzie na łączności zależało.

Wstrzymywał Batory ten wzrok badawczy; lodowaty chłód Possewina i jemu snać się udzielił, bo coś studziło królewskie oblicze, niezwykły u króla Stefana spokój władnął nim całym.

Mówił Possewini matowem, wolnem słowem:

— Potęga to jest nieobliczona, i ziemi część przemożną posiadająca... Nie niszczyć tej potęgi... jaka ztąd korzyść? — a przeciwnie, wszystkie siły z niej wydobyć, rozewrzeć ślepe jeszcze oczy jej ducha, w Bethsaidzie uzdrawiającej skąpać te miljonowe rzesze pozbawione światła, skażone dniem ciemnoty...

Zapłonęło, by pochodnia oblicze ojca Antonia, gdy mówił:

— Na jaśnię życia, na gościniec świętych zamierzeń sprowadzić trzeba carat moskiewski, któremu cześć bałwochwalczą oddają poddani, że ich wiedzie, gdzie chce... Gdzie chce... — powtórzył Possewini przycichłym głosem — a trzeba, żeby chciał dobrze, chciał tak, jako dla chrześcijaństwa z korzyścią będzie... i jako sprawom Bożym się należy.

Biją o siebie dwa chrześcijańskie miecze, zmagają się, druzgoczą wzajem swą moc... A tuż pogaństwo stambułu depce wrażą stopą ziemię świętą, chrystusową ojczyznę, i żyje, cierpiane przez wszystkich... To tę właśnie moc druzgoczcie, szatańskie imperjum pogaństwa zetrzyjcie z oblicza ziemi...

Mówił legat papieski tym samym jednostajnym, kamiennym głosem, tchnącym czemś wieczystem, czemś niepokonanem, na granit tężejącem w locie słów.

Nie unosił się Possewini, spokój despotyzmu był w nim; na walkę szedł, wierzący w swe zwycięstwo.

Sparty łokciem o stół, zwiniętą dłonią podtrzymując skłon twarzy, poglądał król Stefan badawczo na jezuitę.

Ów w milczeniu czekał teraz odpowiedzi królewskiej; czekał długo...

Wpatrywał się Batory w blade, stygmatem fanatyzmu piętnowane oblicze, na które padały blaski dwu złotych oliwnych kaganków, płonących opodal na otwartym kantorku.

Aż ozwał się król:

— Są w Europie dwa pogańskie władztwa, Bogu bluźniące: stambuł i carat i... nie wiada, w którem mrok jest głębszy, i gdzie zbrodnia większa. Jawnie od krzyża Chrystusów odwrócona jest Wielka Porta; nie sięga po nic, co tkwi w duchu chrześcijaństwa, rzuca przed forum świata otwarcie swoje kości... Carat moskiewski dzierży przed sobą krzyż, lecz krzyżowi temu przeczy, depce jego dogmaty; czcić każe nie Boga, lecz siebie, niżej niż przed ikoną padają w pokłonie moskiewskie rzesze przed carem. Nie szemrzą przeciw jego występkom, czczą bałwochwalczo splugawionego mordami, gdyż siew caratu bujnie wszedł w duszy moskiewskiej. Duchowieństwo, mające być wyobrazicielem chrześcijaństwa, w Rosji istnieje nie po to, żeby apostołować słowo Boskie, lecz po to, żeby nie dopuszczać

tego słowa do uszu chrystusowych wyznawców. Między światłem chrystjanizmu, a poddanymi rosyjskimi stoi prawosławny pop i zasłania sobą te promienia, aby nie przedarły się w głąb carstwa... Wody Bethsaidy uzdrawiają jeno tych, których w ich nurty prowadzi wiara; a carat nie wierzy duchem, tylko obrządkiem martwym, gorzej, bo nie wie, co to chrześcijaństwo życia... Nim na gościniec świętych zamierzeń człowiek wstąpi, już w głębinie jego ducha władać musi świętość; a duszą caratu włada szatan... Tam to właśnie, w Rosji od wieków trwa władza złego, gruntowana w osierdziach miljonów serc i usiłuje rozpostrzeć się, aż po krańce świata. Swoich już zdobyła: ludność miljonowa imperjum moskiewskiego nie ma przeczenia dla gwałtów i morderstw cara, ze zwierzęcą obojętnością patrzy na występki swego pana; bo ją wyzuto z ludzkich czuć... Kiedy tu, w tym kraju, którego koronę noszę, przed pięciu setkami lat król polski Bolko, Śmiałym zwany, w uniesieniu gniewu zabił biskupa Stanisława ze Szczepanowa, — to naród od swego władcy odstąpił, który ochłonąwszy z uniesień, pojrzawszy na swój czyn oczyma przytomnemi, królewski płaszcz zdjął ze siebie, a wdział wór pokutnika, berło zamienił na kosztur tułacza, biesiadny kielich na skibę żebraczego chleba, — sam dobrowolnie rzucił się ze szczytu potęgi ziemskiej w otchłań pokutniczej ekspiacji, w mękę nigdy nie zciszonych wyrzutów ducha... za jedną zbrodnię... A ile ich obluzgało cara?... Wchłonąć Polskę w orbitę swej ciemności usiłuje Moskwa, aby módz posunąć się dalej, i szerzej zatoczyć krąg mroku, władztwo złego; dla tego kruszy ze mną swój miecz... Opiekunem jestem tej ziemi, która ręce do mnie wyciągnęła, przeto, gdzie niebezpieczeństwo jej grozi, tam muszę być na straży." — „Car moskiewski oszukuje Ojca Świętego, widząc burzę nad sobą, przyrzeka wszystko: unię ze

stolicą apostolską, udział swój w chrześcijańskiej wojnie z Turcją, czego od niego zażądacie, przyrzecze wszystko“; bo to są te jego kości, rzucane na forum, kości fałszywe, gracza, który oszukuje. „Ale mnie on nie oszuka“[71]) — „Nieprzyjaciel ten póty pokój dzierży, poki mu potrzeba“. Zaś nie prędzej zdusi się zarazę zła, idącą na świat z moskiewskicgo carstwa, aż fizyczna jego siła złamana zostanie, aż póki Polska przemożnego wpływu nad Rosją nie zdobędzie, wpływu dobroczynnego, niosącego światło...

Ożyło z poprzednich chłodów oblicze Batorego, skroś przeniknęła je siła, przecknienie niepożytego ducha, który zatargał najcięższemi kajdanami, pętającemi wschód Europy. Słuchacza miały królewskie słowa, oceniającego ich walor, co jeszcze podniecało mówiącego. Pochylon nieco ku nuncjuszowi, z dłońmi twardo spierającemi się na kolanach wiódł król Stefan:

— Zamysły na wielką przyszłość teraz właśnie gruntować jest pora, stanowienia powziąć takie, które „sprawom Bożym się należą“ i z jakich „korzyść dla chrześcijaństwa wyniknie“. Lot czasu trzeba pochwycić bo ubieży nas; teraz jest moment, teraz wodze spraw świata mamy jeszcze w dłoniach; goże, jeśli z nich wypadną...

Światło biło z oblicza króla, rozwierało mu źrenice niemylne widzenie rzeczy dalekich.

Przycichłym, z głębin idącym głosem, mówił:

— Nieudolny jest cesarz Rudolf, słabnie niemieckie cesarstwo pod jego rządami... A zaś czasem tym samym Polskę stawiły przewagi oręża i zdrowy wiew, niosący się teraz nad Rzecząpospolitą w rzędzie państw, ważących na szalach światowej polityki.

---

[71]) Autentyczne słowa Batorego, wypowiedziane w Wilnie 17 czerwca 1581 r. do nuncyusza Possewina. — Bielski M. Kronika 1493—94.

Złączywszy z Rzecząpospolitą Węgry, gdzie imię moje popularnością brzmi wielką, te Węgry, które bez szemrania na każdy mój zew roty swe stawiają na rubieżach Rzeczypospolitej i tam oddają Polsce krew swą i życie, złączywszy oba te państwa w jeden obszar, spojony wspólnym tronem i wspólnem dążeniem, — to stanie się on pierwszą w Europie potęgą, która kwestję wschodu rozstrzygnie na korzyść cywilizacji i chrześcijańskiego ducha.

— Wtedy zdepcze się nie państwo moskiewskie, ale ciemność caratu, zburzy gniazdo zła, unicestwi trąd, szerzący zarazę. Promienie oświaty poczną wnikać w głąb Rosji, gdzie jest dotąd tylko trujący czad mordu, rozpasany satanizm i niewolnicze poddaństwo... — Ażeby dojść do tego celu trzeba teraz caratowi „nietylko pierze wyrwać, żeby nie porosło w skrzydła, ale całe barki mu strącić; trzeba go odgrodzić od morza, — bowiem ztamtąd właśnie może on być przez cesarstwo niemieckie posilony praktykami, apparatu bellico, trzeba mu więc te barki od tułowia odwalić i siły przeprzeć...“ [72])

Zmilkł na moment Batory, przygasł trochę, coś zasnuło mu może patrzenie w przyszłość. Ozwał się głosem, w którym brzmiały tony zawodu: — Ale, skoro taka wola Ojca Świętego, jedźcie nuncjuszu wielebny, pojrzyjcie w ślepie caratu, zapośredniczyć pokój probujcie... Ja od żądań moich nie odstąpię: warunek przyłączenia do Polski całych Inflant, jest nieodwołalny... Jedźcie, ojcze, probujcie; lecz aby się nie ziściły moje przypuszczenia; że wam tych starań i wielkich trudów — jeno zawód będzie zapłatą, a moim udziałem pono żal, iżem w tym teraz momencie powolny jest żądaniom papieskim... Lecz nie przeciwiam się, dążcie do

---

[72]) Akta sejmu walnego in anno 1581 u X. Polkowskiego (sprawy wojenne ect.) Str. 285—339.

starycy, „straż wam dam pewną: darowuję, jako opiekunów waszej świętobliwości onych moskiewskich przełożonych załogi, zdobytego przeze mnie Wieliża...“[73])

Rozstali się ze sobą zimno, jako ci nie przekonani i w kierunki różne niesieni.

To i na nic już nie bacząc, wrócił król do dalszych przygotowań wojennych, które grączkowo i z zapałem załatwiał. A środki pod ręką miał, bo chociaż podatki, na sejmie styczniowym z opóźnieniem do skarbu skapywały, ale otrzymał Batory gotowiznę od Kurfürsta Brandenburskiego i elektora saskiego, którzy pieniędzy dostarczyli na zastaw klejnotów królewskich[74]).

Chciał Batory z nastaniem lata rozpocząć działania wojenne, to też wysyłał do wodzów naglące rozkazy, boć miesiąc lipiec już płynął, niecierpliwił się król, oburzał na rotmistrzów za niedostateczny pospiech, „mienił ich być godnymi szubienicy“.

To i zawrzała robota, jakoby w tym kotle kipiątku; — na co patrzył bacznie, w Wilnie jeszcze obecny, nuncjusz Possewin i konotował sobie, snać, niezwykłą pracowitość i energję króla, wytrwałość i wojenny animusz polskiego rycerstwa, — bo coraz ważniejsze czyniło mu się lico, na mądrem czole jakoby ciężkie myśli się ważyły. Może teraz właśnie utwierdzały się w nim te przekonania i racje, któremi ostrzegał później cara Iwana, aby nie upierał się przy swoich żądaniach, nie lekceważył Polski, bowiem „podbudował Batory gmach wielkiej, silnej, rządnej Rzeczypospolitej, senat do siebie przywiązał, ukrócił dumę wichrzącego możnowładztwa, a burzom wewnętrznym dał najsilniejsze antidotum: zewnętrzną wojnę.“ Tedy jeśli tą drogą, na którą polską nawę państwową żelazna

---

[73]) Z rękopisów Albertrandego: Panowanie St. Batorego, str. 179.

[74]) Marcin Bielski. Kronika A. I., str. 1480.

ręka i mądrość króla Batorego wtoczyły — podąży dalej Rzeczpospolita, to w równaniu z nią carstwo moskiewskie zmaleje do nieważkiej drobiny...

Ustawicznie już teraz medytacje one przenikały umysł papieskiego legata; lecz nadzieja go krzepiła, że przenikliwością swą, wpływem, który na ludzi umiał wywrzeć, po woli swej kierować będzie wielką sprawą pokoju.

A że i poczt, przydany nuncjuszowi i jego włoskiemu otoczeniu, zebrał się był wreszcie i sprawił wszystko do dalekiej podróży, przeto w połowicy miesiąca lipca onegoż 1581 roku, ojciec Antonio Possewini, strażą dawnej wieliskiej załogi moskiewskiej otoczon, pełen dufności w wynik rozpoczętego dzieła, — ruszył w głąb carstwa do starzycy, na Orszę się kierując.

Zaś w parę dni zaledwie później, na czele swoich zbrojnych hufców, ku gwieździe, jaśniejącej mu dotąd, mężną duszę na skrzydle nadziei niosąc, — spieszył już król Batory w stronę dalekiego i najtrudniejszego do zdobycia — Pskowa.

* * *

Lato już spływało w jesień, zdając jej swe płody, a obfite roku onego, bo aura w sam raz trwała od wiosny, ciepła wedle potrzeby, opadami rosząca akurat, ile roślinom do upodoby było. To wysypał się owoc niezwykle bujny, a tak piękny i wielki, jako najsędziwsi ludzie nie pamiętali. Rokowano z tego pomyślność na resztę roku pańskiego, że będzie pod miarę śniegów, odwilgi i mrozu.

Ale teraz nikt o zimie nie myślał, jeno radował się trwającem ciepłem i wesołością całego przyrodzenia... By ten bukiet, widziała się ziemia, ba! lepiej jeszcze! jabłonie przecie kraśniały jędrnym owocem, śliwy fijole-

towe, te grusze o miodnych barwach nęciły oczy, aże ślina szła, bo soczyste wszystko było i wielce ludzkiemu smakowi miłe . . .

W Buławach zwłaszcza królowała jesień takim przepychem, jakoby sama dostojna Pomona w ościkowem gnieździe kwaterę sobie obrała. Liść trzymał się zuchowato na drzewinach, tyle, że przyblady nieco po letnich spracowaniach, ale szemrzący wesoło z wiaterkiem i do trzepotów gotowy, obficie wisiał na warkoczach brzóz, na lipach sędziwych i smukłych olchach. A zaś wielkie, majestatyczne jodły osypały końce swoich kosmatych gałęzi młodem podigliwiem, majowej zieleni, iż cudne się widziały, bo na ciemni głębokiego szmaragdu pstrzyły bazie bladego seledynu tak pięknym aspektem, jakoby malarska zgoła była w tem robota.

Jednak królowanie nad wszemi drzewami, to już klony w jesieni obejmują. Jakże! blednie przecie wszystek stwór, płowieje wespół z niebem, traci barwy, wiadomo; zaś klony przeciwnie: uderzają w kolory, grają ostrą tęczą karminów, wszelakiemi odcieniami o mocy niesłychanej. Tu płonie wiecha gałęzi, jakoby ogniem najczystszym, tam krwawi się inna malinową krasą, indziej, choć i na tem samem drzewie a płomienistym, bursztynem się puczy. Abo w kasztanowate tony uderzają drzewa, snycerskiem liściem wrzawę sprawiając barw, że nie do pomyślenia, a tylko patrz i admiruj.

Przede dworem buławieckim cały on szeroki majdan obrastały klony i dwoma staremi drzewami stały jakoby na straży ganku, spartego na białych filarkach. Chmiel czołgał się tam dokoła, i ze strony jednej gęstniał jakby ścianą, że to gałązki uczepliwe, aż na daszek zdołały się przerzucić. Latem zawsze ktoś wygrzewał się na ganku, aromat sielski tu wdychając; ale dzisiaj, że wrzesień już się był przepołowił i jesiennej roboty gospodarzom nasporzył, to tylko młodzież używała sobie popołudniowego na nim wywczasu.

Bolko Chojeński, zagłębiony w rozłożystem, miękkiem krześle, pławił się w promieniach słońca. Taśmy białych płócień głowę mu spowijały, zaś prawą rękę na podwiązce czarnej nieruchomo u piersi dzierżył.

Jeszcze trochę bezwładu ociężało jego postać, ale lico miał wesołe; jakże, Ustinka przecie w pobok mu siedziała, ścibiąc coś igiełką na jedwabiu. Lecz taka była i robota: raz wraz składana na kolanach, albo i ciskana na stolik, że to ustawicznie ze sobą gwarzyli.

Na drugim końcu ganku, śród chmielowych zwojów, Halzuchna Bielicka zagłębiła się w czytaniu jakiejś książeczki, którą przed oczyma trzymała.

Zaś tamci dwoje, półgłosem, jako najczęściej u miłujących się bywa, dyskurs wiedli.

Powtórzył Bolko głosem ufności:

— Powiadasz, że mi włosy na łbie porosną? powiadasz . . .?

— O rychło — potwierdziła Ustinka.

On zaśmiał się i rzekł:

— Byś miała mnie za co chwycić i dzierżyć kuso . . . śmiał się, ukontentowan z dowcipu.

— Nie bojaj się, nie . . . — przewlekle ozwała się dziewczyna, snać zabiegła myślą wstydliwą w tę przyszłość, która ich ześlubi.

— Ustinka . . . — szepnął cicho, wzruszon jej tonem.

Czarne oczy podniosła na jego twarz i wnet je zmrużyła; a bo to nie ogniście na nią patrzył?

Nalot miłowania przejął oboje, iż zmilkli.

Znowu ozwał się Chojeński, jeno frasobliwie:

— A gębę to mi do cna spaskudziły one moskiewskie płomienie; ni tych brwiów, ni tego wąsa, zbronowane całe lico na djabła . . . szpetnego będzież miała męża . . . Wszystką krasę u Wielkich Łuk ostawiłem . . .

— Puszczą się brwie, obaczysz, odrosną wąsy — pocieszała go, jaż by markotność jego odegnać, rzekła:

— ... A lico twoje, to . . . jakieby tam i było... zawsze mi . . . najmilsze . . .

— Mojaś ty, Ustinko jedyna! światłości umiłowane! splendorze duszny!! — unosił się glos mu drgał radowaniem.

Dźwignął się od skrzydeł krzesła, wziął jej dłoń, na kolanach swoich złożył, mnąc ów jedwab dziergany. W liczko dziewczęce, wiśni podobne, weselem i tętentem krwi młodej kraszone — z sentymentem poglądał.

Osłabion był jeszcze, ledwo wrócony życiu po długich ze śmiercią zmaganiach: już razy parę żegnający się z Ustinką na amen, szepcący mdlejącym głosem, że na pokojach panajezusowych pamiętać o niej będzie ustawicznie; ale, że się do tej wysokiej kwatery jakoś jeszcze nie dostał, — to i podźwignął się z łoża i po malućku, po malućku, starunkiem wielkim otoczon, do sił i zdrowia powracał. Kiedy zaś jelita jego bardzo zepsowane ogniem wielkołudzkim, pogoiły się, dech w zgnieconych płucach zrównał, a serce już nie ustawało przy swej robocie, to na żądanie Ustinki, zrękowiny im Ościkowie wyprawili sute; choć tam przyszły oblubieniec raczej Piotrowina z martwych wskrzeszonego, niż zuchwałego wojaka przypominał, który własną ręką po płomieniste gwiazdy sięgnął, jarzące mu się teraz na herbowej tarczy.

Ale potem, gdy zwiesna nagrzała świat, powietrze stało się lubę, to krzepł Bolko w oczach, wiadomo, jak młody. Krzyże miał wprawdzie mało jeszcze ruchawe, i nie pogojone blizny na głowie i na prawicy, lecz medykowie przyrzekali, iż w ciągu kwartału wszystko na glans w nim wyreperują, a wtedy prosto do ołtarze będzie mógł pojść.

To i nadzieji tej pełni, gruchali teraz dalej ze sobą; Ustinka i Bolko.

Lecz zwolna zasępiał się Chojeński; przestał uśmiechoć, twarz, zeszpeconą osmaleniem, czerwoną tam

gdzie nie potrza, zaś bladą, kędy kraśniec była winna, w stronę majdanu obróciwszy, zawiesił na klonie którymś osmętniałe teraz oczy . . .

Ustinka wróciła do swego dziergania, że chwilę w cichości trwali.

Ozwał się Bolko stłumionym głosem:

— Ustinka . . .

— A co? . . . rzeknij — poddała mu, boć umilkł.

— Ano . . . — podjął — widzi mi się . . . że, choć nas zrękowili twoi rodziciele, jeno . . . nieosobliwie zdają się z tego radzi . . . co?

Spojrzenie pełne troski i tajonego wstydu na dziewczynie zawiesił.

Sposępniała i ona, milczała chwilę, potem złożyła robotę na stół, westchnęła i powiedziała cicho:

— Juści . . . nieosobliwie . . . widzę to i ja . . .

— A zaś nie miarkujesz, czemu? — pytał skłopotany wielce.

— Nie miarkuję — wzdychając, odrzekła.

On zaś ciagnął dalej:

— Godzą się rodziciele na nasz bliski ślub, nie przeciwiają, ale . . . bez nijakiego uweselenia — cichł mu głos we frasunkach.

— Bez nijakiego uweselenia i rodzic i matunia...

Jednak, że duszka jej długo markocić się nie podołała, przeto obróciła Ustinka kędzierzawą główkę w stronę ganku, gdzie siedziała Bielecka i zawołała:

— Halzuchna! A pójdź — no tu do nas. Zapytać cię chcemy o cosik . . .

Bielecka opuściła dłoń, w której książkę trzymała, modre oczy podniosła na wołanie Ustinkowe.

Ościkówna przynaglała ją ruchem ręki, to i wstała i szła teraz w onej powłóczystej jasnej szatce, spływającej z jej postaci, jakoby ze smukłego posągu, cudna, o licu pogłębionem w wyrazie ócz i tą myślą u czoła widną.

Przystąpiła do stolika, podle którego tamci siedzieli, spytała:

— O co pytać chcecie?

— Siądź najpierw! — Siostra podsunęła Halzuchnie zydelek, a potem zaczęła spowiadać się z nurtujących ich oboje wątpliwości.

Przysłuchiwał się Bolko temu powiadaniu z czołem chmurzonem pod bandażami taśm.

Halzuchna zaś konotowała słyszane słowa, chwiała głową, jako ci, biorący w siebie troskę, zadumała się, aż zaczęła wolno, w medytacji:

— Żeby rodziciele osobliwie byli radzi z naszych zrękowin, to i ja nie postrzegam . . .

Sposępiał Bolko jeszsze bardziej, po tych słowach. Jakże! ambit był w nim od pacholęctwa; krajem przepaści stąpał na one szczyty, których dosiągł, że najdostojniejsi głowy przed jego czynem schylali, w rejonie bohaterów sławnych go stawiając; zaś tu, u boku miłowanej, przed którą właśnie radby lśnił onym ciężko spłaconym splendorem, — coś gasi jego promienie, i zesuwa go z wysokości, na których się czuł tam, pośród rycerstwa . . .

Lecz Bielicka ciągnęła dalej ze skupieniem myśli i rozwagą:

— A do wyrozumienia to jest łatwe . . . miłują wujostwo Ustinkę, jedna przecie córka w ich gnieździe. Wiadomo, u rodzicieli zawsze tak bywa, radziby w dostojeństwach ją widzieć i zmieniającą okazały dom ojcowski, na magnacki równie, rodu bodaj jeszcze znamienitszego . . . wszem ludziom jest to przyrodzone.

— A bo to Chojeński nie znaczy teraz tyle, co Mielecki, Zbarazki lubo Chodkiewicze? — zaperzyła się Ustinka.

— Znaczy — przyznała Halzuchna — znaczy nie tylko obcym, ale i rodzicielom twoim . . . Tylko, że . . . że oni, krom uznania dla wielkich czynów bolkowych,

w żywej pamięci mają jeszcze . . . i one niedawne czasy, kiedy to . . . Bolko po karku dostawał od wuja Kuźmy . . . albo i skrzyczan bywał przez ciotkę Salomeę Mnie się widzi, że te wspominki wątlą ich radowanie i umniejszają zdziebko oną chwałę, którą sobie Chojeński, na równi z Chodkiewiczami rozpalił nad imieniem . . .

Znać utrefiły słowa Bielickiej w bolkowe pomyślenie, bo nie przeczył, naprzeciw, potakująco głową ruszał i milczał, a jeno żuł coś gorzkawego w ustach.

Zaś Ustinka zetrząsnęła już z siebie uprzedni frasunek, ciemną główkę poswojemu zuchowato zadarła, powiadając:

— Co tam! pomną, nie pomną, a wkońcu zapomną; króla miłościwego mamy za sobą i one dwie płonące gwiazdy bolkowe w herbie! . . .

— A mamy . . . — przyznał Chojeński.

— A widzisz! — tryumfowała. — Słuchaj mnie zawsze, to wszystko dobrze będzie . . .

Jako-że nie miał jej miłować, kiedy mu miodu nalewała w serce i w nim topiła strapienia; poweselał i teraz, jaśń błysnęła mu nad przyszłością, to też całował ustinkowe rączki żarliwie a z wdzięcznością.

Halzuchna, widząc ich ukrzepionych i znowu sobie oddanych, wstała, po schodach ganku zeszła, minęła majdan, a potem zagłębiła się w ogrodową drożynkę, podle płota wiodącą, skąd na ścieżaj rozwierał się widok wielce molowniczy. Jezioro Ukrut modrzało niedaleko nieruchomym rozlewem, pochylenia faliste gruntów, zagajami obrosłych, krasy dodawały aspektom, roztocz nieba wisiała ogromną dalą, cichą, bezchmurną, zlekka różowiejącą, bo kłoniło się już słońce ku horyzontom.

To i szła dziewczyna, na urokach przyrodzenia oczy zawiesiwszy . . .

Myślenie ją wnet pochłonęło. Nie dawno wróciła do Buław, w lipcu miesiącu; spomienia półtorarocznego

pobytu w Krakowie, na królewskim Wawelu, u boku miłościwej pani, przemożnie w niej jeszcze trwały, choć przenikały ją już wrażenia nowe.

Byłaby jej nie puściła od siebie królowa Anna, bo wielce przeciwiła się wyjazdowi Halzuchny na Białoruś; ale kiedy Ustinka molestować poczęła siostrę, by coprędzej przybyła ratować wespół z nią Bolka, pogrążonego w zapasach z śmiercią; kiedy i sama bojarynia Ościkowa, stęskniona za bratanicą, do łoża przyszłęgo swego zięcia, Chojeńskiego, ciężką złożonego niemocą, usilnie wzywała, — to i ustąpiła miłościwa pani; trudno, musiała.

Lecz królowa przebierna była; nie byle jaka okazja przejazdu Halzuchny do Buław utrafiała w chęci dostojnej pani. Jeździli wprawdzie na wschód ci i owi, dworno nawet się nieśli, i do Wilna, albo do Mińska, czy w Witebskie strony; lecz nie do upodoby królowej było to wszystko: tu kompania zdała się za liczna, ondzie opieka nie dość poważna, tamci wygód Bielickiej w podróży nie zapewnią, do innych znowu zaufania miłościwa pani nie miała, by taką precjozę, jak Halzuchna, kwiatuszek cudny i czujący, sercu królowej dziwnie drogi, powierzyć mogła.

To czas szedł, lato już panowało nad ziemią, a Bielecka ciągle na Wawelu trwała.

Dopiero kiedy ruszyła się z Krakowa imć pani Michałowa Haraburdzina, połowica wielce Michała swego miłująca, który sekretarzem królewskim będąc, w obozie pana batorowym przebywał już od wiosny, kiedy więc małżonka ona w pragnieniu znajdowania się bliżej swego męża podczas wojennej kampanji, w samym Dyneburgu instalować się miała; — wtedy dopiero miłościwa pani wezwała jejmość sekretarzową Haraburdzinę Michałową do siebie, i po długich omawianiach, jawieniu swych życzeń, niepokojów i przestróg, — pieczy pani

sekretarzowej, letniej już i statecznej niewieście — Bielecką powierzyła.

Do samych Buławów podjęła się Haraburdzina Halzuchnę dowieść, choć tam i z drogi jej było, — ale dogodzić królowej chciała, że ufanie onej pochlebiało i wywyższało sekretarzową ponad inne jejmoście.

Dużym dworem i w wygodach wszelkich podróż się odbywała, to trwała tygodni kilka, ledwo ostatnich dni miesiąca lipca zjechały do Ościków.

Tu, dawne czucia, które przygłuchły nieco były w Halzuchnie, czasu pobytu jej na Wawelu, teraz zbudziły się rączo i silnie . . .

Dwór Buławiecki, pełen spominków bytności w nim pana batorowej, pogwary z Chojewskim, opowiadającym o bojach królewskich, zbliżenie się przestrzenią do miejsc, w których obóz króla Stefana gotował się do śmiertelnych zmagań z potęgą caratu, bliskość onej Rosji, wieczną trwogą zdejmującej Halzuchnę, a przedewszystkiem częste widywanie Hrehorego Ościka — wwiedły czucia Bielickiej na takie duszne rozchwieje, gdzie spokój nie żywie, kędy alteracje nękają, a umysł poruczon jest ciągle, i żadna wola, żadne argumenty uciszyć wewnętrznej rozterki nie mogą.

Jeno cicha, samarytańska praca, przy łożach cierpiących, ta jedna koiła Bielicką, oraz czytywanie ksiąg, których wiele z Krakowa sobie zwiezła. Przeto w posobnych chwilach, gdy przy Chojeńskim czuwała Ustinka, tym dwom upodobaniom swoim upust Bielecka czyniła; we wsiach i licznych włościach wuja Kuźmy lekowała słabujących tam włościan, lubo oddawała się lekturze, umysł jej i czucia coraz rozwijającej.

Albo i takim, jako czasu niniejszego, dumaniom poddawała się niewolnie, które nieciła jesienna smętliwa pogoda, że na jakieś tęsknice, pobudzone pragnienia, zawodzenia duszne — myśli dziewczęce się niosły . . .

Zaturkotało coś opodal.

Spojrzała.

Gościńcem, który z Kowarska tuż podle buławieckiego wiódł sadu, jechał w małym wózku, pojedynką, do Kuźmów dążąc, Ościk Hrehory.

Postrzegł Bielecką . . .

Wnet się zatrzymał, z wózka zeskoczył i konia uwiązał lejcami do pobliskiego drzewa, bo sam jechał, bez sługi. — Wrota, wiodące do sadu, daleko ztąd były, więc za przęsło ogrodzenia ujawszy się dłońmi, przesadził płot i dostał się na drożkę, którą Halzuchna stąpała.

A chciała się cofnąć, onego ujrzawszy, jeno nie było gdzie się skryć, drzewa na tej przestrzeni ogrodu nie rosły, niskie tylko kosze jagodowe, i ławeczka darniowa zieleniła się opodal; gdzież było się cofać . . .?

Ku niej szedł spiesznie tym swoim ciężkim, niedźwiedziowatym chodem.

Cofająca się przed nim bezwiednie, zaskoczona niepożądanem spotkaniem, poglądała Halzuchna mrużącemi się strachliwie oczyma na Ościka.

On zaś czapkę zdjął przed nią na kilka kroków i, widokiem jej poruszon, zbliżał się, wolniejącym coraz chodem. Jakowaś niepewność, lękliwość jęła go bezwładnić . . . Już stał przed Bielecką, dłoń wyciągał na powitanie.

Zmienion był Ościk Wierszułowicz: dbałość większa o prezencję, cechowała teraz nie tylko obleczenie Hrehorego, lecz i jego lico. Już nie wichrzyły mu się na głowie one niesforne czarne kędziory, ni roztrzepiony zarost nie ocieniał twarzy, jako bywało dawniej; ostrzyżon był Ościk, brodę nosił krótką i okrągłą, a nad czołem ta szczeć tylko nie wysoka stała.

Owo odsłonięcie się oblicza Hrehorego pozwalało dojrzeć zaszłe w niem zmiany.

Przychódł brat Kuźmów, skronie i oczy mu wpadły, rylec jakowyś twardy a boleściwy twarz mu przeorał, która zcichła była, coś nieruchomego do niej przywarło.

W tajni serca, w burzach krwi niesycone niczem pragnienia, żądze z wnętrza nie wyzwalane, — kiełzno pętającego go uczucia, które żywiołowe jego przyrodzenia duszne i cielesne we władztwo potężne ujęło przeobraziło ościkowe oblicze do cna.

Przecie nie miał, czego pożądał; zdala było, co pożarem męskich pragnień w nim płonęło . . .

Przerzucenie się ze swobody warcholskiej dotychczasowego życia w niewolę miłosnych kajdan, nieznane tęsknice, hamulec, jaki kładła na niego miłość dla Bieleckiej, że już obojętne mu się stały, zgoła nie żądane, nawet wrażeń zmysłowych nie budzące w nim teraz niewieście wdzięki, iż żył, jakoby zakonnik, asceta lub pustelnik, smaku w żadnej uciesze nie znajdujący, podobien nękanemu głodem i pragnieniem — zmienił się wewnątrz i przeoblek postacią Hrehory Ościk w innego zupełnie człowieka.

Półtora roku nie widział tej, która ów niszczący huragan w nim rozpętała. Lecz oddalenie nie ciszyło namiętności; czyliż głód cielesny nicestwi odsunięcie pokarmu? Przeciwnie, cierpienie szerzyło się w Hrehorym, płomień zmysłowy i duszny żarł jego siły fizyczne, męczył ciało; — aż one męki wybiły w końcu na zewnątrz i spiętnowały ościkową twarz.

Nie miał to cierpieć? Czyż na nim jednym uroki wywiera jej postać: widział po wielekroć, jak władztwo niewieściej potęgi oniewala rycerzy . . . Dotąd obojętna była na ich uniesienia i zabiegi, lecz kto przewidzi, kiedy i w niej zbudzi się czucie, kiedy głos serca skieruje dziewcze ramiona ku temu czyli innemu . . . ? Prawda, że pod skrzydłem miłościwej pani będąc, w poważnym i cichym Krakowie. — nie łacno z męską mło-

dzieżą się spotyka; zaś dwór króla Batorego z licznym swym rycerskim zastępem — od onego sejmu warszawskiego — jeszcze przed Wielkołucką kampanją — zdala jest ciągle od dworu królowej pani.

Jednak Kraków przecie zaludniony, jeśli nie rycerz, to uczony, personat znamienity, pan możny przez Annę Jagiellonkę ugaszczany, zdobyć może Halzuchnę w małżeńskie raje . . .

Co dnia jeździł Hrehory do Buławów, co dnia z trwogą próg braterskiego domu przestępował, czekając onego obuchu w wieści o zrękowinach Bieleckiej.

Lecz wieść nie zabrzmiała; Halzuchna wróciła wolna.

I coż z tego? cóż z tego? . . . Ujrzawszy ją raz pierwszy po wielemiesięcznej rozłące, poznał, iż niczem była dotychczasowa jego miłość dla niej, w równaniu z czuciem, które go porwało teraz.

Jeszcze piękniejsza, na szczytach rozkwitu niewieściego jawiła się przed nim w czarze darzącym, że mąciły się w nim myśli, zryw jakiś kierował mu ramiona do niej, iż je mocą żelaznego wysiłku bezwładnił. Dech uciekał z piersi, ciszyło się serce w jej obecności. Raj wtedy mięszał się w nim z grążeniem w piekło, szczęście patrzenia na nią z bólem żądzy . . .

Choć nie często widywał Halzuchnę w Buławach, kędy teraz dniami przesiadywał, na nie jeno wracając do swego Kowarska.

U łoża Chojeńskiego przesiadywała Bielecka jakby umyślnie, nie ruszając się z komnaty; byłby tam Ościk trwał również, ale go Ustinka nie dopuszczała, lubo bez ceregielu wypraszała za drzwi, twierdząc, iż choremu obecność stryja ulgi nijakiej nie przynosi. — Zaś gdy Bolko zdrowiał i na ganku letniego ciepła mógł już zażywać, to Halzuchna abo w bokówce swej zamknięta siedziała, lub też zaszyła się kędyś w jakiej włości, że

i niewiada było, gdzie jej szukać . . . Unikała go, stroniła, kryła się; kto tam dziewczynę w tem przychytrzy?

Dopiero teraz, nareszcie, i nie śród licznej domowej kompanii, lecz w samotności, na blaskach zórz, zasypiającego dnia . . . nareszcie, nareszcie . . ,

Pot zrosił jego czoło, niemoc całego przewiała, że wolniał mu krok, którym się do niej zbliżał.

Niepewnym ruchem wyciągnął rękę na powitanie. Wszystko czucie spłynęło w źrenice męskie i w to zacichłe drzenie serca, iż uczyniły się oczy hrehorowe pogłębione gorączką, zaś w piersiach nieznana radość zakołysała się światłem, życie wracającem, przewiewem, który niesie balsam po spiece dotychczasowego cierpienia.

Drżał mu głos, kiedy końce jej palców, sobie podanych, w dłoń gorącą nieśmiało ujął.

— Waćpanna... na... przechadzce?... szczęśliw jestem... że was... napotkałem... Plątały mu się słowa, rozeznawał je dopiero słuchem, gdy już brzmiały a nie w osiedziu myśli.

Zalękniona na niego patrzyła. Ale, jako u niewiast bywa, owładała rączo niemiłe wrażenie i pochwyciła nić, by niespodziewanem zdarzeniem kierować wedle swej woli; górują tem białogłowy nad mężczyzną.

Tedy ostudzona już z poprzedniej alteracji, odpowiedziała Bielecka:

— Wczasu zachodniego używałam, lecz pora mi teraz do dworu wrócić. Szedł przy niej wolno, strzymując tem nazbyt spieszne kroki. Rzekł, z nalotu podnieconych myśli biorąc na usta którąś:

— Szczęścia tego Buławy długo nie miały, aby was gościć...

— Zbędny był mój przyjazd — odpowiedziała. — Chojeńskiego piecza Ustinki i medykowie wrócili życiu.

— Żałujecie, żeście tu... ? — zapytał.

Patrzył na snycerskie czary dziewiczych rysów, skroś przenikało go piękno, tchnące z jej twarzy, owo spojrzenie gazellowe, choć nie krzyżujące się ni razu z jego źrenicami, — te usta niewinne, tętnem krwi czerwone, wielce cudne, jakoby miłością będące samą, nektarem, który nawet wonią już poi, iż mniemał Hrehory, jako syci czemś niebiańskiem skryte swe pragnienia, cielesne żądze, tyle bowiem w tych uściech było słodyczy i ponęt...

Zaczął mówić, w obawie, że wnet odejdzie; cicho szły mu słowa:

— Waćpanno... dawno sposobności takowej czekałem... Bo... wagę mające rzeczy, serjozne... chcę wam powiedzieć... błagać o ich wysłuchanie... Nie spieszcie tak, miejcie litość...

Umilkł, wyczerpany tym, co powiedział.

Zatrzymała się, obrzuciła przelotem ócz poruszoną twarz Ościka.

Znów zaczął gorączkowo, naglony trwogą, iż oddali się lada moment.

— Miłościwa panienko... wiecie... bom to już jawił... że was... a teraz po onej rozłące bardziej jeszcze. Żaden mężczyzna tak niewiasty, jako ja was... żaden... przecie wiecie... Nie lękajcie się mnie, miłowaniem was otoczę, do raju poniosę... Waćpanno, nie znacie szczęśliwości, którą daje miłość, ale nie każda daje... Płomieniem wielkim gdy jest... wtedy, tylko... Znajomości jeszcze nie macie tych czuć, przeto zawierzcie mi... Nikt was tak, jako ja... Jeno wasze szczęście będzie mi, jest mi... życiem samem... niczego w niem, prócz miłości dla was nie mam, ani chcę... Inni może was też... w sercu noszą, ale obok i razem inne pragnienia: sławy rycerskiej, lubo bogactw, dostojeństw... Mnie dostojeństwem jeno... was mieć za żonę... Waćpanno... By i sam król miłością waćpannę darzył...

— Och!... — cofnęła się, słowem jego jak ugodzona.

Nie postrzegł urażenia, uniesion własną mową.

Bielecka dotknęła stopami o darń ławki, przy której zatrzymał się Hrehory. Wiódł dalej, przemienion na obliczu, wstrząśnięty wyznaniem.

— By i sam król was miłował, a... tyla szczęścia nie utoczyłby... jako ja... Zawierzcie waćpanienko... — błaganiem żebrzącem tętniały mu słowa. — Zawierzcie, doświadczon jestem...

Coraz spieszniej mówił:

— Skarżą się często białogłowy, żeć męże ich nie miłują, abo całkiem mało,... bo dla niewiast być miłowaną to dopiero fundamentum szczęścia... A was nikt na świecie, jako ja... z siłą taką, z pragnieniem takowem... ze czcią...

Osunął się na zgięte kolano, podle darni.

— Nie odpychajcie... w ramionach moich, przy mem sercu jest wasze szczęście, wierzyjcie... I bogactwo wielkie wam oddam, nie zechcecie tu... powiozę, gdzie wasza wola... i zawsze, i tylko... wasza wola... mnieć ona rajem... Żoną mi być... zgódźcie się... Raz wtóry błagam, skamlę, o litowanie wasze nade mną zaklinam...

Rozwarł ramiona, objął niemi jej stopy, głowę znękaną ku nim chylił.

Chciała się usunąć, wielce skonsternowana. Jego ból, jęk, brzmiący wgłosie, lico przeobrażone stygmem cierpienia, bladość czoła i ust — wzruszyły dziewczęce serce. Bez nijakiego gniewu, spółczująco rzekła:

— Waćpan... powstańcie proszę... Na cóż?... Powiększacie sobie jeno takową` alteracją... udręki duszne... Bo... ja... nie mogę, — usprawiedliwiała się. — Usiłujcie zapomnieć... poniechajcie mnie... Nie żywię już do was, jako dawniej, niechęci... Litowaniam pełna... bo... miłować... raną bywa nieraz sercu krwawą... — zadrżał jej głos. — Poniechajcie lepiej... jać nie mogę... nie

mogę... ni czuciu waszemu... szczęścia, jakiego pragniecie... Żadną miarą, nie... nigdy... darujcie mi... Żoną waszą? och!... I chwilę być przy was ciężko mi, jako że więc całe życie... ?

Jęk hrehorowy złączył się ze słowem jej ostatniem.

Kłoniła się ku niemu postacią, jakby chcąc go usunąć od swych nóg. Mówiła:

— Darujcie... Nie wartam jest miłowania tak osobliwego, jako wasze... Nie warta... przeto... strzymajcie serdeczne żary, nie trwońcie ich dla mnie... Przebaczcie rekuzie.

Już znała Halzuchna alteracje miłosne, owo krwawe rozdarcie miłującego serca, tęsknoty palące, ów pełen bólu, niestrzymany, wiecznie targający się lot ku miłowanemu; wyrozumiałość przetomiała, litowanie dla takowych cierpień.

Hrehory dźwignął głowę, podniósł ku niej spojrzenie zmocnione nagłym płomieniem. Ostrzeżenie pobrzmiewało mu w głosie gdy mówił:

— Waćpanno.., wy sobie lekce nie ważcie afektu mojego... Waga jest w nim, która życiu waszemu zaciężyć może...

— Jeszcze błagał, ale coś twardego odzywało się, w jego słowach.

Łagodnie odpowiedziała:

— Rzekłam, czego zmienić nie mogę... Miarą żadną... ostać żoną waszmości nie... Wierzajcie... — prosiła.

Bardziej do nóg jej się schylił, jakoby w ostatniem błaganiu.

— Nad sobą samą litowanie miejcie... miłościwa panienko... nad spokojem własnym... Żebyć... się to nie stało.., żeby-ć.., do tego nie doszło... — niejasno już się wypowiadał. — W waszem ręku wszystko... zgódźcię się... po woli... po własnej waszej woli... Bo... nie moja będzie wina... Dyć błagam... Jako ten pies u nóg waszych skomlę... Już nie la mnie, a tylko la samej siebie... zlitowanie nad sobą miejcie... być się nie stało.

Unosił się, strzymywał niektóre słowa, a padały mu z ust i jego samego trwożyły.

— Nie mogę... nie mogę... — powtarzała bezradnie.

Wstał ciężko z ziemi, oblicze mu drżało, bladość czoła raziła od żaru ust i płomienia źrenic. Był to dawny Ościk, żywiołowy, kiełzna nie mający dla swej woli.

Poglądała weń zalękniona.

Chwycił jej ręce mocnem, żelaznem objęciem. Determinacja wnim była, stanął już znać u jakiegoś kresu.

Nie błagał teraz; na więzi oczy jej dzierżył przy swoich, że ich ruszyć nie mogła, przestraszona coraz bardziej.

Po uprzednich szeptach spytał brzmiącem, powolnem twardem słowem:

— W małżeństwo ze mną wstąpicie — li dobrowolnie?...

Zbielały jej usta i zawarły się, głową jeno przecząco potrząsała.

— Rzeknijcie... — nakazał ściskając mocniej dziewczęce dłonie.

Nie!!... — wyszarpnęła mu swe ręce.

Nienawistnie na siebie pojrzeli.

Stał przed nią ogromny, silny, mocą niepokonaną zagradzał jakowąś drogę przed nią.

— Nie...?... — powtórzył zwolna, a potem rzucił porywczo: — Słowa — li tego nie przemienicie? — ostrze cięcia zabrzmiało w głosie Hrehorego.

Nie! nie! nie!! — jęła wołać naglące, gorączkowo, jakoby ratując się przed czemś tem słowem.

Chwyciła palcami za tętniące skronie, fala rumieńców zalała oblicze Bieleckiej.

— Nie, nie... — cofała się, powstając coraz śmielej godząc tą odpowiedzią, jakoby pociskiem w niechamowane już uniesienie Ościka. Otarła się o darń ławki, wstąpiła na dróżkę do dworu wiodącą, poczęła po niej biedz coraz prędzej...

Dolatywało mu do uszu ono coraz dalsze, coraz cichsze: Nie! nie, nie... aż zgasło.

Onieprzytomniał na moment; już świadomość mu wracała. Zatoczył oczyma jak pijany. Dłonią po czole spotniałem sunął, po onej szczotce krótkich włosów.

Jakby się budził, rzeczywistość go ojmowała po uprzednich zawrotach uniesień.

Chłódł, stygł, coś zwierało się, zamykało w jego wnętrzu, że na onem zwarciu sparł się jako by średziną cichnącej duszy.

— Ano... niechaj... niechaj... — powtórzył spokojnie.

Rozejrzał się za czapką, z darniowej ławki ją podjął. Chwilami strzymywały mu się oczy, więzione w miejcu, szeptał wtedy:

— Nie ja będę winował... Błagałem, u nóg... Że i ten pies tak nie skamle. Ano... niechaj... Odpchnęła... trudno... trudno... — półgłosem mówił.

Ziąb nim zatrząsł raz i drugi, znowu skupił wejrzenie kędyś na ziemi. — Nie ja będę winował... nie ja... — spłynęło mu w ciężkim oddechu.

Do ogrodzenia sadu się zbliżył, okrakiem je wolno minął, już był na gościńcu, podszedł do drzewa, gdzie konia uwiązał, rozplątał lejc, siadł na wózek, nawrócił w stronę Kowaszka.

Ostatnie zorze dopalały się na niebie brudnorudym skłonem, kiedy Ościk Wierszudłowicz podle domostwa swego konia zatrzymał.

Stajenny chłopak duchem wyleciał naprzeciw pana.

Rzucił mu Krechory wodze, wstąpił ciężkim krokiem na ganek, że stopnie uginały się i skrzypiały pod jego butami.

Nie wszedł do sieni; podle ściany na ławce w ganku siadł — i znieruchomiał.

Wiewy ros pozachodnich rzeźwo poiły stwór i siwym szronem moczyły trawy dookoła. Jezioro Ukrut, graniczące swem drugiem pobrzeżem z Kowaszkiem, tuż pra

wie podle dworu, niosło aromy z otwartych, szerokich dali i kołysało się powolną falą.

Zwarte miał usta Hrehory, jakoby pieczęć na nich legła...

Ciemniało coraz, gwiazdy na nieboskłon szły tu, ondzie...

— Mirowski... — ozwał się przyzew Ościka.

Z głębin sieni wyszedł sługa, u progu otwartych drzwi stanął, pana szukając oczyma. Przystąpił do niego.

Spojrzeli na się.

To powstał zwolna Hrehory, powiadając:

— Pójdź, w komorze trza wszystko ogadać...

— Będziem to poczynali? — spytał wiernik.

— A no... niechaj... niechaj...

— Jeszcze ze trzy niedziel temu doradzałem...

— Przódki trza było, panoczku, przódki...

Minęli mroczną sień, jadalnię, ogarnioną rozchwianem światłem płonącego na kominie ognia, weszli do komory pana i tam się zawarli.

Ku sobie nachyleni, szeptali, raczej mówił Mirowski, Ościk przeważnie słuchał, gorejącemi oczyma patrząc w twarz sługi.

Cicho się ozwał:

— Ale... jako że... boć w Buławach... tam przecie ludno...

Wzruszył Mirowski ramionami, odszepnął:

— W Buławach szukał jej przecie nie będę... O, wa! Z panienką Bielecką łatwo pójdzie; z Ościkówną byłoby trudniej: ciągiem doma zaszyta. Ale waćpanna Halzuchna szwęda się po włościach, z lekami do chat chadza, prawie co dnia.

— Może poniecha teraz, nastraszyła się... mych słów... Cosik za wiele mówiłem, że to w uniesieniu było.

— Ha... — Zastanowił się Mirowski, wątpienie go zdjęło. Ale po momencie rzekł: — Bieda mała.

Potrza, byście teraz, panoczku, z Kowarska gdzie wyjechali, abo do Lepla, czy do Witebska, to już tam równo. List wy napiszecie dó bojara Kuźmy z czem tam niebądź, donosząc razem i o tym swoim wyjeździe na niedziel parę. — Pisanie ono sam poniosę do Buławów w takiej porze, kiedy tam wszyscy razem wieczerzają. Bojar Ościk odczyta wasze pismo, to potem ozwie się w głos do bojaryni, że i posłyszą wszyscy dokoła, jako wy z domu na czas nie mały wyjeżdżacie.

Wtedy panienka Bielecka, uspokojona waszem oddaleniem, na nowo do chorych jeździć zacznie... Wy zaś, baryń, prosto z onego tam Witebska czyli Lepla walcie do Toropca, gdzie już carowe władztwo, moskwiciny same, bezpieczno. Ja zaś jejmościankę Bielecką tam przywiozę i na ręce wam zdam...

Dyszał Hrehory, słuchając onych słów, drżenie leciało po nim od stóp od czoła.

Wyszeptał trwożnie: — A... jakowym że sposobem będziesz ją brał... i gdzie...?

— Gdzie najdę. Ludzi wezmę pewnych, przebranych za mużyków moskiewskich; mnieć nie zobaczy ona, aż dopiero poźniej, za buławieckiemi granicznemi kopcami. Z jednym hajdukiem zawsze jeździ i tą służebną, przez las krócą sobie drogę, to nikto nie postrzeże, nikto się nie przeciwstawi, nikto z pomocą nadbierży; sprzątnie się ich wszystko troje, a potem prosto, sioła omijając, na przełaj borami przywiozę ją wam do Toropca.

— Mirowski, jeno... bo... żeby szczęśliwie i... bez nijakiego dla niej utrudzenia, we wygodach —

Władczy nakaz pobrzmiewał w mówionych słowach.

— Jać sam przed nią, to... jako przed majestatem, słyszysz? A ty, co? sługa.

Miarkuj, że Hrehożynę Ościkową będziesz mi wiózł — dumnie go upominał.

— No, to porwijcie, uwieźcie ją sami — trochę był obrażon Mirowski.

— Ja?... — trwoga zachwiała głos Ościka.

— A no... — pomruknął sługa.

— Nie zdołam... odlecą mnie siły, ręki na nią nie podniosę... Gdy ją obaczę, kiedy na mnie spojrzy, to... do nóg jej padnę i wedle rozkazania jej wszystko spełnię... Popsować jeno mogę rzecz... Bo tam, już po moskiewskiej stronie, co inszego; tam już ona moja i pod moją pieczą...

Potem to do Starzycy droga nie daleka — podjął, udobruchany, Mirowski. — Dowieziecie ją sobie do cara; zaś ja do dom z Toropca nawrócę, by nasłuchiwać, co powiadają w naszych stronach o zniknięciu waćpanny Bieleckiej, i gadaniną tak kierować, by la nas szkody nie było.

Zafrasował się Hrechory, jakoby teraz dopiero jawiły mu się skutki zamierzonego postępku.

— A... brat... Kuźma?... Ościkowie...? — przewidywał, — bąkając lękliwie.

— Ha, no, przecie, że rade z tego nie będą, zachodu na szukanie krewniaczki nie pożałują, jakże, bojaryni Salomei Ościkowej bratanica, kasztelanka, Bielecka z rodu; poruszą tam niebo i ziemię...

To też potrza, panoczku, byście, nie mieszkając gońca ze Starzycy po weselu wysłali do Buławów, wieszcząc bojarom Kuźmom wszystko. Potem po królewsku żonę do Kowarska zwieziecie, to i przeciwiać się będzie zapóźno, po czasie, bo już ona wasza po wiek cały, nikt odbierać jej nie może, zaślubiona przecie, Hrehożyna Ościkowa, wiadomo, pół Białorusi będzie w jej władztwie.

Uspokoił się Wierszułłowicz, w świetle palącego się na stole kaganka widniało jego oblicze natężone wyrazem, ale cichnące już po uprzednich wahaniach.

— Powiadasz, że car Iwan łaskawie cię przyjął?

— O wielce był nawet moskiewski rad, przed oblicze swe mnie wezwał, powiadając żeć wielce rozlicza

na pomoc waszej miłości, bo jakoby misje znacznej wagi ma wam zlecić... A co do samych ślubowin, to rzekł, iż... by tą kniaziówną była, a pyszniejsze-by nie były... Sam, powiadał, do ołtarza ją wam powiedzie, szatę jej da perłami szytą, od djamentów lśniącą...

Po królewsku was ugości... Mówił to... I raz wraz powtarzał: Bojar Hrehory Ościk Wierszułłowicz spełni, czego zażądam, jego ręka uczyni, co mi potrzebne... nikto inszy, a on... To choćby mi i córką rodzoną była ona dziewka, a festyny większe jej-by nie czekały nad te, które dla niej i dla Ościka sprawię...

— Tak powiadał...? — zaszeptał Hrehory — tak powiadał?...

Zdało mu się, że raz pierwszy to słyszy, coć mu Mirowski już wielekroć był powtarzał...

XI.

On Toropiec, starożytny wielce, bo już w jedenastym wieku słuchy o nim daleko się niosły, zaś w dwunastym miano stołecznego grodu księstwa udzielnego otrzymał, — ninie warowny, jako krzemień twardy nie do zgryzienia, wznosił się bogato nad rzeką Toropą i jej przytokami, zasilającemi jeziorka, które dokoła miasta pobłyskiwały, rybią rzeszą rozbełkotane. Owszem, zamożny był gród, dumny; i klasztory przycerkiewne miał, te chramy, kopułami porozdymane na szczycie wieżyc, i jeden, drugi drewniany katolicki kościołek; śpichrze ogromne, zapełniane zbożem, które wiosną pławiono po wodach Toropy.

Powierzchnia okolnych gruntów garbiła się malowniczo, na pagóry wstępowała lubo chyliła się w głębokie jary, jedlą i sośniną poroste, mchami wyłożone, zaś porą latową barwiące się kwieciem rozlicznem. W obleczeniu krasy trochę dzikiej, dłonią człowieczą nie tykanej — stała ziemia tutejsza.

Ale ów gród, Toropcem zdawna przezwany, był nikiej kość, o którą psi zajadle się gryzą; bowiem do upodoby ona była każdemu.

Białorusy w posiadanie miasto brali, i kniaziowie moskiewscy poczytywali je za swoje; ten pociągał do siebie: że barowali się wieki całe...

Teraz, niby od szesnastego stulecia, Toropiec do Litwy należał z władania; — ale takie to było i władztwo...

Mużyków moskiewskich, rej wodzących, pełno tu żyło, od łycasów tylko zależących, więc twardo w ziemię toropiecką się wgryźli.

Za pana stefanowych wojennych przewag, czasu wielkołuckiej, rokiem temu nazad, Janusz Zbarazki z rodu wielce znacznego pochodzący i wódz zawzięty a mężny pod Toropcem dokumentnie sprał był Moskali; że ci, chociaż po cofnięciu się ztąd wojsk polskich, powrócili znowu do tegoż grodu, ale, przywarowawszy, wstrętów już nie czynili polakom. Ci zas, będąc oddaleni od swoich własnych zbrojnych szeregów, też nie skorzy się widzieli do zadzierek: tamci niby sobie, ci sobie, że zdał się Toropiec zajezdną oberżą kędy każdy zagościć ma prawo.

Mądrala był Mirowski nie lada, obierając to właśnie miasto na miejsce spotkania się z Ościkiem. Co komu wiadzić będzie, że jakiś bojar, z mało-licznym dworem nie wiastą, zatrzymuje się tutaj; potrza mu, to jest, nie będzie potrza, — odjedzie. Na zrodrożu jakoby Toropiec stał, ludzie roili się w nim przez rok długi.

Zmówili się byli Mirowski z Ościkiem, iż dla bezpieczności poza miastem, wedle gościńca, co do Rżewa wiedzie, kwaterę Hrebory obierze i tam będzie wyczekiwał na przyjazd Halzuchny z Mirowskim.

Prawda, że w samem mieście domy były okazalsze i o wygody w nich sposobniej, ale ostrożność nakazywała, zbytnio ludziom w oczy się nie pchać. Bowiem któż wymiarkuje naprzód, jak Bielecka zachowywać się będzie w onej bezwolnej swej podróży? Ze zaś nie biernie, jako to jagnię, wleczone siłą, tego spodziewał się zarówno Mirowski, jako i Ościk. Przeto, o ile dokoła niej puściej będzie i nieludniej, — tem lepiej, i pewność powodzenia większa.

To też na miejscu pierwszego za Toropcem popasu, zakwaterował się Hrehory. Już Mirowski znał ono miejsce, ze swej pierwszej do cara podróży; tedy za radą sługi prosto tam zdążył teraz Ościk Wierszułłowicz, dwie komory najął, przylegające do głównej świetlicy zajazdu, i do bokówki małej po za nią. Kobiercami, w Toropcu nabytemi, komory dla Bieleckiej przeznaczone przystroił, sprzęty, co najlepsze, gospodarzowi zajazdu pobrał i tu wstawił, że wcale niczego kwatera dla Halzuchny i jej służebnej oku się widziała. — Tam Hrehory wziął sobie tuż obok, lecz w sienie jeno drzwi podający, alkierzyk... i czekał.

Minął dzień przypuszczalnego przyjazdu Mirowskiego, — nikt nie zjechał; minął drugi, trzeci, minął czwarty dzień; począł się Ościkowi od miarkowań i złych przypuszczeń we łbie zawracać. Ni jadł, ni spał, podzierał tylko ustawicznie na gościniec, szeroką bielejącą drogą z Toropca się wiodący śród zamierających rżysk i bezlistnej brzeziny. Naglądał nań w dusznej męce trwóg wzrastających. Ani słuchał, co tam gadano dokoła; jakoweś wojenne wieści głoszono w zajeździe; mało o nie dbał, czekał.

Już często, w alteracji gwałtownej pochwytywał się za czuprynę i, ze wzrokiem wpatrzonym w ziemię, jako ten zwierz zamknięty chodził od ściany do ściany po swoim alkierzu...

Aż któregoś z końcowych dni września miesiąca, z mgieł a oparów podzachodnich, że to aura była smętliwa, łonić się począł taborek nieliczny, złożon z paru wózków, pośród których toczyła się kolaska Ościkowa, zamkniona, z oknami powleczonemi szybą, całkiem pańska i foremna. Konie, wózki, wszystko było z Kowarska; poznał swoje Hrehory.

Na ów widok, przez okno alkierza ujrzany, znieruchomiał Ościk, nogi jakoby mu w ziemię wrosły.

Nie wyszedł na spotkanie; — byli się tak przódzi zmówili wedle tego z Mirowskim, żeby jej nie płoszyć. A tylko, władzę po nagłej alteracji odzyskawszy nad sobą, pchnął Hrehory hajduka swego naprzeciw jadącym z objaśnieniem, gdzie kwatera jest dla panny przeznaczona. Sam zaś, w alkierzyku swym zawarty, u ściany stanął i nasłuchiwał, co się tam pobok w świetlicy-narządzonej dla Halzuchny, dzieje. Ale kobierce snać, rozesłane na podłodze, zgłuszyły stąpania, że i żaden szmer z za ściany nie doleciał.

We spory kawał czasu, cicho, wolno ruszyły się drzwi hrehorowej bokówki, — wąskiem wierzei rozćwarciem wsunął się Mirowski i starannie drzwi za sobą zamknął.

Znowu ona skamieniałość odrętwiła Ościka na widok wchodzącego sługi, który, rękę na ustach kładąc w znak ciszy, do pana swego na palcach podszedł w drugi kąt od ściany go powiódł i zaczął mu szepta, do ucha:

— Jest... Już tam weszła... Strudzona drogą... ale ledz na łożu nie chce, siadła u stołu. Jadło ciągle odsuwa... Niechaj w spokoju pobędzie...

— Mów, powiadaj, jako-że się odbyło...? — gorącem tchnieniem zaszeptał Hrehory, zmienion na licu, i przez pół tylko przytomny.

Ozwał się Mirowski:

— Ano nic, dobrze. Zrazu myślała, że hultaje jacyś ją napadli; sześciu wybrałem, chłopów z pomiarkowaniem, jak trzeba. — W lesie, wedle turyczyńskiego jaru ją otoczyli. Wracała od chorej Kościuczychy... z pacholikiem i dziewką służebną, w pojedynkę mieli uprząż. Nic; miarkowała, iż dla wykupu nastają na nią, rzuciła im mieszek z pieniędzmi i sygnecik jakiś. Nie wzięli. powiadając, że do starszego muszą ją wieźć. — Wtedy dopiero zalterowała się, poczęła grozić, jako, bojar Kuźma Ościk Wierszułłowicz, pan na Buławach,

najdzie ich i onego starszego, których spotka wielka kara, jeśli ukrzywdzą ją i jej sługi. Powiadała nawet, iżby się odemsty, sprawiedliwości króla miłościwego strachali, bowiem jego władztwem jest ziemia, po której zbójecką bandą grasują... Ostro się stawiała!

— Uspakajali ją, że ni jej ni sługom krzywda żadna się nie stanie, i że rychło do swoich powróci; jeno teraz do starszego wieźć ją muszą, choćby i siłą. Zakrzyknęła, że tknąć się nie pozwala; tedy, by jej nie drażnić, ostawili ją i sługi na wózku, nie przesadzając do naszego, a tylko Kowarskie konie, które są ściglejsze, założywszy do kuźmowej uprzęży, spiesznie, na przełaj, lasem dowieźli mi pannę do starej smolarni, gdziem na nich czekał... Dopiero tu, mnie ujrzawszy, wielce się przeraziła, cosik może już miarkując...

— Z pańska, władczo kazała mi odwieźć siebie natychmiast do Buławów. W pas jej się kłaniałem, tłumacząc, jako żadną miarą nakazu tego wypełnić nie mogę, bom sługa nie jej, a pana hrehorowy...

— Cóż rzekła, ono posłyszawszy? — spytał Ościk, któremu mieniło się lico od wrażeń.

— O wtedy już turbacja zaczęła mi się z nią ciężka... Zmiarkowała, że to, panoczku, wasza jest robota, i nie kto, a wy nastajecie na nią...

Przeto na wszelki sposób wydrzeć się usiłowała z moich rąk; i byłaby zbiegła prosto w ten bór, dzikim zwierzem zaczajony, na śmierć, na zatracenie, gdyby nie czujne, a ustawiczne na nią oko. Raz nożem chciała się pchnąć...

— Och... — przerażon wyszeptał Ościk.

Tom już tylko łyżkę do jadła jej podawał — ciągnął dalej Mirowski. — Choć z tem jej jadłem, — wielka udręka, jeść nic nie chce; wodę jeno służebnej każe sobie podawać...

Bez jadła, tyle dni... — frasował się Hrehory.

— Czasem chleb spożyje na usilne proszenie swego pacholika buławieckiego, syna onej Kościuczychy, którą lekowała. Chłopak, jucha, zmyślny, wyślizgliwy, nikiej okoń; dybali go mi ludzie razy trzy, bo zmiatał nam, chcąc pomoc pannie sprowadzić. Aż go za Wielkiemi Łukami u jednego moskwicina w loszku kazałem zamknąć. — Kiedy panna zmiarkowała, że na żaden sposób nie wydobędzie się z przygody, jęła zażywać nowego fortelu: chcąc mnie odwieść od poczętej sprawy, przemawiała górnie, wielce czująco, ręce składała przede mną w proszeniu, powiadając, bym grzesznego dzieła ramionami swemi nie wspierał. Kołatała mi prosto do serca, żarliwie i takiem słowem mocnem, aże ślozy napływały mi do ócz, słuchając...

I jeszcze tu, w Toropcu, gdzie dla popasu zajechaliśmy do znajomków, a uderzyła w proszenie, błagała usilnie, jeno, że coraz w sobie już przycichająca, zamkniona w dusznej średzinie... Cały czas nie pchałem się z nią między ludzi, bo tych postrzegłszy, woła panna, przyzywa do siebie, krzycząc, jako gwałt nad nią się dzieje, w zbójeckie ręce popadła, o pomoc prosi ludzi. Wszystko mogła tem popsować; szczęście, że samych moskiewskich mużyków napotykaliśmy, którzy mało wyrozumieć mogli, co powiadała.

— A o mnie spominałeś jej?... — pytał Ościk, wzrokiem wisząc u ust Mirowskiego.

Mówiłem, jako gdzie na drodze waszą miłość napotkamy.

— Cóż ona wtedy?...

— Ano wtedy właśnie, ono posłyszawszy, zawarła się całkiem w swojem wnętrzu. Może i rozmyśla nad czem, planuje, kto ją wie... Wymizerowała się panna od alteraji, niewygód i głodu, którym umyślnie siebie nęka, aż mi się wedle serca ckni, poglądając na nią...

Gorączkowo przerwał mu Hrehory:

— Skończy się lada moment jej niedola, skończy, — a zaś królowanie się zacznie, szczęśliwością ją otoczę... jakiej żadna ... A puścisz mnie tam do niej prędko, Mirowski?

— Jak wola panowa... Moją robotę już skończyłem...

— Osypię cię, Mirowski, złotem, włość dam, rzędy dam, cuganty, bydła wielkie stado, hojnie wypłacę ci za przywiezienie mi onej miłowanej dziewki, za szczęście, które, przez twoją pomoc...

— Ale tu nie osobliwe wieści chodzą... — przerwał mu wiernik.

— Co-że? jakie? nie wiem?

— Niedzielę blisko przebywacie tu, panoczku, a nie posłyszeliście, o czem wszyscy powiadają?

— Was czekałem... w niepokoju, w targaninie mego wnętrza — niecierpliwie odrzucił Hrehory. — Nic mi było po słuchaniu.

— Naprzeciw, bo wiele — miarkował Ościka Mirowski. — Z moskiewskim poczyna być źle...

— Coo? — zatrwożył się Hrehory.

— Rozpowiadają, po całej drodze słyszałem, zaś w Toropcu dokumentnie złe nowiny ludzie wieszczą...

— Powiadaj, jakie?...

— A no, że nie tęgo tam pod Pskowem. Króla batorowe armaty ziają ogniem od świtu do nocy, wyłomy szczerbią w obronnych murach twierdzy. Jeszcze się tam moskwiciny trzymają, bo chociaż polacy z węgrami, idąc na wyprzódki, dwie baszty, co obok siebie stoją — opanowali, — ale im Moskwa do fortercy zejść nie dała, rażąc szturmujących strzałami i kamieńmi. Jeno, co nie powiodło się raz, może udać raz wtóry, a położenie obleganych jest ciężkie. Do polskiego obozu nadciągają ciągle nowe chorągwie, posiłki znaczne, furaż, prowiant, wedle potrzeby tam mają i do sytości. Zaś pskowianom brakuje wszystkiego: pomocy znikąd;

już niedziele dwie temu spławy obu rzek, co okalają Psków,[75]) a kędy razy parę łodzie z żywnością i posiłkami do twierdzy się dobrały, — kazał król zawrzeć drzewem, spiętem łańcuchami, na obu rzekach, iż nikędy do miasta dotrzeć nie można. Kniaż Szujski, który tam licznej załodze przewodzi i obroną Pskowa kieruje, nie uradzi nic na on głód, na niestatki wszelakie, co nękają twierdzę; że i nie wiadomo, czyli długo opierać się będą mogli.

Zaś lekkie hufce polskie, pod Radziwiłłem Krzysztofem pustoszą wokół moskiewskie włości sadyby, aż na mil kilkadziesiąt. Toż pod samą Starzycę docierały radziwiłłowskie oddziały; widział car łuny pożarów dokoła swego zamku, poglądał na nie, zestrachany, z okien...[76]).

— Co powiadasz...?; nie może być... — przeczył w pomieszaniu Ościk.

— Jako „nie może być", kiedy było. Kurzyli już moskiewskiemu polacy pod same nozdrza, i byliby Groźnego pojmali, jeno wieść się rozniosła, iż w Starzycy wielkie wojsko otacza cara, co i nie prawdą było; ale Radziwiłł ze swą lekką chorągwią nie ryzykował nacierać.

Sfrasował się Hrehory, słysząc to, co na zamierzeniach jego niepomyślnie odbić się mogło.

A Mirowski właśnie powiadał:

— Przódzi trzeba było, panoczku, poczynać nasze, zaraz po nawrocie panny do Buławów, raiłem przecie, a teraz już nie pora...

Usprawiedliwiał się Ościk:

— Kiedy... sposobności naczekiwałem, by z nią... że to po dobrej woli, nadzieję żywiłem otrzymam jej zgodę... bych nie narażać, oszczędzić onych trwóg, które teraz cierpi... Powiadasz, Mirowski, że pora mało

[75]) Rzeka Pskowa i rzeka Wielika.

[76]) Dzieje polski. A. Sokołowski t. III. str. 734.

sposobna? Żali car ugości nas, jako obiecywał...? — niepokój widniał mu w zmęczonej twarzy.

— Może moskiewski i wyprawi wielki festyn; do pokoju kłoni się pono. Rozpowiadają mużyki i bojary tutejsze, iż ugodliwy widzi się teraz Groźny, chylący ku żądaniom króla Batorego.

— Chylący... — pokrzepionym głosem wtórował Ościk.

— Pono, pono. A że do was, panoczku, ma on i sprawy jakoweś, o czem mi sam powiadał, to dotrzyma obietnicy i ugości was suto. Jeno rączo jedźcie wy do Starzycy, a po zaślubinach rwijcie zpowrotem, co pary w koniach! Wojna przecie na tych ziemiach; nie wiada, co się jeszcze przygodzić może.

— Jutro, zaraz jutro podążym dalej... A ty? już z nami nie pojedziesz? — bezradnie trochę pytał.

— Ja nawrócę do Kowarska, koniska zdrożone, dni parę popasać tu muszą. Panowe są wypoczęte, pospieszą ostro. A tam zaś, do samej Starzycy jeno sadyby, te chłopskie futory, — większego popasu nie najdziecie. Dzień teraz krótki — frasował się sługa — jednym zamachem nie przebieży się całej drogi. Choć zatrzymywać się nie trza, a tylko małe postoje, dla wytchu końskiego starczą, że i nocą, niech pachoły świecą głowniami, a jedźcie; to nadedniem dobierzecie się do starzyckiego zamku.

— Uczynię tak, uczynię — przyrzekał, ale było widać, że co inszego ma w pomyśleniu.

Jął chodzić po swej bokówce, stąpań nawet nie cisząc, głowę pochylił, ramiona wzniósł, obie ręce włożył w kieszenie hajdawerów.

Pogrążon dumaniem niósł się od okna do drzwi i z powrotem. Wyraz oblicza mu się naostrzył, oczy płomieńmi zajęły. Nagle stanął przed sługą.

— Mirowski! ja-ż tam pójdę... do niej... Słowa, które jej rzeknę, razy wiele odmieniałem — wiódł z podnieceniem — a teraz znowu... inne mi... z serca... wielce miłujące... że... przebaczy... daruje... Jaż do niej już pójdę, Mirowski.

— Pora, panoczku, pora — przytwierdził wiernik.

Sprostował Hrehory swą wielką, do powały sięgającą postać, odetchnął, raczej westchnął z ciężkiego, serca, przybladł, na licu zaląkł się nagle, ale ruszył przez próg.

Ciemnię ślepiącą miał w oczach, gdy rękę kładł na skoblu drzwi, zamykających świetlicę Bieleckiej.

Rozwarł je.

I wnet zachwiał się całem ciałem pod siłą wrażenia, kiedy ją ujrzał u okna siedzącą.

Zdało się, że się rzuci do jej nóg.

— Waść tam, u proga! — przykuła go do miejsca władczym rozkazem głosu i ruchem ręki, wyciągniętej sztywno od ramienia po dłoń.

Ze pozostał tuż u drzwi zawartych, na ich zaprożu, rozdzielon od niej całą długością świetlicy.

Tylko te oczy pół przytomne wisiały mu na obliczu Halzuchny.

A rysy dziewicze były zmienione: coś je zesztywniło, zdrobniały, powlekała je bladość, nie lęku, — nawet nie cierpienia, lecz bladość jakoby śmierci, bo i usta dziewczęce bielały, nie zróżnione barwą od całego oblicza. Oczy tylko miała w dnach, cieniem pogrążone, jakieś szkliwo na nich błyszczało, po przez które wyrazu ócz rozeznać nie było można. Wiało od niej czemś, na lód zastygłem.

Wyczuł to wszystko Ościk, ranami po sercu mu szło.

Zabełkotał od wewnętrznego dygotu:

— Waćpanno... nie trwożcie się... wam nic złego... ja tu stróż... nie trwożcie się...

Rzekła przecinającym głosem:

— Trwoga po waszej jeno stronie; — po mojej jest krzywda — ostatni wyraz zagłośniał twardo i mocno.

— Dla Boga! co powiadacie!... żadną miarą... nijaka krzywda... Jezusie! nie mówcie tak...

I raptem runął na kolana, gdzie mu nakazała ostać, u zproż, na krańcu świetlicy, w której już chyliło się światło mierzchnące.

Ręce ku niej wyciągnął, po ogromnej twarzy leciało mu łkanie, łez pozbawione. Wzruszeniem targany, mówił chrypliwym, bezdźwięcznym głosem:

— Jać was błagałem, zaklinałem... wtedy... w buławieckim sadzie... Jawiłem, że w waszem ręku... bych się to, co jest teraz, nie stało... Mogliście byli nie dopuścić, przyzwolenie mi dając, jakom pragnął, po waszej woli dobrej... że bez tej... presji... którą ninie... bo i sposobu już nie było na was inszego... Przecie i lata całe... i w pokoleniach całych, a nie przygodzi się... takowe miłowanie... jakiem ja... was...

Fale myśli i czuć niosły się po nim, chwytał niektóre ustami, a już inne dźwięczały mu u głosu.

— Waćpanno... wszystko, co we świecie najlepsze... największe... najbogatsze... wam do nóg... ja...

— Zmilknij, waść! — rozebrzmiał jej głos.

Uniosła się z krzesła i, dworna, pańska, w tym splendorze piękności, który go onieśmielał i przygniatał, dwojąc razem jego wielbienie, mówiła mocną pełnią słów:

— Waść poważyłeś się na mnie... w zbójecką moc mnie-ś wydał... Wgłębię carstwa cisnąłeś, a teraz śmiesz, tu... gdziem ja... naleźć się nie była powinna... o miłowaniu... Kala mnie każde waścine słowo, ja nie chcę waszej miłości... Waćpan musisz mnie natychmiast wieźć do Buławów. Ja każę!

Martwą bladość jej oblicza przewiał lot rumieńca, szkliwo źrenic stopniało w płomieniu, którym zapaliły się oczy dziewczyny.

— Imieniowi waszemu hańba, żeście na bezbronną, na słabą kobietę, podstępnie... rękę śmieli...

Porwał się Hrehory z kolan. Ramionami uczynił ruch, jakby zrzucał ze siebie te uderzenia, jakiemi go jej słowa smagały.

— Hańba?!... — powtórzył silniejszym głosem, bo już zmocnił się w sobie, twierdził w dusznem wnętrzu. — Hańba?... No, to takich pohańbionych w Rzeczypospolitej tysiące!... Rzadko biorą męże siłą na żony miłowane białogłowy... gdy im wstręty czynią lubo ród ich, czyli one same...? Waćpanna też o tem wiesz... i na Mazurach i na Białorusi, wszędy głośnieją takowe wydarzenia, nikomu, ani niewieście, porówno i mężczyźnie despektu nie czyniąc. Owszem, sprawiedliwi męża wszechmoc żądzy, miłowaniem we krwiach mu nurtująca... Mocne cisnęliście — wy do mnie słowo, ale czci mej ono się nie ima...

Tętniał mu coraz głos, uprzednia ona półprzytomność nie omraczała go już; przeciwnie, spłonął gorączką, uniesienie rozwarło przed nim myśli, od których pojaśniało mu we łbie, by od żagwi.

— Hańba? — przywtórzył — prawda... — Ruszył ramionami, zęby zabielały mu w krótkiem półbrzmieniu śmiechu. — Hańba... Wielu bierze byle klechę, w byle kaplicy stawia dziewkę przed ołtarz, cale zachodu sobie z tem nie czyniąc, bych jeno nakaz Boski, to prawo Kościoła spełnione zostały... A ja... ja was... jako tę królewnę... z poważaniem wielkiem... — Już się nie śmiał, znowu ognie szły mu w głosie, w palącem wejrzeniu źrenic, mówił, gnany jakimś pośpiechem:

— Ja was... z tą czcią największą... z jedną myślą, by... żeby na godne was... Przecie jeślibym onego chylenia się przed majestatem waszym... nie miał, to, tu, w Toropcu, a byle dyakon ślubem-by waćpannę ze mną związał... Zaś ja... was... aż tam, do największego władcy ziem największych... do pana, takowej potęgi,

że przed nim, jako przed nikim teraz we świecie, a tylko przed nim jeszcze jednym, poddani na twarz padają, o podnóż jego tronu krwawią sobie czoła, czołgają mu się u stóp. A zaś ten najpotężniejszy, sam, we splendorze niesłychanym, was... jakoby tę księżniczkę powieść chce, i u ślubnegc ołtarza... mnie... w małżeństwo, sakramentem na... zycie całe... was oddać...

— Och!! — krzyknęła, porwała się od okna, zmieniona w obliczu przerażeniem. — Może Bóg tego nie dopuści... miłosierdzie Jego... ocali mnie!...

Zatargała się w sobie, jako ci, ze szponów się wydzierający, przypadła na kolanach przed łoże, nad którem obrazik był wisiał; ręce splecione ku onej świętości wyciągnęła i, głosem, szamotów wewnętrznych pełnym poczęła mówić głośno, prędko, świadoma całej swej niemocy i tego władztwa, którem on ją już bezwładnił. Wołała w pożarach strachu:

Kto się w opiekę odda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzec może: Mam obrońcę Boga!
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.
On ciebie z łowczych obieży wyzuje...

Nagle zadygotał jej głos, załamał się. Ostatnie słowa, z dolą jej licujące, ono: „z łowczych obieży wyzuje...“ jęła powtarzać żarliwie, ze szlochem, z kłonieniem łkającej twarzy ku zgiętym kolanom, w ciśnieniu splecionych rąk do targającego się serca, rzucona przed wizerunk święty we wzruszeniach wielkich, lecz i w wierze potężnej, że nic już, okrom Boga, ocalić jej nie może.

Hrehory stał u drzwi, czasu jej modlitwy, odwrócon trochę, na nią nie poglądający. Schmurzyło mu się czoło. Żarliwość jej błagań znieciła w nim instynktowy niepokój, by coś nie przeciwstanęło, nie skrzyżowało jego zamierzeń.

Ona zaś przycichła. Klęczała jeszcze chwilę, schy-

lona przed świętością, aż wolno, krzyżem się naznaczywszy, powstała. Szmatkę płótnianą dobyła z kieszonki krótkiego półkożuszka, który ją odziewał, i lico po łzach ocierać nią poczęła.

Rzekł Hrehory, siląc się na spokój:

— Wypocznijcie teraz miłościwa waćpanno... Ufajcie mi... Nawrócim prędko... I do Buławów wozić was będę... i do miasta Warszawy... na dwór królowej jejmości takoż... Aże do Italji, ponad one morze nagrzane was powiozę, we wygodach największych... bo panią wy będziecie większą niż sama bojarynia ościkowa Salomea, bogatsza od onej nierównie... i miłowana jeszcze żarliwiej, z wielbieniem, z poddaństwem większem...

— Ostaw mnie waść... — przerwała.

— Tak, wywczasujcie się we spokoju — prędko dorzucił.— Służebną waszą tu przyślę...

Skłonił jej się w pas, o mało rękami nie dotknął podłogi, jako czynią mużyki moskiewskie, bo coś zawsze kark mu przyginało, kiedy był w obecności Bieleckiej.

— Wypocznijcie... I... tej lepszej myśli nie zbywajcie...

Jeszcze raz zgiął się do połowy, drzwi rozwarł, wyszedł. Słychać było, jak skobel na drzwiach opuszcza.

Halzuchna rzuciła się na łoże, wielce wyczerpana, zdało jej się, że wszystka moc ją opuściła. Jako ta kłoda ciężka legła, i wszelkie myślenie w niej zgasło.

Weszła służebna, wniosła na tacy sutą wieczerzę, mówiąc, że bojar z Kowarska wielce uprasza, bych się kasztelanka posilić zechciała.

Zaprzeczyła Bielecka ruchem głowy, wspartej na miękkiem wezgłówku, owleczonem bielą lnianych haftowań i tych dzierganek misternych, falujących pięknie dokoła. Hrehory przecie usiłował, by na każdym kroku

postrzegała, iż zgoła książęcem bytowaniem ją otoczy. To też wszystko nagotowane tu było z dwornością znaczną.

Osłona na łożu, to z aksamitów była modrych, a zaś lekka opona, obwieszająca drzwi zawarte, wiodące do zajazdu, o które dotykało łoże, z tureckiego uczyniona została kaszemiru, jakiego prążki oszywają turczynki nicią pajęczą misternie, w barwne wzory tak drobniunie, że wpatrywać się można w ich treście choćby i godziny całe.

Nakazała Halzuchna służebnej, aby całą wieczerzę do swej komory, znajdującej się tuż obok, wyniosła, pożywiła się sama i wnet potem kaganek zagasiwszy, legła, drzwi nie zawierając, bych na każde wezwanie Bieleckiej czujna była. Dziewka ona nie osobliwie tam folgowała żądaniom Halzuchny, bowiem miętka była w duszy, płaksiwa; zaś przygoda, w którą wraz ze zwą młodą panią popadła, nie obudziła w niej nijakiego męstwa, a tylko ten strach, tylko łzy i zawodzenia bezmocne, że sama Halzuchna twierdzić ją musiała, bych do cna z sił nie była zeszła.

Momentów kilka przeszło, zgasł płomyk kaganka w sąsiedniej komorze, i mrok objął kwatery obu dziewic.

Noc szła ciemna i wichrowa. Aura bowiem przemieniła się w prędce po owych złotych nagrzanych dniach półwrześnia; zaś koniec miesiąca onego wystudzony się czynił z dnia na dzień bardziej, chmurzyskami zawalony z których rychłego śniegu spodziewali się ludzie.

To i ciemniało teraz na dworcu całkiem.

Leżała Bielecka na wznak, ręce splotła u piersi, przymknęła oczy i pod ciężarem trosk dusznych wolno dychała. Nic tam po myślach jej nie szło, zatrzyma nie jakieś ją objęło. Nie przewidywała nic zgoła, a tylko to utrudzenie własnego ciała czuła, które bezwładniło jej członki.

Przez drzwi, tureckim szalem zawleczone, niekiedy

szmery ciągnęły od tej bokówki, która z głównej świetlicy zajazdu prowadząc, służyła często podróżnym na popasanie krótkie.

Już brzęki tam się ozywały, czasami głos jaki; nie baczyła na to Halzuchna. Sen jej się nie imał, nawet żadnego w sobie nie czuła doń kłonienia; odwykła nieomal od sypiania, czasu swej tygodniowej już wędrówki.

Leżała teraz martwo na aksamitach łoża, w jubce swej zmiętej i zszarzanej, leżała bezmocna, lecz cicha we wnętrzu, ramionom Bożym oddająca się dufnie...

A tam, za drzwiami, w przyległym alkierzu coraz częściej szurały zydle, głośniały rozmowy. Brzękły misy cynowe, zadzwoniły kielichy; jadło, widać, podawano przejezdnym. Moskiewskie mużyki tam się zakwaterowali, bo rosyjska gwara cisnęła się raz wraz do uszu Bieleckiej.

Dziewczyna jednak nie baczyła na te hałasy; we zdumieniu bolesnem rozmiarkowywała, iż uprzednie jej strachy, lęki paniczne przed carowem władztwem, przed tą Moskwą, w barbarji życia dotąd pogrążoną, — były, snać, tajemniczem widzeniem, lotem jej duszki ku przyszłości bliskiej...

Oto iściły się teraz tamte przeczuwania; ona sama popadła w ciemnię carskiego imperjum, gdzie złe potęgi wypełniają otchłanie...

Leci i ona, nieszczęsna, w tę otchłań, rzucona rękami człowieka, który od pierwszego wejrzenia strachem ją przeniknął...

Zza drzwi zawartych niosły się raz wraz głosy, które poczynały mącić jej myśli.

Posłyszała:

— Car Wańka łaskaw posłu papieskiemu...

— To i mir się przybliża... — inny głos zadźwięczał wyraźnie.

Snać tuż o same drzwi halczynej komory spierał się stół, przy którym wieczerzano.

— Mir?... kakoj tam mir...? zaprzeczył ktoś gderliwie. — Póki król Stefan żyw, zgoda nam z Polszą nie trwała...

— Prawda twoja, brat — czyjeś słowa przytwierdziły. — Ale car Iwan pośpieje króla Stepana umiertwić, zaczem on od nowa...

Porwała się Bielecka od wezgłówka, tym piorunem rażona...

Przyklękła na łożu, odrzuciła turecką oponę; przez szczeliny drzwi światło zagrało.

Do tych szpar przywarła twarzą, strzymała dech...

W nagłem zmilknięciu wszystkich zmysłów, siłę ich całą, czujność, chwytliwość we słuchu skupiwszy, łowiła Halka pogłosy, wzywające się coraz ciszej w przyległej bokówce.

Ktoś tam wiódł:

— Wysłanych jest ludzi mnogo, którzy na przeszpiegach po Polszy, po Litwie po Białorosji chodzą od samego naczała zwiesny, a czto sprawili...?

— Króla Stepana mieczem nie przemoże, — strofował głos inny.

— Nie tolko od miecza człowiek ginie; mało to naszych carów jadem zdjęło się ze władztwa?

— Pośpieszać nada, pośpieszać, jad królu Stiepana gotowić — naglił tam ktoś niecierpliwie. — A choć Niewęgłowskij z żonką pojmany został od kozaków, pod Łukowem [77]), który miał poczynać ono dzieło, — to car nasz, Groźny Wańka stu innych Niewęgłowskich z żonkami zbierze i co chce, przeprowadzi.

---

[77]) „Car rozesłał zastępy szpiegów i najętych morderców, układając zamach na życie Batorego". A. Sokołowski. Dzieje polski t. III. str. 736.

— Za wyzwolenie matiuszki Moskwy od króla Polszy — darów car Wańka nie pożałuje... ani...

Przycichały głosy, brzmieniem nierozeznanem dosięgały teraz uszu Bieleckiej, łowiącej szept każdy, szmer najniklejszy...

Serce jej biło z takim popłochem, że dłońmi je przygniatała, bych tętna jego nie posłyszano w przylegającej bokówce.

Pierzchły od Halzuchny osobiste trwogi; pochwycił ją teraz szpon ostrzejszy, zaszarpał sercem, skrwawił się o nie i... zawisł, śmiercią godzący nad tamtą daleką, mężną, miłowaną głową...

Wyobraźnia okoliła jej onego wielkiego, nie żałującego dla jej ojczyzny ni pracy, ni trudu, ni życia — rojowiskiem nasłanych przez cara siepaczy, skrytobójców, trucicieli, wdzierających się aż pod jego namiot królewski.

Patrzyła porażoną źrenicą ducha, na tego, w swym trudzie bojów nieustannych nie świadomego nawet niebezpieczeństw mu grożących...

Jak ostrzedz? Jakim krzykiem ku niemu się zanieść...? Gdzie rzucić się w poprzek czyhających zbrodni...?

Zeskoczyła z łoża, instynktowo pobiegła do okna zerwała chustę, która je przysłaniała.

Poczęła w ciemni komnaty chodzić po kobiercu, rozpostartym na ziemi, dłonie splecione kurczowo do ust przycisnęła, — w natężeniu, z męką trwóg rosnących, cała w pożarze, rwącym ją na lot niestrzymany, biegała od drzwi do okna, od okna do drzwi...

W widzeniach lęku oglądała obrazy, od których krew jej tężała.

Poczuła się w zapadlinie Rosji, odgrodzona od świata nie tylko przestrzenią, lecz i mrokiem nieprzeniknionym, który zwiera się dokoła carstwa, by mur,

wyjścia nie mający, niebosiężny, we węgły ziemi wrosły... W osierdziu jest ona tych ziem z ową straszną, posłyszaną prawdą i pośród ludzi, będących tu we własnym domu, ni skrytości wzajem przed sobą nie mających...

I cóż, że obnażyły się przed nią, jawą stanęły mordercze zamierzenia? — Wie o nich, — nie przeciwstanie im; idą momenty, którymi do ofiary swej zbliża się zbrodnia, — a ona tętna czasu nie zatrzyma...

Mąciło się w głowie Bieleckiej, jakieś tumany duszące kłębiły się po jej mózgu, w czuciach...

Już się rozwiały... Znowu jaśniej myślała:

— I Hrehory może jest z carem zmówion, przecie przyjacielstwo ze sobą trzymają..,

Stanęła nagle pośrodku świetlicy; rosły już w niej domysły z szybkością burzy.

— Może i jego ręka... Czekają go splendory, festyny... jakiemi... sam mówił przed momentem, car go... Może to zadatek będzie na... podnieta do...

Zakolebało się w niej całej, coś zachwiało jej postacią i rzuciła raptem na kobierzec, do którego twarzą przypadła...

A noc stąpała po ciemniościach, wieje ozywały się za oknami, trzepoty lecących liści, trzask konarów...

Nic nie słyszała, na nic nie baczyła jeden ów szpon morderczy, czyhający ciosem śmierci nad batorową głową, — krwawił się przed jej źrenicami, płoną w ranach serca, w dusznem jej konaniu.

Przerzedły nieco mroki nocy, jakby się osunęły. Poszarzał świat, za szybami kolebały się nagie drzewa, liście zsypem gęstym okoliły ich pnie. Obnażył się był świat tej nocy, barwy utracił, nagi już stał na wiejach jesieni.

Szarzało coraz, chłodną jasnością budził się dzień...

Bielecka leżała w komorze, powalona do ziemi straszliwą prawdą, która uszu jej dosięgła.

Dzień rozwiódł się w sile całkowitej, jeno że bezsłoneczny, z tym ołowiem martwym na nieboskłonie, przewiany zimnemi ciągami, które od północy szły.

Ruch był się poczynał w zajeździe i dokoła onego. Tu, tam konie już zaprzęgano do wózków, kolasami przezwanych, wysłanych słomą, na której leżąc, podróżni drogę swą odprawiali. Naszczekiwały domowe psy, swarząc się z przyjezdnymi, wytaczano telegi z rozwartych na ścieżaj wierzei wozowni... Pogłosy ludzkie, nawoływania, krzyki — życiem przenikały już okolicę.

Dźwignęła się Halzuchna z kobierca, powstała.

Dłońmi przetarła twarz, zburzone włosy w splot ujęła; lecz czynieniem tego wnet zmęczona, osunęła się na zydel pod oknem.

Zmartwiałą źrenicą, szkłu podobną, patrzyła przed się, na nic nie bacząc.

Turkoty jezdnych dudniły coraz rozgłośniej wedle zabudowań. Traktem ci i owi spieszyli w obie strony: Ku pobliskiemu Toropcu, do dalekiej Starzycy, mijając, lubo zatrzymując się w zajeździe.

Już i ościkowa koleba zamkniona, ze wstawionemi w pobokach szybami, w której Bielecka przebyła drogę ze smolarni Kowarskiego boru do Toropca, — wytoczona teraz na dziedziniec, szykowana była snać do podróży dalszej. Mirowski wedle niej chodził, oglądał koła, obmacywał szprychy, orczyki, dyszle, — baczył, czyli wszystko jest w porzadku.

Takich, jak on, zajętych podle swego sprzężaju, było na dziedzińcu dużo; każdy z własnem się porał, turbował o swoje.

Znagła ten, ów głowę jął zadzierać, strzymawszy się w robocie... Poderwały się raptem nawoływania, ukazywano sobie wzajem starzycki gościniec, który tu ze wzgórza koląco się chyli, widny znaczną przestrzenią aż na parę stajań.

Jakże nie mieli nań poglądać, nie ciskać roboty, nie baczyć coraz ciekawiej...

Toż tamtedy ciągnął, ze wzgórza wolno się zesuwając, tabor wielki, zda się, końca nie mający, wozami zapchany, jezdnymi na koniach i w telegach siedzącymi; koleby nawet zawarte ze wszystkich stron, rzadkie tutaj, lubo te ciężkie, półrozwarte, podniesionem, pudłem tylko przysłonione, wiozły jakichś dostojników, którzy się wspaniale, nawet na taki szmat drogi, na dalekość znaczną, wielce paradnie jawili.

Gapiem przeto postawali wszyscy przed oberżą, inni z jej wnętrza, wybiegali na dziedziniec, bych poglądać.

Jako wąż ogromny, o korzy różnobarwnej, sunął ów tabor aspektem tak długim, że, kiedy postacie jadących w pierwszych szeregach rozeznawać już się dawały, to ogon węża onego nie kończył się cale, a zaś wywlekał dopiero zza wzgórza, poczynając cienieć; czołgał po gościńcu coraz węższy, niklejszy, lecz zgoła nie skończony.

Gawronili się wszyscy zapamiętale, właściciel oberży, podróżni i służba, fornale, — kupa ludzi stała na dziedzińcu. Wrzawa, mowy, te zwy głośne koliły się nad narodem; ciekawość zdejmowała każdego, jeszcze przeć rozeznać nie było można, co zacz tam jedzie z takową paradą.

Zaś oni zbliżali się i zbliżali...

W przedzie pachoły się nieśli na krępych, małorosyjskich mierzynach, dziesiątków ze cztery ich było. Za nimi w bogatych telegach, farbami jaskrawo ukraszonych, sześciu bojarów jechało, futrzyskami na moc odzianych, w czapach, które gęstym włosem głowy im osłaniały po same brwie. Dopiero za onymi, w kolebie odsłonionej, którą ciągnęły cuganty wysokiej ceny, z Andaluzji snać samej pochodzące, jechał mnich, płaszczem czarnym osłonion.

Młoda, skupiona jego twarz, duszne moce odsłaniająca, we wejrzeniu ogniowi podobna, — bielała zpodskrzydeł czarnego kapelusza.

Dwóch duchownych siedziało przed mnichem, zaś on, różaniec długi, z oliwnego drzewa w paciory nizany u dłoni dzierżył, modlitwy ranne na nim odmawiając.

Za kolasą onego znowu konni seciną się wiedli, a dalej kniazie, władyki, bojary z żonami, duchowni obrządku wschodniego, pany, mużyki moskiewskie, pachoły, sługi, — że i końca zoczyć nie było można...

Wypadł z zajazdu na dziedziniec mniszek młody, o cudzoziemskiem obliczu, rękoma czynił ruchy ku niebiosom, jakby wielbiąc Władcę onych, — jął wołać z uniesieniem, ze czcią, radości pełen:

— Nuntius pater Antoni Possevinus!... Nuntius Possevinus!!

Zakotłowało się wtedy w dziedzińcu.

— Goniec papieski!! wysłannik miru!! — Krzyczano, wieszcząc sobie gorączkowo. — Od cara do Pskowa jadący, pokój przedstawić królowi Polszy... Goniec papieski...

Tchy zapadały w piersiach, rozbłysłe źrenice słano ku zbliżającemu się orszakowi...

Czyliż to zdzierzyć mogli? przeć gnała ich niecierpliwość... To wyrywali się na drogę, zrazu w pojedynkę co który skorszy, ale wnet gromadą już lecieli, by prędzej go ujrzeć.

Zbliżał się...

Popadali na kolana po obu stronach drogi, którą miał mijać... Walor tego modlącego się na różańcu od czuto nagłem objawieniem w duszach, przeto cześć swą pokłon, — przyrodzonym ruchem korzenia się, składano mu skwapliwie. Poobnażały się głowy, schyliły ku ziemi...

Kołeba nuncjusza wtoczyła się między szereg klęczących...

Antonio Possevini również czoło odsłonił.

Bladawa, uciszona twarz jezuity obróciła się ku czekającym. Uniósł ręce, krzyże nad rzeszą ludzką znaczył, błogosławiąc...

Ramiona rozwierali w krzykach uniesień, pełni wiary w siłę tych błogosławieństw. Wzruszenie mieniło twarze moskiewskiego ludu, witającego z pokorą dostojnego podróżnika; gięły się twarde karki, skorsze zawsze do pochyleń przed katolickim duchownym, niżeli przed własnym swoim popem, snać ważąc go miarą lżejszą niż tamtych. [18])

A teraz tu, ze wzniesioną nad nimi prawicą sunie nie zwykły kapłan, lecz nuncjusz papieski, ów Possevin, którego przybycia sam car niecierpliwie czekał, wątpiący, niepewny, żali na moskiewską ziemię postąpić on raczy.

To czołami teraz do ziemi się kłonili, w dziękczynieniu głośnem:

— Bat'ka... błagodarim... Bat'ka... pomiłujsia... Bat'ka...

Jako ten łan, gnący się za wiatrem, tak oni chylili się przed onym, stojącym w otwartej kolasie, posuwającym się wolno z modlitwą na ustach.

Porwała się Bielecka od okna, rażona wstrząsem potężnym... Szarpnął się w jej piersi krzyk, którym żywy twór wyzwala się z cierpień...

Zdusić w sobie tego krzyku nie mogła, żywiołowym upustem z niej leciał, bych ciała nie zabił piorun wrażenia, który zapalały słowa cudzoziemskiego mnicha, podle jej okna rzucone.

Skoczyła ku drzwiom cała w ogniu, targała niemi... Zawarte były od zewnątrz...

Z krzykiem grozy leciała do okna, jednym skokiem po życia dostała się na stół, zaszamotała skobleм,

---

[18]) Obyczaj ten po dziś dzień istniał w Rosji.

zwierającym okienne połowice, rdza go nieruchomiła. Krwawiła sobie palce, walcząc z onem żeleźcem...

Usłyszała poza sobą, gwałtowne otwarcie drzwi i nieludzki pokrzyk Hrehorego...

Całem ciałem rzucała się na okno, szarpała niem piorunową mocą, w pospiechu błyskawic...

Rozwarło się... obwionął ją chłód ze dworu.

Już skakała w pustą przestrzeń okna, gdy chwyciły ją drapieżnie ręce Oścика.

Obróciła ku niemu rozjuszoną twarz... spętał ją mocnemi ramiony. Dłoń w pięść zwarła, jęła go tłuc na ślep po głowie, po twarzy, po oczach...

Zawrzał między nimi bój, szamotali się ze sobą, ona stopami już na futrzynie okna, niemal w locie on poniżej na kobiercu stojący, podle wywróconego stołu.

Groza, strach obopólny krzywiły im lica w tej błyskawicznej, rozpacznej walce. Kąsała więżące ją ręce Oścика, biła go stopami w pierś...

Z zaciśniętemi zęby, półprzytomnie z nią walczył w konwulsyjnych skurczach oblicza, które mu darła palcami, mocując się z kleszczem jego ramienia.

Nagle zwinęła się Bielecka jakimś wężowym skrętem... Jako ta płotka umkliwa wyślizgnęła się ze swego półkożuszka, który ostał w zwartych dłoniach Hrehorego.

Rzuciła się w pustą przestrzeń otwartego okna, skoczyła na dziedziniec, już biegła lotem po drodze... między szeregiem klęczących... ku possewinowej kolebie.

On-że, Hrehory, w pokrzykach, duszonych grozą, z jękiem wołań rozpacznych, zwierzowi podobien, gnał za uciekającą...

Już dopadła kolasy nuncjusza, rękami uczepiła się kół, twarz w ogniu przerażeń, nadziei, błagań — ku wielkiemu jezuicie zwróciła i, mową łacińską, potarganem słowem jęła coś wołać, coś we grozie jawić, o coś skomleć, błaganiem konania...

Dopadał ją Hrehory, ramiona po nią wyciągnięte już przybliżał...

Podniosł rękę wysłannik papieski, jakby grodząc go od niej, że do ścian kolasy tuliła się, zdjęta strachem panicznym...

A Hrehory darł się do Bieleckiej, tłum bowiem, pobok stojący, otoczył go już kołem zwartem i wrogiem.

Bo jakże...? przeciwstawiał się przecie Ościk temu, przed którym na kolana oni podali, który ich świętem błogosławieństwem obdarzył.

Przeciw Ościkowi stanęli przeto wszyscy, nie bacząc na jego rozpaczne szamoty, na krzyk obłąkany, na one nagłe jego zesłabienia, iż przez ręce im leciał ku ziemi. Lecz porywał się znowu mocą straszliwą, oszalały, wydzierał się ku niej...

Stała Halzuchna, przytulona do kół koleby, w tej jubce zmiętej, włosami, które wiatr podrywał, osypana, trzęsąc się od chłodu w swym lnianym staniczku modrym. Na pytania Possewina odpowiedziała głosem chwiejącym się, łkaniu bliskim, jako bywa zwykle po przerażeniach wielkich, kiedy najgorsze już mija, a serce wzrusza się tem, co było wycierpiało.

Słuchał Possewini w baczeniu głębokiem.

... Jej zaś łzy rozciekły się po twarzy, zadrgały usta, płacz brał ją we władztwo.

Osunęła się na kolana, ręce wyciągnęła ku nuncjuszowi; jakieś błagalne, jękliwe słowa do niego zanosiła...

I kniazie i bojary i duchowieństwo prawosławne, kto tylko był bliżej, — wysiadał ze swej kolaski, ciekawie, choć i w nierozumieniu nazierając na wydarzenie.

Z respektem poglądano na Bielecką dla tej jej rozmowy z nuncjuszem w narzeczu, którego tu nikt nie znał, że niejako odosobnili się niem od całego tłumu,— grodzili od niego czemś tajemniczem i wywyższającem.

Skinął Antonio Possevini na jednego z iatalskich mnichów, naprzeciw niego siedzących; nakazanie jakieś

mu zdał. To ów, tłumaczem snać będąc, do tłumu kniaziów i bojarów moskiewskich się zwrócił, powiadając, aby, wedle woli nuncjusza, małżonka którego z kniaziów, w orszaku obecna, roztoczyła opiekę czujną i troskliwą nad oną dziewicą nieszczęsną. Bowiem pozostawić tej białogłowej tu, w grożącym jej zatraceniu — nie można; jeno wieźć trzeba ze sobą aż do obozu polskiego pod Psków, skąd już bezpiecznie do domu opiekunów swoich odprowadzona zostanie.

To wnet przybiegła kniahini Siemionowa, niewiasta strojna, w tem czółku barwnie haftowanem, wysokie czoło jej zdobiącem, szubą, fałdzistą suto odziana, i jęła zapewniać italskiego tłumacza słowem żywem, iż oną dziewicę wysokiego rodu, macierzyńską opieką otoczy, co już i czynem jawiła, garnąc ku sobie Bielecką, połami futra swego troskliwie ją osłaniając.

A tam, za gromadą ludzi, Hrehory Ościk przypadł do ziemi, szarpał ją w konwulsyjnych skurczach, wił się, zmożon boleścią.

Łkał...

Orszak Antonia Possewina jął się toczyć dalej, minął zajazd przydrożny, na Toropiec kierował się ku dalekiemu, u murów Pskowa rozłożonemu obozowi króla Batorego.

Ćma omroczyła świat, pyliny pierwszych śniegów zamżyły w powietrzu, rozwiodła się cichość, zamilkł wiatr...

Patrzyła Bielecka przed się żrenicą rozwartą, nieruchomego zdumienia pełną. W tołubie futrzanym, którym odziała ją kniahini, siedziała, w jawie snowi podobnej... Moskiewka gładziła pieszczotliwie jej twarz, uspakające, litościwe jakieś słowa do niej zwracała...

Obielił się świat, obielił orszak jadących, płaty śnieżne czyniły się puszyste i spadały bez przerwy...

Roztrzęsło się powietrze zwieją białych organ, w wirze skłębionym lecących coraz gęściej, coraz obficiej, coraz szybciej...

XII

Z tumanów, które przez cztery doby śnieżyły się nieustannie nad ziemią, dopiero piątego dnia miesiąca października, wyłonił się świat Boży na jawę pewietrza uciszonego i przejrzystego [79]. Biała zadyma legła w zawartej skorupie śniegów, zeskalonych mrozem.

To i skrzypiało pod kopytami końskiemi, ostro tarły płozy siań, na które poprzekładano koleby i telegi nuncjuszowego orszaku; — ładowne, ciężkie rozwaliny żłobiły na gościńcu głęboką koleinę i wądoły, sunąc na końcach długiego taboru. Jechali wciąż do onego dalekiego Pskowa, co aże w podle jeziora wielkiego, zwanego Pejpus jest położon. Jechali dniami i nocami; smolne pochodnie świeciły pobok, rozjaśniając im drogę, a na popasy to tylko czasu dymnej zawiei zjeżdżali, bych gościńca nie chybić, że to zmylenie kierunku w on czas bywa łatwe.

Aż i po dniach onych czterech ukazało się orszakowi Possevina miasto, ów stary Psków, gród sławny i warowny. Ukazał się oczom ludzkim zjawą, mirażu podobną, na tłach bladego nieba.

Z dymów porannych mgieł wyłaniały się wieżyce starowiecznego monasteru św. Trójcy, wydęte kopoły cerkiew Dymitra Sołuńskiego i Wielkiego Bazylego; coraz wyraźniej kreśliły się, wypukliły ogromne miejskie

---

[79]) Dzieje polski: A. Sokołowski t. III str. 736.

budowle. Uciekały bowiem mgliste rozwieje, nicestwiły się w tej jasności, która czyściła, kryształiła już powietrze...

Wstawało słońce, różaną barwą przepoiło stwór. Aż cudnym aspektem w onej rosnącej purpurze stanęły, wznoszące się nad murami grodu, rysy wszystkich sześćdziesięciu jeden cerkiew, na sześciu przedmieściach Pskowa i w jego średzinie rozłożonych. Oszroniałe baszty twierdziły miasto dookoła, zawarte od strony polskiego obozu, któren tu półkolił się za obronnymi murami — przestrzenią wielką. To też orszak papieskiego wysłannika pokoju, z całem towarzyszącem mu poselstwem carowem, z ciężkim taborem bagażu, potrzebnego dla parady przy składaniu, hołdów majestatowi królewskiemu, objeżdżać musiał aż gród cały dookoła, mijać pobrzeża jeziora pskowskiego, które już ciemne szkliwia pierwszych lodów przysłaniały, — i dążyć do bramy żelaznej, w północnej stronie miasto zamykającej. Jakoż rozwierano ją właśnie dla przyjęcia dostojnych podróżników.

Ze drżeniem instynktowego lęku wjeżdżała Bielecka w głębie warownych murów, mijała te ciemnice tuneli, nad którymi pietrzą się blanki i wieżyce forteczne... Uspakajała ją, siedząca w kolasie obok Halzuchny, kniahini Siemionowa, która, niczem ta mać rodzona, troskliwością otaczała w podróży dziewicę, przez nuncjusza jej pieczy oddaną.

Po szerzawie wielkich ulic grodu przejeżdżając, mijając one place, dalą ogromną leżące na przedmieściach i w średzinie Pskowa; śród tłumu moskwicinów; zalegających przestrzeń, po której dążył orszak, ku zamkowi się kierując; na jawie, oczom widnej, mając tę siłę najpotężniejszej twierdzy caratu: — wierzyć prawie Bielecka nie mogła, że tuż w pobliżu, za tymi groźnymi murami, zjeżonymi rusznicami, poza Alankowaniem, chroniącem Psków od szturmów, poza łańcuchem kamiennych

i drewnianych wieżyc, — stoją polskie, litewskie, węgierskie zastępy zbrojne, okalają to miasto olbrzymie, i sile jego niezmiernej, wiekami umocnionej, zda się, nie zdruzgotanej niczem, — grozą, pętem żelaznej swej mocy bezwładnią, łamią opór, — pogrążając je w mękę głodu i nędzy. Czerń ano już obozowa przymusza swoich moskiewskich wodzów, samego kniazia Szujskiego, co władztwo dzierży nad pskowską liczną załogą, — bych rychlej poddano miasto królowi polszy Stiepanu, i żądania jego, jakieby tam nie były przyjęto. [80])

To też z krzykiem radości, ze zwem dziękczynienia witano przybyłego orędownika miru, na twarz padano przed kolebą possevinową, w nadziei prędkiego ukończenia bojów niszczących.

Zniszczeniem tem groził potędze olbrzymiego miasta, łamał broniące go szeregi, ów, z wielkich największy, z najmędrszych, — najmędrszy, męstwem górujący ponad wszystkimi, nie strudzon, w zapomnieniu o samym sobie podle żołnierza swego stojący zawsze w bojowym znoju, pod gradem śmiertelnych pocisków...

Jest tuż, jest w pobliżu... tchem tego, co i ona powietrza oddycha w tym momencie; oblewają go też same zorze, które purpurę kładą na jej lica...

Odleciały od Bieleckiej na rączych skrzydłach młodości minione nieszczęścia, przeżyte trwogi, porwało ją uczucie szczęścia, strzeliły w piersiach promienie uniesień. Już tętniał w jej sercu rajem wspomnień ów głos męski, mówiący słowa. jej tylko rozumieniu jasne, to: „Skorom jest, czemu się trwożycie?...“; już płomieńmi gorącymi jaśniały w jej sercu one oczy pana stefanowe, ogniem zapalające się od jej dziewiczego spojrzenia...

---

[80]) Wyznanie pochwyconego przez polaków gońca, którego słał Szujski do Iwana Groźnego, przedstawiając carowi stan rzeczy w obleganym Pskowie będący. Dzieje Polski A. Sokołowski A. III. str. 736.

Już rychło, już rychło posłyszy ten głos, w źrenice te miłowane spojrzy...

Nie, nie zdzierżyła wewnętrznego wybuchu szczęścia rzuciła go ze siebie; — w krzyku przypadła do piersi kniahini, ramionami mocnemi ją objęła, wołając w tłumie czuć, przez nią lecących:

— Och! Boże wielki!! o cudzie niepojęty! Pan mię obronił!! wyzuł z obieży...

Rozumiała, snać, ów poryw moskiewska kniahini; gładziła lico Halzuchny, całowała ten sznur łez, po jej policzkach płynący, i mówiła drgającym od wzruszenia głosem:

— Ty, gołąbko, raduj się, tak i trzeba... spasał ciebie Hospodar Boh! od nieszczastia spasał... To Bohu malitsia tobie nada, do hramu świętej Trójcy pójść, przed cudownym ikonem Bogarodzicy dzięki żarliwe składać, czołem bić o podłogę... spasał ciebie Hospodar Boh . . .

Odwilga pogasiła nazajutrz barwy przyrodzeniu, zmętniał śnieg, ociężał, mokrością napojony; ale dzień był jasny.

Przed starym zamkiem pskowskim, który w swych murach, basztach, przyczółkach pomieścił cały orszak przybyły, — gromadził się teraz korowód poselski, któremu na jawienie się przed swym królewskim majestatem, południową porę tegoż dnia naznaczył był król Stefan.

To i pośpieszyły dziesiątki sań ku bramie żelaznej, wtoczyły się na drogę, ku obozowi polskiemu wiodącą i sunęły po niej łańcuchem długim. Powietrze, omyte wilgocią, odsłoniło przestwory, — oczom widne aż na dalekościach.

Najpierw uderzyły wzrok jadących, sterczące w podle obozu polskiego szubienice, szeregiem stawiane zawsze poza namiotami obozowymi; nakaz był taki królew-

ski, żeć karność w batorowem wojsku była niesłychana, posłuszeństwo zabezpieczały t. zw. Artykuły hetmańskie, bardzo surowe, „krwią pisane“, szafujące karą śmierci hojnie, Szubienica lubo to uderzenie buławą hetmańską czy buzdyganem rotmistrzowskim w razie nagłym groziły niekarnemu; posłuch przeto panował wszędy i ta subordynacja żelazna. [81])

Na schyłach wielkiego, płaskiego wzgórza rozłożon był obóz królewski i ciągnął po znacznej przestrzeni. Wiódł doń jakoby gościniec szeroki, przy którym zatrzymało się poselstwo, ustawiło wedle ceremoniału i ruszyło ku widnemu już namiotowi króla.

Tu wokół ciżbiło się rycerstwo polskie, litewskie, węgierskie. Pośrodku odsłonionego namiotu, w jawie królewskiej spaniałości, złotoglowiem sztywnego płaszcza odzian, we stalach i srebrze rycerskiej zbroi, z nagim mieczem na kolanach spartym, siedział chmurny w obliczu król Stefan Batory. Duma, nieustępliwość, chłód obojętności zesztywniły królewskie rysy. Pancerz stalowy zamykał nie tylko piersi pana stefanowe; zimnym swym połyskiem zdał się odgradzać króla od onych przybyszów ani żądanych, ani nie witanych...

Momentów kilka spełzło, a już stali przed namiotem wielcy posłowie, archijereje, kniazie, bojary, same czołowe personaty rosyjskiej społeczności.

Przykląkł, oponą barwnolitą odziany, Cyprjan, władyka połocki. — Zpod kołpaka, sadzonego gęsto klejnotem, co jarzył się, by ten ogień różnofarbny, — spływały długie włosy moskwicina, sięgające po sam płaszcz. Bowiem poseł iwanowy głowę był uniósł, ku obliczu królewskiemu słał wejrzenie niepewne, badające, błagalne...

Szczerozłotą misę, cyzelowaną kunsztownie, dzierżył w dłoniach, królowi podając leżący na niej rumiany bochen chleba, ów symbol braterskiego daru, z utajoną

---

[81]) T. Korzon. Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.

w nim niemą prośbą, bych król polski, — dotąd dla Moskwy... wróg, niezbłagany jej nieprzyjaciel, — ów żytni chleb przyjaźni — złamać raczył z tymi, których zwyciężał i przyjęciem tego daru utwierdził zgodę, po którą carowe poselstwo tutaj przybyło, o którą prosi, schylone u królewskich nóg...

Lecz wątpienie wzmagało się w obliczach wysłanników moskiewskich...

Nieruchomo, na mieczu sparte ręce pana stefanowe nie wyciągały się po dar zgody bratniej; nieufne, twarde spojrzenie legło na bochnie chlebnym.

To już ostatnią nadzieją był im ten nuncjusz papieski; moc jego słów, majestat pełnomocnika Kościoła; jeno na to liczyli, na tem twierdzili jeszcze ufność w nurtującem ich zwątpieniu...

Antonio Possevini stał podle wielkiego posła Cyprjana, płaszcz czarny wisi z jego stromych ramion. Obrócił ku cyzelowanej misie oblicze blade, w natężonej myśli skupione, płonące skrytą mocą, która wszystko zwycięża, wątpieniem nigdy nie chwiana.

W ciało przemieniały się już wysilenia papieskiego pełnomocnika: Groźny Iwan ślepo zawierzył wielkiemu jezuicie, zrozumiał łuszczone mu przeń, zgubne dla Moskwy batorowe zamiary, — pojrzał w obecne swe położenie i... gotowość do przeprowadzenia pokojowych układów okazał zupełną.

Upełnomocniony przez cara stał teraz legat papieski przed Batorym, pewny, iż warunki, wiodące do zgody, królowi już przedłożone, raczej potwierdzenie przez Iwana tego, czego Batory żądał, — ów chleb bratniego sojuszu do dłoni królewskich włożą...

Smukły w postaci, zda się, górujący nad wszystkimi, wypowiadał nuncjusz przycichłym głosem słowa, od wrzawy wojennej mocniejsze, przyduszające waśnie, słowa, które pętają prawice i, z wolą czy przeciw woli — zesuwają oręże do pochew...

Dłonie trzymał Possewin tuż ponad bochnem rumianego chleba, — tym ruchem obu rąk wypowiadając jakby dalszą treść swoich słów, skupiając ich wagę na nim właśnie, materjalizując, zda się, w żytnim chlebie zawarty symbol, który tu zawładnął teraz, zawładnął potężniej od zbrojnych, wrogich sobie zastępów, pokonywał je, rozbrajał...

Czasu tej possewinowej przemowy chłodły, zwierały się niejako ciężkiem zamknięciem twarze polskich rycerzy i dostojników, króla otaczających.

Poglądano na liczne carowe poselstwo z wyzierającą przez rysy niechęcią; ważono sobie lekce tych, czołgających się na kolanach po swoich własnych, straconych w boju sztandarach; plemienna, żywiołowa nieufność, coś, wiecznie odpychającego duszę polską od uzurpatorów mongolskich, — mroziło oblicza, że równym wyrazem kreśliły się w tym momencie rysy króla i jego otoczenia zbrojnego. — Dostojny powagą i walorem zasług hetman wielki koronny, kanclerz Jan Zamoyski, z pieczęciu w dłoni stał w namiocie królewskim jako ta kolumna niema, zgarnięty w sobie; czemś kamiennem, nieprzekonanem odgrodzony od treści cichych słów nuncjuszowych... Hussarz w zbroicy zamkniony, cudnolicy Stanisław Zółkiewski — przez ramię jeno i wzgardliwie poglądał na schylonych do ziemi posłów Gróżnego Iwana... Jemu, rycerzowi zawsze zwycięskiemu, nie groził siłą ani moskiewski car, ani kruszące się pod taranami polskimi mury obronnych jego twierdz, ani hufce rosyjskie, ni żadna moc, w imperium wschodniem zrodzona... stał Zółkiewski, uosabiając postacią zjawę rycerza polskiego, jego męstwo nieustraszone, dumę nie chylącą się przed nikiem, ów skrzydlaty, orłom przyrodzony lot do wyżyn, kędy władnie młodzieńcza śmiałość rycerska, gdzie tryumfuje zwycięstwo... Wysokie stalowe skrzydła husarskie, do pancerza jego przytwierdzone; nieruchome teraz, błyszczały, biły blaskiem niezłomnego kruszcu po-

nad całym zastępem, zciżbionym u królewskiego namiotu górowały czemś niechwytnem, dla żadnych pęt niedosiężnem, wyzwalającem się z okowów wszelkich, bijącem zawsze w żywe loty, sięgające ku temu szczytowi, gdzie jest gniazdo ojczyste uwite...

Na one to, kreślące się mocno w czystości powietrza, skrzydła hussarskie Zółkiewskiego, poglądała z oddalenia Halzuchna Bielecka.

Obok kolaski, w której siedziała kniahini Siemionowa, stała dziewczyna, tam, śród zaprzęgów poselskich u zawrotu drogi, ku obozowi polskiemu wiodącej.

Poglądała na białą oponę królewskiego namiotu, szukając czegoś poprzez ten tłum bojarów i mużyków, ciżbiący się za poselstwem. Ale jeno tarcze, kolące się wysoko u boków namiotu batorowego widziała, jeno te stalowe połyski hussarskiej zbroicy rycerza... Tylko...

Lecz uciszała w sobie gorączkę niecierpliwości...

Jest przecie wezwana przed majestat; po odbytej uroczystości przyjęcia legata papieskiego i przybyłych z nim posłów, — stawić się ma w namiocie hetmana Jana Zamoyskiego, i tam królowi i kanclerzowi zdać sprawę z wydarzenia, którego padła ofiarą.

Tak był nakazał Batory przez swego dworzanina. Snać opieki swej nie uchyli krewnej Ościków, miłosierdziem boskiem dobytej z bezdni zatraty; wolą swą umocni jej, ubezpieczy drogę do Buławów wiodącą.

Już rychło go ujrzy, już rychło...

... Ojmie ją wnet spojrzenie czarnych oczu pana stefanowych, oczu, które wtedy, gdy dotykają jej źrenic, czynią się równie młodzieńcze, nierównie gorętsze, od onych, z medaljonu poglądających krasą dwudziestu lat męskiego życia.

Już rychło...

Biło jej serce w nadziei szczęścia.

Aż i legła szczerozłota misa z bochnem chleba na stole pod królewskim namiotem, pieczęć kanclerska mo-

cowała pergaminy przyszłego sojuszu. Zwyciężył Antonio Possevini; wyciągnął nad ziemiami temi ramiona, bój uciszające, słowem Pax zwarł lufy strzelb, armat rusznic...

Cofał się już orszak poselski; uroczystość była skończona, posłowie spieszyli do czekających u zawrotu gościńca sań, kolebek, rozwalin.

Z gorączkowym pospiechem zwróciła się kniahini Siemionowa do stojącej przy drzwiach kolasy, Halzuchny i powtarzała po raz dziesiąty, jako przybędzie tu znowu za godzin parę, po upewnienie się, co do królewskiego postanowienia, względem Bieleckiej.

Bowiem dworzanin, kurjer batorowy, wysłany przez miłościwego pana do pskowskiego zamku z odpowiedzią dla Possewina, jednocześnie obwieścił Halzuchnie, jako jutro, rankiem, pod osłoną zbrojnego oddziału polskiego, wyśle ją król do Bulawów. Zaś czas czekania na moment wyjazdu spędzić ma waćpanna Bielecka w kwaterze nadwornego królewskiego medyka, starego italczyka Symoniusza, który tu z połowicą swą od początku oblężenia w obozie przebywa, roztaczając pieczę nad zdrowiem królewskiem.

Mimo to, troskliwa kniahini wątpliwością się niepokoiła, czyli postanowienie nie zapadnie, jakiemiś niespodzianemi okolicznościami zmienione, bych Bielecka do następnego ranka pod jej opieką, we pskowskim zamku pozostała...

Przeto i upewniała dziewczynę, żwawa i rozmowna moskiewka, że w czas rychły znowu na to miejsce kolaską przyjedzie.

Ucałowały się spiesznie, — Lepseni przecie już zbliżał się, czterema dworzanami otoczon, aby z godnością, rodowi Bieleckich przynależną, powieść dziewicę do namiotu kanclerza.

Szubę, z futra pantery rysicą tu zwanej, w którą Halzuchna była odziana, troskliwie zwierała teraz rosjanka na piersiach dziewczęcych, mówiąc:

— Gołuboczka moja... do swidania... do swidania...

Zaś ona, czuciem już odlatająca z rosyjskich bezkresów, duszą cała w polskim obozie, pośród rodaków, do dawnego życia powracająca cudem, — żegnała półświadomie, prawie z roztargnieniem swoją opiekunkę przygodną.

Lecz nagle przecknęła z nieopamiętania, poryw wdzięczności rzucił ją w całunkach do rąk, do twarzy, do piersi kniahini...

— W zdorowiu ostawajsia, mileńka moja... Szczast' tobie Boh, szczast' Boh... — przez łzy rozczuleń powtarzała rosjanka.

I dłonią jeszcze chwiała w powietrzu za oddalającą się Bielecką.

Środkiem obozu, drogą udeptaną, do namiotów wiodącą, szła spiesznie Halzuchna obok Lepseniego.

Mijali gromadki wojskowych, rozmawiających o uroczystości, tylko co odbytej; dzień z jej powodu czynił się jakoby świąteczny, że cały śnieżny gościniec roi, się do rycerzy.

Ustępowano miejsca jejmościance Bieleckiej, idącej w orszaku królewskich dworzan. Wiedział już cały obóz, w jakie nieszczęsne terminy krewniaczka Ościków była popadła; to słano jej skwapliwie przyjazne ukłony, hełmy zdejmowano przed nią z głów; znajomi rotmistrze, oficerkowie, ci starsi pułkownicy nawet podbiegali do dziewczyny, witając ją i tem żywem słowem jawiąc swą radość z jej ocalenia. Na pamięci przecie miano one Buławy bogate, wtedy, po połockiej, nie szczędzące gościny dwornej przybyłemu rycerstwu. Albo to ich nie fetowano? nie raczono i zabawą i poczęstunkiem i wszystkiem, czem było można...? Nie kto inny, a jedna z bu-

ławieckich panien, Halzuchna Bielecka, której liczko wielom odbiło się na sercu i skrytem wielbieniem tam trwało, — wleczona była zbrodniczą ręką aż ku Starzycy, tam, gdzie krwawy Iwan postrachem przejmuje, gdzie właśni jego poddani wstępują jak do miejsca kaźni i zatraty... Panienka buławiecka, takie ptaszątko bezbronne, tam... — aże w głowach im się nie mieściło.

Jakże więc teraz nie mieli rycerze przybiegać do niej w czuciu radości niezmiernej, nie witać serdecznie kontentności z jej ocalenia nie okazywać?

Szła Bielecka, wielce uradowana tak przyjaznem jej przyjęciem. Z kaptura futrzanej szuby, który miała narzucony na głowę, wyzierało jej liczko blade, wyniszczone przeżytem cierpieniem, lecz śmiejące się teraz ze szczęścia, pełne promieni, bijących z ócz dziewczęcych zapadłych i cieniami okrążonych. Jak braci witała wszystkich; tym siostrzanym uśmiechem drobnych, pobielałych ust dziękowała rycerzom za szczere dla niej afekty.

Istwan Bakoni, niedoszły oblubieniec Ustinki, odpalony przez nią zaraz po żubrzych łowach królewskich, przybiegł teraz skwapliwie do Bieleckiej z winszunkiem radosnym z racji jej ocalenia...

Śród swoich przecie była, pod setką przyjacielskich, chroniących ją ramion; rozkosz uspokojenia miała w szczęsnej duszy...

Już minęli kwaterę spowiednika królewskiego, ojca Laterna, mieszczącą się w małym domku z ciosów kamienia, mchem, niby pleśnią porosłych, po których teraz sączyła się wilgoć. U poprzecznej ściany domostwa wzniesiony był ołtarz polowy, dachem drewnianym osłonion, wspartym na słupach, które jedliną umaili żołnierze. Tu co dnia pobożny, świętobliwy staruszek, ojciec Laterna, mszę świętą odprawiał na intencję walczących.

Nieopodal, ze strony przeciwległej gościńca obozowego, stał domek drewniany, zbudowany snać niedawno, bowiem deski, zbijające go, świeżością się bieliły. Tu włoski medyk króla Stefena, z Lukki pochodzący, mądry uczony Symoniusz, z połowicą swą kwaterował od samego przybycia.

Już tylko kilkanaście kroków grodziło spieszący orszak, Halzuchnę otaczający, od hetmańskiego namiotu, kędy Bielecka przed majestatem jawić się miała.

Doszli.

Lepseni uniósł nad głową dziewczyny ciężką oponę, odsłonił wnętrze namiotu, w które postąpiła.

Niskim pokłonem schyliła się przed królem. Wzniosła twarz, spojrzała w oblicze siedzącego naprzeciw Batorego.

I nagle... pierzchła od niej radość, zamarła nadzieja, dech w piersiach uwiązł... Lęk ją ogarnął, zestrachanym ptakiem tłuc się zaczęło serce... Trwogą zdjęta przykuła oczy przerażone do oblicza króla...

Oblicze to jej nie witało, lecz stało ku niej spojrzenie, spłonione gniewem, urazą tajoną.

Schmurzone były na batorowem czole czarne brwie, drgały mu usta nad bielą błyskających niekiedy zębów. Milczenie, żadnem słowem królewskiem zrazu nie kończone, odsuwało ją, grodziło, zda się, od majestatu...

Spłoszona jej myśl po omacku szukała przyczyn królewskiego gniewu; boć prawie odwracało się od niej pana stefanowe oblicze, skroś przeszywało ją spojrzenie króla, o coś obwiniało, czemś gięło ją ku ziemi...

Spadł płaszcz futrzany z jej ramion, legł u stóp drobna, biedna, w swej zmiętej odziewie, z twarzą wymizerowaną wielce, zalękła stała, patrząc na niego oczyma zapadłemi.

Takim, jak w onym momencie, nie widziała Batorego nigdy, ani wyobrazić by go sobie mogła.

We zbroiey stalowej, pancerzem zamkniony, w misiurce kolczastej, osłaniającej mu ramiona aż pod przegub rąk, w obcisłych czarnych aksamitnych hajdawerach jeno złocisty płaszcz ze siebie odrzuciwszy, taki spaniały, jak czasu przedchwilowej uroczystości, rycerskim swym aspektem jawiący siłę, stał przed nią, ze zydla się podniósłszy, i dzierżył ją jakby pod pręgierzem płonących ócz.

Kanclerz Jan Zamoyski, szubą purpurową odzian, w podle miłościwego pana, u stołu wyprostowany, trwał w czekaniu...

Mignęło Halzuchnie w myślach, czy gniewu królewskiego nie jest przyczyną uroczystość przyjęcia posłów, ich hołdy nie żądane, nuncjuszowe zabiegi urzeczywistnione...

Przeto dla domysłów onych przytwierdzenia szukające gorączkowem spojrzeniem obrzuciła twarz hetmanową... Jednoczy przecie tych obu jednakie czucie, jedna myśl polityczna, obopólne rozumienie krajowych spraw...

Lecz nie; męskie oblicze Jana Zamoyskiego uciszone było powagą, zaś oczy, zawieszone na postaci dziewczęcia, stojącego podle zasłony namiotu, — pełne były jakiegoś ojcowskiego zgoła litowania, spółczującej życzliwości...

Tylko tamte, królewskie źrenice litości dla niej nie miały, — tylko one słały ku niej spojrzenia raniące ją i razem zranione...

Ozwał się głos Batorego brzmieniem krótkiego nakazu:

— Jawcie, co było...

Ledwie dobyć mogła ze szeptu pierwsze słowa.

Mówiła o napadzie nasłanych na nią ludzi, o tem, jak ją i dwoje sług buławieckich odstawiono do smolarni, gdzie zastała Mirowskiego, famulusa z Kowarska; jak ów wiózł ją wpodle Newla, nocą, miasto omijając,

z obawy przed polską załogą, straże tam trzymającą... Pobrzeżami jezior przewożono ją wielce uciążliwie, zaś chłopi białoruscy, przekupywani przez Mirowskiego, ułatwiali mu drogę skroś pogranicza...

Słuchał Batory, uspakajało mu się oblicze, że śmielej mówiła:

Łuki Wielkie ominęli, a potem prosto, na przełaj, z pospiechem niezmiernym dążyli w stronę Toropca...

Cicho, lecz coraz pewniej mówiła o swoich usiłowaniach, wydarcia się z rąk, które ją pochwyciły, o tem, że ocalenia szukała dla się choćby we śmierci, choćby w zatraceniu.

Czasu opowieści onej zatrzymywały się bezwiednie oczy Bieleckiej to na zbroicy hetmanowej, zawieszonej w głębi u grubego drewnianego koła, na którym spierała się wierzchowina namiotu; to pomykały po tapczanie, skórą onegara przysłonionym, to muskały gorączkowym lotem pasyjkę hebanową, zwisającą na łańcuszku ponad tapczanem.

Jednak nic nie widziała, bo jeno chwytała pamięcią przeżyte dni kilka temu klęski swoje i te jawiła.

— Aż wywiózł nas Mirowski z Toropca... rankiem ... i ... sprowadził mnie do zajazdu, od miasta w dalekości małej ... Tu...

Zamierać począł jej głos, wiązł w krtani pod zaostrzającem się znów spojrzeniem króla.

Dech ciężki dobyła ze siebie... W ciszy, do tych dwu, przed którymi w zasłoniętym namiocie stała, — powiedziała głosem rozbitym;

— Tam czekał mnie... ów... który... tę zgubę... mi... Tam był... Hrehory Ościk Wierszułłowicz...

I znowu źrenice Batorego spadły na nią, jak uderzenie, znowu płomień obwionął twarz króla.

Umilkła, zatraciła kędyś wszystkie myśli.

— Powiadajcie dalej... — rozebrzmiał twardo głos Batorego.

Z trzepotem powiek na niego patrzyła.

Czegoś szukały w niej natężone oczy królewskie, wnikały w jej głąb, skroś przeszywały oblicze; z tajni źrenic dziewiczych usiłowały coś dobyć, wychwycić... przed sobą rozewrzeć... Zdało się Halzuchnie, iż naostrzony słuch mężczyzny bada nawet ton jej głosu, który z trudem dobywa z ust...

— Powiadajcie dalej... — raz wtóry powtórzył król.

Bowiem ono śledzenie w niej czegoś, rózwieranie jakoby każdego słowa, poglądanie batorowe w ich treść, zmąciło myśli Bieleckiej do dna, iż pierwszy rozkaz królewski obił się tylko o jej słuch.

Zaczęła:

— W onym zajeździe, podle Toropca... dzień przebyłam i noc..

Znowu pierzchły jej myśli, bo w same dziewczęce źrenice wbił się teraz wzrok króla; naostrzyło mu się oblicze, skupione jakby na jednem czuciu.

— Nie kryjcie nic... Kara go dosięże za was... ciężka. Prawdę mówcie... W mocy jego byliście... Żali...? Czy?...

Słowo jakieś urwało się u batorowych ust, w oczach było, w twarzy, płonęło na zmarszczonem czole; a tylko przy ustach zwierało się raptem, głosowi nie chwytne...

Ona mówiła dalej:

— Tam przebyłam do rana... a kiedy...

Przerwał jej król:

— Żali was...? Czyli ów...?

I znowu urwanie się pytającego wyrazu...

Parzyła na Batorego niewinnym, nie rozumiejącym go wzrokiem.

Z twarzy jej zdjął oczy...

Znów spojrzał...

Nagle, prędko, stłumionym głosem rzucone pytanie padło:

— Uszanował-li was?...

Na ustach Halzuchny wisiały oczy pana stefanowe bezlitośne, zranione...

Moment poglądała na króla temże samem niewinnem, nieświadomem spojrzeniem modrych swych źrenic...

Raptem spłomieniała... Przeszyła ją jakby błyskawica, wstrząsnęła skroś... Ogień zapalił się w oczach dziewczęcych, że z den swych ciemnych zaświeciły nagle mocą skier...

Przeobraziła się twarz Bieleckiej: usta nabrzmiały krwią, brwi zwarły się u czoła; była jak ten, ugodzony oszczepem, jak przez serce przeszyty...

Lecz wionęło to tylko po jej twarzy i znikło...

Krwawy, ciemny rumieniec, rumieniec sromu dziewiczego jął teraz osłaniać Halzuchnę. grodzić ją od królewskiego pytania...

Cofnęła się krokiem, stopę na futrze pantery sparła, czyniła się wyższą w prostującej postaci...

Pojęła nagle wszystko; wszystko, co było dla niej zrazu niejasne, czego szukały w jej licu, we wzroku, u drżenia ust — twarde źrenice królewskie; rozwarła się przed nią tajnia batorowych domysłów, przewidywań, posądzeń.

Już rozumiała...

Oczy króla Stefana szukały w głębi jej źrenic płomienia uniesień, zapoznającego ją, choćby i przeciw jej woli, z ogniem cielesnych żądz; szukały w niej śladu rozkoszy, jakiemi poił się może Ościk, w mocy swej ją mając... Natężony słuch Batorego dobywał snać z jej głosu echo tego krzyku przerażenia, który może usta jej rzuciły onej nocy w moskiewskim zajeździe przydróżnym w chwili, kiedy obnażało się przed nią to, czego dziewictwo jej nie znało...

Wszystko stało się dla niej teraz jasne, pojęte, zrozumiane: — i gniew Batorego i smagające ją płomienie jego ócz i piętno obwinień, które na nią rzucał i... i ten ból zranionych źrenic królewskich...

Wszystko już rozumiała.

Wolno spłynął z niej rumieniec dziewiczego wstydu, — odsłoniło się oblicze Bieleckiej.

Leżała na tem obliczu duma niewieścia. Już nie zalękła poddanka stała przed władcą; stała kobieta przed mężczyzną, śmiało jawiąca dostojeństwo swej czci nietkniętej; — nie rumieniąca się, jeno depcąca przypuszczenie, którem ją obrażono.

Ozwała się głosem, brzmiącym twardo:

— U zaproża mej komory stał Hrehory Ościk, nie śmiejąc się odeń ruszyć, na kolanach przedemną, jak rab... Gdzie mu rozkazałam ostać, — trwał...

Mowa jej czyniła się silniejsza, wzmógł blask oczu, snycerskie rysy oblicza, duszną mocą przeniknione, rozkwitły nagle, dojrzały, pod gorącem tętnem wzruszeń sięgły do najwyższego swego piękna.

W uniesieniu mówiła, dzierżąc źrenice na twarzy króla:

— Ślubem małżeńskim miał mnie ze sobą wiązać... ów... we Starzycy, za wolą carową... Jeno... nie byłoby się to spełniło... I jam broń miała... ratunek we...

Zachwiał się jej głos, ale wiodła dalej, cała w ogniach:

— Nie tylko od miecza się ginie, nie tylko kula zabija... Zabija głód... zabija zimno... Najdzie śmierć, kto jej szuka.., komu ona... ucieczką... od...

Fale wzruszeń owionęły jej twarz, zadrgały w uściech. Już mętniał od napływu łez blask dziewczęcych oczu; ale się zmogła i, trzęsącym się głosem, mówiła:

— Bóg... ramieniem swojem... nagle... z obieży onej... mnie wyz...

Nie dokończyła, płacz ją pochwycił, łkanie rzuciło się do ust, lico łzy zalały.

Dłonie uniosła, skryła w nich twarz rozpłakaną.

Przez moment mocowała się z onym wybuchem, w którym tonął jej żal, jej wstyd dziewczęcy, jej śmiałe stawienie się przeciw królewskim posądzeniom.

Usłyszała tuż obok siebie głos Zamoyskiego:

— Ukójcie słuszne wasze alteracje, waćpanno, i ten płacz zrozumiały... Nie dotknąć was chciał miłościwy pan onem pytaniem, a jeno zbadać miarę przewiny nikczemnika... Afekty czci budzicie, waćpanno, rycerską zgoła odwagą w terminach osobliwie ciężkich, w których jawiliście się jako ta prawa córa rodu wysokiego... strzymajcie przeto łzy... Bóg miłosierny cudem was ocalił, wwiódłszy na waszą drogę papieskiego wysłannika... Całkiem to jawny palec Boży, który potargał sieci, mające was chwycić...

Rękę jej zwisłą ujął Zamoyski i gładził łagodnie, zgoła po ojcowsku na twarz jej patrząc; co i dziwne nie było, żeć to hetman swą dzieweczkę z Radziwiłłówną zrodzoną, temże samem imieniem Halzuchny był nazwał [82]), a które ninie jeszcze droższe mu było, iż dziecinka ona w mogile mu już leżała.

Batory siedział na zydlu, pobok stołu stojącym, łokieć miał sparty o stół, zwiniętą rękę u skroni...

Przycichła mu twarz, zgasły w niej ognie podnieceń, widniało zmęczenie w nieruchomych, ku ziemi nachylonych oczach.

Podniósł je teraz na Bielecką...

Mrużyć się jęły pod jej łzawem, sarniem wejrzeniem.

Zamoyski wziął ze ziemi szubę Halzuchny, osłonił nią dziewczynę.

---

[82]) Edward Raczyński: Panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego.

Tym półuśmiechem pańskim podziękowała kanclerzowi, zwierając na swych piersiach futro rysicze.

Ozwał się Batory:

— Groźne tu trwają terminy, cazusom różnym podległe; przeć wolałem, byście on czas w bezpieczeństwie, śród dworu miłościwej pani, na Wawelu spędzili...

— Daleko... — odpowiedziała półgłosem.

Popatrzył na jej twarz, gasnącym rumieńcem owianą, rzekł:

— U łoża chorego Gaspara powiadaliście, iż wam ziemia tutejsza obca, nie swoja...

Ale powtórzyła tylko.

— Daleko...

Znowu objęło ją spojrzenie czarnych oczu Batorego. Stalowy pancerz na piersiach królewskich jakby się uniósł w oddechu.

Cichły rysy króla od napływającego mu do źrenic, do ust, do oblicza... smutku, wargi miał zwarte żalem wielce boleściwym.

Jan Zamoyski rzekł do Bieleckiej:

— Jego królewska mość zbrojną opiekę nad wami wyznaczył, która jutro do Buławów waćpannę powiezie. Honor będzie dla mnie wielki i radość niemała, jeśli zaszczyt mi uczynicie i w kolasie mojej oną daleką, trudzącą was podróż odbyć raczycie, waćpanno...

Słuchała kanclerza, nawet z podzięką kłoniła się jej jasna głowa, lecz widać było, iż jakaś myśl nagle zbudzona, we władztwo swe ją bierze...

Niepokój ogarnął Bielecką i pospiech, coś ją naglilo, coś chciała rzec... Ale spojrzała lękliwie ku osłonie, zamykającej namiot, i umilkła. Szmery ozywały się tam, kroki ludzkie, nierozeznane słowa pogwary cichej, żołnierskiej.

Znowu zdało się, że coś powie; padły jej oczy na Zamoyskiego i zmilkła.

On zaś skinął na nią, jako posłuchanie skończone.

Trwożnie uderzyły jej powieki, uczyniła ku królowi ruch, jakby do jego nóg, jednak znieruchomiała nagle. Potem niski pokłon złożyła Batoremu i prowadzona przez Zamoyskiego, opuściła namiot.

Lepseni wpodle onego stał na gościńcu ze swymi dworzanami, czekając na Bielecką.

Podszedł do niej, gdy, pożegnana wielce dwornie przez hetmana, zwróciła się ku Istwanowi.

Ów rzekł, ręką ukazując domostwo ochędożne, bielejące w oddali:

— Tam, waćpanno, poprowadzimy was... Najlepsza to w całym obozie kwatera — mówił, idąc obok Halzuchny — którą miłościwy pan medykowi Symoniuszowi wyznaczył, racją takową kierowan, że italczyków, rodem z krainy, przez słońce ciągle grzanej, tutejsze ostre klima najdotkliwiej odczuwać będzie.

Słuchała Halzuchna, ale z roztargnieniem, chwilami wyzierało z jej twarzy zaniepokojenie, jakieś duszne udręki... Że i nie postrzegła nawet, kiedy minęli przestrzeń, dzielącą namiot hetmański od domku medyka.

— Ot, tutaj — zatrzymał ją Lepseni.

Ze drzwi domostwa wybiegła połowica Symoniuszowa, italka, wieku już popołudniowego, śniadawa na obliczu, z tem hebanem czarnych włosów nad czołem, o oczach włoskiego ognia pełnych — i jęła Halzuchnę żywo zapraszać do wnętrza swego domu. Po łacinie mówiła, raz wraz pochwytując słowo italskie, śmiała się wtedy, tłumacząc żywo, jako łaciną w Italji jeno duchowni i uczeni ekspedite władają, a zaś narodowi całemu, to tylko cudna jego, żywa mowa italska jest do smaku.

Tak gwarząc wprowadziła Bielecką do komnaty, wielą sprzętów zapełnionej, aże do ciasnoty, w czem także włosi się lubują. Niewoliła medykowa i Lepseniego, bych ostał i makaroni z parmezanem spożył razem

z niemi; ale dworzanin królewski nie rozporządzał swym czasem wedle upodoby; to i pożegnać je musiał, oddalając się że swą świtą.

Wtedy italka zasadziła Halzuchnę u stołu, przysmakami suto zastawionym. I mięsiwo było, gotowane w odwarach korzennych, i one makaroni, przysmak italczyków stanowiące i sery jakieś tłuste, żółtością woskom podobne i owoce południowe, topione w miodzie wielce wonne i smakowite.

Wesołego autoramentu będąca niewiasta, z południowych krain rodem, mowna i uprzejma, częstowała swego gościa, powiadając, jako od sierpnia miesiąca kobiety żadnej nie widzi; teraz przeto, mając kompanię tak cudnej dziewicy, radością czuje się przepełniona. Dokładając makaroni na talerz Bieleckiej, mówiła śmiejąca:

— W obozie, jakto w obozie: żołnierz jeno, komenda nad nim, strzelanina, ranni, chorzy, zabici; nic więcej. Od towarzystwa niewieściego całkiem odwykła; prócz niej, żadna tu nie żywie.

— Cóż, Kato jest miłościwy pan... Raz wcisnęły się do obozu dziewki, takie... no... wiadomo..

— Do Halzuchny przychyliła się Symoniuszowa, w ucho jej poszeptała, aż zczerwieniała dziewica, zaś italka roześmiała się, powiadając dalej, jako uciechę z onemi dziewczynami żołnierze mieli krótką, bowiem zwiedział się o wszystkiem król, któren, jako rzekła. Kato jest na one sentymenty, i żołnierzów całonocnym odwachem skarał, a zaś, dziewki psami z obozu kazał wyszczuć, że je tam pokąsały do żywej krwi [83])

Aleć musiała zaniechać dalszej opowieści, gdyż jęli schodzić się rotmistrze, oficerkowie, którzy gościli lat temu dwa w Buławach, spieszyli przeto teraz, bych panience Bieleckiej honory swe złożyć, wypowiedzieć spół-

[83]) Autentyczne.

odczuwanie żywe dla ciężkich terminów, które przebywała. Spora zebrała się w komnacie rycerska kompania, częstowana gościnnie przez medykową; pogwara płynęła stateczna, półgłośna, bowiem w Bieleckiej taka była zawsze powaga i duszy dostojeństwo, że w jej obecności nawet najweselszy kawaler na żarty sobie nie pozwalał.

Owszem, żałosny zgoła płynął dyskurs; mówiono bowiem Bieleckiej o bohaterskiej śmierci generalissimusa piechoty i kawalerji węgierskiej: Gabryela Bekiesza, który w pierwszym szturmie do Pskowa, zaraz o południu ośmego dnia miesiąca września padł, zabit kulą moskiewską[84]).

Ozwała się Symoniuszowa, zwyczajem swym żywo i prędko, jako najpierwsi węgierscy męże, chwała Hungarji: Bekiesze i Batory — żywoty swe Polsce złożyli w ofierze; tamci dwaj aże do kropel krwi ostatnich, zaś trzeci — do zaparcia w sobie wszystkiego: miłości ojczyzny, swobody czuć, nawet tego jednego tchu szczęśliwości, mężczyźnie, należnej...

Jak to niewiasta, na polityczne materje nie bacząca, szczerze powiadała, co jej uniesienie w usta kładło.

Węgrzy obecnie w komnacie, na te słowa italki dumą prostowali się spaniale; lecz i polscy rycerze nie przeczyli, owszem, przytakiwali racjom medykowej.

Zaś Halzuchna rozpytywała siedzącego w podle niej pięknolicego wojewodzica, ruskiego, Żółkiewskiego Stanisława, czyli imć pan Szandor Bekiesz, dotknięty tak ciężko stratą rodzica, w obozie ninie nie przebywa, że go jeszcze nie witała dotąd?

Odrzekł Żółkiewski skwapliwie, jako Szandor Bekiesz z zabalzowanemi zwłokami ojca do Wilna podążył, bych tam wpodle stryja, Gaspara, zabitego rodzica pochować.

---

[84]) T. Korzon. O wojskowości i wojnach polskich.

A powiadając ono, poglądał wojewodzic ruski badawczo na Bielecką, z pytań jej łuszcząc fortunne symptomy dla Bekiesza, o osobliwym którego afekcie do tej panny, wiedział przecie dokładnie.

Lecz mylił się młody rycerz, bowiem Halzuchna zgoła siostrzane uczucia żywiła dla Szandora, wdzięczną mu nawet będąc za cześć, którą ją otaczał. Owszem pomyślała w tej chwili, że właśnie ów nieobecny, byłby może dopomógł teraz w tem, co przepływa, jej duszę nurtem niepokojącym... Szandorowi jednemu zwierzyłaby groźne tajemnice, pochwycone w przydrożnym zajeździe moskiewskim, wyjawiła zbrodnicze zamiary carowe, w życie miłościwego pana godzące. Bekiesz kochał przecie Batorego nie tylko jak żołnierz kocha wodza, jak poddany króla; łączyło go jeszcze z nim spólne gniazdo rodzinne, jedna ojczyzna...

A teraz, w braku Szandora, wątpliwości chwiały Bielecką, czyjemu sercu zdać te trwogi, od których jej własne serce — zamiera.

Bała się postąpić nieostrożnie; rozumiała, że tajemnica winna być zupełna, że strzedz jej należy przed uchem niepowołanem, bych nie popsować, w czem może być ocalenie królewskie.

Badawczym wzrokiem poglądała Bielecka na otaczających ją rycerzy, ale żadne postanowienie w niej się nie krysztaliło.

Zwolna pustoszała świetlica, rozchodzili się znajomi. Wrócił do dom medyk Symoniusz, stary, piękny italczyk, zapoznał się z Halzuchną, pogwarzył niecoś, spożył makaroni, a potem pożegnał się i do sypialni swej udał, nawykł bowiem wcześnie do spoczynku się sposobić.

Symoniuszowa namawiała i Bielecką, by do przygotowanej dla niej komnaty przeszła, ale właśnie gość jeszcze jeden ukazał się na zaprożu.

Ferens to był, Wesselini, sługa, oddany królowi przyjaciel, bardziej jeszcze, bo zaufany jego powiernik...

Ucieszyła-ż mu się, Halzuchna, ucieszyła...

Aż te barwy trysnęły jej na jagody, aże blaskiem oczy spłonęły...

Podbiegła do starego, za ręce go chwyciła, cała w uśmiechach radości witała, do zydla u stołu wiodąc.

Z węgierska teraz gwarzyli ze sobą...

Pytał stary, słuchał jej odpowiedzi, temi poczciwemi oczami patrzył na nią przyjaźnie, albo z litowaniem, czy z kontentnością, wedle treści halczynych opowiadań.

Zaś ona mówiła żywo, podniecona myślą, że znalazła przecie powiernika, oddanego Batoremu sercem zgoła ojcowskiem.

Przeto, gdy medykowa opuściła na chwilę świetlicę, Halka przerwała nagle opowieść swych przygód, nachyliła się ku Ferensowi i zaszeptala:

— Ach dla Boga, waćpanie Wesselini, niebo was tu zesłało... Umieram aże z alteracji... bo... wielce... bo... okropne... że i wypowiedzieć nie umiem, jak groźne przejęłam wieści, całkiem niespodzianie... tam... czasu onej przygody... Wagę one mają dla miłościwego pana... niesłychaną...

Ręce splotła, błagalnem ściśnieniem u swych piersi trzymała, cała zrumieniona od wzruszeń.

— Waćpanie Wesselini — powiadała szeptem to króla miłościwego dotyczy... Rzecz straszna... Miłościwemu panu muszę o tem rzec... Koniecznie muszę wyjawić... ale tak... bych nikt nie słyszał, nikt o niczem nie wiedział... Mogłoby się bowiem popsować to, w czem ocalenie jest królewskie...

Słuchał stary węgier, patrzył na Bielecką, ważne stało mu się oblicze. Lęk go ogarnął od słów halczynych, od onych alteracji, w nich widnych. Począł przewidywać najgorsze, złączył się z nią czuciem obaw wielkich; dech w nim się zawierał, gdy tajemniczo powiadała o jakowemś niebezpieczeństwie, królowi grożącem.

— Wy, waćpanie... — szeptała gorąco — wy jedni... Wiem, jako miłujecie króla... — usta jej się zatrzęsły jak przyjaciel najlepszy...

Ferens chwiał głową potakująco, mówił cicho:

— I bardziej jeszcze miłuję go, bo... jak ojciec syna... i więcej, razem czcią, wielbieniem i... litością za trudy jego żywota... — Wzruszył się stary wielce przy onych słowach.

A ona, szczęśliwa z tego echa, którem jej zawtórował, ciągnęła, gorączką naglona:

— Proście wy, panie, króla miłościwego... abym mogła... nim ztąd odjadą... tajemnice... pochwycone przypadkiem... wyjawić... jemu samemu... rzec...

— Królowi samemu — przytwierdził Wesselini, zaniepokojony wielce.

Zmilkła, uczepiona płonącemi źrenicami, jego ust...

Mówił Ferens cichym szeptem:

Pójdę. Zaraz rzeknę królowi o waszej prośbie, o onej tajemnicy, którą, trzeba, byście mu zwierzyli... by sam ją posłyszał...

Potakiwała głową, słuchając go.

Powiadał dalej:

— Co mi król odrzeknie, jakie stanowienie jego będzie... przyjdę i powiem wam... Czekajcie przeto, waćpanno, na nocleg jeszcze nie odchódźcie... rychło powrócę...

Już wstawał, ukłon poszanowania złożył Halzuchnie.

Do sień mu towarzyszyła, poruszona wielce, niespokojna. Drzwi za nim zamknęła i wróciła do jadalni.

Już tam Symoniuszowa uprzątała ze stołu, a potem wprowadziła Bielecką do alkierza, gdzie płonął w kaganku knotek, oliwą sycony, że jasno było wpodle łoża, na którem puszysto wydymały się podłużne wezgłówka, gołębiem pierzem napchane i ta posłonka z przędzy jedwabników wielce misternie dziergana.

Co najlepszego posiadała italka, tem raczyła miłego sobie gościa.

Madonna, włoskiego pędzla, wielce cudna na ścianie wisiała; to i przyklękła Halzuchna przed obrazem, jęła się modlić gorąco. Symoniuszowa krzątała się po wnętrzu alkierza, nalewkę z wodą wstawiła do misy, zydelek, poławnikiem okryty podsunęła do łoża.

Znagła wyszła do sąsiedniej świetlicy...

Nasłuchiwała Bielecka w biciu serca, bo zcichłą jakąś rozmowę w sieniach prowadzono.

Wstała Halzuchna z klęczek...

A italka wróciła do alkierza roześmiana, mówiąc:

— Ot, stary... Był tylko co, znowu przychodzi... Powiada, że zapomniał was prosić o przysłanie mu przez ordynansa jakiejś maści gojącej, którą pono w Buławach ochmistrzyni Marta sporządza wielce osobliwie... Ale idźcie sami do Ferensa, bo nie wszystko wyrozumiałam, co mi mówił...

Prędko pobiegła Halzuchna, minęła jadalnię, wpadła w sienie...

W mrocznej ich głębi, u drzwi stał Weselini.

— Co?... — Zatrzymało się w niej serce.

Cicho odrzekł:

— Zezwolił... Milczał zrazu, jakby się w sobie zacinał... Gdy mu co nie w myśl, taki bywa... Prosiłem go wielce... że sprawa jest ważna... Moment rozmyślał... Aż nakazał, byście jutro, po rannej mszy świętej, która o pierwszych świtach się odprawuje... w komorze ojca Laterna, spowiednika królewskiego... czekali... Tam król przyjdzie po mszy.

Dech w niej całkiem ustał, czasu ferensowego szeptu.

— Będę — ledwo zdołała rzec — o pierwszych świtach... po mszy... u ojca Laterna...

— Jać was tam wprowadzę... Wedle drzwi stójcie — objaśniał Weselini. — I sami bądźcie... bez służebnej...

— Sama będę...

Cicho wyszedł Ferens.

Drzwi za nim zamknęła, opuściła na nie skobel.

Szarzało, ale gęste mgły tłumiły brzask.

Cichość była w przestworzu taka, że zapalone tylko co świece przed ołtarzem, nieruchomym płomykiem rozgorzały.

Rozwidniał się od nich coraz wyraźniej obraz, przybity do ściany. Jur święty był na nim, patron rycerzy. We zbroicy, na koniu spienionym, przebijał dzidą straszliwą bestję, wijącą się u nóg rumaka.

Pod obrazem na póleczce czerniał krucyfiks żelazny, z rozpiętym na nim Chrystusem.

Krzątał się wedle ołtarza, chłopczyna, dziesięciolatek, biedota, z gościńca podjęta przez księdza Laterna i hołubiona przezeń litościwie. Owszem, profit był z sieroty; do mszy nauczył się służyć, te: Christe elejson, sekula sekulorum — akuratnie powiadał. Ornat, stułę, puryfikaterz, w kolei, jak trzeba, podawał księdzu. Lubił go stary spowiednik królewski, przyrzekał na mnicha wykierować. W prawdzie pacholę o moderunku rycerskim bardziej marzyło, niż o kropidle, ale ninie godziło się ze swym losem.

Już ampułki napełnione winem i wodą postawił chłopiec na stoliku, opodal stojącym i ten ręczniczek, w wachlarz ułożony; potem dywan rozpostarł na stopniu przed ołtarzem, nie bardzo z robotą pospieszając, że pora była wczesna, brzaskowa...

Ledwo gromadzili się szeregowcy, niecoś starszyzny przebywało powoli. Wolę król zostawił każdemu, nakazem w modlitwie żołnierzy swoich nie krępował. Powiadał przecie nieraz Batory, że „króluje nad ludem, nie nad sumieniami“; ale sam każdodziennie nabożeństwa słuchał, bez świty, tylko z Ferensem tu przybywając.

Katolikiem był król z kłonienia się serca; rozum wiódł go do sprawiedliwego, a na życiowe znoje szukał miłosierdzia pańskiego [85]).

Przykład królewski działał na otoczenie, jak silna zachęta; przeto mało kto ostawał w namiocie, czasu rannych nabożeństw; ot, ci aryjanie, ot, innowiercy, ot, chorzy, do łożnic przykuci, — reszta tłumnie stawała u ołtarza.

Zaroił się już majdan przed polową kaplicą, wyzierały twarze klęczących żołnierzy, dobywane światłem płonących świec z panujących dokoła ciemności; tu, ondzie krzesały się poblaski zbroic, — szmer oddechów, szepty cichych modlitw płynęły z mgławej roztoczy, kłębiącej się jeszcze nad ziemią.

Bielecka stała przy ścianie domostwa, poza ołtarzem; cień ją osłaniał, prawie niewidna była...

Targnęły się rzęsisto dzwonki w rozwartych nagle drzwiach domku. Wyszło z nich pacholę. mszał dźwigające, za niem stąpał ojciec Laterna. W ponsowym był ornacie, na znak, że dzień ten do jakiegoś męczennika Pańskiego należał. Obszedł celebrans ze służącym do mszy węgieł domu, wkroczyli pod dach, na słupach sparty, pokłonili się ołtarzowi.

Nabożeństwo się rozpoczęło...

Przystąpił do Halzuchny Ferens, rzekł szeptem:

— Jest król... Po Agnus Dei wejdzie w one drzwi, podle których stoicie... Pierwszą świetlicę trzeba minąć, to zakrystja... w drugiej, gdzie konfesjonał... stańcie... i czekajcie...

Osunęła się na kolana, twarz skryła we dłoniach, trwała, pochylona do ziemi, bez ruchu.

Dopiero podniosła się na ewangelię.

---

[85]) Zdanie o Batorym jednego z cudzoziemców, na dworze jego obecnym: „Króla polskiego cechują cztery cnoty: jest dobrym katolikiem, lubi słuchać cudzej rady, wykonywa zaraz, co postanawia, nie szczędzi żywota w sprawie słusznej".

Łagodne, starcze oblicze spowiednika batorowego widne było jej oczom tak dokładnie, że postrzegała ruch bladych ust kapłana, jego czoło zwiędłe żółtością, mądre, biorące w ono siedlisko myśli — królewskie duszne mozoły, wątpienia, samooskarżenie wszelkie...

Patrzyła Bielecka na oczy zakonnika, utkwione we mszale, blade oczy starca; pełne słodyczy, którą przędzie nić życia, snująca się długo i po kolejach różnych.

Żołnierze zwarto otaczali ołtarz; w światłach podnoszącego się dnia widniały ich zastępy, sięgające aż za kraj majdanu, pod same namioty obozowe. Zmieszani byli najwyżsi rangą pobok szeregowców; król nie zezwalał na wyróżnienia: lepsze, gorsze miał kto miejsce, jak tam popadło; powiadał Batory, że Bóg i śmierć jednako ku każdemu człowiekowi wyciągają ramiona, — zaś u ołtarza staje się w obliczu Boga i pod ostrzem śmierci, — nie wiada, kto przed te trybunały wezwanie otrzyma pierwszy...

Król nawet, a brał miejsce u polowego ołtarza tam, gdzie je nalazł, ustępować sobie pobliższego nie dawał; jakaś zupełna, chrześcijańska, bratnia równość łączyła żelazne zastępy modlących się pod otwartem niebem żołnierzy pana stefanowych.

Lękliwie, mknącem spojrzeniem, z pod rzęs patrzyła Halzuchna na bojowników. Dzwonek ministranta brzęknął na Podniesienie onym pierwszym pozwem. Pochyliły się do ziemi zbrojne zastępy, odsłoniły się dale, wiew świeży razem z jasnością popłynął nad ludzkiemi głowami.

Ku ramionom krucyfiksu, pod wizerunek patrona rycerzy niósł ojciec Laterna wolno, w dźwigających się w górę dłoniach, biały krąg Hostji.

Pozostała Bielecka na kolanach, sparta ramieniem o belkowinę domostwa.

Zbliżała się chwila, na którą czekała w przytłumieniu myśli, we zmilknięciu wszystkich uczuć; — ojęły ją wrażenia i skamieniały w piersiach.

Krótko, rosą srebrnych dźwięków sypnęły dzwonki, zwiastując Agnus Dei, i trzęsły się tym przerywanym deszczem tonów trzykrotnie.

— Baranku Boży ... — szepnęła raz ostatni Halzuchna i powstała z kolan.

Przestąpiła próg domostwa.

Dzień już się był rozwiódł zupełny...

Minęła pierwszą komorę, w której na wieszakach, pod osłonami mieściły się u ścian ornaty, alby, komeszki, w uchylonej szafce, na półkach zobaczyła kielichy mszalne, złote monstrancje, patyny... Weszła do świetlicy przylegającej.

Niewielka była.

Opodal okna, zasłoniętego płótnianką, stały wpobliżu siebie dwie niskie ławki, rozgradzała je i razem łączyła cienka pionowa ścianka, pośrodku której rzeźbiło się otwarte, zakratowane okienko tego polowego konfesjonału. W dnie pogodne stawiano go przy ołtarzu dla spowiedzi żołnierskich. Jedne tylko drzwi miała świetlica, zastawiona przyborami kościelnemi. Świeczniki wysokie, gromniczne stały rzędem u ściany, kiry zwinięte czerniały na podłodze pod drzewcami chorągwi i baldachu, umieszczonemi w kącie.

Jak przez mgłę patrzyła na wszystko Bielecka; poza drzwiami, których nie domknęła, ujrzała klęcznik, sparty o ścianę, kędy przybity był pergamin z wypisem łacińskiej modlitwy, odmawianej po mszy przez celebransa.

Stała dziewczyna podle konfesjonału, oczy utkwiwszy bezwiednie w ono rozchylenie drzwi.

Mignęła w nich postać ojca Laterna; wrócił już od ołtarza... Stąpania było słychać w sąsiedniej zakrystji, pacholę zdejmowało z księdza ornat, stułę, krzątało się chwilę po świetlicy... Wyszło.

A ojciec Laterna, w swej czarnej sutannie, przystąpił do klęcznika, zgiął kolana, łokcie położył na drewnianem obramieniu, podparł skronie palcami; zatonął w modlitwie.

Zcichło, znieruchomiało dokoła Bieleckiej...

Poprzez oną skamieniałość, leżącą na jej piersiach, poczęło się zwolna dobywać drzenie...

Minuty płynęły.

Poza uchylonemi drzwiami ciemniała postać modlącego się ojca Laterna.

Nagle uderzenie wstrząsnęło jej sercem, załomotały pulsy... Otwarł drzwi Batory, wszedł... Zdał się w niskiej świetlicy wyższy, bardziej rozrosły...

Ciemny orzechowy żupan węzłami sznurów zwierał mu się na piersiach, futrem czarnem dokoła oszyty. Kołpaczek z kitą sokolą dzierżył król w dłoni; miejsce było na poły kościelne, przeto głowę odsłonił.

Na ukłon Bieleckiej odpowiedział skinieniem czoła, które bieliło się nad królewskiem obliczem, określone czernią włosów gęstych i tą kruczą brwią bujną.

Jakaś świeżość w nim była; chłód poranku dobył rzeźwe barwy z pana stefanowej twarzy, świetlały jego ciemne oczy, wąsy czarne przysłaniały ust czerwień. Coś tętniało w nim mocą, życiem, żywiołem.

Ozwał się król:

— Co chcecie rzec... mówcie.

Przystąpił bliżej do okna. Stanęła przed Batorym...

Trzepoczące się, zlękłe źrenice ku niemu podniosła.

Ze drżących jej ust, nagle pobielałych, dobywać się jęły słowa, wymawiane w urywanych szeptach tchu...

Powiadała o onej nocy, przeżytej w toropickim zajeździe, kiedy, drzwiami rozgrodzona z alkierzem oberży, posłyszała prowadzoną tam przez mużyków moskiewskich rozmowę, odsłanianiającą carowe knowania, godzące w życie Batorego.

Oczy modre dzierżąc na twarzy króla, mówiła z trwogą, widną w jej obliczu. Zapomniała nagle o własnych wrażeniach, o niezwykłości chwili, która ją onieśmielała, wszystko zniknęło, zgasło dokoła niej, istnieć zgoła przestało; a tylko żyła w sercu dziewczyny, w jej twarzy,

we słowie każdem śmiertelna obawa o tego, który stał przed nią i słuchał jej ze spokojem, uważnie.

— Miłościwy panie — szeptała, gorączką rozwarte, sarnie źrenice w oczach jego utkwiwszy — strzeżcie się wszystkiego: skrytobójstwa... zdrady... trucicieli... Och? tych najbardziej, miłościwy panie, tych najbardziej... — Ręce u piersi trzymała, splecione prośbą żarliwą. Mówiła:

—Rozesłani są, czyhają na was morderce... zastępy ich... Pokój zawarty z carem, was, królu, nie osłoni przed ciosem... Słyszałam... powiadali: „Póki król Batory żyw, — póty Moskwie nie masz spokoju...“ Car na głowę waszą... nałożył... — zmąciła się jej twarz, dokończyć nie mogła. — Miecz się was nie ima... mówili... przeto na truciźnie wszystko fundują...

Spazm strachu zbruździł jej czoło, łuki brwi.

— Ona tu... do was... miłościwy panie... spłynąć może zewsząd... ogrodzić całego jakby źródliskami śmierci... Strzeżcie się, królu! och, Boże miłosierny! baczcie na siebie, tej myśli, o czyhającej na was zgubie, nigdy nie niechajcie... Rosja jak wielka, jak ludna... w was, królu, godzi... już nie jawnie, jak czasu wojny, ale skrycie...

— Nie ona jedna — ozwał się Batory.

Zmilkła przerażona.

— I... nie obcy... a swoi — rzekł. Piołuny legły mu u ust, ale wejrzenie miał spokojne, na obliczu Bieleckiej znieruchomione.

— Zborowscy...? — zaszeptała.

Nie odpowiedział.

— Jezusie miłosierny... — drgnęło w jej ustach.

Począł mówić król Stefan:

— Co mi jawicie, rzecz nie błaba i potwierdza zeznania Bielskiego; ów zbiegł z Moskwy mówił mi też o knowaniach carowych, że po Litwie, po Białorusi rozesłani są najęci mordercy [86]). Wiadomo mi o nich...

[86]) A. Sokołowski: Dzieje Polski str. 736.

— Ale... kto was królu, ochroni tu przed nimi, jak ustrzeżecie się zguby...?

Patrzył na nią, czytał w jej twarzy jak w rozwartej księdze, w onym szepcie drżących ust, w napełnionych łzami oczach, poglądających na niego krwawą raną serca...

Odwrócił wzrok Batory, coś wionęło przezeń zmącił się spokój męskich rysów...

Ale był to jeno moment; już zamykało się nieruchomiało znów pod żelaznym nakazem królewskie oblicze. Grodził się Batory od dziewiczych łez, jakowyś tarcz im przeciwstawiał.

Ozwał się z cicha:

— Poniechajcie obaw... Dłużej kto żyje, krócej żyje... jedno w końcu...

— Nie wam, królu... — jęknęła.

Zmęczenie miał w głosie, we wzroku, gdy mówił:

— Im wyżej kto... cięższy mu żywot...

— Jać wiem... — drgnęło w jej ustach rozpłakanych.

Spojrzeniem sarnich, łzawych oczu kruszyła on tarcz królewskiej woli, nicestwiła go brzmieniem głosu, idącego z tajnych głębin miłowania.

Ku ziemi teraz patrzył zpod nachylonych powiek. Rzekł wolno:

— Przed wami jest życie... całe... Trwać może w szczęśliwości...

— Nie chcę jej!... Och, wasza miłość!

Była skarga i przeczenie w tych słowach.

— Moja miłość... — posłyszała jakby echo stłumione męskiego głosu.

Od ziemi dźwignęły się źrenice króla, objęły ją...

Coś we władztwo niepokonane brało mężczyznę, coś rozwierało królewskie oblicze...

Patrzyła w nie Bielecka:

Skrytości jawiły się przed nią, odsłaniała je światłość batorowych oczu, światłość, która poraża i wyrywa jęk szczęścia...

Zachwiała się pod tem spojrzeniem Halzuchna, osunęła na kolana, ruchem bezwiednym wyciągnęła ku królowi ramiona.

Ale twarz Batorego poczęła się zwolna przeistaczać: kiełzno dusiło płomienie, więziło tęsknotę, pętało pragnienia...

I oto kładł się już na królewskie rysy, omraczał je, zrastał się z niemi... smutek; wchłaniał w siebie jaźń króla Stefana, w obliczu jego kamieniał.

Spuściły się wyciągnięte ręce Halzuchny, przysłoniła niemi twarz. Wszystko, co miotało się w jej piersiach: nie dobyty krzyk szczęścia, poryw uniesienia, jęk żalu — zmieniły się teraz we łzy; leciały po jej twarzy, po dłoniach, jak spowiedź, nic nie skrywająca...

Na schylonej głowie Bieleckiej położył Batory rękę jakimś królewskim i razem ojcowskim ruchem.

— Dziecko... biedne... — usłyszała jego głos zcichły.

Pod ciężarem ręki królewskiej poczęła się uspakajać, koiła płacz. Zdał się dziewczynie ten moment wiecznością, ostał w niej...

Już nie czuła onego dotknięcia...

Usłyszała tuż obok swych kolan krok jeden, drugi... szelest zamykanych drzwi.

Minął Batory modlącego się w ciszy ojca Laternę, wyszedł.

Owionął go chłód rzeźwego dnia. Pustoszało dokoła; dalej, dopiero wedle namiotów, krzątali się żołnierze.

Wstąpił król Stefan pod dach polowej kaplicy, na stopniu przykląkł. U brzegu ołtarzowego stołu rękę położył, wsparł o nią czoło...

Długo tak pozostawał...

XIII.

Szła Halzuchna Bielecka w oblubieńczej bieli do ołtarza... Drużki ją wiodły.

Jarzył się od świateł klasztorny kościół panien Norbertanek, na Zwierzyńcu, pod Krakowem, wiosenne kwiecie zdobiło wnętrze świątyni, pierwsza woń fijołków i konwalji słodziła powietrze, zieloność otaczała majem kamienne kolumny, węgły ołtarzowe, pięła się ku posągom świętych, stojącym we wnękach ścian...

A ona stąpała po kobiercu w mirtowym wianku, welonami przysłoniona.

Uśmiech miała na ustach, we świetle modrych źrenic...

Do ołtarza ją doprowadziły druchny, klękła na poduszce, leżącej u stopni, oczy wzniosła na wizerunek Bożej Rodzicy. Modliła się.

Już przystąpił do ołtarza przeor klasztoru. Powstała Halzuchna z kolan. Podał jej krucyfiks. Trzymając na nim palce, powtarzała rotę zakonnego ślubu:

„Miłość, wierność Chrystusowi“ „i“ że go nie opuszczę do śmierci“... — przysięgła.

Od stal, umieszczonych opodal, doleciało łkanie.

Bojarynia Salomea Ościkowa płakała rzewliwie, lico zasłoniwszy dłońmi...

Takie-ż to gody onego dziewczątka, które holubiła macierzyńskiem uczuciem, które kochała z Ustinką swą na równi...?

W rosnącej dumie patrzyła na tę cudną latorośl Bieleckich rodu, roiła dla niej mitrę ze ślubnym pierścieniem, splendory, którym ta niewieścia postać dworna ceny jeszcze doda...

Nie, odwróciła się Halzuchna od wszystkiego, niczego, nikogo nie chciała..

— Do zakonu pojdę, mniszką będę, tam moje miejsce... Nie płaczcie, ciotulu... — tak mówiła. — Jam szczęśliwa, wielce, wielce... Bogu winnam dziękować i... prosić go... błagać... och, o miłosierdzie, o pieczę ojcowską...

Całkiem nie do wyrozumienia były te jej racje, jak on tajemniczy uśmiech, który świetlał teraz w oczach Halzuchny, na uściech jej, oblicze czyniąc zgoła kwiatu podobne...

I taka była, przyjechawszy z pskowskiego obozu do Buławów.

Cichutka, spokojna. Opowiadała bez wszelkiej alteracji, o okropnych terminach, jakie ją pogrążyły, o cudzie ocalenia, o godzinach w obozie pod Pskowem spędzonych. Na zapytania odrzekała, a wciąż z onem światełkiem we źrenicach, u głosu, — zamknionem, zda się, jak żnicz w głębi dziewiczych piersi...

Prosiła ją Ościkowa, bych poniechała stanowień, odwodziła ją od zamiaru; przekładała, iż wokacji do zakonu niczem uprzednio nie zdradzała, przeto na skłonności, zbudzonej nagle, fundować nic nie należy... Straszyła w końcu bratanicę, całkiem do śmierci podobnem życiem, poza klasztornymi murami, które, jakoby sklepieniem grobu zwierają się nad mniszką, równając ją z umarłymi...

Coż tam pomogło...? nic zgoła. Nawet takie słowa, dreszcz lęku budzące, od których Ustinka łzami się aże zalewała, całkiem w pomyślenie Halzuchny nie trafiały.

Ze swym tajemniczym promykiem na licu odpowiadała tylko:

— Mniszką zostanę... ciotulu... Za tyle szczęścia... Bogu... i żeby wymodlić u Niego, wyżebrać...

Co tam kto z tego wyrozumiał...?

Powiadała raz do Bieleckiej bojaryni Salomea, zamknięta z bratanicą w komorze:

— Że-ć ci tu, u nas, w bliskości Kowarska nie posobnie teraz, całkiem pojmuję... Ale na dwór miłościwej pani jedź, do Krakowa... toż królowa miłuje cię wielce, ostać możesz przy niej...

Rozpłakała się wtedy Halzuchna nagle, a niespodziewanie i wielce boleściwie, targnęły się w niej szlochy, jakoby prosto z rany.

Głową przecząco kołysała, aż uspokoiwszy się nieco, odrzekła;

— I na dwór królowej pani... nie... nie mogę...

Znowu łzy zalały ono światełko w niej widne.

Ot, w Buławach, jako przódzi, niechby się ostała,— tego pragnęła gorąco Ościkowa.

Cóż tam Kowarsk? — Pustka w nim ninie. Z rozkazu królewskiego przetrząśnięty od powały do progów... Mirowski wyjawił, jakie to szatańśtwa tam spełniali...

Pieczęcie, blankiety podrobione, cyfrowane fałszywymi podpisami senatorów, one zdrady, na każdym kroku widne — i bez zeznań Mirowskiego winiły Hrehorego Ościka, jego z carem knowania, na zgubę ojczyzny prowadzone, odsłaniając.[87])

Mąci się w głowie bojaryni, gdy o tem wszem pomyśli; całkiem nie do wiary to nieszczęście.

Kuźma jej aże chorzeje z onych sromów; poczerniał na obliczu, w sobie zesechł...

Jakże! Toć w lochach więzienia ma brata, on, Kuźma Ościk Wierszułowicz, magnat, rowien Radziwiłłom, stojącym u samego tronu Jagiellonowego, od Gintowtów wyższy, na Białorusi i Litwie najpierwszy, możnością,

[87]) Pamiętniki odnoszące się do panowania Stefana Batorego, zebrane przez Edwarda hr. Raczyńskiego str. 162—163

wiekami w rodzie jego utwierdzoną, i tym rycerskim splendorem — sławny...

A dziś...?

Imię Ościków Wierszułowiczów krwią zdrajcy wypisane jest na cyrografie królewskiego wyroku, skazującego Hrehorego na śmierć[38]).

Jedna krew, jeden ród, jedno imię...

Jest z czego chorzeć i schnąć...

To i upust ciężkim tym bólom dawała teraz bojaryni Ościkowa, żeć chwila wielce rzewliwa halczynych obłóczyn, do samych trzewiów ją poruszyła. Płakała, pobudzana do łez jeszcze bardziej zawodzeniem siedzącej obok matki Ustinki, Chojeńskiej już Bolkowej, która aże trzęsła się od szlochań, chociaż Bolko czule a frasobliwie żonę uspokoić się silił.

Mógł to? — Przecie już odwracała się Halzuchna od ołtarza, już druchny cofały się od niej, jak od nieswojej, — mniszki otoczyły ją kołem...

Na ślubny strój Bieleckiej nałożyły habit z grubej wełny owczej, zdjęły wieniec z jej głowy, odsłoniły ją czernią zakonnego welonu i powiodły Halzuchnę ku rozpostartym w głębi nawy kościelnej kirom, gromnicami zapalonemi obstawionym.

Na całunie krzyżem legła wyświęcona mniszka...

Wtedy, jakoby przed umarłą poklękały zakonnice w podle przeora, który rozpoczął półgłośną litanię:

„święci niebiescy duchowie...
„Święte męczenniczki...
„Święci zakonnicy i pustelnicy...
„Święte dziewice...

Odpowiedział, westchnieniu podobny, chór głosów:

„Módlcie się za nami...

Kolebały się stłumione słowa modlitwy, podnosiły i opadały, jako te westchnienia żalne, rozmiotane, by ciche fale wód sennych... Zdało się, iż mgliste wieje

---

38) Tamże.

gasnących i wstających, kolebiących się zawodzeń płyną nie z piersi ludzkich, lecz od nieruchomych murów kamiennych klasztoru, że z nich właśnie dobywają się, wsiąkające przez cztery wieki w granitowe ściany zakonne — wzdychy mniszek, przez żadne ucho nie słyszane zduszone łkania młodości, tęsknice palące, jeno oddechem ze serc dobywane[89]).

Teraz z uwięzień swych po setkach lat dobyły się te głosy echem szlochu lamentliwego, popłynęły skróś kamieni do świata żywych, jak tchnienie dalekiego chorału...

Intonował przeor:

„Abyś myśli nasze ku niebieskich rzeczy pożądaniu...

„Abyś królom i książętom chrześcijańskim pokój i zgodę...

Odpowiedziały mu zawodząco mniszki:

„Wysłuchaj nas, Panie...“

Dymy gromniczne białą przędzą snuły się ponad całunem, kłębiły wokół leżącej zakonnicy...

Przysłaniała ją coraz gęstsza mgła czegoś nieprzeniknionego, zaziemskiego, odgradzała już od świata...

---

[89]) Norbertanki, zgromadzenie kanoniczek regularnych zakonu premonstratensów, założonego około 1112 r. przez św. Norberta we Francji. W Polsce założył zakony Norbertanów i Norbertanek pod Krakowem na Zwierzyńcu Jaksa z Miechowa w r. 1172.

XIV.

Tylko ćwierk ptasi kląskał w puszczy niepołomickiej, tylko smyrgały po niej wiatronogie zajączki, płochliwe łasice, rogacze, rysie zjuszone, wszelki zwierz, obawy wyzbyty...

Jesienne szły czasy. Gąszcz wielkich borów przepełniał obfity w tym roku obród zwierzęcego potomstwa, — całe stada samic niosły się z młodemi, nie straszone niczem. Zaś skrzydlate, śpiewające roje osiadały chmarami gałęzie drzew, szybowały w różanych zorzach pomroku aż pod stary zamek niepołomski, gruntowany jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, sędziwy, ciężki, głębiący się już we ziemię...

Nikt tu teraz zwierzowi leśnemu swobody nie mącił, wesela życia nie psował: żaden strzał nie szył przestworzów, myśliwska trąbka nie grała, chociaż pora była łowiecka, dla strzelców sposobna...

Nie . . .

Nastało królowanie przyrodzeniu wszelkiemu, śmierć tu dostępu nie miała: biegun nie deptał kopytami bujnych traw, nie padały pod siekierą drzewa, na ostępie zbędne; rósł każdy krzaczek nie tknięty, ta jagoda nie zerwana...

Spokój tu trwał i cisza.

A on chodził po dzikich uroczyskach niepołomickiej puszczy samotny, od ludzi stroniący...

„Godziny, dnie całe, tygodnie spędzał teraz Batory w tajni onych borów, dziwną jakąś, głęboką ogarnięty zadumą...[90])

---

[90]) A. Sokołowski: Dzieje Polski t. III. str. 759.

Tułał się po polanach niepołomskich, między niebosiężnemi sosnami, obok chylących się do ziemi kosmatych gałęzi chojów olbrzymich...

Jakieś wieje dusznej udręki niosły go, że błąkał się od ostępu do ostępu, od rozwalisk spróchniałych drzew, do źródeł, bijących w leśnych zatajach...

Coś omraczało ducha wielkiego króla; niechęć do życia, zobojętnienie, smutek władnęły Batorym.

Ów, który był jawą życia, tętnem czynu, mocą niezłamaną, kleszczem, gnącym harde karki poddanych; ten, trzebiący w bezbrzeżach północnych puszcz drogę promieniowi cywilizacji; on, który zćmioną sławę bojowego heroizmu polskiego rozjarzył nagle w słońce, bijące na Europę; który porywał już za sobą naród i wiódł go do ładu, do mądrości, do potęgi i przeznaczeń, ważących na dziejach świata; ten, ku któremu wielki Sykst V, „jednacz pokoju" zwracał nadzieję ucieleśnienia śmiałych zamysłów stolicy apostolskiej; ów, któremu książęta Rzeszy niemieckiej chcieli cesarską koronę włożyć na czoło[91]), ów, nigdy nie strudzony, którego rozkazom poddawali się wielmoże, mówiąc: „ścierpim je i rzeczem w końcu, iż dobre"[92]); on, przy żołnierzu swym stojący pod gradem kul, ścisłej sprawiedliwości stróż; łagodny i przystępny w obcowaniu z poddanymi, a razem Cezara w majestacie przypominający, — wielki król począł teraz gasnąć, martwieć, w cienie melancholji zstępować[93]).

Coś wątliło mu duszną żywotność, zobojętniało zamiary, przenikało go smutkiem.

Może dziewięcioletnie „wysiłki serca" przy dźwiganiu s c e p t r u m królewskiego; może „szarpanie

[91]) A. Sokołowski: Dzieje Polski t. III str. 751.

[92]) Słowa Radziwiłła Sierotki o Stefanie Batorym.

[93]) Jesień 1585 r. poprzedzająca na rok śmierć króla.

ciągłemi potwarzami", „cierpki żywot pędzony tutaj"[94]); może przeczucie śmierci, zbliżającej się przedwcześnie, wyzucie ze szczęścia; wyrzeczenie się nadziei ojcowstwa; żelazne kiełzno dobrowolnie na siebie włożone: zazbyt odgrodziły króla Stefana od promion, życiu ludzkiemu niezbędnym...

Już snać „unożon" był Batory i trudem i troskami i brakiem wszelkiej pociechy...

W mglach pozachodnich, rozwleczonych na burzanach niepołomskich, krył się przed wzrokiem ludzkim, błąkał po pustoszy borów...

Przyrodzeniu tylko ukazywał zmroczone cierpieniem królewskie swe oblicze.

---

[94]) Testament Stefana Batorego, który król raptium spisywać zaczął 27 maja 1585 r. A. Pawiński: zródła dziejowe t. X str. 11.

KONIEC.

Warszawa styczeń — grudzień 1919 r.

Sprostowanie omyłek drukarskich:

		powinno być		mylnie wydrukowano
Strona 1	wiersz 7:	panastefanowych	—	nie stefanowych
„ 1	„ 8 z dołu:	po dalach	—	dachach
„ 7	„ 14:	z oną	—	z żoną
„ 14	„ 5:	Połocka	—	Płocka
„ 14	„ 14:	Połocka	—	Płocka
„ 19	„ 11 z dołu:	odkąd	—	dokąd
„ 33	„ 15 z dołu:	one	—	on
„ 40	„ 1 z dołu:	Olimpie	—	olimpie
„ 52	„ 1:	brak wyrazu takie		
„ 53	„ 10 z dołu:	se	—	sen
„ 57	„ 2:	blizn	—	blizu
„ 59	„ 14:	odbijających	—	odnijących
„ 60	„ 10 z dołu:	durzącym	—	duszącym
„ 66	„ 7:	sam	—	cam
„ 75	„ 6:	Marfa	—	Marffa
„ 76	„ 7:	prawą	—	prawną
„ 81	„ 11:	z za	—	za
„ 85	„ 12:	chcąc	—	schcąc
„ 101	„ 9:	poczęli	—	doczęli
„ 110	„ 15 z dołu:	wzrastający	—	wrastający
„ 113	„ 15:	osłaniał	—	osłaniała
„ 116	„ 5:	animuszmi	—	animuszni
„ 119	„ 15:	pęcicach	—	pęciach
„ 140	„ 14:	Płocka	—	Połocka
„ 140	„ 16:	Płocka	—	Połocka
„ 142	„ 12 z dołu:	nastanie	—	ustanie
„ 144	„ 3:	przez	—	przed
„ 148	„ 12 z dołu:	mienił	—	menił
„ 148	„ 9 z dołu:	a że	—	że za
„ 151	„ 8:	zapomniawszy	—	zapominawszy
„ 155	„ 5 z dołu:	maiła	—	miała
„ 156	„ 12:	bułanym	—	buławym
„ 163	„ 11:	wszemu	—	wszem

	Powinno być	Mylnie wydrukowane
Str. 166 wiersz 12 z dołu:	tajone	— tajne
„ 167 „ 11 z dołu:	który	— której
„ 170 „ 11:	mi	— mu
„ 173 „ 10 z dołu:	działach	— dziadach
„ 176 „ 8:	nie przerwała	— przerwała
„ 176 „ 8:	a tylko	— nie a tylko
„ 182 „ 2 z dołu:	Bielski	— Bielecki
„ 186 „ 16:	ranę	— raną
„ 187 „ 7:	zmieniona	— m ieniona
„ 189 „ 7:	odurzyło	— odrzucało
„ 194 „ 6 z dołu:	wspierał	— pierał
„ 200 „ 10 z dołu:	chciwe	— chciwie
„ 201 „ 14:	urok	— wzrok
„ 205 „ 5 z dołu:	Bielecka	— Osielecka
„ 206 „ 13:	zbyteczny jest wyraz: tchnący	
„ 207 „ 17:	wytrzymywał	— wstrzymywał
„ 207 „ 10 z dołu:	durem	— dniem
„ 215 „ 1 z dołu:	aby	— jaż by
„ 218 „ 8:	schmurzonem	— chmurzonem
„ 218 „ 12:	waszych	— naszych
„ 218 „ 14:	sposępniał	— sposępiał
„ 222 „ 14:	krze	— kosze
„ 223 „ 3 z dołu:	dziewczęce	— dziewczę
„ 224 „ 17 z dołu:	durzącym	— darzącym
„ 224 „ 10 z dołu:	noc	— nic
„ 225 „ 16:	osierdziu	— osiedziu
„ 229 „ 5 z dołu:	powtarzając	— powstając
„ 230 „ 15:	winowat	— winował
„ 236 „ 5:	łycarów	— łycasów
„ 251 „ 16:	ozywające się	— wzywające
„ 254 „ 5:	kolcsami	— kolasami
„ 262 „ 2 z doł.:	blankowaniem	— tlankowaniem
„ 266 „ 14:	przezeń	— przeń
„ 272 „ 16 z dołu:	sławo	— stało